

STAR WARS™

BŁĘDNY RYCERZ

JOHN JACKSON MILLER


AMBER

STAR WARS

BŁĘDNY



RYCERZ

John Jackson Miller

Spis treści

PROLOG

CZEŚĆ I. Daimanat

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

CZEŚĆ II. Diarchia

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

CZEŚĆ III. Arkadianat

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

PODZIĘKOWANIA

Tytuł oryginału
Knight Errant

Copyright © 2011 by Lucasfilm Ltd. & ™. All Rights Reserved.
Used Under Authorization.

For the Polish translation Amber sp. z o.o.
Copyright © 2012 by Wydawnictwo Amber

Przekład
Anna Hikiert
Błażej Niedziński
Aleksandra Jagiełowicz

Redakcja stylistyczna
Magdalena Stachowicz

Korekta
Halina Lisińska

Ilustracja na okładce
© John Van Fleet

Warszawa 2012. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza
tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62
www.wydawnictwoamber.pl

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)



*Meredith,
nieustraszonej i mądrej*

Dawno, dawno temu w odległej galaktyce...

PROLOG

W każdym pociągnięciu pióra stary Sullustanin odkrywał na nowo stwórcę wszechświata.

Lord Daiman był stosunkowo młody jak na człowieka, a jednak Gub Tengo przekopując się przez stertę pogniecionych flimsiarkuszy co chwila trafiał na coś zaskakującego. Faktury, plany, rachunki z restauracji... Nie rozumiał słów, ale czasem domyślał się, czego dotyczyły, a to dzięki rysunkom. Wszystkie były datowane na długo przed dojściem Daimana do władzy na Darkknell – niektóre nawet sto lat wcześniej – ale jednocześnie w jakiś dziwaczny sposób zapowiadały nadejście jego panowania.

To niesamowite, myślał gorączkowo Gub, kartkując posklejane ze starości ze sobą arkusze cienkiego akrylu. Dokumenty dotyczyły tak przyziemnych rzeczy – a jednak każdy z nich był częścią procesu tworzenia Dzieła Daimana... Potrząsnął prętem jarzeniowym, który mu przydzielono, i przysunął go bliżej tekstu. Zgadza się, były tu – ukryte prorocze symbole – a zadaniem Guba było ujawnienie ich wszechświatu.

Podziękował za to w duchu Daimanowi. W wieku sześćdziesięciu lat miał to szczęście, że nadal pozostawał na służbie – nawet pomimo utraty nóg w wypadku cysterny za panowania Lorda Chagrasa. Tamten incydent powinien był zakończyć jego karierę. Wcześniej Gub pracował w fabryce broni biologicznej, nasączając zarodniki trucizną a jego obecna praca nie różniła się zbyt od tej, w której korzystał z chemicznego stylusa. Takie umiejętności były zawsze cenione w stolicy Daimanatu.

Po dojściu do władzy Daiman, aby zaakcentować swój wpływ na historię, rozkazał zmienić litery aurebesha tworzące jego imię – do ich znaków miały być odtąd dodawane dwie przypominające chorągiewkę kreseczki. Ale to nie wszystko! Zmiana ta miała zostać obowiązkowo wprowadzona we wszystkich istniejących tekstach!

Cóż, tak naprawdę „zmiana” nie była tu dobrym określeniem, jak zauważył sam Daiman, bo „nowe” znaki istniały od zawsze – proste istoty po prostu ich dotąd nie dostrzegały, a ujawnienie ich nie było zmianą tylko właśnie ujawnieniem.

Modyfikację większości słowa pisanego, magazynowanego elektronicznie, w obrębie domeny Daimana wprowadzono natychmiast, konieczna jednak była ręczna modyfikacja znaków i etykiet – a także stosunkowo nowych dokumentów fizycznych, będących twórcami kultury. I właśnie dlatego Gub, a także wielu innych podobnych mu rękodzielników na Darkknell i nie tylko, otrzymało zadanie „ujawnienia” liter, które istniały od zawsze.

Być może łatwiej byłoby po prostu zniszczyć te materiały – większość flimsiplastu łatwo

rozpuszczała się w wodzie – jednak Gub wiedział doskonale, że nie o to chodzi. Skoro, jak mawiali sithańscy adepci Daimana, wszechświat został stworzony ćwierćwiecze przed tym, kiedy narodził się Daiman, wszystkie „starsze” obiekty musiały zostać stworzone przez niego... łącznie z tą ulotką. Jeśli postrzępiona kartka z wizerunkiem pary butów zawierała w tekście znaki z imienia Daimana, nie była reklamą ale świętym artefaktem. A zniszczenie go byłoby świętokradztwem, którego mógłby się dopuścić jedynie Wielki Wróg.

Podpis Daimana był wszędzie, w całej galaktyce – nawet wysoko na niebie, a karty historii były tylko kolejnym świadectwem na jego wszechobecność. Oni zaś musieli to przyjąć z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Ślęcząc nad ulotką Gub natrafił na jedną z liter, których szukał, w opisie pary szarych butów. Kolejny aurek. Sullustanin westchnął i potarł elektrostacyjnym piórem o kolano, żeby je naładować. Był świadom znaczenia swojej pracy, ale mimo to męczyło go wyszukiwanie irytujących samogłosek. Chorągiewki – jego przełożony nazywał je pestkami – które tworzyły świętą literę aurek-da, dodawano z lewej strony i niemal zawsze zachodziły one na sąsiadujący znak. Skoro jednak Daiman nie chciał, żeby litery się łączyły, zadaniem Guba było dopilnować, żeby przekształcone, ujawnione znaki także nie zachodziły jeden na drugi.

W procesie twórczym porządek był najważniejszy.

Tak więc stary Sullustanin siedział w swoich kwaterach w dzielnicy Iridium, spędzając dzień na poprawianiu dorn-d i enth-d, a często nawet po nocy – tak jak dzisiaj. Gub rzadko się zastanawiał, co się działo ze stertami poprawionych flimsiarkuszy, które zdał w ciągu długich lat swojej pracy. Zakładał, że dokumenty trafiały tam, skąd mu je dostarczono, chociaż, sądząc po przykrym zapachu i plamach na niektórych, musiały zostać wygrzebane z wysypisk, gdzie czekały na zrzucenie w żar najbliższej gwiazdy. Kto prowadził ich ewidencję i zajmował się ich dystrybucją? Gub nie wyobrażał sobie takiej pracy – i może lepiej.

W sumie nie miało to znaczenia, dopóki sumiennie wypełniał swoją część planu boskiego objawienia. Miał tylko robić, co do niego należało, i dbać, żeby jego agresywny i leniwy przełożony był z niego zadowolony. Tym, o co musiał się martwić, były głodowe racje żywności, którymi musiał wyżywić całą ich trójkę, a także jego osierocona wnuczka Tan, śpiąca w sąsiednim pokoju, i los, jaki ją czekał.

Coraz bardziej martwił się też o opiekunkę, którą wynajął ostatnio dla nich dwojga, narwaną zuchwałą i hardą... która w tej chwili przedzierała się przez miasto, aby raz na zawsze rozprawić się z Lordem Daimanem – fałszerzem alfabetów i stwórcą wszechświata.

CZEŚĆ I



DAIMANAT

ROZDZIAŁ 1

W przestrzeni Sithów każdy był niewolnikiem. To brzmiało dość zabawnie w odniesieniu do grupy, której credo zawierało wzmiankę o „zerwaniu łańcuchów”, stwierdził Narsk. Zawsze starali się pilnować, żeby nikt nie miał za dużo swobody, jednak niektórzy trafiali w niewolę częściej niż inni. Dobrze było dysponować jakimś talentem, umieć coś wyjątkowego – życie było wtedy trochę znośniejsze. A ci naprawdę w czymś dobrzy? Ci mogli nawet wybierać sobie pana wedle upodobania – nie, żeby było specjalnie w czym wybierać...

Dzięki swoim zdolnościom Narsk Ka'hane trafił na Darkknell, do stolicy Daimana, samozwańczego Lorda Sithów i aspirującego do roli bóstwa. Wcześniej w specjalnym maskującym skafandrze polował na szronoperze w pieczarach na Verdanth; teraz zajmował się czymś zgoła innym. Szczerze powiedziawszy, Bothanin nie wyobrażał sobie nikogo z jego rasy, zwisającego głową w dół na linie z systemu wentylacyjnego pilnie strzeżonej wieży, ale też nie każdy miał jego umiejętności.

Tym razem także był ubrany w skafander, ale inny niż ten, którego używał dotychczas. Sithowie walczący w tym regionie w ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci nie skupiali się za bardzo na rozwijaniu tajnych technologii; zdecydowanie woleli widowiskowe eksplozje, a Narsk nie miał nic przeciwko temu. Kombinezon, który nosił, był najnowszym osiągnięciem techniki Republiki, absolutną nowinką w sektorze Grumani. Nie miał pojęcia, jak jego zaopatrzeniowiec zdołał zdobyć osobisty system maskujący Mark VI Cyriceptu ani czy poprzednie pięć wersji w ogóle się do czegoś nadawało. Wiedział natomiast, że jak dotąd żadne zlecenie nie szło mu tak łatwo.

Było mu z tego powodu niemal przykro – zważywszy na pracę, jaką włożył w przygotowania. Przybył do Xakrei, stolicy Darkknell, kilka tygodni wcześniej, żeby przybrać fałszywą tożsamość. Namierzenie celu nie było zbyt trudne: koślawa piramida, znana powszechnie jako Czarny Kieł, górowała nad miastem i była widoczna z każdego prawie miejsca. Skrzętnie oszacował trasy ruchu wokół obsydianowej struktury i zapamiętał pory zmian wart strażników strzegących wejść. W ciągu miesiąca namierzył każdą drogę prowadzącą do potężnego magazynu tajemnic i z powrotem... a potem wszedł do środka.

Narskowi przeszło przez myśl, że Mark VI jest dla tajnych operacji tym, czym hipernapęd dla podróży nadprzestrzennych. Materiał kombinezonu był naszpikowany elektronicznymi systemami zakłócania, które na poziomie molekularnym zniekształcały i zaginały fale elektromagnetyczne wokół noszącego strój. Dźwięk, światło, łączność – Mark VI zakrzywiał

każdy rodzaj pola. Cyricept pomyślał dosłownie o wszystkim. Maski z filtrem dopasowywała wyziewy do temperatury i wilgotności otoczenia; dzięki specjalnym goglom Narsk widział doskonale całe otoczenie, pomimo braku światła. Miał nawet maskującą sakwę na drobny sprzęt. Gdyby nie był idealnie niewidzialny, mogłoby go wypatrzeć tylko bardzo wprawne oko – tym bardziej w ciemnościach.

Bothanin wiedział jednak, że sprawność fizyczna i czujność to nie są cechy, których „Lord Daiman, stwórca wszechrzeczy” wymagał od swoich strażników. Jak wszędzie, tak i tutaj gwardziści Lorda Sithów byli ponuro wyglądającymi typami, ubranymi w pretensjonalne stroje. Żaden mięśniak nie mógł zresztą nie wyglądać głupio, wbity w złoconą zbroję i zawinięty w burgundową kieckę. Widok Gamorreanina wystrojonego w podobny strój wystarczał, żeby człowiek miał ochotę krzyczeć.

Dlatego właśnie, chociaż Narsk podczas każdej kolejnej wyprawy do centrum badawczego zabierał ze sobą dodatkowe magazynki do swojego needlera, to nigdy ich nie potrzebował. Dzięki Mark VI dotarł do drzwi, które strażnicy właściwie sami otwierali mu za każdym razem, kiedy wchodzili do środka. „Kiedy twoim zadaniem jest upewnienie się, że wszystko w porządku – usłyszałeś kiedyś – zaczynasz uważać, że wszystko jest w porządku, nawet kiedy wcale tak nie jest”. Teraz, podczas swojej trzynastej – i ostatniej – wycieczki do środka, Narsk także zaczął w to wierzyć. Wiele tajemnic Czarnego Kła (oficjalnie Zakładów Badania Dynamiki Daimanatu na Darkknell) spoczywało bezpiecznie w pamięci datapada w jego kieszeni.

Lord Odion będzie zadowolony.

Narsk wiedział jednak, że to nie zawsze dobrze wróżyło. Starszy brat Daimana czerpał zazwyczaj satysfakcję ze śmierci i zniszczenia. Cała ta głupia wojna między braćmi była klasycznym studium psychologicznym. Daiman był zepsutym bachorem, który sądził, że jest jedyną ważną osobą w całym wszechświecie; Odion z kolei był jego zazdrosnym braciszkiem, który reagował na utratę swojej wyjątkowości rozwalaniem zabawek. Jeśli Daiman wierzył, że to on jest stwórcą wszechrzeczy, to Odion był przeświadczony, że jego przeznaczeniem jest to wszystko zniszczyć. Połowa adeptów tego drugiego należała do sekty wyznającej kult śmierci; pławili się w jego blasku w nadziei na szybkie przejście na tamten świat. Chyba nawet ralliirskie blaskoomy miały mniej skłonności samobójczych...

Na szczęście Narsk nie musiał podzielać ich entuzjazmu dla życia wiecznego, żeby pracować dla Odiona – większość powierzanych mu misji wcale nie miała cech samobójczych.

Dotarłszy do połączenia szybów systemu wentylacyjnego, Narsk poczuł, jak cały budynek wokół niego wibruje. Tuż obok niego przemknął lodowaty podmuch, by ochłodzić placówkę na dzisiejszy wielki test. System Mark VI odpowiedział, dopasowując temperaturę skafandra do otoczenia, jakimś cudem jednocześnie zapobiegając gromadzeniu się szronu na powierzchni tworzywa. Narsk pomyślał z uznaniem o republikańskich inżynierach. Szkoda, że

nie mogli walczyć. Albo nie chcieli.

Przeciął kabel i ostrożnie opuścił się na pokrywą wjazdu. Główne centrum badawcze poniżej było jedynym ważnym pomieszczeniem, do którego jeszcze nie wszedł – tylko dlatego, że jego cel wcześniej tu nie dotarł. Teraz jednak tam był – Bothanin widział przez wychłodzone listwy pod swoimi stopami jego metalowy korpus: Convergence.

Ani Daiman, ani Odion nie korzystali podczas walk z wielkich okrętów, które kiedyś brały udział w bitwach Sithów z Republiką. Żaden z nich nie miał pojęcia, ile statków ma jego brat. Podczas gdy Odion z radością zaangażowałby się w jakąś porządną bijatykę, to Daiman nie palił się zbyt do wojaczki. Wskutek takiego stanu rzeczy konflikt składał się z serii małych ataków i kontrataków, w których czynnikiem decydującym o wygranej nie była siła ognia – a z pewnością nie tak często, jak zdolność do wykazywania się pomysłowością. Sytuacja na polu bitwy zmieniała się jak w kalejdoskopie.

Taktyczny Pojazd Desantowy zwany Convergence był efektem tysięcy lat gromadzenia wiedzy wojskowej i miał przeważyć szalę konfliktu na stronę Daimana. Był wielofunkcyjny i w pełnym tego słowa znaczeniu uniwersalny. Podobnie jak maskujący skafander Narska, Convergence potrafił dosłownie wszystko. Dwukrotnie większy od gwiazdowego myśliwca, służył jako mały transportowiec wojskowy, zdolny przenosić przez nadprzestrzeń od ośmiu do dziesięciu żołnierzy. Był też wyposażony w systemy uzbrojenia, dzięki którym mógł służyć jako myśliwiec albo bombowiec – w zależności od potrzeb. Daiman przygotowywał się na moment, w którym dzięki milionom takich statków obejmie należne mu miejsce: tron władcy galaktyki.

Tymczasem inżynierowie Daimana przechodzili drogę przez mękę. Zaglądając do pomieszczenia w dole, Narsk głęboko im współczuł. Na potężnym ramieniu testującym zawieszono najdziwaczniejszą konstrukcję, jaką kiedykolwiek dane mu było oglądać: Convergence był stutonowym urzeczywistnieniem kapryśnych i zmiennych zachcianek osoby, której miał służyć.

Daiman zażądał, żeby statek przypominał jego trójzębne, smukłe myśliwce, ale podobieństwo tego monstrum do stateczków kończyło się na posiadaniu skrzydeł i na kolorystyce. W przedniej części giganta umieszczono duży przedział pasażerski, ale od razu było widać, że nie jest on zbyt wygodny – przewidziano tu co prawda miejsce dla dziewięciu osób, ale sześć z nich całą drogę musiałyby spędzić na stojąco. Silniki, powiększone dwukrotnie od czasu tworzenia prototypów, zapierały dech w piersi – tak samo jak bateria pocisków, nienakierowanych w żadnym szczególnym kierunku, a także masywna gondola, podwieszona na brzuchu (pozostałość poprzedniego planu przekształcenia statku w pojazd gąsienicowy, zdolny poruszać się po lądzie). Narsk przypuszczał, że – sądząc po nielicznych zmianach pomysłów Daimana – inżynierowie kombinowali też, jak wyposażyć to coś w koła.

Nieskończony proces tworzenia machin, które miały zostać użyte w niekończącej się wojnie... Narsk miał niejasne wrażenie, że ma przed sobą coś, co mogłoby zaprojektować

rozkapryszone dziecko, a jednak mimo to wciąż był to pojazd, który warto mieć. W procesie żmudnych kombinacji i wprowadzania licznych, nagłych zmian, inżynierom Daimana udało się osiągnąć kilka wartych odnotowania sukcesów – kompozyt tworzący pancierz był całkiem przyzwoitym tworzywem, a wydajność energetyczna turbolasera okazała się najlepsza, jaką osiągnięto jak dotąd w tym sektorze.

A te cechy były przydatne, szczególnie dla pracodawcy Narska. Chociaż starał się być niezależny, Lord Odion chętnie czerpał z technologii stworzonej przez innych – i dlatego właśnie zlecił Narskowi wykradzenie tajemnic Convergence. Przy odrobinie szczęścia potężna, dryfująca fabryka Odiona, Szpic, będzie wkrótce masowo produkowała lepsze systemy broni, wykorzystując pomysły inżynierów jego brata.

Narsk bez trudu wykradł większość danych, a to dzięki nagłej decyzji Daimana, żeby wyposażyć statek w systemy tłumienia zamieszek. Teraz wrócił po ostatni kęs: pakiet pola energetycznego. W ciągu ostatniego tygodnia badacze Daimana wystawiali tarcze Convergence na fale dźwiękowe, emisje elektroniczne i wysoką temperaturę, dostosowując oprogramowanie statku do ekstremalnych warunków. Dzisiejszy test, mający ocenić wydajność pola w atmosferach, był tym, na który czekał Narsk. Prototyp Convergence podczepiono do potężnego, obrotowego ramienia – wirówki mającej symulować warunki prędkości podświetlnych. W przypadku mniej tajnych pojazdów takie testy były przeprowadzane w warunkach naturalnych, Narsk jednak przypuszczał, że naukowcy martwili się o jedno: że to cacko i tak nigdy nie poleci. Cieszył się, że nie dostał rozkazu wykradzenia całego statku.

Rozległ się brzęczyk i potężny torus zaczął się poruszać, mozolnie ciągnąc za sobą bryłę Convergence. Uwaga Narska była skupiona niżej, w pobliżu węzła centrali (na monitorach na zewnątrz nie było widać ani wielkiego silnika, ani przestrzeni dookoła niego).

Prześliznął się przez właz w samą porę, aby wylądować na monstrualnym ramieniu. Następnie, ledwie dotknąwszy metalowej powierzchni, odepchnął się lekko i skoczył na podłogę. Natychmiast przypadł do ziemi, przyklejając owłosiony pysk do żebrowanej posadzki komory testującej. Od nieuchronnej dekapitacji dzielił go niecały metr.

Cóż, kolejny, zwykły dzień pracy dla Sitha, westchnął w duchu Narsk, dopasowując wizjer swojego hełmu do nagłej, rozwibrowanej ciemności, która go otoczyła. Zebrał siły i podczołgał się do obudowy silnika pośrodku pomieszczenia. Kiedy już dotarł do jej nieruchomej podstawy, znalazł to, czego szukał: panel kontrolny, przeznaczony do użytku tylko wtedy, kiedy wirówka była wyłączona.

Przyjrzał mu się uważnie. Dane telemetryczne uzyskiwane podczas testu trafiały do centrali systemu dzięki izolowanemu kablowi, owiniętemu wokół potężnego ramienia unoszącego Convergence. Przyglądając się informacjom przewijającym się po niewielkim ekranie, Narsk sięgnął do sakwy po datapada, ułożonego starannie na wierzchu zawartości. Podłączywszy urządzenie, zaczął pobierać wyniki bieżącej analizy, a także wszystkich innych testów pola

przeprowadzonych na prototypie. Wszystko szło jak z płatka – dokładnie tak, jak go zapewniano. Dobrze było wiedzieć, że wśród techników Daimana czai się jakiś ekscentryczny zwolennik Odiona.

Cóż, wszyscy oni są ekscentryczni, pomyślał Narsk, co zresztą nie miało żadnego znaczenia.

Po załadowaniu danych zerknął na wyświetlacz, marnując kilka cennych sekund na upewnienie się, że patrzy na to, co powinno tam być. Z mozołem zaczął odcyfrowywać daimaniczne znaki. Co za...

Kolejny brzęczyk, tym razem ledwie słyszalny, ostrzegł go, że prototyp porusza się teraz z pełną prędkością. Wkrótce zacznie długotrwały proces wytracania tempa. Musiał się spieszyć, najpierw jednak zamierzał zostawić pożegnalny podarunek w zamian za informacje, które wykradł. Ostrożnie sięgnął do sakwy i wyciągnął z niej kilka ładunków termicznych z baradium. Ostatnio stały się na Darkknell bardzo cennym towarem. Zmusiło to Narska do przeschmuglowania własnych zasobów, co było dość ryzykownym procederem, zważywszy na skłonność ładunków do niespodziewanych eksplozji. Kilka takich pakietów podczepionych do podstawy wirówki wystarczy, aby uszkodzić część centrum badawczego i zniszczyć prototyp, jak tylko Narsk zdalnie aktywuje detonator.

Wybuch będzie bardzo widowiskowy, wiedział o tym, ale kiedy nastąpi, on będzie już zbyt daleko, żeby go podziwiać. Był gotów do wyjścia; wślizgnął się w wąski szyb, wykorzystywany do odprowadzania wody po testach meteorologicznych. Zbyt śliski i stromy, żeby mógł być wykorzystywany jako droga do środka, był zdecydowanie wygodną trasą odwrotu. Zsuwając się w mrok, Narsk uśmiechnął się pod nosem. Nigdy nie zbliżył się do Convergence na odległość mniejszą niż dwadzieścia metrów, a jednak miał wszystkie informacje konieczne do zbudowania własnego prototypu. Jakby w ogóle był on komuś potrzebny...



Kiedy Lord Chagras stracił wpływy, młody Daiman nie próżnował – natychmiast zagarnął Darkknell dla siebie. Trudno się było temu dziwić. Bardziej niż niezliczone pomniki – chociaż tych nie brakowało także na Darkknell – do spopularyzowania mitu boskości Daimana przyczyniły się względy estetyczne. Co prawda główna gwiazda planety, Knel'char I, dostarczała jej mieszkańcom tylko mdłego, słabego światła, które skłaniało naukowców do przypuszczeń, że lada chwila gwiazdzie skończy się zapas wodoru, a – co za tym idzie – nastąpi jej śmierć. Knel'char miała też jednak dwójkę młodszego rodzeństwa – jaśniejszego, okrążającego siebie nawzajem po zewnętrznej orbicie, co stanowiło iście imponujący widok. O masie wystarczającej tylko na to, żeby podtrzymywać zachodzące w nich procesy, Knel'char II i III były zanadto oddalone od planety, żeby destabilizować orbitę Darkknell czy

w ogóle wpływać na panującą tutaj pogodę, jednak zawsze były widoczne z powierzchni – w dzień czy w nocy. Zawsze.

Słońca obserwowały Darkknell, jak mawiali mieszkańcy tego świata – i to dosłownie, bo błękitna i złota kula przypominały ni mniej, ni więcej, tylko dwubarwne oczy samego Daimana. W taki oto sposób rzekomy stwórca wszechrzeczy śledził bezustannie swoje włości z niebios, pilnując, żeby pod jego okiem nie doszło do żadnych uchybień czy zdrady... o ile planeta nie była akurat odwrócona do nich drugą stroną. Spoglądając z dachu fabryki śmigaczy tuż obok centrum badawczego, Narsk zachichotał pod nosem. Dosłownie przed chwilą nad Czarnym Kłem wzeszły „oczy”, zwiastując nadchodzący świt, który pozbawi połowę mieszkańców planety „błogosławieństwa” podglądania przez gwiazdnych inwigilatorów. Szczegóły astronomiczne nie miały tu oczywiście żadnego znaczenia. Ludność w sektorze Grumani żyła pod władaniem Sithów tak długo, że wierzyli dosłownie we wszystko, co im wmówiono. Bothanin był zdania, że Daiman celowo zmienił tęczę swoich oczu, żeby dopasować ich barwę do wędrujących po nieboskłonie planety gwiazd, ale Odion zarzekał się, że odpychające ślepie brata były naturalne.

Cóż, jakkolwiek było, sztuczka świetnie się sprawdzała. Przefiltrowane przez zanieczyszczoną mgiełkę unoszącą się nad stolicą światło gwiazd przykuwało uwagę, bez dwóch zdań. A gdyby komuś przyszła ochota naśmiewać się z nich podczas tej pory roku, w której gwiazdy były ustawione względem siebie tak, że można było odnieść wrażenie, jakby ich stwórca miał zezą... cóż, tego czekało niechybne spotkanie z Dyscyplinatorami Daimana.

Ściągając maskę ze swoich włochoatych uszu, Narsk westchnął w duchu z ulgą: dzięki Mocy, że Dyscyplinatorów nie było tu dziś wieczór. Mark VI świetnie się sprawdził, jednak nawet Cyricept nie zdołałby go ochronić przed istotami posiłkującymi się Ciemną Stroną Mocy. Narsk znał metody, dzięki którym mógł się ustrzec wykrycia, ale cała procedura dotarcia do centrum i wydostania się stamtąd kosztowała go naprawdę wiele zachodu. Dobrze się składało, że Daiman zatrzymał większość swoich siepaczy w kwaterach, planując nowy atak na Odiona. Narsk nie zastanawiał się zbytnio nad tym, jak on ma wyglądać. Niebiańskie Sanktuarium nie było jego problemem.

Bothanin zdjął rękawice i schował je razem z goglami i maską do torby, tuż obok detonatora. Odczeka z aktywacją, dopóki nie wsiądzie na pokład frachtowca, postanowił. Zarezerwował już wcześniej miejsce na lot, oczywiście pod fałszywą tożsamością. Teraz przeczesał zmierzwiłone futro szponami; pomimo panującego w Czarnym Kle chłodu obficie się spocił. Odetchnął głęboko, starając się uspokoić myśli. Zbyt wiele podróży w mroczne zakamarki, pomyślał ponuro. Dobrze będzie mieć za sobą misję na Darkknell.

Kierując się w stronę, gdzie ukrył na dachu swoje ubranie, zastanawiał się nad prawdziwym znaczeniem misji, którą właśnie wypełnił. W wielu obszarach kontrolowanych przez Sithów pieniądze miały duże znaczenie, ale w królestwie Odiona waluta praktycznie nie istniała. Trudno mówić o bogaceniu się na obszarze, którego granice są nietrwałe, a

bezpieczeństwo jest rzeczą ulotną.

Nie, w przestrzeni Sithów ludzie byli warci tyle, co ich umiejętności, a także niewielki margines swobody, no i elastyczność, którą musieli się wykazać, kiedy ich życie waliło się w gruzy. Znalezienie despoty o umiarkowanie morderczych skłonnościach, któremu można się było spróbować przypodobać, nie wystarczało. Lordowie Sithów upadali równie szybko, jak się pojawiali, a jedynym sposobem na przetrwanie było potwierdzenie własnej przydatności dla możliwie największej ich liczby naraz. Dzięki temu reputacja Narska – reputacja, która zapewniała mu wolność niezależnie od tego, co się działo – wciąż rosła.

W przestrzeni Sithów nie można liczyć na więcej, pomyślał Narsk. Nie można też pragnąć więcej.

– Masz coś, czego potrzebuję – usłyszał zza pleców niski, damski głos. Dyscyplinador! – przemknęło mu natychmiast przez myśl.

Rzucił się przed siebie, łowiąc uchem dźwięk budzącej się do życia klingi miecza świetlnego. To musi być Dyscyplinador, myślał gorączkowo; zwykli strażnicy Daimana nie mieli mieczy świetlnych. Nie zawracał sobie jednak głowy oglądaniem się za siebie. Był już na skraju dachu, kierując się ku parapetowi biegnącemu wzdłuż jego krawędzi. Podeszwy miękkich butów skafandra uderzyły o durastał, kiedy złapał równowagę i wybił się do skoku.

Jego prześladowca został na górze, gnając na łeb, na szyję wzdłuż krawędzi dachu. Narsk martwił się, że może nie być dość szybki – nogi dawały mu się we znaki po akrobacjach w centrum badawczym. Zanurzył rękę w sakwie, szperając w środku gorączkowo. Gdzie, u licha, jest jego needler?

Na dnie torby! A niech to szlag!

Nie miał czasu go stamtąd wygrzebywać, skoro tuż nad jego głową kroki Dyscyplinadora rozbrzmiewały coraz głośniej. W oddali, na tle Czarnej Kłki rysowały się kolejne budynki kompleksu fabryki. Narsk pokonał jednym susem kilka metrów dzielących go od gzymsu następnego dachu. Skok był znacznie dłuższy od poprzedniego, ale Narsk nie tracił nadziei, że Dyscyplinador da za wygraną i przerwie pościg.

Czując się nieco pewniej, zerknął za siebie... tylko po to, żeby zobaczyć szybującą w powietrzu dwunożną postać, bez trudu pokonującą dystans dzielący oba budynki. Tylko Sith silny Mocą zdołałby dokonać czegoś takiego, ocenił Narsk. Tylko Dyscyplinador, czyli któryś z elitarnych akolitów, obarczonych obowiązkiem naprawy tych elementów dzieła Daimana, które działały wadliwie. Nie miał ochoty przekonywać się na własnej skórze, jak wygląda ten proces.

Parapet, po którym uciekał, biegł kilka metrów prosto, a potem zakręcał. Narsk rozpędził się i ślizgiem skręcił za róg. Tutaj krawędź była węższa – od ściany sześciopiętrowego budynku dzieliło ją tylko pół metra. Bothanin nie zwolnił jednak, chociaż każdy krok mógł zaważyć na jego losie. Buty jego specjalnego skafandra nie były przeznaczone do takich wyczynów, ale nie miał szans na powrót po swoje zwykłe ubranie na dach centrum. Teraz

musiał zyskać na czasie, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie mógłby z powrotem włożyć maskę i rękawice, no i aktywować system maskujący.

Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie przez ramię. Widział teraz, że ściga go kobieta – dorównywała mu mniej więcej wzrostem i wagą, ale wcale nie poczuł z tego powodu ulgi. Jeśli dojdzie do starcia, nie wygra z agentem Sithów, niezależnie od jego gabarytów. Cóż, jeśli chodzi o ścisłość, gdyby miał do czynienia z kimś większym i potężniej zbudowanym, byłoby mu łatwiej – miałby wtedy przewagę zręczności, ale Dyscyplinatorka skakała z równą wprawą jak on.

Nie widział jej miecza świetlnego, ale był pewien, że wcześniej słyszał buczenie klingi. Musiała go zgasić natychmiast, kiedy rzuciła się za nim w pościg. Dziwne, uznał.

Dlaczego jeszcze nie wezwała wsparcia? Dlaczego nie słyszy wycia syren alarmowych? – zaczął się zastanawiać, ale w tej samej chwili ujrzał w oddali swoją szansę na umknięcie pościgowi: świetlik w ścianie mniejszego budynku, nieco niżej. Gdyby tylko zdołał tam dotrzeć! Bez zastanowienia odbił się od gzymsu, zwinął w kłębek i zacisnął zęby. Mark VI nie był co prawda zbroją ale miał nadzieję, że podczas zderzenia z lśniąca powierzchnią która wydawała się szybować mu na spotkanie z prędkością nadświetlną zapewni mu nieco ochrony.

Brzdęk! Wokół niego eksplodowały szczątki kiepskiej transpastali, ustępując łatwiej niż się spodziewał – w przeciwieństwie do permabetonowej podłogi, na którą upadł. W chwili zderzenia Narsk porzucił wszelką nadzieję na miękkie, kontrolowane lądowanie; prześliznął się jakieś dziesięć metrów po kałuży lepkiej, złotej mazi, aż w końcu rąbnął w ścianę.

Z trudem rozprostował obolałe ciało i rozejrzał się dookoła. Miejsce było dokładnie tym, czego się spodziewał: wokół zwiślały na kołowrotkach i łańcuchach niekompletne korpusy skuterów repulsorowych, kołysząc się w strumieniach natryskiwanej farby. Cuchnęło tu intensywnie lakierem, którego odór atakował mu nozdrza w regularnych, gorących podmuchach. Tu i tam krążyły droidy, oblepione farbą tak dokładnie, że ledwie się ruszały. Najwyraźniej w tym miejscu panowała atmosfera zbyt toksyczna nawet dla niewolników.

Spróbował wstać. Gdzie jego prześladowczynie? Na pewno nie było jej nigdzie w pobliżu. Uprzytomnił sobie nagle, że nie miała na sobie stroju, jaki zazwyczaj nosili Dyscyplinatorzy. Czyżby Daiman zorganizował jakieś nowe, tajne oddziały? Dlaczego przerwała pościg? – zachodził w głowę.

Może bała się pobrudzić? – pomyślał z ponurym rozbawieniem.

Myśl była równie głupia, co daremna – i gorzko za nią zapłacił, kiedy stracił równowagę i rąbnął szczęką o podłogę. To świństwo pokrywało teraz całe jego futro. Pieprzona poślota, którą Daiman ozdabiał wszystko, co tylko mógł.

Gramoląc się z trudem na nogi, Narsk zauważył, że ubrudził też większą część skafandra. Aktywacja maskowania nie miała w tej chwili większego sensu; zanim kombinezon będzie się do czegoś nadawał, musi zostać porządnie wyczyszczony. Teraz nie miał jednak wyboru.

Wyciągnął szyję i rozejrzał się wokół w poszukiwaniu tego, po co tu przyszedł.

Był tam, wysoko, na jednej z krokwi: gotowy, złożony skuter, lśniący i suchy, zwisający z sufitu na łańcuchu. Poruszając się z najwyższą ostrożnością Bothanin minął droida załadunkowego i ruszył w stronę drabinki. Rozejrzał się na boki – nadal ani śladu Dyscyplinatorki – a potem wspiął się na górę i odczekał, aż system przenośnika dostarczy skuter w jego pobliże.

Skok wydawał się łatwy, ale Narsk pośliznął się na szczycie drabiny i prawie chybił. Chwycił się rozpaczliwie konstrukcji maszyny; już po chwili udało mu się objąć mocno rozhuśtaną ramę i wdrapać na siodelko.

Bezpiecznie usadowiony, zerwał folię ochronną z ekranu kontrolnego. Zgadza się, skuter był w pełni sprawny, ale paliwa w jego baku wystarczy tylko na dotarcie do przedmieść Xakrei. To jednak nie miało w tej chwili żadnego znaczenia. Dyscyplinatorka na pewno zdążyła już wezwać pomoc, więc Narsk miał do wyboru: albo w ciągu następnych kilku minut zdobędzie upragnioną wolność, albo już po nim. Otworzył sakwę i wyciągnął needlera – był na samym wierzchu, tuż pod ręką. Narsk westchnął z zadowoleniem. Przystawił broń na nasączone kwasem strzałki, wyceLOWał w złącze nad głową i wystrzelił.

Chwilę później zmęczeni pracownicy, wracający z fabryki, zadzierali z zaskoczeniem głowy, podziwiając złocistą smugę, która wyprysnęła z okna na czwartym piętrze budynku. Narsk pochylił się maksymalnie do przodu i przywarł całym ciałem do skutera. Nadal przymocowany do pojazdu łańcuch powiewał za nim niczym ogon mosgotha, tłukąc wściekle o pobliskie budynki, kiedy skręcał w główną aleję.

Teraz nie miał jednak czasu, żeby zawracać sobie tym głowę. Pozwolił, żeby wiatr wyparł mu z płuc zalegający tam lepki smród chemikaliów. Nigdy dotąd powietrze Xakrei nie smakowało tak słodko. Przed nim rozciągał się Szlak Wytwórców, prowadzący do Małych Durosjan i tysiąca innych miejsc, w których mógł zniknąć. Za plecami miał jedynie Czarny Kieł, którego sylwetkę podświetlały lśniące nad nim bliźniacze gwiazdy. Nie widząc nigdzie w pobliżu Dyscyplinatorki, z powrotem skupił uwagę na ulicy.

I to był błąd – powinien był spojrzeć w górę.

Kobieta skoczyła na niego z kładki przecinającej główną arterię, wysoko nad nim. Na widok pędzącego w jego stronę ciała z rozrzuconymi rękami Narsk odruchowo wcisnął gaz do dechy. Skuterem gwałtownie szarpnęło, prawie wysadzając go z siodelka. Zacisnął dłonie na kierownicy i z trudem zapanował nad maszyną nakierowując ją z powrotem na otwartą przestrzeń, a potem obejrzał się za siebie. Przez chwilę sądził, że Dyscyplinatorka wylądowała na pojeździe, ale nie było po niej śladu. Może nie zdążyła się chwycić siodelka i spadła w dół? Świetnie, niech teraz użera się z nią kto inny, pomyślał ze złością. Skuterem nadal jednak telepało na boki. Coś zakłócało mu nad nim kontrolę. Rozejrzał się raz jeszcze, tym razem uważniej...

...i zobaczył ją: wisiała pod maszyną uczipiona końca sześciometrowego łańcucha, wciąż

ciągnącego się za skuterem. Owinęła go sobie wokół ramienia i najwyraźniej nie zamierzała pozwolić mu uciec. W smugach rozmytych od pędu świateł spostrzegł, że zaczyna się wspinać w górę.

Przekłęci Sithowie i ich cholerne łańcuchy!

– Starczy tego dobrego! – warknął, sięgnął po swojego needlera, ścisnął mocniej kolanami korpus skutera i puścił kierownicę. Chwytał się jedną ręką za podwozie, odwrócił za siebie i zaczął strzelać. Strzałki przecinały chmurę spalin: mijały dosłownie o włos jego gnębicielkę, która wyginała ciało, zręcznie ich unikając, a potem znikały daleko w dole.

Zaklął brzydko pod nosem. Needler nie sprawdzał się w tej sytuacji, ale nie mógł przecież zabrać ze sobą na misję zwiadowczą zwykłej broni. Jego wzrok padł na ekran... a wtedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Strzałki udarowo-falowe wybuchną kilka sekund po tym, jak opuścza lufę, kierując główną moc eksplozji w jej stronę. Była teraz blisko ogona skutera; lada chwila spróbuje się na niego wspiąć. Zmienił więc tryb broni, ustabilizował swoją pozycję...

...i wytrzeszczył z niedowierzaniem oczy, przyglądając się, jak kobieta znika w ciemnościach. Zbity z tropu, zmrużył powieki, próbując ją namierzyć w mroku... tylko po to, żeby chwilę później wypaść z siodełka, kiedy nos jego rozpędzonego skutera trafił na metalową przeszkodę: kolejna kładka! Spód pojazdu rąbnął w zewnętrzną barierkę, wprawiając w niekontrolowane salto. Niebo i kładka zawirowały przed oczami Narska, a potem zlały się w bolesną ciemność.



Cóż, Narsk przynajmniej miał do czynienia z człowiekiem. Dobrze i to. Kiedy się ocknął, zobaczył w świetle płonącego skutera, jak kobieta idzie ku niemu szeroką kładką. Była młoda, miała śniadą cerę i krótko przycięte czarne włosy; kilka niesfornych kosmyków powiewało w podmuchach wiatru. Miała na sobie beżową roboczą bluzę i ciemne płócienne spodnie, w których doskonale wtapiała się w otoczenie. W przeciwieństwie do Narska, najwyraźniej nie ucierpiała podczas wypadku. Gramoląc się na kolana, Bothanin uświadomił sobie, że dziewczyna wcale nie starała się wspiąć na skuter – musiała wcześniej zobaczyć kładkę i po prostu przygotowywała się do skoku.

Teraz szła pewnym krokiem w jego stronę, ze zdeterminowaną miną i wyłączonym mieczem świetlnym w dłoni. Próbuując wstać, Narsk wskórał tylko tyle, że padł z powrotem na kosmaty pysk. Chyba skręcił prawą nogę. Może nawet złamał?

Co gorsza, nigdzie w pobliżu nie widział swojego needlera.

Skrzywił się, ogarnięty nagłym atakiem paniki, kiedy usłyszał w górze znajome buczenie świetlnej klingi. Wczepił się szponiastymi dłońmi w podłoże, desperacko próbując uciec przed chwilą, którą los odraczał już tyle razy. Cóż, żył ze świadomością, że wciąż ryzykuje –

jak się jest wyjątkowym, nie da się uniknąć ryzyka. Wszystkie te misje, które dotąd wypełnił... każda mogła się zakończyć w ten sposób: rozbłyskiem karmazynowego światła.

Zielone... Zielonego?!

Narsk wybałuszył oczy. Miecz świetlny kobiety miał zielone ostrze!

– Jedi? – Obrócił się na bok i podniósł wzrok, żeby spojrzeć jej w oczy. Były orzechowe – otwarte szeroko, czujne, ale nie było w nich charakterystycznego dla Sithów błysku szaleństwa.

Jedi... Nie mógł uwierzyć w swój fart. Ale skąd Jedi? Tutaj?

Słyszał niedawno, że któraś z nich szwenda się po przestrzeni Sithów – ta sama, która stawiała czoło Odionowi podczas wydarzeń na Chelloi, a ostatnio spędzała Daimanowi sen z powiek. Narsk nigdy nie spotkał żadnego Jedi, ale znał ich reputację i wiedział, że powinien dziękować losowi, że zamiast Dyscyplinatorki spotkał na Darkknell członkinię Zakonu.

– To ty, mam rację? – zaczął. – Prawda? Jesteś Kerra Holt. Kobieta nie odpowiedziała, zamiast tego przyklękła przy nim i dokładnie go przeszukała. Bezbronny Narsk przyjrzał się jej uważnie. Zgadza się, rysy twarzy pasowały do hologramów, które oglądał. Oblizął nerwowo kły. Wiedział już, co robić.

– Jestem po twojej stronie – powiedział. – Ja też pragnę upadku Daimana. Ignorując jego słowa, kobieta zaczęła obmacywać jego skafander. Narsk z zaskoczeniem stwierdził (najwyraźniej Jedi też to zdziwiło), że Mark VI nie jest uszkodzony, chociaż do złocistych plam poprzylepiał się obficie kurz i pył. Holt zabrała sakwę Narska i odeszła kilka kroków, a po chwili poszukiwań wyciągnęła ze środka datapad.

Przyglądając się danym na wyświetlaczu, mruknęła:

– Pracujesz dla Lorda Odiona.

Narsk był zaskoczony. Jej głos był niski i szorstki, nie głośniejszy niż szept.

– Odiona? – odparł. – Dlaczego tak sądzisz? Może jestem wywrotowcem...

– Tu, na Darkknell, nie ma wywrotowców – stwierdziła głośnie, wyłączając datapad. – A gdyby byli, nie wykradaliiby tajemnic wojskowych. – Trzymając datapad w zasięgu wzroku Narska, wyrzuciła go w powietrze i przecięła na pół szybkim, płynnym ruchem miecza świetlnego.

Narsk prawie się zachłysnął. Cała jego praca... na marne!

– Cała praca dla Odiona – rzuciła Jedi, jakby czytała mu w myślach.

– T... tak – jęknął. Nie było sensu zaprzeczać, dotarło to już do niego; równie dobrze mógł jej wyznać całą prawdę. – Owszem, robiłem to na polecenie Odiona. Nie jestem jednak jego zwolennikiem. To po prostu praca... jak każda inna.

– Tym gorzej – uznała Kerra, patrząc na niego. – Jesteś jego pomagierem – wypluła z odrazą od której Narsk aż się wzdrygnął. Podniosła jego torbę z ziemi i cofnęła się o krok.

Bothanin z trudem dźwignął się na nogi; bolało.

– No dobra – odchrząknął. – Zniszczyłaś źródło wiedzy, które miałem przekazać

Odionowi. Wiesz jednak pewnie tak samo dobrze jak ja, jak ważne jest ograniczenie Daimanowi dostępu do tej wiedzy... i uniemożliwienie mu zbudowania statku, który zaprojektowali jego inżynierowie. Możemy to zrobić. Spójrz tylko, udowodnię ci, że... – Przykuśtykał do niej i sięgnął po swoją torbę, ale zagroziła mu drogę mieczem świetlnym.

– Nie współpracuję z Sithami – warknęła.

– Mówiłem ci już, że nie jestem Sithem – zaprotestował słabo Bothanin. Wskazał sakwę. – Zerknij do torby. Sama się przekonasz.

Kobieta wyłączyła broń i sięgnęła nieufnie do torby. Na widok jej miny, kiedy rozpoznała detonator, Narsk obnażył kły w drapieżnym uśmiechu.

– Widzisz? Mamy okazję zrobić coś, co popsuje szyki samemu Daimanowi. – Wyciągnął rękę po detonator. – Nie proszę cię o nic poza kilkoma sekundami, dzięki którym...

– Nie. – Jednym płynnym ruchem kobieta wcisnęła aktywator na urządzeniu i podniosła wzrok na Szlak Wytwórców.

Z krańca alei dobiegł głośny huk, któremu towarzyszył oślepiający rozbłysk. Dwa kilometry dalej korpus Czarnego Kła jakby zapadł się w siebie, a chwilę później spuchł i rozprysnął się na kawałki, zraszając okolicę deszczem szczątków. Metalowe odłamki rozleciały się we wszystkie strony, całkiem jakby chciały uciec przed zniszczeniem. Po fali ognia powietrze przeciął złowróżbny grom; hałas i błysk były na tyle intensywne, że wyciągnęły z łóżek chyba wszystkich mieszkańców Xakrei.

Zdjęty nagłą grozą, Narsk podniósł posiniaczone ramię do pyska. Musieli znów podłączyć wirówkę, pomyślał gorączkowo. W pełni uzbrojony i zatankowany Convergence wybuchł, rozrzucając spiralnie swoje szczątki po okolicy. Zanim podłożył ładunki, Narsk brał pod uwagę taką możliwość, ale cały czas zakładał, że kiedy wywoła eksplozję, będzie już daleko od Darkknell, na frachtowcu opuszczającym planetę – a już na pewno nie gapiąc się z otwartą paszczą na wybuch u boku jakiejś wariatki Jedi.

– Ty idiotko! – krzyknął. – Masz w ogóle pojęcie, co właśnie zrobiłaś?

Po ustach przyglądającej się spektakularnemu widowisku kobiety błąkał się błądy uśmiezek.

– Tak.

Narsk przygarbił się, jakby nagle opadł z sił. Spojrzał na place na obu krańcach kładki. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać służb, ale Bothanin wiedział, że zjawią się już niedługo. Mimo to Jedi wydawała się zadowolona z siebie.

Co za kretynka! – jęknął w myśli. Nic dziwnego, że Sithowie przepędzili Jedi aż na Zewnętrzne Rubieże.

– Czy o to ci właśnie chodziło? – warknęła do niej. – Skończyłaś już?

– Nie – burknęła, zapalając znów swój miecz i machając klingą w jego stronę. – Wyskakuj z ciuchów.



Kobieta złożyła schludnie Mark VI i wsunęła skafander do torby Narska – chociaż ani kombinezon, ani torba nie wyglądały już ani trochę schludnie, upaprane i cuchnące farbą.

– Naprawdę nieźle to uświwiłeś – mruknęła. – Czy to cholerstwo się w ogóle spiera?

– Nie mam pojęcia – odburknął Narsk. Nie przejmował się już kombinezonem. Zaalarmowane służby spieszyły już w śmigaczach na miejsce wybuchu – do czarnego krateru, w który zamieniło się centrum badawcze – a Narsk siedział jak go Moc stworzyła, w samych szortach, w koszu na śmieci w mrocznym kącie placu. Kobieta zapędziła go tu, zabrała mu skafander i skrępowała nadgarstki.

Cóż, był w kiepskim położeniu, zważywszy, że wkrótce mogli mu się zwalić na głowę Sithowie.

– Jak mogłeś tak postąpić? – spytał z pretensją i oburzeniem. – Wiesz, co mi zrobią, jeśli mnie złapią?! – Widząc, że przymierza się do zamknięcia klapy, wpadł w panikę: – Nie rób tego! – błagał i złościł się na przemian. – Nie wolno ci! Czy Jedi nie powinni grać fair i zachowywać się przyzwoicie? Jesteś przecież Jedi, nie?

Kobieta zamarła i spojrzała na niego.

– O co ci chodzi? – spytała, poirytowana. – Przecież go nie zatrzasuję. – Pokrywa kosza zamknęła się nad nim z hukiem.

ROZDZIAŁ 2

– Zarządzam świt. – Po słowach Daimana słońce posłusznie wzeszło. – Zarządzam świt, tu i teraz, tak jak zarządziłem go, stojąc w wodach mroku, dawno temu. – Niesiony ulicami Xakrei głos rozbrzmiewał coraz donośniej, wzywając pracowników dziennej zmiany, aby wyruszyli do pracy. Ich wspaniałomyślny monarcha przygotował dla nich kolejny dzień.

Mierzący siedemdziesiąt metrów wizerunek Daimana omiół wzrokiem swoje dzieło i się uśmiechnął. W chwili, gdy pierwsze promienie Knel'char I zamigotały na kopułach i wieżowcach miasta, gigantyczny hologram rozpostarł ręce. Efekt pracy sześćdziesięciu czterech holoprojektorów i jednocześnie największe pojedyncze (a niebędące obiektem militarnym) źródło zużycia energii na Darkknell, migoczący obraz oddawał wygląd władcy planety w najdrobniejszych szczegółach. Spod krótko przystrzyżonych, złocistych włosów na mieszkańców miasta spoglądały pewne siebie, przenikliwe oczy – jedno niebieskie, drugie bursztynowe, całkiem jak bliźniacze gwiazdy układu. Uwagę przykuwały też przymocowane do palców prawej dłoni, metalicznie lśniące szpony. Specjaliści od wizerunku odwalili kawał naprawdę dobrej roboty. Podstawę hologramu otaczało siedem marmurowych posągów, przedstawiających proces dojścia Daimana do władzy i zaszczytów. Każda z potężnych, a jednak mikrych w porównaniu z górującym nad nimi olbrzymem kamiennych figur spoglądała na jedną z głównych tras Xakrei, odchodzących od centralnego placu. „Powstanie Daimana” zwracało się w stronę Niebiańskiej Drogi i położonego wiele kilometrów dalej pałacu. Daiman na Chelloi triumfalnie zerkał na Drogę Górniczą przy której mieściło się wiele zakładów przetwórczych Darkknell. Głos Daimana zdawał się wydobywać z ust wszystkich posągów, jakby przemawiały wszystkie naraz:

– Postanowiłem, że słońce będzie dziś świecić przez dwadzieścia trzy godziny, po których nastąpi dziewięć godzin nocy. Ofiarowuję wam ciepło lata i światło z niebios.

Kerra Holt była pod wrażeniem. Uznała, że całość mogłaby być bardziej widowiskowa tylko w przypadku, gdyby spory kawałek sąsiedztwa Czarnego Kła nie stał akurat w płomieniach, kiedy hologram przemawiał.

Wracając do domu z kapturem naciągniętym głęboko na głowę, przemykała ukradkiem od jednej bramy do drugiej. Wiedziała, że dopuszczenie, aby pościg za Bothaninem zaprowadził ją tak daleko w głąb Szlaku Wytwórców, było błędem. Żeby wrócić do siebie, będzie musiała przejść obok Czarnego Kła. To, co kiedyś było koślawą piramidą teraz stanowiło rumowisko stopionych rusztowań; na wielu poziomach wciąż szalały pożary.

– Moje kosmiczne oczy są dziś zwrócone na lud zamieszkujący regiony południowe, ale wiedzcie, że jestem z wami cały czas – mówił dalej Wielki Daiman. – Jesteście Obarczeni Brzemieniem. Jesteście ramionami mojego stworzenia, przedłużeniem mojej woli. Znacie swoją powinność. – Na ile Kerra zdołała się zorientować, ta powinność ograniczała się obecnie do biegania w kółko i krzyczenia na Mocych ducha winnych przechodniów. A przynajmniej tym właśnie zajmowali się w tej chwili strażnicy Daimana. Na ogół srodzy i nieprzyjaźnie nastawieni, teraz przemierzali gorączkowo plac tam i z powrotem, niepewni, co robić bez wskazówek ich boskiego pana. – Nigdy nie zapominajcie, że moją wolą jest, aby... – ciągnął Daiman-gigant.

Nikt nie usłyszał jednak, jaka jest ta wola, bo płonące centrum badawcze wybrało akurat ten moment, żeby runąć pod własnym ciężarem z ogłuszającym hukiem. Zanim istoty w jego pobliżu zdołały ochłonąć – i odzyskać utracony na chwilę słuch – głośniki na terenie Xakrei zamilkły.

Cóż, to nieistotne – i tak słyszeli to już wcześniej niezliczoną ilość razy. Kerra słuchała tej czczej gadki każdego ranka w drodze do pracy w zakładach produkcji amunicji, zanim została przeniesiona na późniejszą zmianę. Na wszystkich świątach Daimanatu słuchacze byli zapewniani, że ich pan i władca kontroluje wszystko, co się dzieje w jego włościach.

Kerra pomyślała z przekąsem, że nie byłoby tego wcale tacy pewni, gdyby pojawili się tego ranka na placu. Jeden ze zbirów Daimana płonął właśnie żywym ogniem. Kerra знаła go z widzenia. Siał postrach w jej sąsiedztwie, odkąd tam mieszkała; teraz potężny strażnik zataczał się, krzycząc z bólu. Zamarła na chwilę, niepewna, co robić. Złoczyńca czy nie, to jednak cierpiał...

Zeszła na ulicę tylko po to, żeby odepchnęła ją na bok trójka kompanów wijącego się w mękach strażnika. Przypomniawszy sobie o konieczności zachowania tajemnicy, odetchnęła głęboko, ciesząc się w duchu, że znalazł się ktoś, kto pomoże nieszczęśnikowi.

Po chwili przekonała się jednak, że jej nadzieje były próżne: po prostu go zastrzelili. Na widok padającego u stóp niedoszłych wybawicieli ciała, Kerra przewróciła oczami i wycofała się w boczną alejkę. Przestrzeń Sithów okazała się wszędzie taka sama: było to miejsce przesiąknięte przemocą i niemal kompletnie pozbawione współczucia czy skruchy. Nigdy tego nie pojmie. Cóż, nie musi wcale tego rozumieć, żeby wygrać walkę, którą toczyła.

A teraz miała skafander maskujący.



Pęknięte okno podniosło się w górę. Niebawem ostrożnie Kerra wśliznęła się do lokum, które zajmowała od kilku tygodni. Jedynymi elementami wyposażenia wnętrza było kilka zwiniętych koców, worek z jej rzeczami i przenośna lampa, którą dzieliła z młodocianą wnuczką Guba Tenga. Sądząc po stercie skotłowanych koców w kącie pomieszczenia, Tan

wybyła gdzieś z samego rana. Pokój był znacznie mniejszy niż kwatery w Akademii Jedi – czyli w miejscu, w którym uczniowie uczyli się żyć bez dóbr osobistych – jednak tutaj, na Darkknell, ta przestrzeń musiała wystarczyć dwóm osobom.

Stawiając na podłodze torbę Bothanina, Kerra zajrzała przez drzwi do głównej izby. Stary Sullustanin był u siebie – spał na krześle przy biurku zawalonym stertą dokumentów. Zwisająca dłoń drgała mu spazmatycznie, jakby jej palce zaciskały się wciąż na niewidzialnym piórze.

Kerra weszła po cichu do pokoju, zgasiła lampkę i odsunęła krzesło od stołu. Po podłodze rozsypały się arkusze flimsiplastu i dziewczyna skrzywiła się ponuro. Cała ta praca, którą wykonywał Gub, nie miała sensu. To naprawdę czyste szaleństwo. I nie tyle to, co robił, ale ilość roboty, którą zrzucono na jego barki. Na innych światach, tych o dłuższych cyklach dziennych, istoty przywykłe do doby o standardowej długości były traktowane ulgowo, ale nie tutaj – nie w królestwie Daimana. Lord Sithów postrzegał trzydziestodwugodzinny dzień jako szansę na wydłużenie czasu pracy.

Wycofawszy się do swojego pokoju, Kerra zawiesiła w wejściu sfatygowaną płachtę, która służyła jako drzwi, i sięgnęła po upačkaną na złoto torbę. Chociaż był naszpikowany licznymi systemami elektronicznymi, skafander dało się całkiem ładnie złożyć. Metka wszyta w jeden ze szwów głosiła: „Cyricept”.

Kerra opuściła przestrzeń Republiki nie tak znów dawno, ale jakimś cudem widok czegoś tak zwyczajnego, jak znajoma nazwa sieci wydawał się... odświeżający – a także podnoszący na duchu. W miarę, jak Sithowie zagarniali coraz większe przestrzenie Zewnętrznych Rubieży, różne przedsiębiorstwa próbowały się układać z nowymi władzami – czego później zazwyczaj gorzko żałowały. Im ważniejsza dla bezpieczeństwa Republiki była dana spółka, tym bardziej Ministerstwo Obrony przypochlebiało się jej i kibicowało relokacji. Jednak Cyricept cały czas prowadził swoje operacje z dala od granic – nie proszono firmy o przyłączenie się ani o przysługi. Może działo się tak dlatego, że cały ich system, bazujący na zachowaniu tajnego profilu, wymuszał trzymanie się z dala od kłopotów? Tak czy inaczej, Kerrę ucieszył widok skafandra ich produkcji – nawet pomimo jego opłakanego stanu. Jej wspomnienia z Republiki ograniczały się do ubrań, które nosiła, i do miecza świetlnego.

Prawdę powiedziawszy, nikt nigdy nie przypuszczał, że do tego dojdzie. Wyprawa Mistrza Jedi Vannara Treece'a miała być zaplanowanym w najdrobniejszych szczegółach atakiem – krótkim i sprawnie przeprowadzonym. Stanowiący wzór dla wielu, Treece prowadził kilkakrotnie ochotnicze misje w przestrzeni Sithów, biorąc na siebie obowiązki, przed wypełnianiem których wzdragał się Zakon Jedi. Sithowie na obrzeżach urosli w siłę tak bardzo, że Republika (i tak już osłabiona przez candoriańską plagę) w dużej mierze zamykała się na wszystko i wszystkich poza wewnętrznym kordonem bezpieczeństwa – dezaktywowała nawet stacje przekaźników, umożliwiających komunikację z ościennymi regionami. Tyle przestrzeni kosmicznej pozostawionej samopas...

Rząd Republiki ani Zakon Jedi nie mieli nic przeciwko wyprawom Treece'a. Wszyscy wiedzieli, że są one potrzebne. Jednak kobieta, która zawiadywała obydwoma organami – kanclerz Gennara – wiedziała doskonale, że jej bojaźliwy lud nie będzie tolerował wysyłania dużych grup Rycerzy Jedi do ataku, kiedy byli potrzebni tutaj, aby bronić ich domów. Treece znalazł mądry sposób, żeby to obejść. Każdego standardowego roku Rycerze Jedi spędzali trzy miesiące na patrolach i dziewięć miesięcy na froncie. Między tymi dwoma obowiązkami mieli jednak szesnaście dni wolnych – i nie zmieniło się to nawet wtedy, kiedy teren Republiki się skurczył. Wtedy, tak samo jak w czasach pokoju, ustalenia dotyczące podróży pozostawały w gestii poszczególnych Rycerzy.

To zaś dało Treece'owi wolną rękę do działania. Ochotników pośród Jedi było tak wielu, że praktycznie w każdej chwili Treece mógł swobodnie zebrać zespół i zwołać go do konkretnego punktu. Stamtąd wyruszali na szybkie, kilkudniowe patrole – podczas których nie dochodziło zazwyczaj do wypadków – a potem wracali do swoich obowiązków.

Wyniki tych wypadów najczęściej zyskiwały uznanie pani kanclerz. Podnosiły tanim kosztem morale, tym bardziej że statki i zaopatrzenie pochodziły ze źródeł prywatnych. Były przyjmowane znacznie lepiej niż dokonania Rycerza Jedi Revana, który kilkaset lat wcześniej prowadził samowolną krucjatę przeciwko Mandalorianom. Jednak teraz, pomyślała refleksyjnie Kerra, było inaczej.

Sithowie to czyste zło, podczas gdy Mandalorianie byli – cóż, po prostu trudni we współzyciu.

Pojawiały się, oczywiście, problemy natury logistycznej, jednak w tej dziedzinie Vannar Treece mógł polegać bez reszty na Kerrze. Vannar – zawsze myślała o nim po imieniu – uratował ją na Aquilarisie wiele lat wcześniej, tuż po tym, jak rajaska planeta wpadła w ręce wojsk przyszłego Lorda Odiona. Wyczuwając w dziewczynie potencjał Mocy, a także kielkującą chęć sprzeciwu wobec Sithów, Vannar został jej kuratorem i mentorem. Straciła co prawda rodzinę, ale w zamian zyskała cel, o który mogła walczyć.

Kerra od zawsze zastanawiała się, dlaczego Vannar zlecił jej to zadanie. Czy sądził, że będzie to dla niej także coś w rodzaju terapii? Teraz zresztą i tak nie miało to znaczenia, bo rzeczywiście zadziałało jak terapia. W wieku dwunastu lat Holt koordynowała przydziały dla wypraw ochotników. Jako trzynastolatka, pomagała im zbierać fundusze, a przez ostatnie trzy lata była odpowiedzialna za wyposażenie każdej z grup. Do jej obowiązków należało upewnienie się, że na pokładzie statków jest pod dostatkiem wszystkiego – od ogniw do blasterów po pakiety medyczne. W krótkim czasie nauczyła się wszystkiego, co było konieczne do prowadzenia ochotniczej organizacji paramilitarnej – a wszystko to w czasie, kiedy szlifowała swoje zdolności jako Jedi, aby w końcu zostać Rycerzem.

Była naprawdę zapracowaną nastolatką.

Mimo to nigdy nie wzięła udziału w żadnej z wypraw osobiście. Vannar zabronił jej tego, kiedy jeszcze była jego padawaną. Powrót do przestrzeni Sithów byłby dla niej zbyt silnym

przeżyciem, zbyt trudną misją – i Vannar doskonale o tym wiedział. I tak oto przez całe lata pośredniczyła między nim a jego sprzymierzeńcami, znajdując pewne pocieszenie w świadomości, że choć w niewielkim stopniu przyczynia się do poprawy sytuacji ludzi, których opuściła.

Została Rycerzem Jedi w przededniu swoich osiemnastych urodzin. Vannar wciąż nie pozwalał jej brać udziału w misjach, jednak wszystko się zmieniło wraz z alarmującą informacją jaka nadeszła z przestrzeni Sithów. Vannar wezwał wtedy wszystkich Jedi, którzy akurat nie mieli przydziału, i wysłał ich bezzwłocznie na niezwykle ważną misję. Kerra także nie miała wówczas co robić... i okazało się, że ma to kluczowe znaczenie dla wyniku czekającego ich zadania.

Takie urozmaicenie jak akcja w terenie uznała za zajęcie niezwykle ekscytujące – wszystkie te tygodnie spędzone na pracy, dzięki której inni mogli atakować Sithów, nabrały teraz nowego, odmiennego znaczenia. Teraz to ona była bronią i wreszcie mogła działać w miejscach, do których nie mogła wcześniej nawet się zbliżyć.

Przygotowywała się do tej misji ze zdwojoną energią; z Vannarem i innymi ochotnikami u boku miała wszystko, czego potrzebowała.

Dziś, na Darkknell, także ich potrzebowała... ale oni odeszli. Na zawsze.

Misja na Chelloi okazała się kompletną porażką. Wszyscy zginęli. Wszyscy. I to wcale nie z rąk siepaczy Daimana. Zespół Vannara został zwabiony w pułapkę w samym środku chaosu i szaleństwa, czyli w przestrzeni Sithów. A że bywali w tych okolicach tylko sporadycznie, nie mieli dostatecznej wiedzy na ten temat. Vannar miał co prawda przewagę zaskoczenia – jego Rycerze Jedi pojawiali się szybko, a potem równie szybko (i bezpiecznie) znikali. Zapomniał jednak, że jego także można zaskoczyć.

Przeżyła tylko Kerra – pozbawiona broni, leków i zaopatrzenia, które wcześniej z takim poświęceniem dostarczała innym. Cała reszta zniknęła w morzu ognia wraz ze statkiem, którym przylecieli. Kerra nie знаła nawet drogi powrotnej do domu. Pamiętała trasę nadprzestrzenną którą dotarli na terytorium Daimana, ale kończyła się ona na planecie, na którą się wybierali – miejsce to strzeżone było teraz tak pilnie, że nie mogłaby nigdy do niego dotrzeć.

Po tej tragedii ona także miała ochotę zakończyć swoją podróż. Tutejsi mieszkańcy żyli w ciągłym strachu i rozpacz, a spotkanie zarówno z Daimanem, jak i Odionem utwierdziło ją w przekonaniu, że nie ma szans na poprawę sytuacji. Śmierć byłaby lepsza niż jałowa vegetacja w takich warunkach – także dla Jedi. Uznała wtedy, że najlepiej będzie zginąć w walce.

Zmieniła zdanie, kiedy okazało się, że znalazła tu przyjaciół – w tym jedną zaskakująco bezinteresowną osobę.

„Na nic się nam nie przydasz martwa”, powtarzał jej zawsze Vannar. To dotyczyło także istot żyjących pod jarzmem Sithów. Jej śmierć niczego nie zmieni. Samobójstwo – albo skazanie się na śmierć z ręki Sitha – nie było rozwiązaniem. Musiała żyć.

W jakiś dziwny sposób zmiana poglądów Kerry okazała się podobna do kolejnej wyprawy Vannara Treece'a. Ugodziła w ciemność, która spowijała jej duszę, i dała jej nadzieję. I nie chodziło tu o pokonanie Sithów, tylko o pomaganie ludziom. Walka z Sithami była z pewnością jednym ze sposobów – choć nie jedynym – w jaki mogła pomóc uciśnionym. Owszem, ludzie potrzebowali śmiałych, dramatycznych aktów odwagi, takich jak działania Vannara, ale potrzebowali też czegoś więcej niż samych wzniosłych gestów. Potrzebowali rzeczy, które natychmiast przyniosłyby im ulgę – to byłoby trudne zadanie dla całego zespołu Jedi, a co dopiero dla jednej, samotnej Rycerz Jedi. Kerra musiała znaleźć sposoby działania, a to wymagało planu.

Planowanie zaś było tym, w czym była naprawdę dobra.

Znalazła się w świecie Daimana, a więc to on stał się jej pierwszym celem. Odionem gardziła jeszcze mocniej, ale właśnie dlatego do końca nie ufała swojemu osądowi. Gniew na przedwczesne i brutalne zakończenie dzieciństwa już raz zwiódł ją na manowce. Daiman był młodszy i chociaż słabszy fizycznie niż jego złowrogi brat, na swój sposób stanowił takie samo zagrożenie jak on.

Empatia była uczuciem całkowicie Daimanowi obcym. W Akademii Jedi Kerra badała teorię solipsyzmu w naukach Sithów – nie zgłębiał jej dotąd nikt poza Darthem Ruinem, wiele lat temu. Filozofia Sithów opierała się na gloryfikacji samych siebie i konieczności panowania nad innymi jednostkami, a młody władca Darkknell wziął to sobie głęboko do serca: posunął się do najdalszych granic, głosząc, że cały wszechświat był swego rodzaju grą stworzoną przez... kogo? Ano, przez jakąś inną, wyższą wersję jego samego, która wysłała śmiertelną powłokę Daimana przeciwko sztucznym przeszkodom, stworzonym także przez niego – takim jak na przykład fizyka czy wredne rodzeństwo. Imperium Daimana było owocem pracy innych, ale ci inni nie liczyli się dla niego – byli niczym.

Pasożyta należało oderwać od żywiciela. Najpierw jednak trzeba powstrzymać go od rozprzestrzeniania się.

Kerra znalazła sobie dobrą pracę w fabryce uzbrojenia, służącego Daimanowi zarówno do prowadzenia wojen, jak i gnębienia ludzi na licznych światach. To było lepsze niż bezpośredni atak. Nawet gdyby jakimś cudem znalazła sposób na zadanie decydującego ciosu, wciąż martwiła się, że Odion – albo inny oportunistyczny sąsiad – mógł zająć terytorium Daimana, zadając cierpienie jeszcze większej liczbie osób. Lepiej było sprawić, żeby system Daimana zgnił od wewnątrz. Trzeba pozostawić jego kompanom iluzję potęgi, będącą w rzeczywistości pustą skorupą. Miała nadzieję, że do czasu, kiedy reżim upadnie, większość cywili będzie już bezpieczna.

Już w ciągu kilku tygodni od śmierci jej Mistrza na Chelloi Kerra zaatakowała fabryki broni na kilku światach. W paru przypadkach udało jej się uwolnić zatrudnionych w nich niewolników i ich rodziny, ale w miarę jak zbliżała się do królestwa Daimana, coraz trudniej było jej tego dokonywać. W metropolii nie było dżungli, do której mogliby uciec uwolnieni

tubylcy. Mimo to ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że to Darkknell jest jej prawdziwym celem. Sabotując militarne badania Daimana, mogła jednocześnie zatrzymać fabryki na kilkunastu światach.

Przybyła tu tak samo jak na poprzednie planety – udając pracownicę w delegacji. Co prawda, kiepsko jej to wychodziło – przybieranie fałszywych tożsamości nie było mocną stroną Kerry. Perswazja, mesmeryzm, zmyłki – to wszystko były sztuczki, odpowiednie dla Jedi, który nie miał okazji wypracować sobie biegłości w walce mieczem świetlnym czy blasterem. Na pewno nie dla tak utalentowanej wojowniczkii jak Kerra. Vannar korzystał z tych sposobów tylko po to, aby osiągnąć przewagę zaskoczenia; Kerrze z trudem przychodziło maskowanie się na co dzień. Nie miała jednak wyboru. Daiman mógł sobie wątpić w jej zdrowe zmysły, ale wiedział, że była częścią większej gry, którą sam stworzył – a jego wrażliwi na Moc Dyscyplinatoryzy byli w stanie wyczuć jej obecność. Musiała się cały czas pilnować.

Kilka dni temu, kiedy sama obserwowała Czarny Kieł, namierzyła tego Bothanina. Szpieg był dobry w tym, co robił, ale chciał sobie zbyt łatwo ułatwić pracę, wybierając ten sam pobliski dach co ona, żeby włożyć skafander maskujący. Zaczekała po prostu na odpowiednią okazję. Wysadzenie w powietrze budynku było świetną premią zwłaszcza, że nastąpiło to w porze, kiedy wewnątrz byli tylko wierni słudzy Daimana. Było jej prawie przykro zostawiać Bothanina na pastwę losu, ale wiedziała, że żaden sprzymierzeniec Odiona nie mógłby zostać jej sojusznikiem. Odion był nie tylko brutalny, ale i nudny. Nic dziwnego, że połowa jego wyznawców miała skłonności samobójcze.

Kerra poskrobała paznokciem materiał skafandra maskującego. Jego powierzchnię przecinały cieniutkie, lekko wypukłe linie, tworząc niezliczone zagłębienia, odpowiadające za zakłócanie fal. Prążkowany materiał w większości pokrywała złota farba. Wiedziała, że trudno będzie ją sprać. Po zniszczeniu swojego głównego centrum badawczego Daiman na pewno podwoi czujność, co sprawi, że realizacja kolejnego etapu jej planu będzie niemożliwa bez odpowiedniego sprzętu, skafander jednak nie zapewni jej należytej ochrony bez porządnego czyszczenia.

Przewróciła go na lewą stronę. Była tam co prawda metka producenta, ale bez instrukcji prania. To by było zbyt proste, pomyślała. Raczej nie mogła sobie pozwolić na skontaktowanie się z wytwórcą. Może powinna poprosić o to kogoś z pracy, w zamian...

– Co robisz?

Na dźwięk głosu swojego gospodarza Kerra szybko przytuliła skafander do piersi.

– Ja tylko... chciałam zrobić pranie – bąknęła, składając pospiesznie kombinezon i rzucając go na posłanie obok koców. Kiedy odwróciła się w stronę drzwi, zobaczyła stojącego w nich Guba; przytrzymał wiszącą w przejściu zasłonkę. To by było na tyle, jeśli chodzi o prywatność, westchnęła w duchu. – Mogę w czymś pomóc?

– Przekazano mi wiadomość dla ciebie – wychrypiął Gub. Jego głos był szorstki i

chrapliwy niczym spieczona ziemia, której przez lata skąpiono wody. – Ale moja wnuczka powiedziała mi, że cię nie ma... – Zmarszczył czoło w gniewnym grymasie.

– Że wyszłaś.

Wymówił to słowo, jakbym popełniła jakieś przestępstwo, pomyślała Kerra. Cóż, może i tak właśnie było.

– Zostałam... wezwana na widmозmianę – wykrztusiła. Właśnie tak nazywali nocną zmianę w zakładzie zaopatrzeniowym. Podczas ostrego przesilenia zimowego na Darkknell była to najbardziej ponura część dwudziestoczworogodzinnej nocy. – Musiałam wyjść.

– Kłamiesz! – Gub szarpnął zasłonę, zrywając ją z framugi. Materiał upadł na durabetonową podłogę.

Kerra cofnęła się, porażona furią małej istoty, całkiem jakby stał przed nią sam Lord Sithów. Odkąd zaoferowała mu swoje usługi jako guwernantka jego wnuczki, w zamian za dach nad głową i strawę, już kilka razy zdarzyło im się poróżnić. Tym razem postanowiła nie dać się wyprowadzić z równowagi.

– Czyżby? – spytała wreszcie.

– Właśnie tak – powiedział, mierząc ją surowym wzrokiem. Przyklęknął i schylił się po zasłonkę. – Wiem, że to prawda, młoda kobieto, bo ta wiadomość była od kogoś z twojej pracy... od kogoś na tej widmозmianie, na którą niby miałaś pójść. Gdyby było tak jak mówisz, nie spotkałbym cię teraz tutaj.

Kerra westchnęła. Daiman nie zezwalał swoim niewolnikom na korzystanie z urządzeń komunikacyjnych; wszystkie sprawy załatwiano przez posłańców – nawet jeśli to oznaczało obniżenie produktywności i opóźnienia w doręczaniu wiadomości. Szanse, że ktoś się pojawi, w czasie gdy ona wypełniała swoje tajne misje, były niewielkie, ale najwyraźniej tym razem miała pecha. Musiała ostrożnie dobierać słowa. Nie chciała korzystać z Mocy, żeby wpłynąć na Guba – nie w sytuacji, kiedy pozwolił jej mieszkać u siebie. Konsekwentnie starała się używać jej najrzadziej, jak się dało, żeby nie zwrócić na siebie uwagi Dyscyplinatorów. Nie miała jednak pojęcia, jak inaczej mogłaby postąpić w tej sytuacji.

– To nie pierwszy raz! – gderał Gub, składając zasłonkę i przewieszając ją sobie przez ramię. – Śpicie z Tan w tym samym pokoju. Ona wie, że wychodzisz w nocy. Gówniara cię dotąd kryła...

– Panie Tengo, proszę nie obwiniać...

– Ubzdurała sobie, że wykradasz się na jakieś romantyczne schadzki! – ciągnął Sullustanin, nie zwracając na nią uwagi. – Nie mieści mi się to w głowie. Po co sprowadzać na ten świat nowych ludzi?

Kerra wstała i przywołała na policzki rumieniec. Cóż, zawsze to jakieś wyjście, pomyślała.

– P...przykro mi – wydukała. – To się już więcej nie powtórzy. Gub wyprostował się na swoich uwięzionych w szynach nóżkach.

Spojrzał na Kerrę i westchnął ostentacyjnie.

– Cóż, wszystkich nas czeka mamy los. Teraz idź na swoją zmianę, a po powrocie masz się zająć lekcjami z Tan, tak jak powinnaś, kiedy wróci do domu z pracy. – Dwunastoletnia Tan pracowała tylko osiem godzin dziennie. – i nie zapominaj o mnie! Będę musiał sam sobie zrobić śniadanie! – Sullustanin wykuśtykał z pokoju, zabierając ze sobą jej drzwi.

Kerra klapnęła z powrotem na swój siennik i potarła ze znużeniem skronie. Coraz większe szaleństwo. Kręcąc z niedowierzaniem głową spojrzała na swoją torbę i przełknęła głośno ślinę. W półmroku lśniła wystająca z niej rękojeść miecza świetlnego. Nie wsunęła go porządnie do środka. Poprawiła to, a potem ze złości raz i drugi uderzyła w torbę pięścią.

Jeszcze jeden dzień bez snu. Jeszcze jeden dzień w ukryciu. I pewnie jeszcze wiele takich dni minie, zanim zdoła dokonać czegoś, co naprawdę pomiesza Daimanowi szyki. Całkiem możliwe, że przy takim tempie długo nie pociągnie.

„Zgadniesz, jakich zdolności użyć, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila i będziesz ich potrzebowała”, mawiał Vannar. Cóż, chyba miał rację. Kerra martwiła się jednak, że nie miała zdolności ani za kredyty.

Tak samo jak cierpliwości.

ROZDZIAŁ 3

– Rozumie pan, dlaczego to robimy, brygadierze Rusher? – spytał administrator fabryki. – Jesteśmy lojalnymi Daimanitami, do szpiku kości, i dlatego chcemy mieć pewność, że służymy jego lordowskiej mości najlepiej, jak umiemy.

Rudowłosa mężczyzna w holu zakołysał się w przód i w tył na obcasach swoich wypolerowanych oficerek.

– Tak jest!

Administrator Lubboon zapatrzył się w okno apartamentu, za którym nad miastem wisiała chmura gęstego dymu.

– Nadzorowałem produkcję plastali tu, na Darkknell, w zakładach Plasteelworks od czasów panowania Lorda Chagrasa... czy raczej wspomnień o tym okresie, które zostały mi podarowane przez Lorda Daimana, oczywiście. Jestem pierwszym Durosjaninem, który pełni tę funkcję. I nigdy się nie wałkonilem. Nigdy. Daiman stworzył Obarczonych Brzemieniem, aby mu służyli... i zaprawdę, służymy mu. – Wysoka, zielonoskóra istota odwróciła się od okna i wskazała szerokim gestem meble w apartamencie. – Tak, mieszkam lepiej niż większość na tej planecie, ale nie robi mi różnicy, czy mój syn został stworzony do pracy na mojej linii produkcyjnej, czy do służby na froncie. Wiem, po co istniejemy.

– Ależ oczywiście. – Brygadier Jarrow Rusher omiół wzrokiem ściany i uśmiechnął się pod nosem. Na terytorium każdego z Lordów Sithów historia wyglądała inaczej, ale zapomniał już, jakim dziwnym typem był Daiman, który utrzymywał, że całe stworzenie było wytworem jego spaczonego umysłu. Rusher miał bliźny starsze od liczącego sobie dwadzieścia pięć lat Daimana, ale nie miało to znaczenia – wszystko wskazywało na to, że były wyimaginowane. Czyżby wszystkie te płonące budynki, odkąd tu wylądowałem, także były urojeniem? – pomyślał z ponurym rozbawieniem.

– Wiemy jednak, że nasze dziecko ma talent – ciągnął Lubboon; podszedł do kanapy i położył swojej żonie dłoń na ramieniu. – A to oznacza... to musi oznaczać, że jego lordowska mość przewidział dla niego stanowisko pod pańskimi rozkazami. W innym wypadku byłoby to czystym marnotrawstwem. – Spojrzał na niego badawczo. – Zgadza się pan ze mną, generale?

– Och, oczywiście. – Odwracając się w stronę pary rodziców, Rusher przemówił swoim najbardziej przekonującym głosem: – To właśnie dlatego chcemy widzieć pańskiego syna w Brygadzie Rushera, panie Lubboon. Nie ma lepszego miejsca dla kogoś, kto musi odnaleźć

swój potencjał. – Obciągnął dyskretnie klapę płaszcza, tak aby srebrne odznaki na piersi zalśniły w ciepłym świetle lamp. Zauważył, że Durosianie przynieśli dziś ze sobą dodatkowe luminy. Światło było na Darkknell dobrem skrupulatnie wydzielanym – jak wszystko inne, nawet dla tych wysoko postawionych i zamożnych.

– Naprawdę zależy nam na tym, żeby nasz syn trafił w miejsce, które będzie dla niego wyzwaniem – oznajmiła sztywna, oschła Durosjanka, przyciskając zielone palce do zielonych policzków. – Poza planetą.

Obracając w palcach miedzianą gałkę swojej drewnianej laseczki, Rusher uśmiechnął się pod nosem. A więc doszli już do tego...

– Oczywiście – zgodził się. – A więc pewnie chcielibyście państwo wiedzieć, czy wyprawa z nami jest bezpieczna? – Odwrócił się w stronę dzbanka kafu, ustawionego na wózku obok niego. – Cóż, nie zamierzam państwa okłamywać – powiedział, nalewając sobie naparu. – Trwa wojna, a na wojnie zdarzają się różne rzeczy. Jeśli jednak trzeba uczestniczyć w walce, proszę pani, to nie ma lepszego miejsca niż w pobliżu dział laserowych. – Brygadier rozwodził się przez jakiś czas nad jakością ich uzbrojenia, kreśląc w powietrzu sugestywne obrazy urękawiczoną dłonią. Znał rekrutujących, którzy przedstawiali na spotkaniach prezentacje holograficzne, ale on nigdy nie uznawał tego za konieczne. Kiedy ludzie w przestrzeni Sithów widzieli energicznego mężczyznę w sile wieku, z pełnym kompletem kończyn, dowodzącego jednostką wojskową wyciągali automatycznie wnioski o jego kompetencjach – albo o szczęściu. A jeśli to zawiodło, miał zawsze na podorędziu większe działo do wytoczenia. Teraz nadszedł odpowiedni czas, aby go użyć. – Co więcej – dodał znacząco – liczba przypadków śmiertelnych na naszym pokładzie jest równa zeru. Nikt nie zginął w drodze na front. Nikt – dodał dobitnie. Podniósł kubek do ust i celowo zwlekał chwilę, zanim podjął: – A to dlatego, że na naszym pokładzie nie ma Sithów.

Lubboonowie wpatrywali się w niego przez moment w milczeniu.

– Żadnych?

– Żadnych adeptów, żadnych wyznawców, żadnych poruczników, żadnych żołnierzy. Jesteśmy specjalistami, panie administratorze. Niezależne oddziały, takie jak nasz, są spoiwem, które wiąże w całość cały system militarny jego lordowskiej mości.

Małżonkowie popatrzyli po sobie wyłupiastymi oczami, po czym zwrócili się w jego stronę.

– Nigdy wcześniej o tym nie słyszeliśmy. Żadnych Sithów? Naprawdę?

Rusher upił łyk parującej cieczy. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest całkiem niezła.

– Proszę mnie posłuchać: zawiaduje pan fabryką na Darkknell, zgadza się?

Jestem pewien, że ma pan nad sobą władze Daimanatu, zaglądale panu nieustannie przez ramię, żeby upewnić się o postępach, sprawdzać jakość i tak dalej, i tak dalej. Nie da się inaczej, a ja doskonale o tym wiem. – Machnął ręką w kierunku portu kosmicznego. – Ale działo Kelligdyd 5000 to naprawdę kawał niezłej broni. Dostarczenie takich cacek na pole

bitwy, uzbrojenie ich i obsługa wymaga pracy wielu oddziałów specjalistów. – Odstawił kubek i oparł obie dłonie na gałce laski. – Jeden źle zamocowany trzpień, jedna źle podłączona złączka i mamy siedemnaście ton złomu, zawalającego drogę. Dlatego sami nadzorujemy jakość własnych działań. Gdybyśmy czegoś nie dopatrzyli, byłby to nasz koniec. – Postukał laską o podłogę dla podkreślenia wagi własnych słów.

– Ach, tak?

Rusher uśmiechnął się szeroko. Nie potrzebował laski już od lat, ale robiła dobre wrażenie. To samo dotyczyło przedwczesnej siwizny na jego bokobrodach i brodzie.

– Proszę mi jednak wierzyć, że wykonujemy naszą pracę sumiennie, proszę pani – dodał uspokajająco. – Tak jak wspomniałem, jesteśmy ekspertami w tym, co robimy. Nie potrzebujemy nianiek. Nie jesteśmy regularną częścią struktur wojskowych Daimana. – Urwał z pewnym zakłopotaniem, uświadomiwszy sobie potencjalnie negatywne znaczenie własnych słów. – Co, hm, jest oczywiście wynikiem jego decyzji. Jako stwórcy i tak dalej...

Durosjanin opadł na kanapę u boku żony. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Rusher niemal widział, jak porozumiewają się bez słów: „Żadnych Sithów?”

Zaśmiał się nerwowo. Czas walnąć z grubej rury, uznał. Jeszcze raz.

– A jeśli chodzi o nasz statek... Cóż, to prawdziwy pałac rozkoszy! Widzieliście „Gorliwość” podczas lądowania na Xakrei tego ranka? W tym sektorze nie ma lepszej jednostki.

– Eee... nie wiedzieliśmy o tym – zaczął niepewnie Durosjanin. – Ale skoro pan tak twierdzi...

– Owszem, tak właśnie twierdzą. I nie tylko ja. Jeśli chodzi o ścisłość, sam ten statek zbudowałem. Wśród moich ludzi są tacy, którzy nigdy by nie zrezygnowali ze służby... to właśnie dlatego jest tak niewiele wakatów. – Na dźwięk otwieranych drzwi Rusher zwrócił się w stronę wejścia. – A oto Dackett, nasz pierwszy oficer. Zajmie się państwa synem, dopóki nie dostanie on przydziału do jednego z naszych oddziałów artylerii lub mojego centrum dowodzenia.

– Centrum dowodzenia? – jęknęli chóralnie Lubboonowie. – Czy to możliwe? To znaczy, on jest bystry, ale...

– W takim razie można się spodziewać, że daleko zajdzie – zapewnił ich Rusher. Stojący w progu Dackett skinął głową; jego wielkie uszy na okrągłej twarzy wieńczyły kępki siwych włosów. Rusher nadstawił uszu; od strony sypialni Lubboonów dał się słyszeć jakiś rumor. – A oto nadchodzi nasz nowy nabytek, jak sądzę?

Znacznie przewyższający wzrostem własnych rodziców Beadle Lubboon wszedł pewnym krokiem do pokoju; był ubrany w schludne, robocze drelichy – standardowy strój młodych pracowników. Skinął na powitanie głową rodzicom, zasalutował niedbale gościom i oparł się swobodnie o wózek z ekspresem do kawy... który nieuchronnie ustąpił pod ciężarem mocnego ciała, przewracając się razem z nim i kilkoma dzbankami burej cieczy.

Administrator Lubboon zerknął z zawstydzeniem na swoją latorośl, za to jego żona rzuciła się, żeby posprzątać bałagan.

– Przydział do pańskiego centrum dowodzenia, co? – szepnął konspiracyjnie Dackett do Rushera.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli nie wysadzi w powietrze całego magazynu z amunicją – odmruknął brygadier.

Dał swojemu adiutantowi znak, żeby wyszedł na zewnątrz, a Lubboonom trochę czasu, żeby przywołali swojego syna do porządku. Kiedy jednak odwrócił się z powrotem w ich stronę, odniósł wrażenie, że krótki dzień na Darkknell był... cóż, zbyt krótki, żeby udało im się tego dokonać. Podczas gdy matka niedorajdy starała się zetrzeć chusteczką plamy z jego bluzy, Beadle próbował wyplątać się ze sterty blaszanych dzbanków. Cała operacja trwała prawie minutę, podczas której administratorowi stopniowo coraz bardziej rzedła mina.

– Proszę mi wybaczyć to zamieszanie, sir – bąknął zmieszany chłopak.

– Powinieneś zobaczyć, co się dzieje na moim statku, kiedy zaczyna się ostrzał – odparł pozornie beztrosko Rusher, przywołując na twarz swój najlepszy zawodowy uśmiech. – Powiedz swoim rodzicom, że nie mają się o co martwić. Tak jak Garbelian mawiał kiedyś na Averamie – wojna to nie konkurs talentów!

Lubboonowie nie skomentowali.

– Chyba omówiliśmy już wszystko, co było do omówienia, panie Rusher – stwierdził ojciec. – Nasz chłopak będzie na pewno w dobrych rękach.

Brygadier uśmiechnął się promiennie.

– Świetnie! – Poklepał młodego Beadle'a po ramieniu. – Witaj w klubie – dodał, potrząsając entuzjastycznie dłonią chłopca, po czym odsunął go lekko na bok i obejrzał się na administratora. – Jest jeszcze pewna drobna kwestia do omówienia...

Starszy Lubboon wyprężył się zauważalnie.

– Spodziewałem się tego.

– Zarządza pan sekcją podnośników hydraulicznych w fabryce Daimana... – odchrząknął Rusher. – „Gorliwość” musi dostać nowy napęd. Potrzeba nam czterech albo pięciu...

– Sześciu! – dobiegło z korytarza.

– ...potrzebujemy sześciu nowych jednostek do naszego systemu rozładunkowego.

– Rusher łagodnie, ale stanowczo posadził Beadle'a na kanapie i podjął: – Mają one kluczowe znaczenie, jeśli chodzi o termin odlotu „Gorliwości” z Darkknell... ma się rozumieć, z pańskim synem na pokładzie.

– Oczywiście, oczywiście, rozumiem – odparł zdawkowo administrator Lubboon. – To będzie... cóż, dość trudne. Cała nasza produkcja idzie na potrzeby Daimana.

– Za którego walczymy – uściślił Rusher. Tak to właśnie działa, dodał w myśli. Nie musiał mówić tego na głos.

Pięć minut później opuścił apartamenty Lubboonów z laseczką zatknietą pod pachą.

Dackett czekał na niego w korytarzu. Rusher rzucił mu laskę.

– Całkiem miłe miejsce – stwierdził.

– Nieźle sobie żyją sir. – Dackett uśmiechnął się pod nosem. – Daiman pozwala im na takie luksusy?

– Przypuszczam, że rzuca takie ochłapy swoim najwierniejszym wyznawcom – odparł Rusher. – To dobrze. – Wyciągnął z kamizelki Dacketta datapad i wpisał w niego adres. – Zanim zapadnie zmierzch, kiedykolwiek on tu nastaje, będziesz miał to, czego potrzebujesz.

Nie uszedł nawet kilku kroków, kiedy dobiegł go głos pierwszego oficera:

– Eee, sir... Jest coś jeszcze...

– Co znowu?

– Novallo z pokładu „Gorliwości” właśnie się skontaktowała – wyjaśnił Dackett. – Rozgryzła ten problem z lewoburtowym systemem dokującym. Wychodzi na to, że nie chodziło o zawieszenie przegubowe, więc zanim wystartujemy, będziemy potrzebować bocznego akumulatora hydraulicznego.

– Całkiem nowego? – Rusher podrapał się po podbródku. – Nie możemy czegoś naprędce wyklepać?

– Niestety, nie.

– To będzie kosztowne.

– Na to wygląda.

– Powiedz jej, że załatwione – rzucił Rusher, oglądając się na drzwi apartamentu. – Zobaczmy, czy nie mają na zbyciu więcej synalków...



Narsk ocknął się.

A to oznaczało, że nie wiedzieli, kim jest. To zaś, że on nadal nie wiedział, gdzie jest, oznaczało, że był w bardzo dużych opałach.

Jedi mówiła prawdę – nie zatrzasnęła kosza. Niestety, wcale nie ułatwiło mu to ucieczki, bo miał związane za plecami ręce. Długie (i bolesne) minuty potrwało, zanim zdołał się wyswobodzić, a kiedy wychodził, nieopatrznie stąpnął na swoją zranioną nogę.; Okrzyk bólu przyciągnął z kolei uwagę strażników Daimana, którzy przeszukiwali szczątki skutera repulsorowego na pobliskiej kładce. Związany i półnagi, miał żałośnie małe szanse na ucieczkę.

W ciągu kilku godzin od zniszczenia centrum badawczego zbiry Daimana zgarnęły z ulic Xakrei sporą grupkę mieszkańców. Narsk spotkał kilku z nich po drodze, kiedy wlekli go do transportowca. Większość stanowili bezdomni albo kaleki, niezdolne do pracy; Daiman zazwyczaj nie zawracał sobie głowy ich eksterminacją.

W miarę upływu czasu zyskiwał nieco nadziei. Zawieźli ich na posterunek straży przy

Drodze Administracyjnej na przesłuchanie. Każdego ze świadków przesłuchiwał Dyscyplinador. Kilku włóczęgów wypędzono na schody posterunku prowadzące na ulicę, zwalniając od dalszego przesłuchiwania. Narsk liczył w duchu na to, że jego spotka to samo.

Czekając na zwolnienie z aresztu, wreszcie wieczorem zdołał złapać trochę snu. I to był błąd, bo tej samej nocy obudził się nie w ponurej celi placówki, ale przypięty do kamiennego, mokrego od potu stołu w pokoju o marmurowych ścianach. Na widok ubranych w głęboką czerwień Dyscyplinadorów Daimana poczuł pewną ulgę, bo to oznaczało, że nadal był na Darkknell. Miał koszmar – śniło mu się, że dorwał go Odion, wściekły z powodu porażki Narska w wydarciu jego bratu tajemnic świętej pamięci, nieodżałowanego Convergence. Nic dziwnego, że obudził się z futrem przesiąkniętym potem.

Dyscyplinadorzy przychodzili i wychodzili z pokoju drzwiami, które jawiły mu się jako ciemne plamy na krańcach pola widzenia. Pasy, którymi był przypięty, zaciągnięto tak mocno, że nie mógł nawet odwrócić głowy – a to właśnie jej zawartość interesowała jego prześladowców.

Narsk nie miał pojęcia, jak mógł pomylić Jedi z Dyscyplinadorem. Dyscyplinadorzy przechadzali się dumnie, ostentacyjnie zaznaczając swoją obecność w Mocy i upewniając swoją ofiarę, że potrafią bez trudu wnikać do jej umysłu. Tymczasem Jedi nie starała się wyrzucić na nim żadnego nacisku. Pewnie ze strachu przed namierzeniem przez Dyscyplinadorów, uprzytomnił sobie.

Wiedziała jednak, że się zjawia, pomyślał. Nic dziwnego, że potrafiła się tu skutecznie ukrywać.

Dyscyplinadorzy zostawili go na chwilę, dzięki czemu mógł sobie spokojniej wszystko przemyśleć. Jak długo Jedi go śledziła? To musiała być Kerra Holt, bez dwóch zdań. Czy trafiła na niego przypadkiem? Czy powiedziała o nim komuś? Czy ją także złapali? Odpowiedzi na te pytania były ważne. Mogła go wydać.

– Ty! – odezwał się głos z arkaniańskim akcentem. Narsk łypnął przekrwionymi oczami i zawiesił wzrok na purpurowej szacie jednego z Dyscyplinadorów, który przesłuchiwał go już wcześniej. – Zostałeś znaleziony w Dzielnicy Wytwórców bez przepustki i ubrań.

– Już wam mówiłem – jęknął Narsk – Napadnięto mnie i ograbiono. To właśnie dlatego nie mam przy sobie pozwolenia na pracę. – Powtórzył jeszcze raz dane swojej fałszywej tożsamości: operator maszyny, przeniesiony z Nilash, próbował wcześniej dotrzeć do pracy. Słowa zdawały się tworzyć w jego umyśle własną strukturę, ochronną warstewkę, osłaniającą jego prawdziwą misję – a także tą prawdziwszą skrytą jeszcze głębiej, bardziej tajną. Narsk zauważył, jak białe, pozbawione tęczówek oczy Arkanianina rozszerzają się, kiedy Dyscyplinador się nad nim nachylił. Wiedział, co to oznacza: za chwilę miał się rozpocząć kolejny mentalny atak.

Niespodziewanie znajoma postać znikła mu z zasięgu wzroku, zastąpiona przez inną ledwie widoczną stojącą u wezglowia stołu.

– To ten?

– Owszem, panie.

„Panie”! – Narsk szarpnął się w pętach, niemal łamiąc sobie przy tym obojczyk. Lord Daiman!

– Coś ukrywasz... – powiedział głos od wschodów i zachodów słońca. Złote szpony przymocowane do ludzkich palców przeczesaly futro na wąskim pysku Narska.

– Ukrywasz coś przede mną. Muszę się dowiedzieć, co to takiego.

Dyscyplinatory szperali wcześniej brutalnie w mózgu Narska, ale Bothanin był mentalnie przygotowany na atak. Ćwiczenia z porządkowaniem pamięci pomogły mu schować głęboko to, co było ważne; w swoim zapale udowadniania własnej wyższości adepci Sithów zazwyczaj przegapiali wszystko, co miało znaczenie. Jednak Daiman wydawał się obojętny; gmerał w mózgu Narska z zainteresowaniem przechodnia oglądającego sklepowe witryny.

To ja stworzyłem ten umysł, zdawał się mówić bez słów. Niewypowiedziane słowa brzmiały echem w spiczastych uszach Narska, Daiman wierzył, że mózg Bothanina jest jego dziełem, całkiem jakby ten ostatni był zaprogramowanym droidem – i chociaż nie miał bezpośredniego dostępu do wszystkich informacji w jego głowie, Lord Sithów uznawał, że ma pełne prawo ich poszukiwać.

W umyśle Narska, nieproszony, pojawił się obraz: ciemne włosy, śniada skóra, lśniące, pełne determinacji oczy... i zielony blask energetycznej klingi.

– Jedi! – Daiman rozluźnił mentalny chwyt, w którym trzymał Narska, który tylko raz widział swoją prześladowczynię. – A więc Błędna Rycerz jest tutaj – stwierdził Daiman, wyraźnie zaskoczony. – Na Darkknell!

Narsk nastroszył wąsy. Pierwszy raz od wczorajszych wydarzeń coś w tym całym wariackim chaosie zadziało na jego korzyść. Nie złapali jej! Może im się nie uda...

– Tak – powiedział, zdyszany. Zaschło mu w pysku. – To była kobieta z mieczem świetlnym. – Zwęził oczy w szparki. – Obawiałem się wyjawić ci tę informację, mój panie. Jej obecność tutaj... ja... nie wiedziałem, co się dzieje. Przeraziła mnie! Kiedy ją zobaczyłem, próbowałem uciec. Chciałem kogoś ostrzec... – Fakty same układały się idealnie w opowieść o niespodziewanej napaści. Wstyd, mówił Narsk, powstrzymał go przed ujawnieniem wszystkiego wcześniej. Taki ktoś nigdy nie powinien być zaskoczony prawdziwego Daimanity... ?

Daiman cofnął się od stołu. Narsk miał nadzieję, że rozważy w myśli historię, chociaż bał się spodziewać dzięki niej uwolnienia. Jeśli jednak mógł na nie liczyć, zapewniając kogoś o swojej niewinności, to tylko Daimana.

Struchlał na widok kolejnego Dyscyplinatora wchodzącego do komnaty. Szpieg słyszał całą ich rozmowę.

– O co chodzi? – spytał go Sith.

– Jak mój pan raczy wiedzieć – zaczął Dyscyplinator, stosując, jak przypuszczał Narsk,

standardową formułkę zwracania się do jego teoretycznie wszechwiedzącego przełożonego – na dachu budynku w pobliżu centrum badawczego odkryto właśnie pewien pakunek. Był ukryty za osłoną wylotu szybu wentylacyjnego. Zawierał ubrania i przepustkę. Hologram pasuje do więźnia. Jak oczywiście mój pan raczy wiedzieć...

– A więc więzień był w pobliżu centrum badawczego... Pewnie wiele kilometrów od miejsca, w którym go znaleziono?

– Tak jak mój pan raczy wiedzieć.

Na Narska znów padł cień Daimana. Tym razem jednak jego obecność nie była wywołana światłem, tylko mrokiem. Bothanin z całej siły starał się zachować zimną krew. Walczył. Wiedział, że może ukryć swoje tajemnice przed Daimanem tylko jeśli wzniesie solidny mur silnej woli, rozpaczliwie wierząc, że jego mózg należy do niego – i tylko do niego.

Nie jesteś istotą rozumną, powiedział do niego w myśli Daiman. Nie łudź się.

Narsk zaczął krzyczeć.



– Przyszli po dziewczynę!

Kerra zamarła na schodach na dźwięk głosu sąsiada. Wysokie, mroczne postacie weszły do apartamentów Guba Tenga z pogrążonego w cieniu długiego piwnicznego korytarza. Nie mogła dostrzec szczegółów, ale widziała, że te istoty wzbudziły żywe zainteresowanie innych mieszkańców budynku, kręcących się w przejściach. Przyszli po dziewczynę...

Nie czekając na dalsze informacje, zawróciła na pięcie i popędziła schodami w stronę ulicy. To nie miało sensu! Nie wyczuła przecież żadnej wrogiej obecności, wchodząc do tej nory borszczura, którą był blok Guba. A przecież Dyscyplinatoryzy Daimana nie kryli się nigdy ze swoją obecnością – wręcz przeciwnie.

Widziała ich wcześniej na stacji transportu publicznego, przeszukujących biedaków z fabryk. Robili to już od pięciu dni, po każdej zmianie, tak żeby wszystko dobrze widzieli pasażerowie dojeżdżający do pracy. Żadna z zatrzymanych osób nie miała nic wspólnego ze zniszczeniem centrum badawczego, ale Kerra podejrzewała, że Daiman doskonale o tym wie. Wcześniej tego samego dnia dwójkę „Błędnie Obarczonych Brzemieniem” odwołano z jej zakładu. Jeden z nich ośmielił się ostatnio skrytykować grafik w pracy, z kolei druga, sniwińska staruszka, przypadkowo użyła niefortunnego sformułowania podczas przywoływania duchów swoich przodków. Oboje byli kandydatami do publicznego „naprostowania”, które polegało na naprzemiennych atakach psychicznych i fizycznych. Kiedy coś szło nie po jego myśli, Daiman zawsze znajdował pocieszenie w organizowaniu widowisk.

Kerra miała ochotę skoczyć na platformę i coś zrobić – tutaj! teraz! – ale od czasu wydarzeń na Chelloi wiele się nauczyła. Gub i Tan nie zasłużyli sobie, by narażać ich na

niebezpieczeństwo z powodu czegoś, o czym nawet nie mieli pojęcia. Samo przestawanie z Kerrą było dla nich wystarczającym zagrożeniem. Po przybyciu na Darkknell szukała kogoś, kto rozglądał się za lokatorem; ich mieszkanie okazało się doskonałą kryjówką. Teraz jednak, kiedy znalazła się na zewnątrz, wplątywanie tych dwojga w jej własne sprawy wydało jej się bezgranicznie głupim pomysłem. Nie mogła sobie pozwolić na popełnianie podobnych błędów.

Vannar mawiał: „Jeśli będziesz sobie powtarzać "następnym razem", Kerro, kiedyś może się okazać, że nie ma następnego razu”.

Skreśliła za róg budynku, będącego dawnym zakładem przetwórczym irydium. Pomysł wykorzystania starej fabryki na miejsce zamieszkania zawsze wydawał jej się niezbyt trafiony, ale teraz cieszyła się, że ma tu pod dostatkiem dróg, którymi mogła się stąd wydostać. Przed sobą widziała dwa okna kwatery Guba, położone nisko nad ziemią tuż za małym, smutnym gnawrootem, który zasadziła, żeby uzupełnić skromne racje żywnościowe rodziny Sullustan. Kerra nigdy wcześniej nie była tu w dzień, ale teraz nie miała wyboru.

Upewniwszy się, że Tan nie ma w pokoju, przejrzała zawartość swojego worka. Wszystko było na swoim miejscu. Zaciskając palce na rękojeści miecza świetlnego, nasłuchiwała głosów zza zawieszanej znów niedawno zasłonki. Gub w sąsiednim pokoju rozmawiał z kimś – podniesionym, ale dość spokojnym głosem. Wsunąwszy broń głęboko do wewnętrznej kieszeni roboczej kamizelki, Kerra odetchnęła z pewną ulgą. Może nie było aż tak źle...

– Hej, hej!

Na widok odchylonej gwałtownie zasłonki Kerra sięgnęła odruchowo do wybruszenia kamizelki na piersi. Na wysokości jej talii zalśniła para dużych, czarnych oczu i Kerra nieco się rozluźniła na widok swojej młodej podopiecznej.

– Przestraszyłaś mnie, Tan – westchnęła.

– Nie wiedziałam, że wróciłaś – odparła Sullustanka – ale dobrze cię widzieć.

– Zazwyczaj tryskająca energią Tan dzisiaj dosłownie promieniała; jej fałdy policzkowe rozciągał uśmiech bezgranicznego zachwytu. – Przyszli do nas! Przyszli po mnie. Po mnie!

Nie mogąc wykrztusić ani słowa, Kerra wlepiła z niedowierzaniem wzrok w dziewczynkę. Tan złapała ją za nadgarstek i pociągnęła w stronę głównej izby. Od progu spojrzęło na nią siedmioro zaciekawionych oczu. Stary Gub stał w przejściu przed dwiema wyższymi od niego istotami. Jeden z gości, Gran, przyglądał się Kerrze z zainteresowaniem trojgiem ciemnych oczu na skórzastych wypustkach, a druga, Ishi Tibka, zaskrzeczała na jej widok z lekkim zaskoczeniem; jej żółte, pozbawione powiek oczy lśniły w słabym świetle. Kerra zauważyła, że oboje nosili na skroniach cybernetyczne implanty.

– Wybaczcie – odchrząknął Gub, odwracając się od gości i zerkając na Kerrę. – Co tu robisz? – spytał. – Nie zauważyłem, kiedy przyszłaś.

– Nie? – Kerra postanowiła zmienić temat, licząc w duchu na to, że nie będzie drażył sprawy jej nagłego pojawienia się. – Kim są nasi goście? – Skinęła lekko głową na powitanie.

Gran sprawiał wrażenie zadowolonego; jego przypominające liście uszy zadrgały entuzjastycznie nad cybernetycznymi wszczepami.

– Och, to pewnie ty jesteś jej nauczycielką! – Jego pysk rozciągnął blady uśmiech. – Jestem Ler-Laar Joom, do usług, a to moja koleżanka, Eraffa. Jesteśmy z Industrial Heuristics.

Kerra spojrzała na okazaną przez Grana plakietkę.

– Jesteście akwizytorami?

– Ależ skąd! – zapewnił ją Ler-Laar. Jego koleżanka wydała z siebie niewyraźne parsknięcie. Najwyraźniej cybernetyczne wszczepy pozwalały im się jakoś komunikować poza zasięgiem słuchu osób trzecich.

Niezadowolony, że jego gościom przerwano, Gub spiorunował Kerrę wzrokiem.

– To oni są powodem, dla którego cię zatrudniłem – zaczął jej tłumaczyć, jak niezbyt bystremu dziecku – bo to łowcy talentów. Przyszli po Tan.

Łowcy talentów... Napięcie ostatnich chwil powoli mijało; Kerra zmrużyła podejrzliwie oczy. Dwunastoletnia Sullustanka spędzała poranki w jednym z zakładów odzysku Daimana, rozkładając na części starocie i złom; okazało się, że nawet nadzorca w tak nędznym miejscu zauważył dryg Tan do elektroniki, powierzając dziewczynce instrukcje użytkowania datapadów znalezionych w republikańskich wrakach. Ponieważ Gub był zbyt zajęty odkrywaniem śladów stwórcy wszechświata w strzępkach śmieci, zlecił Kerrze, by nauczyła Tan czytania, bo każdy krok postępu w kierunku doskonalenia zdolności mógł jej zagwarantować nieco lepszą przyszłość – na przykład składanie blasterów.

Jednak tym, jak sami siebie nazwali, łowcom talentów chodziło o coś więcej. Kerra przyjrzała się uważnie plakietce Ishi Tibki – nigdy wcześniej takiej nie widziała. Identyfikatory zezwalały gościom na swobodne poruszanie się na Darkknell. Dobrze byłoby taki zdobyć, pomyślała. Co prawda nigdy nie słyszała o Industrial Heuristics. Daiman rozwiązywał większość spółek, które przejmował, ale wiedziała, że w jego przestrzeni funkcjonuje kilka komercyjnych marek. Ta jednak była dla niej nowością.

– Nasza siedziba mieści się na terenie podlegającym Lordowi Bactrze – pospieszył z wyjaśnieniami Ler-Laar, wyczuwając jej nieufność. – Lord Daiman wspaniałomyślnie udzielił nam pozwolenia na prowadzenie rekrutacji na jego terytorium.

Na pewno nie za darmo, pomyślała z przekąsem Kerra.

– Zabieracie Tan ze sobą? – spytała.

– Zamierzamy transformować Tan – powiedział Ler-Laar, a zielonoskóra Ishi Tibka skrzeknęła potwierdzająco.

– Dziś rano – podjął Ler-Laar – w jej miejscu pracy ocenialiśmy biegłość Tan w doradzaniu jej przełożonym i ustaliliśmy z matematyczną dokładnością stopień jej talentu, który przekłada się automatycznie na jej przeznaczenie. To właśnie ono czyni ją tak wyjątkową – Gran splótł kościste palce. – Celowniki bombowe – dodał dla wyjaśnienia.

– Celowniki bombowe?

– Właśnie tak. Myśliwce Lorda Daimana korzystają z pocisków kierowanych, jednak w głównej mierze są one samonaprowadzające. Aby statki pozostały małe i zwinne, na pokładach montuje się możliwie jak najmniej systemów.

Kerra doskonale o tym wiedziała, więc tylko przewróciła oczami. Miała wątpliwą przyjemność podróżować na jednej z tych zabójczych pułapek Daimana wkrótce po przybyciu do przestrzeni: Sithów. Szczerze powiedziawszy, była zaskoczona, że zawracali sobie głowę dostarczaniem na ich pokłady zapasów tlenu.

Gran podjął:

– Na ogół bomby ze wsparciem grawitacyjnym są wystarczająco inteligentne, żeby same odnajdowały cele, ale w obecności systemów elektronicznych naprowadzanie ręczne bywa użyteczne. – Wskazał gestem Tan, która zarumieniła się tak bardzo, że jej skóra przybrała bladobrazowy odcień. – Tan dołączy do pozaplanetarnego zespołu odpowiedzialnego za opracowanie optyki nowej generacji.

– Dla Daimana? – spytała Kerra.

– Dla tego, dla kogo Daiman zechce – uściślił Ler-Laar. – Będzie do jego dyspozycji. – Dalej Gran zaczął opowiadać o długiej historii Industrial Heuristics w sektorze i o tym, jak przedsiębiorstwo z dumą zaopatrywało Lordów Sithów w różne produkty na przestrzeni lat. Sprawiał wrażenie bardzo podnieconego, że do tej listy przybędzie Daiman. – Wasz przywódca dostarcza nam surowce, z których produkujemy towar.

– Jaki towar?

– No cóż, to mała Tan jest naszym towarem... to znaczy będzie, jeśli odpowiednio ją wyszkolimy. – Położył kościstą dłoń na głowie małej. – Industrial Heuristics to na swój sposób kolejna fabryka. Produkujemy... inteligencję.

Tan uśmiechnęła się do gości, a potem do Kerry. Promieniała entuzjazmem.

– Zawsze o tym marzyłam, Kerro! To do tego dążyłam!

Kerra dotąd nie miała pojęcia o tym, do czego dąży Tan; zakładała po prostu, że umiejętności czytania i pisania były przydatne same w sobie. Teraz jednak dziewczynka zachowywała się, jakby właśnie została ułaskawiona. Cóż, może w istocie tak było, ale Kerrze wydawało się to tylko kolejnym rodzajem więzienia – i najwyraźniej to samo myślał Gub.

– Celowniki bombowe – mruknał, przyglądając się wnuczce taksująco. – I to wszystko, co będzie robić? Tylko tyle?

Ishi Tibka zaświergotała odpowiedź, którą Ler-Laar przetłumaczył:

– Inżynier to część zamienna, jak wszystko inne – powiedział. – Wyspecjalizowana część. Mająca do spełnienia specjalną funkcję. Dająca się zastąpić, jeśli zajdzie taka konieczność. Tan wyuczy się swojej specjalności w zespole wraz z innymi wybranymi uczniami, którzy później będą stanowili jej grupę roboczą. Nie ma potrzeby uczyć jej niczego innego. – Gran zachichotał. – Nie da się zagotować blasterem wody.

Dla Kerry tego było już za wiele. To przecież przerażające! Tan miała zostać skazana na

życie tylko niewiele różniące się od egzystencji Guba, wyciskającego piętno Daimana na przeszłości. Przypuszczała, że prawie wszystko w „optyce nowej generacji” odkryto już dawno temu – a potem utracono przez całe lata niekończącego się konfliktu, podczas którego zniszczeniu uległy niezliczone uniwersytety i korporacje, a uczeni ponieśli śmierć. Cały czas próbowali odkryć na nowo wiedzę, którą sami zatracili.

– Gdzie trafi? – spytał Gub, wpatrując się w czubki swoich butów. Najwyraźniej nie rozumiejąc, dlaczego dla Sullustanina ma to w ogóle znaczenie, Gran zaczął wyjaśniać, że ich firma prowadzi ośrodki szkoleniowe rozsiane po całej przestrzeni Bactry, a także kilka punktów mobilnych.

– Oczywiście, po ostatnich... tutejszych wydarzeniach, Tan może równie dobrze znaleźć zakwaterowanie bliżej domu... – Daiman ogłosił już publicznie, że Czarny Kieł został zburzony w celu wzniesienia na jego miejscu nowego, lepszego centrum badawczego. Nawet jeśli prowadzone publicznie śledztwo sugerowało coś zgoła innego, Daiman równie dobrze mógł oznajmić, że szuka nowych naukowców.

– Skoro tak chce jego lordowska mość – westchnął Gub. Pokuśtykał przez pokój i ujął w dłonie rączki swojej wnuczki. Drżał, usiłując powstrzymać łzy. – Idź, dziecko.

Kiedy Sullustanin przytulał małą na pożegnanie, Kerra zerknęła na łowców. Jeśli chodziło o nich, Tan nie miała wyjścia: tak chcieli, więc musiała z nimi pójść – i to zaraz. Ishi Tibka nie pozwoliła Gubowi dać Tan niczego, co dziewczynka mogłaby zabrać ze sobą. Rekruci mieli trafić do punktu na lotnisku, gdzie czekał już na nich transport. Niezależnie od tego, do której placówki trafi, mała dostanie tam wszystko, czego by potrzebowała.

I tyle tylko będzie miała, pomyślała Kerra. Jednak zgodnie z tym, co widziała każdego dnia, życie pod panowaniem Sitha to nieustające negocjacje. Istniało bardzo niewiele sposobów na poprawę własnego losu.

– Uważaj na siebie – powiedziała, przytulając zapłakaną, ale szczęśliwą Tan w drzwiach. Niech Moc będzie z tobą, niech pojawi się tutaj, dla odmiany, dodała w myśli.

Gub zwlekał. Stał w drzwiach, przygarbiony i smutny. Na zewnątrz sąsiedzi rozstąpili się i patrzyli jak zaczarowani, jak oto jednej z nich udaje się uciec, umknąć nędznemu losowi, który dotąd dzielili.

– Nadal będzie niewolnicą – wyszeptała Kerra do pleców Sullustanina.

– Ale będzie jej łatwiej – odparł Gub. Za rok Tan skończy trzynaście lat i będzie musiała pracować na trzy zmiany, jeśli zechce się z tego utrzymać. Nie było gwarancji, że następna praca będzie mniej niebezpieczna. Może nawet trafi do wojska? Bezpieczniejsza monotonia nie jest więc taka zła, szczególnie w miejscu innym niż to. Staruszek wyprostował się; szyny w jego protezach zaskrzypiały. – Będzie jej łatwiej – powtórzył pod nosem, jakby próbował przekonać sam siebie. – Tak jak i mnie. – Pokuśtykał do środka i sięgnął po zasłonkę w drzwiach do pokoju Kerry. Jednym szarpnięciem zerwał ją z framugi – już drugi raz w tym tygodniu.

Przesłanie było jasne.

– Chcesz, żebym się wyprowadziła? – spytała go.

Gub spojrział na nią poważnie; wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Skoro jej podopieczna odeszła, Kerra nie była mu już dłużej potrzebna. Podniósł zasłonkę z podłogi i przewiesił ją przez fotel, w którym pracował.

Kerra zerknęła do pogrążonego w półmroku pokoju. A więc została wyeksmitowana...

– Teraz – powiedział staruszek, sadowiąc się za swoim biurkiem – będziesz mogła pracować przez trzy ośmiogodzinne zmiany i sama zarobić na pokój i wyżywienie.

Cóż, to była prawda, z tą jednak różnicą, że Kerra nadal będzie potrzebowała czasu w nocy.

– Cieszę się... że mogłam pomóc, panie Tengo – powiedziała do jego pleców. – Jutro rano zniknę.

– Dziś – mruknął, ładując pióro na kolanie. – Jeszcze dziś.

ROZDZIAŁ 4

– Mamy mało czasu! Szybko! – Drapiąc się po masywnym karku, Jarrow Rusher zerknął na podnośnik. Tracili słońce – a przynajmniej to jedno, które na coś im się przydawało. „Oczy” Daimana zaszyły już wcześniej nad kominami, na zachód od placu defilad. Teraz brygadier obserwował całą operację na statku, który był jego źródłem utrzymania – i musiał się pogodzić z faktem, że może będą zmuszeni kończyć ją w ciemności.

Przycupnięta w miejscu, które kiedyś było boiskiem do boloballa, „Gorliwość” wyglądała zupełnie jak olbrzymi skorupiak z parą szczypiec. Dwa wielkie rakietowe silniki hamujące zapewniały podstawę, a każdy był umieszczony pośrodku grupy czterech wielkich modułów transportowych. Wyglądające z góry jak duże litery X grupy transportowe były połączone gigantycznym kadłubem, w którym mieścił się przedział dla załogi – a przynajmniej powinien tam być. W tej chwili bezcenny okręt wojenny Rushera był rozłożony na dwie części, jego załoga zaś wyrzucała trzy tysiące ton metalu, aby zrobić miejsce na nową jednostkę akumulatora hydraulicznego, który przysłali Lubboonowie. Najpierw jednak należało się uporać z wyjęciem starego.

– Uwaga!

Stalowy kabel pękł z ogłuszającym trzaskiem, a metalowa bryła zawieszona na dźwigu zadyndała dziko nad ich głowami. Kilka sekund później poddał się drugi kabel, uwalniając się z krążka i wystrzeliwując w powietrze; po drodze przeciął rusztowanie. Ładunek spadł na ziemię, zapadając się w darń i omal nie zgniatając po drodze głównego operatora Rushera.

Cóż, całe szczęście, że to ten stary, pomyślał z ulgą Rusher. Rozejrzał się po grupce pracowników kłębiących się dookoła dźwigu.

– Kto jest odpowiedzialny za tę maszynę?

– Żółtodziób!

Rusherowi nie trzeba było więcej wyjaśnień – nie musiał nawet szukać w tłumie winnego. Początkowo wydawało się to nawet rozsądne. Nowy moduł hydrauliczny zapewnił w końcu Beadle'owi Lubboonowi miejsce w załodze, a durosjański nastolatek zapewnił ich, że pracował przy produkcji sprzętu w fabryce jego rodziców, jednak Rusher z każdą chwilą coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że ubił kiepski interes.

Nowy rekrut minął go w swoim przyciasnym uniformie, wzruszając ostentacyjnie ramionami.

– Przepraszam, panie kapitanie.

– Brygadierze!

Ale szeregowy Lubboon był już poza zasięgiem jego głosu, łomocząc w drzwi do przenośnego odświeżacza, ustawionego na skraju pola. Zespół już wcześniej miał okazję się przekonać, że stres źle wpływa na żołądek chłopaka. Tego wieczoru miał zresztą taki sam wpływ na Rushera, który stał w długich cieniach, rzucanych przez jego rozczłonkowane dzieło. Wcześniej boisko było oświetlone, ale teraz ostatnie promienie światła szybko odchodziły w zapomnienie. Wkrótce jedynym źródłem słońca będzie to, które zdołają zapewnić sobie sami – nie licząc oczywiście tych kretyńskich holograficznych rzeźb w czterech rogach pola.

Próba zawieszenia ogromnego statku na kilku kołowrotach nie była zbyt dobrym pomysłem, ale nietypowy kształt „Gorliwości” uczynił z Rushera coś na kształt legendy w kręgach artyleryjskich na usługach Sithów. Większość metod rozmieszczania dział stosowanych w sektorze, opierała się na osobnym usytuowaniu samych urządzeń i ich operatorów, co było niebezpieczne z co najmniej kilku względów. Często temu czy innemu nie udawało się dotrzeć w porę na miejsce albo, co gorsza, zespoły musiały przecinać pole walki, żeby dotrzeć do swojej broni. Nierzadko uzbrojenie przepadało bez gwarancji jego późniejszego odzyskania, co oczywiście cieszyło takich cwaniaków jak Rusher, ale nie było zbyt efektywne.

Niektóre działa transportowano na pokładzie statków razem ze strzelcami, ale zazwyczaj były to małe jednostki. Broń można było rozebrać na części, jednak Rusher wiedział, że wtedy pojawiał się inny problem: większość statków rozładowywano za pośrednictwem jednego trapu, co powodowało zamieszanie i znacznie wydłużało proces dostarczenia części na miejsca. To go skłoniło do próby skonstruowania potężnych, automatycznie sterowanych kapsuł ładunkowych, które byłyby opuszczane z orbity wraz ze statkiem, wiozącym na pokładzie załogi strzelców.

W przestrzeni Sithów nie było podobnej jednostki, dopóki kilka lat po opuszczeniu grupy Belda Yulana brygadier nie zbudował jej własnoręcznie. Odzyskawszy zezłomowany devaroniański liniowiec, z pomocą swojej niezmordowanej drużyny Rusher zamontował masywny statek na szczycie nadbudówki, łączącej dwie grupy kapsuł ładunkowych. Moduły otwierały się na zewnątrz w czterech kierunkach, dzięki czemu osiem załóg mogło wyładowywać broń jednocześnie.

„Rach-ciach”, jak zwykł mawiać sam Rusher. Niewiele załóg było szybszych niż jego brygada.

Rozwiązali nawet problem z przewożeniem dużych dział, montując lufy na zewnątrz statku, tak że wystawały z kapsuł ładunkowych. To nie upiększało co prawda zbytnio samej jednostki, a poza tym niewiele było lądowisk, na których „Gorliwość” pomieściłaby się ze wszystkimi swoimi metalowymi wypustkami. Z drugiej strony jednak, jak zauważył Rusher, w przestrzeni Sithów nie zaszkodziło mieć pod ręką małego i dobrze widocznego arsenału.

Fakt, że działka nie były sprawne, ponieważ je rozmontowano, był ich małą tajemnicą.

– Tak już lepiej – uznał Rusher na widok Prendy Novallo i jej zespołu inżynierów, dźwigających nową jednostkę hydrauliczną na miejsce. Wycofał się na bok. Tym razem rzeczywiście szło im lepiej, ale Rusher miał zwyczaj usuwać się z drogi podczas tego rodzaju prac. Unikał wtedy wielu nerwowych sytuacji. Dackett i Novallo świetnie sobie radzili w takich sprawach. Nikt w przestrzeni Sithów nie umiał lepiej zająć się transportem dział niż jego załoga; dzięki temu on miał wolne ręce.

No, w pewnym sensie.

Podniósł wzrok na zatłoczone niebo. Co chwila w górze przemykały kolejne okręty – wolni strzelcy, tak jak on. Wśród nich było nawet kilka transportowców różnych korporacji, których nie rozpoznawał. Zaklął pod nosem. Coś się kroilo, bez dwóch zdań. Przybył na Darkknell, aby naprawić sprzęt i przeprowadzić rekrutację, nie zaś po to, żeby wyruszyć od razu na nową misję. Te floty nie gromadziły się na świecie władanym przez Lorda Sithów ot, tak sobie – zwłaszcza jeśli chciały mieć możliwość opuszczenia go bez przeszkód.

– To Mak Medagazy! – zawołał ktoś, kiedy nad ich głowami przeciął ciemność transportowiec droidów Toonga. Pierwszy oficer Dackett wskazał lśniący kadłub statku tkwiącego na obrzeżach boiska. – Co się święci?

– Wiem tyle samo, co i wy – stwierdził Rusher. Tak właśnie wyglądał problem z pracą dla Daimana. Zazwyczaj dowódcy statków najemników gromadzili się w lokalnych knajpach i porównywali informacje, Daiman jednak zlikwidował większość przybytków publicznych, nie chcąc pozwalać na rozrywkę tym, którzy wszak istnieli po to, żeby mu jej dostarczać. Usunął w tym celu szereg tak zwanych źródeł informacji, a wraz z tym większość dobrych kantyn.

Wstępując w krąg światła rzucanego przez jeden z holopomników, Dackett złożył raport na temat postępu prac. Niepospolita konfiguracja „Gorliwości” powodowała w jej kadłubie dość duże napięcia podczas lądowania w środowisku o sporej grawitacji; kluczowe znaczenie miały tu systemy hydrauliczne.

– Żeby wszystko działało jak w chronometrze, będziemy potrzebowali jeszcze ze dwóch tygodni – poinformował Dackett.

– Dwóch tygodni... – Rusher zerknął znów na pociemniałe niebo, usiane światełkami lądujących statków. – Cóż, czyńcie waszą powinność. Dopóki nie usłyszymy, co ma na ten temat do powiedzenia Jego Szaloność, nie...

– Lord Daiman przemawia! – zagrzmiało w eterze.

Rusher i jego podwładny obejrzel się, zaskoczeni, na holograficzny posąg za ich plecami. Trzy razy przewyższająca ich wzrostem postać Daimana przerwała bezruch i zwracała się teraz do nich. Cóż, właściwie to bezpośrednio do niego.

– Jarrow Rusher ma się stawić w Niebiańskim Sanktuarium jutro w południe. Rusher popatrzył na spowite mrokiem mury pałacu, majaczące na północnym zachodzie.

– Czy masz misję dla mo...

– Jarrow Rusher ma się stawić w Niebiańskim Sanktuarium jutro w południe – powtórzył gigantyczny Daiman. – Ma stanąć twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem. – Holograficzny posąg zastygł w poprzedniej pozycji; Daiman miał znów zamysłoną i nieprzenikniętą minę.

– Z żalem muszę pana poinformować, że misja została odwołana – stwierdził Dackett.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o twoje dwa tygodnie. – Rusher zerknął spość łba na pierwszego oficera. – Myślisz, że mnie słyszał?

– Wątpię, ale kto wie?

Rusher pomyślał, że coś takiego byłoby dla Daimana świetną okazją na przekonanie swoich poddanych o własnej wszechwiedzy – założenie elektronicznych podsłuchów pozwalałoby potem interweniować za pośrednictwem jego wirtualnych osobowości, obecnych na każdym skrzyżowaniu. Pasowałoby to do kilku co bardziej skutecznych systemów totalitarnych, o których czytał. Jednak, podobnie jak jego asystent, Rusher w to wątpił. Nigdy nie spotkał młodego Lorda Sithów, ale znał ludzi, którzy mieli tę wątpliwą przyjemność. Szpiegowanie wszystkiego i wszystkich dookoła byłoby czynnością zbyt pracochłonną i uciążliwą jak na Daimana. Dlaczego miałby sobie tym zawracać głowę, jeśli jego zdaniem nie istniało nic innego?

Dackett postukał datapadem w swoją sztuczną rękę.

– No dobra. Powiem w takim razie Novallo, że zostaje na nockę.

– Wiesz co, Dackett? – odezwał się z namysłem Rusher. – Ja się zajmę spawaniem, a ty odwiedzisz jego lordowską mość, dobra? Co ty na to?

– Nic z tego, sir – gwizdnął przez szczerbę w zębach stary wyjadacz. – Każdy zespół musi mieć frontmana. Ja tylko grywam ładną muzyczkę.

Rusher parsknął śmiechem. Frontmana? Cóż, może i tak. Jednak nawet tak zwani wolni strzelcy musieli tańczyć, jak im zagrają inni.



W dzieciństwie Kerra miała już okazję odwiedzić mroźne regiony polarne Aquilarisa – chyba jedyne miejsce na planecie, gdzie pogoda była kapryśna. Nawet tutaj krajobraz był uderzająco piękny – białe czapy wznosiły się nad fiordami.

Śledziła właśnie quadractyla, skrzydlate wodne stworzenie, które lepiej czuło się w cieplejszym klimacie, żeglując po wzburzonych falach. W pewnym momencie wydało jej się, że zwierzę ma kłopoty, bo zakryła je gwałtownie spieniona fala. Kilka sekund później wynurzyło się jednak znów, zmoknięte i bliżej brzegu, ale zaraz zniknęło pod następną lodowatą falą. Wszystko wskazywało na to, że zamiast próbować odlecieć, woli zdać się na łaskę oceanu i tego, co zgotował mu los – czy raczej trzy księżycy planety.

Kerra obserwowała dawniej pogodzonych ze swoim losem sithańskich niewolników od Chelloi aż po Darkknell, a teraz zaczęła przypuszczać, że ma do czynienia z podobną sytuacją.

Ludzie, którzy żyli w tym sektorze, byli jak ten nieszczęsny quadractyl, miotany po kolei przez pełne przemocy fale Sithów. Los wymierzał im jeden cios za drugim, a jednak, tak samo jak tamto zwierzę, stawiali mu mężnie czoło.

Niektórzy obywatele Republiki uważali, że istoty pod jarzmem Sithów nie zasługują na ocalenie, bo nie próbują sami tego jarzma zrzucić. Dla Kerry było oczywiste, że ludzie, którzy nigdy się nie przekonali na własnej skórze, co znaczy żyć w reżimie rządzonym przez Sithów, nawet nie rozumieli, jak bardzo się mylą. Różnica w rozmiarach przywilejów pana i niewolnika była tu po prostu zbyt wielka. Nie było praktycznie sposobu, aby ci żyjący pod butem Daimana mogli się jakoś zorganizować – chociaż i tak samo zorganizowanie się tylko by ich osłabiło. Nie mieli co nawet marzyć o wznieceniu buntu.

A mimo to, klęcząc w ciemnym pokoju, który wkrótce miał stać się jej byłym miejscem zamieszkania, Kerra zastanawiała się, czy przed chwilą nie widziała właśnie ruchu oporu w akcji. Rodzice w Daimanacie byli gotowi na wiele poświęceń, jeśli tylko dzięki temu ich dzieci miały szansę przeżyć życie w minimalnie lepszych warunkach. Dziesięciolecia ucisku zmusiły ich do myślenia wyjątkowo perspektywicznego; nawet najmniejszy krok mógł oznaczać szansę wyrwania się na wolność.

Może ten quadractyl znalazł się tam, gdzie się znalazł, dlatego tylko, że chciał wysłać swoje młode na południe? – zastanawiała się. Pewnie nie miał po prostu nic więcej, co mógłby ocalić.

Ale przecież Kerrze już raz udało się uciec. Teraz też nie zamierzała tkwić w miejscu.

Wyglądając ostrożnie z pokoju, żeby się upewnić, że Gub pracuje przy swoim biurku, wyciągnęła z posłania skafander. Był teraz czysty. Jeden z przyjaciół w pracy dostarczył jej specjalny środek, który – teoretycznie przeznaczony do czyszczenia mebli – świetnie sprawdził się w przypadku Mark VI. Zajęło jej to co prawda sporo czasu, głównie w nocy, kiedy Tan szła spać, ale było konieczne. Ba, nawet niezbędne, bo uświadomiło jej wartość tego, co zdobyła dzięki swojej pracy na Darkknell.

Rozsunęła troki swojego worka podróznego, wyjęła z niego zawartość i ułożyła ją na poduszce: stosik saszetek z lśniącym żelem – azotynem baradium. Substancja miała wystarczającą siłę rażenia, żeby wysłać przez stratosferę w ekspedycję badawczą rzekomego stwórcę wszechświata.

Znosiła materiał wybuchowy z fabryki po trochu w jednorazowych opakowaniach na racje żywnościowe. To nie było trudne – mogła przecież przynosić do pracy własny lunch i wynosić z niej swoje śmieci. W formie płynnej substancja była mniej podatna na przypadkową detonację niż inne materiały wybuchowe. Było jej znacznie mniej niż ilość, za pomocą której Bothanin wysadził Czarny Kieł, wiedziała jednak, że samotnej Jedi na krucjacie przeciwko Lordowi Sithów przyda się takie małe wsparcie.

Nie miała zresztą pojęcia, co z tym zrobi – aż do wczoraj. Sam Daiman dał jej wskazówkę dzięki swojemu naleganiu, żeby wszyscy codziennie słuchali jego głosu. Na jednej z planet

słyszała, jak ogłasza wschód słońca. Przez dwa ostatnie dni słyszała tę samą wiadomość znowu – identycznie sformułowaną jak gdzie indziej, z wyjątkiem fragmentu dotyczącego czasu trwania dnia. Była pewna, że Daiman nie nagrywa osobnych wersji dla każdego świata pod jego władaniem, a nie słyszała o żadnej sieci łączności w przestrzeni Sithów, która dorównywałaby tej, którą dezaktywowała Republika na terenie Zewnętrznych Rubieży. A to z kolei znaczyło tyle, że głos Daimana z całą pewnością był sztuczny i odtwarzano go syntetycznie na każdym ze światów.

Wydawało się to oczywiste, ale Kerra dotąd nie zastanawiała się nad skutkami takiej sytuacji. Gdyby Daiman jutro zniknął, rywalizujący z nim Lordowie Sithów, których ataku się obawiał, mogliby przez długi czas żyć w nieświadomości tego faktu. Dyscyplinatoryzy Daimana chcieliby na pewno zachować swoje stanowiska pracy, co oznaczało jedno: udawaliby, że nic się nie stało. Jednak w rzeczywistości dużo by się zmieniło, pomyślała Kerra, pakując z powrotem torbę i zawiązując troki. Pewnie poziom życia specjalnie by nie wzrósł, ale Daimanat bez Daimana dałby wielu istotom szansę na lepsze życie.

Rozejrzała się ostatni raz po pokoju i ruszyła do wyjścia. A więc Daiman zniknie jutro – rychło w czas, nie ma co.



„Istnieją rzeczy gorsze niż śmierć”, powiedziała kiedyś Narskowi jego ciotka, wychowująca go samotnie na planecie Verdanth. Planeta, leżąca w pobliżu punktu, gdzie stykały się trzy sektory, a także na jednej z kluczowych tras nadprzestrzennych, była kąskiem, na który wielu ostrzyło sobie zęby. Kilku z nich obwołało się Lordami Sithów natychmiast po zajęciu tego zielonego świata, całkiem jakby tytuł zdobywcy Verdanth wiele znaczył. Zazwyczaj było wręcz przeciwnie. Władcy Verdanth rzadko żyli długo, jednak zawsze udawało im się przetrwać chociaż tyle, żeby wyrządzić mieszkańcom świata – grupie istot pochodzących z różnych planet – poważną krzywdę.

Spółeczność Bothan na Verdanth ucierpiała mniej niż reszta, chociażby z tego względu, że ich rasa zawsze miała żyłkę do intryg. Bardziej harde gatunki odmawiały ukorzenia się przed Sithami podczas pierwszych najazdów; ci, którzy przetrwali, przy każdej następnej fali podbojów sprzeciwiali się jej, wykorzystując wszelkie dostępne środki. To była szczytna idea, owszem. Jednak władza na Verdanth zmieniała się niemal co roku, a sprzeciwianie się najeźdźcom owocowało wyłącznie unicestwieniem. Tymczasem Bothanie chylili ochoczo czoło przed każdym sithańskim watażką, który według nich miał przewagę nad resztą. Według obserwatorów mieli doskonały instynkt; na podstawie obserwacji, kto ma najwięcej bothańskich zwolenników w obozie, można było wręcz ustalić, kto ma największą władzę w układzie.

Znalezienie się po stronie mniejszości oznaczało śmierć, jednak to nie było najgorsze.

Według ciotki Narska oznaczało to coś jeszcze gorszego – że źle obstawiłeś.

Cechą charakterystyczną Bothan było dogłębne rozumienie stosunków między istotami i trafne wskazywanie tych dzierżących władzę. Ciotka opowiadała kiedyś Narskowi o plemieniu zdziczałych Bothan, którzy zostali odnalezieni wiele lat po katastrofie statku na wyludnionej planecie – nie umieli mówić, ale świetnie sobie radzili w środowisku licznych miejscowych drapieżników. Być Bothaninem oznaczało zawsze zachowywać czujność.

Narsk wziął sobie tę lekcję głęboko do serca. Będąc niewolnikiem na usługach kolejnych Lordów Sithów na Verdanth, zawsze znajdował sobie zajęcia, dzięki którym mógł szlifować swoje umiejętności. Nudna robota podczas polowań na szronotoperze okazała się furką do zleceń na tropienie zbiegów. To z kolei utorowało mu drogę do pracy cywilnego zwiadowcy, a wreszcie sabotażysty. Przez cały ten czas Narsk nie spuszczał z oczu głównych graczy na arenie Sithów, postępując w duchu najlepszych tradycji swojego ludu.

Znalazł się w kropce, kiedy dwóch szczególnie zajadłych rywali postanowiło rozstrzygnąć kwestię władzy nad planetą w pojedynku, podczas którego wykończyli się nawzajem. Utworzona w ten sposób próżnia trochę zbiła Bothan z tropu. Nie było powodów, by przypuszczać, że Verdanth pozostanie wolna od jarzma Sithów przez więcej niż kilka tygodni; uziemieni na planecie Bothanie nie mieli jednak szans na oszacowanie potęgi podmiotów, których nie znali. Jedynym sposobem na odgadnięcie, którego Lorda Sithów powinni wspierać, było opuszczenie planety i przekonanie się o tym osobiście.

Narsk nie omieszkał tego zrobić – i nigdy już nie wrócił.

Na zewnątrz odnalazł cudownie zawiłą scenę polityczną: prawdziwą mozaikę zależności i władzy, na której szczycie stali despoci o tajemniczych koneksjach i długiej historii zdrad na kontaktach. Taka sytuacja była prawdziwym rajem dla pracowitego Bothanina; powinien mieć zapewnione zajęcie po kres swoich dni.

I tak właśnie było w przypadku Narska. Teraz jednak wszystko legło w gruzach... tylko dlatego, że nie był dość czujny.

Jedi go zaskoczyła, choć przecież powinien jej się był spodziewać. Przebywał na Darkknell miesiąc i cały czas szacował potencjalne zagrożenia. Nawet gdyby tylko jedna osoba na Darkknell wiedziała, że ona tu jest, to właśnie on powinien być tą osobą.

Zauważył z ponurym rozbawieniem, że pewnie tak czy siak to on pierwszy się dowiedział o jej obecności na planecie, jednak nastąpiło to zbyt późno, żeby ta informacja na coś mu się przydała. Teraz zaś, kiedy dzięki niemu Daiman stał się drugą osobą która o tym wiedziała, Narsk zachodził w głowę, dlaczego w ogóle jeszcze żyje.

Leżał przez wiele dni przykuty do stołu, głodny, dostając odrobinę wody tylko wtedy, kiedy jej użycie uwzględniały tortury. Daiman wiedział już, że Narsk jest agentem Odiona. Kiedy Bothanin uświadomił sobie, że Sith poznał jego sekret, przestał tak zaciekle strzec tajemnic swojego umysłu i pozwolił Lordowi Sithów zgłębić wszystkie swoje wspomnienia od chwili przybycia na Darkknell: przybranie fałszywej tożsamości, obserwację centrum

badawczego, jego liczne wizyty w placówce. Takiej taktyki go nauczono – kiedy tajemnica przestaje być tajemnicą, a więc traci wartość, może zostać wykorzystana do chronienia innych prawd. Zasypał więc Daimana szczegółami, które nie miały już żadnego znaczenia.

Wszystko wskazywało na to, że sztuczka zadziałała. Pozornie zadowolony z tego, co odkrył, Sith zostawił go w spokoju. Daiman kilkakrotnie wyczuł w jego wspomnieniach myśl o pewnej kobiecie, ale Sith chyba uznał, że chodzi o Jedi. Narsk stwierdził, że facet wcale nie jest lepszy niż jego gwardziści. Widzieli tylko to, czego szukali.

Teraz jednak tym, co widział Narsk, była rychła śmierć. Nie zostało już nic więcej, co mógłby ujawnić – a w każdym razie nic, co chciałby zdradzić. Zdawał sobie sprawę, że jego koniec jest bliski. Do pokoju weszło czterech Dyscyplinatorów; rozkuli go, podźwignęli jego zwiotczałe, półnagie ciało i umieścili na okrągłej, metalowej ramie. Przytwierdzili do niej jego kostki i nadgarstki, rozciągając całe ciało na rusztowaniu, a potem przymocowali do boku obręczy jakieś urządzenie i cała konstrukcja potoczyła się wraz z rozpiętym na niej Narskiem ciemnymi korytarzami.

Podczas ruchu koła jego głową rzucało bezwładnie na boki. W zamroczeniu dostrzegł w górze rozmytą plamę światła. Skupiając na niej wzrok, uprzytomnił sobie, że jest w jakimś pomieszczeniu z wychodzącym na niebo świetlikiem, umieszczonym w sklepionym suficie. Dyscyplinatoryzy wtoczyli jego koło tortur na niewielką platformę, wyposażoną w system mocowania antygravitacyjnego.

Uniesiony w powietrze niewidzialną siłą Narsk zobaczył wokół grupki gapiów i dotarło do niego, że jego ciotka miała rację, a on się mylił. Nie zamierzano go stracić, ale... istniały rzeczy gorsze niż śmierć. Właśnie został scenicznym rekwizytem.

ROZDZIAŁ 5

Od młodego władcy w paradnych szatach aż bił blask. Upodobanie Daimana do lśniących szmatek było powszechnie znane, jednak ta peleryna w kolorze miedzi była czymś niezwykłym, nawet jak na jego ekscentryczne zwyczaje. Za każdym razem, kiedy Lord Sithów wstępował między swoich poddanych i stawał na tle nieba, niewielkie soczewki w sutych fałdach materiału odbijały blask popołudniowego słońca, kąpiąc całe Adytum w promieniach barwnego światła.

W tym miejscu, w tej ogromnej siedmiokątnej kaplicy Niebiańskiego Sanktuarium, Daiman górował nad wszystkimi. Siedem kryształowych kładek wiodło do podwieszanej pod świetlikiem platformy. Każde z siedmiu napowietrznych wejść znajdowało się na alabastrowej kolumnie; kolumny wraz ze świetlikiem tworzyły trójwymiarową replikę godła Daimana: słońce i macki. Ściany między kolumnami zdobiły wspaniałe płaskorzeźby, przedstawiające historyczne – i prehistoryczne – sceny z Daimanem; to samo było na posadzce. Zgromadzeni spoglądali to w górę na swego władcę, to w dół, pod stopy, próbując się nie potknąć na nierównym podłożu.

Osobą najbliższą poziomemu Daimana był Narsk, ale Bothanin nie traktował tego jak specjalny przywilej. Kiedy Dyscyplinatoryzy za pomocą generatora antygravitacyjnego podnieśli narzędzie tortur, w którym był uwięziony, kilka metrów do góry, włączyli jakieś urządzenie, które wprawiało je w ruch – i teraz Narsk wirował w powietrzu kilka metrów nad zgromadzonymi, w przestrzeni między dwiema kładkami przybytku Daimana. Cóż, tego mógł się spodziewać: ciągłe zwroty, chwilami powolniejsze, tak że jego ciało osiągało pozycję wertykalną. Narsk sądził, że robią to po to, żeby powstrzymać delikwenta od omdlenia. Po raz pierwszy od chwili swojego uwięzienia cieszył się, że go głodzili.

Te rzadkie chwile wytchnienia dawały mu okazję, aby rozejrzeć się po pomieszczeniu i po obecnych. Daiman od kilku godzin spacerował kładkami, zamyślony, najwyraźniej pogrążony w rozmyślaniach nad jakimiś skomplikowanymi aspektami procesu tworzenia a może nad czymś zupełnie innym. Co jakiś czas odpoczywał na wielkim, pluszowym siedzisku – bardziej przypominającym łoże niż tron – ustawionym na środku centralnej platformy. Obserwującemu go Narskowi nieodparcie kojarzył się w takich chwilach z dzieckiem – siedzącym z podkulonymi nogami i bezmyślnie kopiącym skraj kanapy. Nie, nie dzieckiem, poprawił się w myśli. Zbuntowanym nastolatkiem.

Od czasu do czasu władca obrzucał tłum poirytowanym spojrzeniem, ale poza tym nie

odezwał się ani słowem. Zniknął za to dwukrotnie w jednym z wyjść, żeby się przebrać. Narsk uznał, że tu ma się wydarzyć coś ważnego. Westchnienia zgromadzonych przechodziły chwilami w pomruki, a każde kolejne przebranie władcy było bardziej krzykliwe od poprzednich.

Narsk stwierdził, że na pewno czekają na czyjeś przybycie. Trudno było uwierzyć, że szaty, w których przechadzał się Daiman, są jego ubraniem roboczym.

Zgromadzony tłum zwracał uwagę bardziej na Daimana niż na uwięzionego Bothanina. Wokół stało na straży kilku Dyscyplinatorów i elitarnych gwardzistów. W ciszy czekali na swego pana. Była między nimi Woostoidka, która, jak sądził Narsk, pełniła funkcję osobistej asystentki Daimana. Nie rozpoznawał jej co prawda, ale w końcu żadnemu szpiegowi nie udało się dotąd przeniknąć do struktury służby pałacowej Daimana. Na pewno nie została zatrudniona ze względu na piękne oczy – widział to wyraźnie za każdym razem, kiedy zwracał się w jej stronę. Wysoka, koścista i pomarańczowoskóra, miała ściągnięte w kok włosy w kolorze magenty i tak chudą twarz, jakby od środka wsysała ją czarna dziura. Wątpliwe, czy wszystkie zespoły inżynierów w tym sektorze zdołałyby uformować na tym surowym obliczu coś, co chociaż odrobinę przypominałoby uśmiech.

Narsk uznał, że to dziwne. Daiman zdawał się ponad wszystko cenić w swoim otoczeniu piękno. Po chwili do głowy przyszła mu inna myśl: może właśnie tak się dzieje, kiedy ktoś jest zakochanym w sobie narcyzem?

– Wszystko słyszałem, szpiegu!

Obręcz, na której rozciągnięto Narska, zawirowała i Bothanin dostrzegł kątem oka, że Daiman wyciąga w jego stronę przyozdobioną szponami dłoń. Już po chwili przestał widzieć cokolwiek z wyjątkiem błękitnych błyskawic bólu, kiedy wyładowanie Mocy oplotło jego drgające spazmatycznie ciało. Kiedy atak minął, resztki błysków rozpełzły się po obręczy.

– Wydaje ci się, że mnie zraniłeś, co? Mam rację? – Powiewając peleryną, Daiman przeszedł na skraj swojego podestu. W dole zgromadzeni zaczęli się cisnąć bliżej, żeby lepiej widzieć. – Wcale mnie nie zraniłeś! Nic a nic! – parsknął. – W istocie, ty nieudaczniku, twoje myśli spłynęły po mnie jak woda po kacze!

Narskowi po nagłym wstrząsie zaschło w pysku tak bardzo, że nawet gdyby chciał, nie zdołałby wykrztusić odpowiedzi; wiedział zresztą, że nie miałyby to sensu. Bo co miał niby odpowiedzieć?

– Widzisz, ty i ta cała Jedi daliście mi dokładnie to, czego chciałem! Po prostu jeszcze wtedy o tym nie wiedziałem – dodał Daiman, przyklękając i patrząc Narskowi w oczy. – Nie zawsze od razu dostrzegam plan, który zaczyna rysować się w mojej głowie, ale prędzej czy później tak się dzieje. To nieuchronne.

Na wpół przytomny Narsk z trudem pokręcił głową. Jakim cudem poddani Daimana łykali takie brednie?

– Uleeto! – wrzasnął Daiman. – Czy połączenie jest gotowe?

– Jak mój pan zapewne wie – odezwała się Woostoidka – heretyk Bactra oczekuje na kanał pierwszeństwa.

Narsk zauważył, że asystentka ani razu nie ośmieliła się podnieść wzroku na swojego przełożonego. Wyciągnęła tylko szyję i zwróciła wyłupiaste oczy w stronę świetlika, całkiem jakby Daiman był gdzieś tam w górze. Cóż, w pewnym sensie tak właśnie było, pomyślał Narsk.

Uleeta zerknęła na trzymane w dłoni urządzenie kontrolne, a potem znów spojrzała w górę. Dobierała słowa ostrożnie, jakby bała się urazić swojego pana:

- Bactra... lubi być nazywany Lordem. Tak jak mój...
- Nic mnie nie obchodzi, co on lubi. Aktywuj połączenie.
- Aktywacja – poinformowała posłusznie Woostoidka. – Czy mamy usunąć więźnia?
- Nie.

Odpowiedź sprawiła, że Narska przeszedł zimny dreszcz. Cokolwiek miało się wydarzyć, nie miało znaczenia, kiedy się o tym dowie. Tak czy siak, był już martwy.



Krokwie pod sufitem w siedzibie Lorda Sithów nie były zbyt dobrym miejscem do wspinaczki. Mimo to Kerra nie mogła się powstrzymać. Dobrze się składało, że do Niebiańskiego Sanktuarium tak łatwo było się dostać, bo musiała sporo się napocić, żeby włożyć na siebie skafander maskujący.

Obcisły kombinezon działał jak trzeba – jak dotąd udało jej się niepostrzeżenie przemknąć obok ośmiu stanowisk strażniczych. Był jednak okropnie niewygodny. Projektanci w Cyricepcie pomyśleli o całym mnóstwie funkcji, ale pośród nich nie było jednej: żeby jeden rozmiar pasował na wszystkie gatunki i płcie. Bothanin był nieco niższy od niej i chociaż Kerra nie była specjalnie postawna, z dużym trudem udało jej się dopiąć strój. Gdyby po drodze zginęła, byłaby od razu zmumifikowana.

Tylko w miejscu, gdzie kombinezon zakrywał owłosiony pysk Bothanina, miała sporo luzu. Zebrała część materiału i upięła, aby lepiej dopasować maskę, co sprawiło, że teraz na wysokości nosa zwisał jej dziwny klin, przypominający dziób. Ale i tak fakt, że nikt jej dotąd nie zauważył, przyprawiał ją o szybsze bicie serca.

Teraz, kiedy przekradała się od wnęki do wnęki, każdy krok przypominał jej, dlaczego Jedi nie nosili kombinezonów. Jej zwykłe ubrania, upchnięte w worku pod ładunkami, były dopasowane, ale luźne i wygodne. Kerra wątpiła, czy chciałaby mieć taki kombinezon – nawet w odpowiednim rozmiarze – ale wiedziała też, że bez niego nigdy nie dotarłaby aż tutaj. Już wcześniej przenikała do twierdz Sithów, ale powstrzymywanie Daimana i jego Dyscyplinatorów przed dostrzeżeniem jej w Mocy wymagało dodatkowej koncentracji. Skafander dawał jej niezbędną przewagę.

Żałowała tylko, że ta przewaga jest tak cholernie niewygodna.

Wcześniej widywała twierdzę Daimana tylko z daleka – jej obsydianowe mury opasywały spory obszar centrum Xakrei. Wszystkich siedmiu wejść strzegły wysokie pylony; nie namyślając się długo, wybrała najbliższe. Zastanawiała się, dlaczego Daiman nie zbudował sobie specjalnej strzelistej wieży, z której mógłby obserwować otoczenie, tak jak na Chelloi. Jeden ze współpracowników w zakładzie wyjaśnił jej, że odkąd Daiman stworzył Darkknell, nie czuł potrzeby przyglądania się planecie. Kerra z trudem powstrzymała wtedy wybuch śmiechu. Facet ma tylko mury. Ale jeśli nie istniejemy, po co mu ten mur?

Wyobrażała sobie, że za murem znajduje się otwarta przestrzeń – może dziedziniec albo jezioro? – z małym zamkiem pośrodku. Zamiast tego okazało się, że szerokie wejście to tak naprawdę zwykłe drzwi – mury nie były wcale osłoną, tylko ścianami największego budynku, jaki kiedykolwiek oglądała.

Budynek był nowy, wzniesiony w ciągu kilku lat po dojściu Daimana do władzy. Kerrę to zdumiało. Większość zabudowań Xakrei była stara – zbudowana za panowania poprzednich Lordów Sithów, a nawet jeszcze wcześniej. Po co Daimanowi taka budowla? To był największy przybytek stworzony w hołdzie dla pychy, jaki kiedykolwiek widziała – znacznie przewyższający gabarytami i przepychem liczne posiadłości przemysłowców, które odwiedziła podczas zbierania® funduszy dla Vannara. Mieszkania tamtych istot były niczym świątynie ich własnych osiągnięć, jednak tylko w sensie symbolicznym, podczas gdy Daiman całkiem na serio ozdobił swój pałac płaskorzeźbami® przedstawiającymi jego samego w trakcie tworzenia wszechświata.

A mimo to, zmieniając trasę, żeby uniknąć kolejnego labiryntu luster (bo nie wiedziała, jak wpłynie on na działanie skafandra maskującego), Kerra stwierdziła, że miejsce jest dziwnie opustoszałe. I To była świątynia bez wyznawców. Olbrzymie sale balowe i jadalnie najwyraźniej nigdy nie oglądały tancerzy ani biesiadników. Jeśli Daimanowi zależało na ostentacji, to trudno było odgadnąć celowość takiego zachowania.

Cierpiała, widząc to wszystko i myśląc o ludziach, którzy stracili życie podczas budowy tego gmachu. Wybaczyła nawet Daimanowi jego hipokryzję i głoszenie publicznie własnej wszechmocy jako stwórcy, ale nie była w stanie zrozumieć, dlaczego tyle osób, z którymi miała do czynienia, także to robiło. Na przykład taki Gub. Był dwa razy starszy od Lorda Sithów. Zastanawiała się, czy był kiedyś taki dzień, w którym wszyscy na Darkknell nie przewracali oczami,® wspominając o micie Daimana. Jeśli tak, to musiało to się zdarzyć dawno temu. Nigdy nie mogła się temu nadziwić – jeśli, zgodnie z tokiem myślenia Daimana, nie istniał nikt poza nim samym, dlaczego zadawał sobie trud indoktrynacji całej reszty? Dlaczego w ogóle miałoby mu na tym zależeć?

Spotkała go tylko raz, ale podczas tej krótkiej konfrontacji dowiedziała się o nim dosyć. Zrozumiała, że Daiman umiał wejrzeć w umysły innych dzięki Mocy, ale nie uznawał tego za dowód na to, że są oni niezależnymi istotami. Zakładał, że wszelkie myśli w ich głowach są

częścią galaktycznej zagadki, którą sam dla siebie stworzył. To była tylko kolejna usterka do naprawienia, następny warunek gwarantujący satysfakcjonujące zwycięstwo. Chciał, żeby otaczające go roboty wiedziały, że są tylko robotami – co z tego, że organicznymi? A jeśli to miało oznaczać spędzenie pięciu lat na budowie atrium, którego przemierzenie zajmowało pięć minut – cóż, tak widocznie powinno być. Nawet jeśli jego budowniczy mieli być jedynymi, których noga kiedykolwiek postanie w środku.

Chociaż interesujące jako studium psychologiczne Daimana, olbrzymie domostwo pokrzyżowało Kerrze plany. Sięgając po azotyn baradium do sakwy, rozejrzała się nerwowo dookoła. Nawet gdyby zdołała znaleźć gdzieś Daimana, potrzebowałaby chyba całego promu tego świństwa, żeby zmienić to miejsce w gruzy...

Słyszając czyjeś kroki na kamiennych schodach, schowała się za barierką i przykucnęła. Tym razem to nie byli strażnicy, tylko żołnierze – chyba z dziesięć istot różnych ras, ubranych w rozmaite mundury; prowadził ich droid protokolarny.

Cóż, na pewno nie byli to tradycyjni, wymuskani wojacy Daimana. Zdziwiona Kerra gapiała się z ukrycia na barwną zbieraninę. Dlaczego banda najemników miałaby pracować dla schizofrenicznego monomaniaka? Cóż, i tak nie ma to żadnego znaczenia, uznała i uśmiechnęła się pod maską skafandra. Zabierzecie mnie do swojego pracodawcy, poleciła im w myśli.



– Dobrze widzieć cię nie przez celownik – powiedział Rusher, dźgając pierś Toonga palcem urękawiczonej dłoni. – Widzę, że na Pętli Gevarno całkiem nieźle karmią.

Okrągły, oliwkowoskóry Mak Medagazy uśmiechnął się pod zadartym nosem.

– Chociaż przez chwilę nie musiałem się na ciebie oglądać, Rr... Rusher. – Podał brygadierowi długą chudą rękę, a jego okazały brzuch zakołysał się na boki. – Staralem się obniżyć koszty części zz... zamiennych.

Przywódcy militarni w sektorze, spędzający całe życie na użeraniu się z innymi i próbach pozabijania się nawzajem, nie wszyscy dobrze ze sobą żyli. Jednak Maka trudno było nie lubić. Był handlarzem droidami, więc nigdy nie traktował strat w sile roboczej osobiście. Poza tym, prawdopodobnie chcąc uniknąć charakterystycznego, nerwowego jąkania, zawsze wyrażał się zwięźle i starał się nie obrażać zbyt wielu osób – w przeciwieństwie do niektórych, na przykład Kr'saanga Togorianina. Ten wielki kotowaty życzył sobie, żeby zwracano się do niego w taki właśnie sposób – całkiem jakby ktoś mógł nie zauważyć jego przynależności rasowej, co było dość trudne w przypadku dwóch i pół metra owłosionej kwintesencji wściekłości. Dziko wyglądający najemnik z determinacją przepychał się teraz na czoło grupy, po drodze niemal ścinając z nóg ich mechanicznego przewodnika.

– Po co ten pośpiech, Tog? – spytał go znowu Rusher. Domostwo Lorda Sithów było

ogromne; od miejsca spotkania dzieliło ich wiele kilometrów.

Kr'saang zawarczał, strosząc wąsy po obu stronach kanciastego pyska.

– Marnuj swój własny czas, człowieku, nie mój! – Togorianin, dowódca jednostki doborowych żołnierzy, zaczął znów narzekać na to, że został wezwany na spotkanie osobiście.
– Co za głupota!

– W takim razie po co tu przylazłeś? Na pewno znajdzie się jakiś inny Lord Sithów, który pomoże ci napchać brzuch i kabzę.

Kilku najemników odsunęło się od Rushera, na wypadek gdyby' czarna kudłata bestia zaczęła rozrabiać, jednak Kr'saang nawet nie mrugnął.

– To mój interes. – Łypnął gniewnie na Rushera zielonymi ślepiami. – W każdym razie na pewno wiem, dlaczego ty tu jesteś, prymitywie. Daiman nie będzie chciał walczyć ze swoim Złym Bratem Odionem jeden na jednego. Szuka kogoś jeszcze bardziej tchórzliwego, żeby dobrze przy nim wypaść.

– Cóż, w takim razie ma ciebie – zauważył Mak, rozciągając w uśmiechu mięsiste wargi.

Rusher nie skomentował. Wiedział już, po co wezwano tu większość z nich. Do producentów Daimana dołączyło ostatnio kilka nowych, obcych przedsiębiorstw. Brygadier był pod tym względem bardziej cwany niż inni. To unikanie Odiona sprawiło, że sam kilka lat wcześniej założył własny interes.

Beld Yulan był idealnym nauczycielem fachu. Świetny artylerzysta, dbał też o propagowanie historii wojskowości pośród swoich rekrutów. Młody Rusher nauczył się pod jego opieką sporo nie tylko o walkach, ale i o powodach, dla których je toczono, a także – w wielu przypadkach – dowiedział się, jak decyzja jednej osoby mogła doprowadzić do różnych konsekwencji. Gdyby Yulan nie stracił swoich dzieci w rezultacie zarazy, jaka opanowała Fostin IX, Rusher zostałby na pokładzie „Przenikliwości”. Jednak żałoba generała przeszła w depresję, która poskutkowała „przemianą religijną” – został Odionitą, członkiem przerażającego, dążącego do śmierci kultu Lorda Sithów.

Rusher stał się podejrzliwy, kiedy generał zaczął lekceważyć zagrożenie, rzucając swoich żołnierzy na coraz bardziej niebezpieczne misje. Liczba ryzykownych sytuacji, a także procent żołnierzy porzuconych podczas wypełniania zadań wzrosły gwałtownie, co zaowocowało setkami uznanych za zaginionych w akcji. Wreszcie, kiedy Yulan ogłosił oficjalnie, że jego zespół ma pracować dla Lorda Odiona, Rusher powiedział „dość”. Cóż, Daiman przynajmniej wierzył w jakieś jutro – nawet jeśli dlatego, że mógł wygrać, zakładając się, że w ogóle nastąpi. A jeśli nawet tak zatwardziali goście, jak Krsaang, doszli do tego samego wniosku, sprawy musiały przybrać naprawdę kiepski obrót.

– Zaczekajcie tutaj, panowie – powiedział droid, zatrzymując się w oświetlonej kandelabrami sali. Na wschodniej ścianie, pod marmurowym łukiem pyszniły się tu dwuskrzydłowe, złoczone drzwi. – Jego lordowska mość uczestniczy teraz w konferencji ze swoimi innymi tworamami, ale na was także przyjdzie czas.

Toong przewrócił smutno oczami i spojrzął na Rushera.

– Dd... dobrze wiedzieć – wykrztusił.

– Ta-a, naprawdę czuję się jak wybraniec – mruknął Rusher.



Najemnicy zatrzymali się pod szerokim wejściem, rozplývając się w zachwytach i chwalać jeden przez drugiego bogactwo wystroju pomieszczenia. Rzeźby, obrazy, kandelabry – wszystko to było z pewnością cenniejsze niż cokolwiek, co widzieli dotychczas, stwierdziła Kerra. Tak czy siak, dzięki nim trafiła dokładnie tam, gdzie chciała. Bardzo starała się nie mącić toni Mocy, ale nie mogła przeoczyć mrocznej atmosfery, która promieniowała od strony drzwi – mógł tam być tylko Daiman i jego najbliżsi asystenci.

Nie miała jednak szans na bezpośredni atak – nie w sytuacji, kiedy tuż obok czekał oddział wojowników i strażników. Prześlizgując się obok ostatniego członka grupy – na oko czterdziestoletniego, rudobrodego mężczyzny w prochowcu, sprawiającego wrażenie całkiem rozgarniętego – Kerra skierowała się do kręconych schodów w lewym rogu pomieszczenia.

Trafiła do oświetlonego światłem świec korytarza, prowadzącego do szerokiego wyjścia. Na dźwięk kilku głosów ostrożnie ruszyła w tamtą stronę.

Dobrze trafiła – na końcu długiej, kryształowej kładki stał nie kto inny, jak Daiman – ten sam, który codziennie ogłaszał nastanie nowego dnia. Pomieszczenie wyglądało jak jego sala rozpraw na Chelloi, było jednak większe, bogatsze i zawieszono nad ziemią dzięki kładkom, tworzącym siedmioramienną gwiazdę. To była najdziwniejsza sala, jaką widziała dotąd w tym budynku.

A w dodatku... co ten pajac na siebie włożył?

Zatrzymała się w progu i westchnęła mimo woli. Jej oddech nie wpływał w żaden sposób na działanie kombinezonu, ale to nie miało znaczenia. Namierzyła centrum całego zamieszania dokładnie tam, gdzie się spodziewała: obok Daimana. Tym razem jednak zauważyła, że jego umiłowanie ażurowej architektury może zadziałać na jej korzyść. Gdyby udało jej się dotrzeć do centralnej platformy, to ta bomba domowej roboty mogła zadziałać znacznie więcej. Siła wybuchu powinna zburzyć kryształową konstrukcję kładek i platformy, rozbić ją na miliony kawałków. Kształt sali i forma sufitu mogły dobrze pokierować falą uderową, dzięki czemu Kerra zdobędzie szansę na ucieczkę.

Uznała, że to warte ryzyka.

Spojrziała w dół, żeby sprawdzić, kto jeszcze jest w pomieszczeniu. Spodziewała się oczywiście asystentów, śliniących się w tłumie, ale po chwili zauważyła po prawej stronie swojej kładki kogoś jeszcze – bothańskiego szpiega, przypiętego do obracającego się koła. Zaskoczył ją nie tyle jego widok w tym miejscu, co fakt, że nadal jest w jednym kawałku.

Cóż, przynajmniej na razie. Mimo to nie zazdrościła mu.

Jej uwagę przyciągnął teraz ktoś inny, stojący na drugim końcu kładki Daimana. Zaskoczona, zidentyfikowała go jako hologram kolejnego Lorda Sithów – Quermianina, Lorda Bactry. Górował nad zgromadzeniem mimo naturalnej wielkości postaci; biała, pomarszczona głowa chwiała się na długiej, chudej szyi.

Wiedziała o nim sporo, jeszcze z czasów, kiedy służyła Republice. Jakie interesy mogły łączyć Daimana z kimś takim jak Bactra?

Cóż, uznała, tak czy owak na pewno nie potrważą długo. Uspokoiwszy tłukące się dziko w piersi serce, Kerra weszła na kładkę.



– Dobrze jest znowu widzieć Lorda Daimana – mówił migotliwy, trójwymiarowy obraz Quermianina – szczególnie po wszystkich tych nieprzyjemnościach, o których słyszałem. – Niebieskawy wizerunek podniósł dłoń do dumnie uniesionego podbródka i się uśmiechnął. Druga para jego rąk ginęła w fałdach sutej peleryny.

Jak na bodaj najsprytniejszego Lorda Sithów w sektorze, pomyślał Narsk, Bactra całkiem nieźle rżnie głupa. Jak dotąd w rozmowie nie ujawnił ani słowem, że wie o zniszczeniu centrum badawczego na Darkknell, chociaż Bothanin był pewien, że jest doskonale o wszystkim poinformowany. Całe zamieszanie z Czarnym Kłem było chyba widoczne aż z orbity, pomyślał ponuro, a przecież nawet Sithowie, którzy nie okazywali wobec siebie otwartej wrogości, starali się mieć swoje interesy nawzajem na oku.

– Zakładam, że to ten tutaj osobnik jest sprawcą zamieszania? – zapytał Bactra.

– Tak, to sabotażysta. – Daiman nakierował unoszącą się w powietrzu holokamerę na Narska w jego wirującym więzieniu. – Rozpoznajesz go?

– Bothanin, jak widzę – zauważył Bactra; jego pozbawione warg usta ani na chwilę nie zmieniły kształtu. – Nie, nie znam go. Ale ten gatunek ma w zwyczaju mieszać się w sprawy, do których nie dorastają swoim poziomem.

Narsk przełknął ślinę – a raczej spróbował przełknąć. W tej chwili jedyną rzeczą powyżej jego poziomu były własne stopy.

Wiedział też, że mieszanie się w czyjeś sprawy było umiejętnością którą Ayanos Bactra wypracował do perfekcji bez niczyjej pomocy. Trzymał się z dala od konfliktu między Odionem a Daimanem, których włości graniczyły z jego własnym terytorium. Narsk wiedział, że Quermianin starał się schodzić wszystkim z oczu i unikać wyniszczających bitew z większością swoich sąsiadów. Zamiast tego wolał się skupiać na gromadzeniu dóbr niematerialnych, a dokładniej przedsiębiorstw. Kilka międzygwiazdnych spółek, które nadal działały w sektorze pod jurysdykcją Sithów, miało swoje siedziby w przestrzeni Bactry.

Wpływy Bactry pośród jego sąsiadów dyskretnie rosły. Mniej rozważny strateg wybrałby dostarczanie zaopatrzenia jednej albo drugiej stronie, ale Bactra doskonale rozumiał, że

niefrasobliwa stronniczość przysporzyłaby mu tylko wrogów. Sith liczył na to, że sprzedawcy broni będą handlowali nią po cichu ze wszystkimi stronami, więc Bactra robił to samo – otwarcie i równo traktując swoich kontrahentów. A kiedy rywalizujące ze sobą światy upadały i przestawały być pożytecznymi partnerami handlowymi, przestrzeń Bactry stawała się dla nich cichą bezpieczną przystanią. Chaos dobrze służył Bactrze.

Także teraz.

– Cóż... zakładam, że ten sabotaż naraził twoją wydolność technologiczną na szwank, Lordzie Daimanie...

– Tylko tymczasowo. – Daiman rozłożył się na pluszowej kanapie i zapatrzył w świetlik.

– Oczywiście. Jednak problemem mogą okazać się bliskie terminy – stwierdził ostrożnie Bactra. – Rozważ, co mógłbyś zrobić, i gdybyś miał rozwiązanie... tak jak ja.

– Industrial Heuristics?

– Otóż to. – Narsk wiedział, że Daiman niedawno wydał jednej ze spółek Bactry zezwolenie na prowadzenie rekrutacji na jego terytorium w zamian za część wyników badań, które mieli prowadzić jego uczeni. Teraz Bactra proponował Daimanowi coś bardziej namacalnego. – Z tego, co powiedzieli mi twoi asystenci, zamierzasz' rozważyć pogłębienie naszej współpracy, prawda?

– Nie widzę lepszego wyjścia – odparł Daiman. – Otrzymałem raporty, z których wynika, że mój brat szykuje budowę drugiego kompleksu produkcyjnego, jeszcze większego niż Szpic. – Usiadł, spowity wymiętą peleryną. – Odpowiedzią na to i właściwym rozwiązaniem jest arxeum. Potrzebuję go... i to szybko.

Obroty obręczy, w której uwięziony był Narsk, zwolniły tempo; Bothanin zastanowił się nad tym, co właśnie usłyszał. Znał tę nazwę. Arxea były wynalazkiem Industrial Heuristics – były to ni mniej, ni więcej, tylko mobilne uczelnie, w których wykładano nauki związane z rzemiosłem wojennym. Studenci nierzadko spędzali na pokładzie takiego arxeum całe swoje dorosłe życie, pracując nad stworzeniem nowych projektów wojskowych. Sprytnym rozwiązaniem była mobilność tych placówek. Dzięki temu przedsiębiorstwo! umożliwiało cennym placówkom zmienianie miejsca pobytu, na wypadek gdyby wymagały tego okoliczności.

Ale to, co sugerował Daiman, było czymś nowym. Industrial Heuristics zmieniało studentów w uczonych w wielu miejscach, ale zawsze na terytorium Bactry. Daiman prosił zaś o natychmiastowe dostarczenie funkcjonującego arxeum prosto do jego przestrzeni. Tym razem nie chodziło o wymianę informacji – ludzie Daimana mieli budować broń bezpośrednio dla niego.

Nieźle, pomyślał Narsk. Czarny Kieł budowano całe lata, a został zniszczony w ciągu kilku sekund. A Daiman właśnie znalazł sposób na zastąpienie go w ciągu kilku dni. Ciekawe, jaką cenę miał za to zapłacić?

Bactra szybko rozwiązał jego wątpliwości.

– Żądam udzielenia dostępu przez twoje terytorium, żeby zaatakować Vellas Pavo. To chwilowe; nie zamierzam utrzymywać tego świata długo. Sześć tygodni powinno wystarczyć.

Daiman gapił się na niego w milczeniu. Na Vellas Pavo nie panował żaden Lord Sithów, o ile Narskowi było wiadomo. Jasnowłosa Sith zerknął w dół, na swoją woostoidzką asystentkę.

– Po co mu to? – zapytał.

– Gadolin – wyjaśniła Uleeta, wyciszając na chwilę dźwięk w holo. – Jak oczywiście mój pan raczy wiedzieć, Bactra kontroluje trzy z czterech największych przedsiębiorstw produkujących nadprzewodniki w tym sektorze. Czwarte źródło czerpie gadolin z Vellas Pavo. – Uniemożliwiając im prowadzenie wydobywania, wyjaśniała dalej Uleeta, Bactra będzie mógł przejąć ich działkę rynku. – Jak oczywiście mój pan raczy wiedzieć – zakończyła swój wywód.

Daiman parsknął z rozdrażnieniem.

– Bactra nic a nic się nie zmienił. Udaje bezstronnego, licząc na zysk.

– Oczywiście, mój pan wie najlepiej...

Lord Sithów wstał z kanapy i podszedł do hologramu.

– Dostaniesz wolną rękę na poruszanie się przez moje terytorium – powiedział, kiedy znów aktywowano dźwięk. – Ale chciałbym, żeby rekrutów, których już tu zwerbowałeś, wcielono natychmiast do placówki, żeby mogli zacząć pracę najszybciej jak się da. Czy jest jakiś pograniczny świat, na którym mogłoby się odbyć spotkanie?

Teraz Bactra wytłumił na chwilę głos u siebie, zwracając się do kogoś poza kadrem.

– Mamy kilka placówek, które szybko mogą dotrzeć na twoje terytorium – powiedział w końcu. – Jest jedna w pobliżu Tergamenionu, inna niedaleko Alphoresis albo Gazzari...

– Gazzari – wybrał Daiman. – To brzmi nieźle.

Więzienna obręcz Narska nagle znów przyspieszyła. Tym razem, kiedy obrócił się do góry nogami, został w tej pozycji, wirując wokół własnej osi coraz szybciej i szybciej. Starając się nie stracić przytomności, Narsk poszukał wzrokiem jakiegoś punktu, na którym mógłby go skupić. Nie znalazł nic poza jedną z siedmiu ciemnych plam wyjść, prowadzących z Audytum, na krańcach kryształowych kładek. Im szybciej wirowało jego więzienie, tym szybciej migotała plama, dopóki mógł na niej zawiesić spojrzenie – na niej... i na kimś kryjącym się w jej cieniu – postaci żywej istoty.

Zamrugał, przekonany, że ma zwidy. Przeżył coś takiego tylko raz w Czarnym Kle – za każdym razem, kiedy patrzył na własne ręce.

Jedi!

– Jedi? – Daiman, zaskoczony, oderwał wzrok od hologramu i rozejrzał się po twarzach swoich zgromadzonych w dole wyznawców. – Który z was... – urwał, najwyraźniej zmieniając zdanie. – Zresztą nieważne.

Rama z Bothaninem obróciła się znów, tak że Narsk zastygł w pozycji horyzontalnej, a potem zwolniła. Więzień przełknął ślinę, starając się chronić własne myśli: Jedi miała

skafander maskujący! I przyszła tu – właśnie tutaj!

Nie zjawiała się bez powodu, a – co ważniejsze – tylko on to rozumiał. Młody Sith wiedział od kilku dni, że Narsk skorzystał ze skafandra maskującego, żeby zakraść się do centrum badawczego, i że Jedi mu go zabrała. Fakt, że tutaj była, oznaczał, że chociaż Daiman wiedział, że Jedi ma kombinezon, nie zorientował się, że zjawiała się w jego pałacu.

Pierwszy raz od czasu, kiedy został schwytany, Narsk zdołał przywołać na twarz cień uśmiechu. Co jest teraz warte słowo ostrzeżenia, wypowiedziane przez skazańca?

Cóż, może jeszcze uda mi się z tego wykaraskać, pomyślał.

ROZDZIAŁ 6

Kerra była wdzięczna skafandrowi maskującemu za jedno: nikt nie słyszał, jak przeklina pod maską.

Pewna, że nikt jej nie widzi, stała w wejściu i rozglądała się dookoła. Miejsce było... niesamowite. Nie było sposobu, żeby dotarła do Daimana, stojącego na przypominającej galerię platformie pośrodku wielkiej sali, i podłożyła ładunki. Nawet gdyby zdołała ukryć się w Mocy przed nim i Dyscyplinatorami w dole, ta idiotyczna peleryna Daimana rzucała dookoła ostry blask. Kerra nie miała pojęcia, jak zareaguje na to Mark VI.

W takim układzie miała jedno wyjście: przyczepić ładunki do czegoś i cisnąć je do środka. Nie była jednak pewna, czy wtedy zdąży wydostać się poza zasięg eksplozji, nawet jeśli zrzuci je w dół i zanurkuje do tyłu. Chciała powstrzymać Daimana, ale nie zamierzała poświęcać przy tym własnego życia, a obecność Bactry tylko utwierdziła ją w tym przekonaniu. Zamierzała położyć kres niegodziwemu panowaniu Lorda Sithów. Kiedy jednak tak stała w przejściu, dotarło do niej, że jest też inny powód, dla którego przybyła do przestrzeni Sithów: pragnęła zrozumieć. Co takiego sprawiało, że bracia walczyli ze sobą poświęcając przy okazji życie niezliczonych, niewinnych istot? Jaką rolę odgrywali w tym całym galimatiasie inni rzekomi Sithowie? Czy mogli powstrzymać całe to szaleństwo, rozpętane przez Daimana i Odiona, a może jeszcze pogarszali całą sprawę?

Przechyliła głowę. Dzięki masce swojego skafandra mogła słyszeć i widzieć, co działo się wokół niej, ale musiała mieć bezpośredni widok na mówiących. Daiman cały czas był w ruchu, a hologram znajdował się na odległym krańcu platformy. Musi tam dotrzeć.

Wbiegła z powrotem do korytarza, którym tu dotarła. Na tym poziomie do komnaty Daimana prowadziło sześć różnych wejść. Musiała istnieć jakaś droga do jednych drzwi po drugiej stronie. Ale jaka?

A niech to jasny szlag!



Narsk znów zerknął w stronę drzwi. Nie widział już Jedi, ale to nie miało żadnego znaczenia. Uznał w końcu, że ten widok był tylko złudzeniem – zwidem, za który obwinał światło, ruch i odbłaski rzucające przez kryształowe kładki.

Za jego plecami Bactra najwyraźniej dobijał targu z Daimanem. Ten ostatni mówił o

swoich planach podróży statkiem na Gazzari; zamierzał wylecieć na spotkanie mobilnego centrum badawczego. Słyszając, że Daiman kończy połączenie, Narsk zmusił się do wydobycia głosu z zaschniętego gardła. Tak czy inaczej, może miał jeszcze jakąś szansę na poprawę swojej...

Łup!

Bez ostrzeżenia runął w dół. Metalowa rama, do której był przytwierdzony, odbiła się od antygrawitacyjnej platformy i uderzyła o podłogę. Podeszło do niej dwóch gamorrekańskich strażników,, którzy chwycili za obręcz i popchnęli ją w kierunku wyjścia.

– Zabierzcie go stąd – dobiegł gdzieś z tyłu głos Daimana. Narsk obserwował bezradnie, jak tłum przepycha się obok niego do Adytum. Widział twarze dziwnych, obcych istot, jakich nigdy dotąd nie spotkał w Daimanacie.

– Chwila! – zaskrzeczał żałośnie; miał za bardzo ściśnięte gardło, żeby ktoś go w ogóle usłyszał. – Zaczekajcie!



Rusher nie zastanawiał się zbyt długo nad narzędziem tortur, które przetoczono obok niego, tak samo jak nad nieszczęsną przytroczoną do niego istotą. Inni Lordowie Sithów lubili robić takie rzeczy na pokaz, a Daiman najwyraźniej nie różnił się od nich pod tym względem. Brygadier obejrzał się obojętnie za siebie, na mamroczącego coś pod nosem Bothanina, za którym właśnie zamykały się drzwi. Nie chciałbym być na twoim miejscu, stary, zapewnił go w myśli.

Bardziej interesowało go to, co widział przed sobą: Lord Sithów stał na swojej kryształowej platformie, wymachując rękami nad okazałą planetą, zawieszoną przed nim w powietrzu – holograficzny obraz miał średnicę pięciu metrów. Gestykułując niedbale, Daiman obracał przykryty szarymi chmurami świat wokół osi, co jakiś czas dotykając obrazu swoim szponiastym palcem. Za każdym razem, kiedy to robił, na powierzchni miniplanety pojawiała się świetlista eksplozja.

Tygiel stworzenia, pomyślał refleksyjnie Rusher, rozglądając się po siedmiokątnej świątyni. Wszystko, co słyszał o Daimanie, okazywało się prawdą.

– Dywizjony specjalistyczne – odezwał się Daiman do zespołu generałów, nie patrząc nawet w ich stronę. – Opuśćcie Darkkneel o wschodzie słońca; każdy z was zostanie wysłany w inne miejsce. Cztery dni później zgromadzicie się tu, na Gazzari. – Obrócił znów wirtualną planetę i pogładził ją uzbrojonym w szpon palcem. Holograficzny świat zawirował w powietrzu, po czym runął w stronę marmurowej posadzki, żeby zatrzymać się przed Rusherem i resztą. Każde ze światel przebijających się przez chmury było oznaczone nazwą zapisaną w alfabecie Daimana. – Wyślecie swoje oddziały do punktów, które teraz widzicie. Zapamiętajcie je.

Kr'saang Togorianin zerknął krytycznie na hologram.

– Okej. Tu się gromadzimy. A gdzie wróg? – warknął.

– Odion przybędzie wkrótce – odparł wymijająco Daiman. – Postarałem się o to. Jeden z członków grupy, Nosaurianin, wydał z siebie serię skrzekliwych szczebiotów. Rusher nie znał co prawda jego języka, ale po tonacji rozpoznał pytanie.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie zbombarduje nas z orbity, zanim wylądujemy? Reagując na skinienie Daimana, towarzysząca mu Woostoidka podeszła do obracającego się leniwie hologramu.

– Lord Daiman stworzył Gazzari jako wulkaniczny świat, spowity chmurami popiołu – objaśniła łaskawie. – Wasze punkty rozmieszczenia będą niewidoczne, kiedy zjawi się Wielki Wróg.

Spowita mgłą poznaczona kraterami powierzchnia Gazzari była poprzecinana łańcuchami wysokich grani, między którymi płynęły szerokie strumienie – doskonałe miejsce na zasadzkę.

Brzmi cudownie, pomyślał z przekąsem Rusher. On i reszta najemników mieli tylko minutę na przyjrzenie się przypisanym im lokalizacjom, zanim obraz zniknął.

– Pułapka. Tego bym się spodziewał. – Kr'saang odwrócił się i pomaszerował na swoich potężnych, szponiastych łapach w stronę wyjścia.

Daiman obejrzał się na niego, wyraźnie zaskoczony.

– Co takiego?

Togorianin odwrócił się i wypiął zakutą w pancerz pierś.

– Tego właśnie się po tobie spodziewałem. Całkiem jak na Chelloi. Ludzie Odiona wciąż opowiadają sobie o tym różne historie. – Rusher zauważył, że reszta po cichu odsuwa się od kotowatego. To był niegłupi pomysł, uznał.

Reakcja Daimana była jednak zaskakująco łagodna.

– Oczekujesz sprawiedliwego traktowania, prawda? – spytał Sith.

– Oczekuję otwartej walki, a słyszałem, że ty takich nie prowadzisz. Wygląda na to, że to prawda. – Kr'saang sięgnął do złoconej gałki w drzwiach, ale w tej samej chwili na ich skrzydło padła tuż przed nim wielobarwna luna. Obejrzawszy się przez ramię, Togorianin zobaczył, że Daiman zdjął swoją lśniącą szatę i wyrzucił ją w powietrze – to ona rzuciła blask na drzwi. Uwolniony od ciężaru właściciel rzucił się w jego stronę. Togorianin zawirował, sięgając jednocześnie po swoje ostrze do pasa, ale za późno – tuż przed nim powietrze przecięła karmazynowa energetyczna klinga. Zanim jeszcze jego stopy dotknęły ziemi, Daiman poćwiartował potężnego obcego dwoma płynnymi cięciami.

Przez długą chwilę wpatrywał się z niezdrową fascynacją w krwawe szczątki u swoich stóp, aż wreszcie podniósł wzrok.

– Gdzie moja szata? – spytał z pretensją.

Jego asystenci zerwali się natychmiast na równe nogi i w ułamku sekundy podali mu

pelerynę.

– Kto to był? – spytał Lord Sithów, wyłączając miecz.

– Kr'saang – pospieszyła z odpowiedzią Uleeta. – Był dowódcą doborowych żołnierzy, jak mój pan oczywiście raczy wiedzieć. Jak wynika z naszego rejestru, specjalistycznej jednostki dwieście siedem, jego statek, „Dar'oosh”, stacjonuje na północnym krańcu starego placu defilad.

– Wyślij po niego Dyscyplinatorów.

Rusher skrzywił się. Wojownicy Kr'saanga właśnie stali się częścią armii niewolników Daimana.



– Mówię wam, że tu jest Jedi! Muszę porozmawiać z Lordem Daimanem!

Strażnicy, opaśli Gamorreanie, nie odpowiedzieli. Toczyli uwięzionego w okręgu Narska korytarzem, ignorując jego błagania i groźby. Bothanin zastanawiał się przez chwilę, czy to może właśnie dlatego tak łatwo udało mu się dostać do Czarnego Kła – że Daiman zatrudnił u siebie tylko głuchych.

Bardziej jednak prawdopodobne, uznał, wsłuchując się w ich gardłowe pochrząkiwania, że po prostu nie rozumieli basica. Postanowił sprawdzić tę teorię, wypowiadając pod ich adresem bardzo nieprzychylną uwagę na temat gamorrekańskich samic. Nieprzerwany strumień pomrukiwań utwierdził go w przekonaniu, że miał rację – nie było sensu z nimi rozmawiać.

W pewnym momencie skręcili z głównego holu i wprowadzili koło z Narskiem do bocznego korytarza, którego przeciwległy koniec pogrążony był w ciemności. Przez jakiś czas Bothanin czuł tylko wstrząsy wywołane toczeniem się koła po płytkach posadzki. Uznał, że strażnicy prowadzą go z powrotem do lochów.

A potem został sam.

Zamrugał, zaskoczony. Gamorreanie po prostu oparli jego więzienie o ścianę i odeszli. Wyciągał szyję we wszystkie strony, starając się coś zobaczyć. Nic z tego.

Minęło jakieś pięć minut.

– Zostawiacie mnie? Ot, tak sobie? Świetnie! – Jeśli to miał być jakiś nowy rodzaj tortur, to zadziałał. Narsk zżymał się i złorzeczył. Wiele dni bez jedzenia i z taką tylko ilością wody, żeby mógł mówić. Dni gwałtów psychicznych ze strony monomaniaka i jego sługusów. A dziś, na okrasę, turlanie go – całkiem jakby był dziecięcą zabawką – we wszystkie strony. Wszystko to razem wzbierało, aż wreszcie tama się przerwała; strumień wściekłości i goryczy znalazł ujście przez usta Bothanina, zmieniając się w stek przekleństw...

...dopóki nie zatamowała go niewidzialna ręka. Poczul w umyśle obcą obecność, która zaszczepiła mu słowa: zamknij się!

Zaskoczony, poczul, że rama, na której jest rozpięty, znów zaczyna się obracać. Napędzana

przez – jak się wydawało – niewidzialną siłę, toczyła się zaciemnionym holem, a potem opustoszałym korytarzem serwisowym. W pewnej chwili drzwi za nim zamknęły się; zauważył, że jest w małym, słabo oświetlonym składziku. Domyślał się, że to zaplecze jednej z niezliczonych jadalni, przez które go wcześniej prowadzono.

Ruch ustał, ale tym razem nie gwałtownie – koło oparto łagodnie o ścianę. Narsk uśmiechnął się pod nosem.

– Mam nadzieję, że przyszałaś zwrócić mi moją własność – mruknął.

– To zależy – powiedziała Kerra, zdejmując maskę – od tego, co mi powiesz, i jak szybko to zrobisz.



Szczątki Togorianina leżały nietknięte na podłodze świątyni. Daiman włożył jakby nigdy nic swoją pelerynę, a generałowie rozstąpili się, żeby go przepuścić.

– Odleciecie na Gazzari za cztery dni – podjął Sith. – Przybędą tam poza wami inne statki. Pozostańcie na swoich pozycjach i nie przeszkadzajcie im. – Machnął ręką i w powietrzu pojawiło się więcej hologramów.

Rusher przyjrzał się im uważnie. Były wśród nich cztery transportowce pasażerskie, każdy opatrzony logo Industrial Heuristics, a także znacznie większa jednostka. Dryfujący pęczek połączonych razem wież, przypominający miniaturowe miasto, nosił znaki wzbijającej się w niebo strzały, symbolizujący „fabrykę intelektu” Słyszał o tej spółce, kiedy jeszcze pracował na terytorium Bactry, Kilku z jego ludzi uczyło się tam nawet swojego fachu.

– Arxeum – zgadł. – To coś w rodzaju szkoły wojskowej, prawda?

– Tam też będzie szkolony nasz personel. Zjawią się pierwsi, przed przylotem placówki. A wtedy – dodał konfidencjonalnie Daiman – przybędzie Odion.

Rusher aż się wzdrygnął. Co u...?

– Przybędzie, żeby zniszczyć placówkę, którą przyśle Bactra – dodał Daiman. – A przynajmniej spróbuje to zrobić. Na pewno dowie się ojej przylocie. – Nie wyjaśnił, skąd. – Będzie też wiedział, że wyślemy tam naszych młodych, nowych kandydatów, którzy mają być do niej przyjęci. Industrial Heuristics prowadziło ostatnio otwartą rekrutację na Darkknell, a mój brat ma tutaj swoich szpiegów – wyjaśnił, machając nonszalancko ręką w stronę wejścia. – Kiedy tu wchodziliście, spotkaliście jednego z nich.

– A więc chcesz użyć centrum szkoleniowego jako przynęty – powiedział Rusher, wpatrując się w gałkę swojej laski. Lśniła, kiedy okręcał ją wokół własnej osi.

– I studentów, tak?

– Owszem. – Daiman wrócił na środek pokoju. – Odion nie zaatakuje, dopóki placówki będą w rękach Bactry. Zaczeka, aż dojdzie do przekazania, żeby ta strata uderzyła we mnie, nie w niego. – To by było typowe dla Odiona działanie, uznał Daiman, ale jak zawsze, to on

był lepszym graczem. – Musi zobaczyć rekrutów I czekających tam na statek, żeby nabrał pewności i odwagi w działaniu.

– A co, jeśli nie chwyci pp... przynęty? – wyjąkał Mak.

– Chwyci – zapewnił go Daiman. – Już ja się o to postaram. – Wykonał nieznaczny gest i z kryształowej platformy na środek pokoju spłynęły lśniące schody. Ledwie postawił na nich stopę, a rozległ się głos:

– Nie jestem pewien, czy mi się to podoba. Daiman zastygł w pół kroku.

– Co takiego?

– Powiedziałem, że nie jestem pewien, czy mi się to wszystko podoba – powtórzył Rusher, mocniej zaciskając dłoń na gałce swojej laski. Na widok spanikowanej miny Maka wzruszył ramionami. Sam nie wiem, co właściwie robię, mówił jego wzrok. – Zamierzasz rzucić dzieci na pole walki i narazić je na atak.

– Żądam też, żebyście robili to, co wam każę. – Daiman lekko przechylił głowę, poirytowany. – Jak się nazywasz?

– Brygadier Jarrow Rusher. Dowodzę ośmioma dywizjonami średniej artylerii, broni laserowej i raketowej. Służę dla ciebie od wielu lat – powiedział – jestem jednak wolnym strzelcem...

– Jak właśnie się przekonałeś, nie ma czegoś takiego. – Głos Daimana miał temperaturę zdecydowanie poniżej zera.

Rusher przełknął ślinę. Czuł na sobie gniewne spojrzenia sług Lorda Sithów i widział, jak inni dowódcy odsuwają się od niego. Koledzy, pomyślał gorzko.

– Nie jesteśmy częścią twojego wojska, Lordzie Daimanie.

– To można naprawić – wycedził Sith przez zaciśnięte zęby. Jego obleczeni w purpurę Dyscyplinatorzy postąpili naprzód, ale Sith odprawił ich machnięciem ręki. Ta chwila należała do niego. – To ja cię stworzyłem, brygadierze – powiedział pompatycznie, podnosząc uzbrojoną w metalowe szpony rękę. – A więc masz działać zgodnie z moją wolą.

Szarpnięty w powietrze niewidzialną siłą Rusher zawisł kilka metrów nad ziemią. Jego laska upadła z głuchym grzechotem na marmurową podłogę, kiedy dowódca kurczowo sięgnął do gardła. Nic tam nie było, a jednak czuł obecność dłoni Daimana – włącznie z wbijającymi się w kark szponami. Dygocząc jak w febrze, brygadier zakasłał spazmatycznie i spróbował wykrztusić:

– R... robię tylko... to... do czego mnie stworzyłeś...

Uścisk zelżał nieco. Wciąż zawieszony w powietrzu Rusher przyglądał się, jak Daiman podchodzi i podnosi na niego dwubarwne oczy.

– Słucham?

Myśli Rushera pędziły jak szalone, a usta starały się za nimi nadążyć:

– Utrzymywanie autonomicznych sił zbrojnych było twoim pomysłem. Zostaliśmy stworzeni w konkretnym celu... w twoim celu!

Daiman opuścił dłoń i jego ofiara runęła na podłogę. Sith zmarszczył z rozbawieniem jasne brwi.

– Powiedz mi w takim razie, co to za cel – poprosił ze złośliwym uśmiechem. Ignorując palący ból w piszczeli, w którą uderzył się podczas upadku, Rusher z trudem podźwignął się na kolana.

– Wyglądamy inaczej. Nie możesz wysłać swoich regularnych wojsk na Gazzari, nie uprzedzając przy tym Odiona, że to pułapka..

– Każdy statek można zamaskować! – zaprotestował Daiman.

– ...a prawda jest taka – ciągnął Rusher, niezrażony – że wolisz wynajmować niż mieć na własność!

– O czym ty, do licha, mówisz?!

– Mówię, że masz ważniejsze rzeczy na głowie – wyjaśnił Rusher, wstając z podłogi. – Prowadzenie brygady artylerii wymaga dopilnowania zbyt wielu szczegółów...

– Szczegółów, które sam zaprojektowałem!

– I właśnie w tym cały problem – zapewnił go Rusher, przywołując na twarz swój firmowy uśmiech. – Stworzyłeś w swoim wszechświecie tyle komplikacji, Lordzie Daimanie, że nam, słabszym istotom, trudno jest im podołać. Nie wszystkie istoty organiczne są do tego zdolne. – Uderzył się w pierś. – Stworzyłeś nas jako specjalistów, którzy potrafią sobie radzić z tymi systemami, a także z własnymi obowiązkami, dla jak największej skuteczności. Jesteśmy jak wszystko, co stworzyłeś, aby działało zgodnie z twoją wolą – dodał – tylko... troszeczkę inni.

– Zakończywszy swoją przemowę, z lękiem przyjrzał się Lordowi Sithów, świdrującemu go wzrokiem. Jego oczy naprawdę wyglądają jak te gwiazdy, pomyślał ze zdumieniem. Obejrzał się za siebie i poszukał swojej laski. – A wiesz, co jest w tym najbardziej niesamowite? – spytał, kiedy ją znalazł. – Że to wszystko działa. Ta cała różnorodność, którą wprowadziłeś do swojego wszechświata, to naprawdę coś. Prawdziwy geniusz. – Podniósł znów wzrok na Daimana. – Jak oczywiście mój pan raczy wiedzieć.

Daiman stał w milczeniu pośród swoich generałów i Dyscyplinatorów. Wreszcie przemówił:

– Macie swoje przydziały. Wasze statki wkrótce zostaną zaopatrzone w paliwo i amunicję.

– Odwrócił się w stronę schodów. – A teraz żegnam.

Strażnicy otworzyli drzwi sali, a generałowie pospiesznie rzucili się w stronę wyjścia, bez ceregieli przełączając nad szczątkami Togorianina.



– A ty gdzie byś się udał? – Kerra podniosła maskę i zwróciła się w stronę Bothanina, nadal rozpiętego na ramie. Wydawał się rozdrażniony jej pojawieniem się, tak samo jak ona przedtem jego niechęcią do rozmowy. Zgodził się wreszcie na wymianę informacji za

wolność – i to dopiero wtedy, kiedy zostanie uwolniony.

– Pomaganie Jedi nie leży w moim interesie – powiedział.

A w moim interesie nie leży uwalnianie sithańskich szpiegów, pomyślała Kerra. Na dźwięk coraz bliższych głosów wycofała się do korytarza – w samą porę, żeby zobaczyć, jak petenci Daimana opuszczają siedmiokątną świątynię i kierują się każdy w swoją stronę.

Jeśli sam Sith szedł przed nimi, to go nie zauważyła. Ale gdzie indziej mógłby być?

– Gdzie on się wybiera? – chciała wiedzieć.

– Mogę ci odpowiedzieć na to pytanie – stwierdził ostrożnie szpieg. – Ale na ustalonych zasadach.

Kerra jęknęła cicho. Nie widząc innego wyjścia, podjęła decyzję.

– Chwila – mruknęła.

– Zaczekaj! – zaprotestował Bothanin, widząc, co się szykuje. – O rany! Jedi znów wprawiła koło w ruch, z najwyższą ostrożnością tocząc je przez magazynek. Kuchnia obok sprawiała wrażenie, jakby nigdy nie przygotowano w niej żadnego posiłku, a jednak spiżarnia była zastawiona świeżymi artykułami spożywczymi i sprzętem kuchennym. A tam na zewnątrz wszyscy harują na trzy zmiany za rację żywnościową pomyślała z goryczą Kerra.

– Czy to naprawdę konieczne? – marudził Bothanin. – Zdejmij mnie z tego!

– Chwileczkę. Wydostanę nas stąd, a ty przecież nie dasz rady się skradać – wyjaśniła. – A teraz... co z Daimanem?

Bothanin znów zaczął narzekać, ale wreszcie mruknął:

– Leci na Gazzari. Na pokładzie „Ery Daimanos”.

– Gazzari? – Kerra zmarszczyła brwi. Wróciła myślą do raportów wywiadu, z którymi miała okazję zapoznać się podczas służby w Republice. Planeta znajdowała się na terenie należącym do Daimana, z obu stron otoczonym włościami Bactry i Odiona. – Czy to ma coś wspólnego z działalnością Bactry?

– Tak – potwierdził szpieg.

– A konkretnie?

– Powiem ci, kiedy będziemy na zewnątrz.

Kerra podkrađła się do okna i wyjrzała. Na dachu jednej z części kompleksu stał okręt flagowy Daimana, „Era Daimanos”. Trapy były opuszczone, a silniki właśnie odgazowywano – statek najwyraźniej przygotowywał się do startu.

Kerra zajrzała do swojej sakwy. Ładunki nadal tam były, bezpiecznie ukryte pod ubraniami i mieczem świetlnym. Cóż, pomyślała, może faktycznie łatwiej byłoby pozbyć się Daimana na pokładzie statku... Chociaż świątynia wydawała się kuszącym celem, nie zapewniała dobrych dróg ucieczki z miejsca, które było w istocie centralą Dyscyplinatorów. O ileż łatwiej byłoby obalić reżim z bezpiecznego zacisza kapsuły ratunkowej, wystrzelonej ze statku... i miło by było – dla odmiany – zrobić coś niezbyt skomplikowanego...

Zamknęła sakwę i wróciła do rozpiętego na kole Bothanina. Na jej widok odezwał się:

– Wyśpiewam ci całą resztę, ale musisz mnie ze sobą zabrać...! nieważne, gdzie się wybierasz. – Głos drżał mu od natłoku emocji, tak jak wtedy, na placu, tamtej nocy. – Mam teraz wobec Daimana dług, Kerro. Musisz mnie ze sobą zabrać.

– Nic z tego.

– Co?

Holt otworzyła kopniakiem drzwi i chwyciła ramę koła.

– Nie współpracuję z Sithami. Ani z tymi, którzy dla nich pracują.

– Ale przecież mówiłem ci, że nie...

– A ja ci powiedziałam, że jest tylko jeden sposób na wydostanie się stąd – weszła mu w słowo, popychając jego więzienie i kierując je w stronę drzwi z falistego metalu. Otworzyła je z głuchym stęknieniem. Wychodziły na długi, kamienny korytarz, prowadzący w dół poza twierdzę Daimana, a kończący się na rumowisku u stóp muru z południowej strony.

– Nie! – Na widok przepastnego, stromeego korytarza szpieg zaprotestował w panice. – Nie rób te...

– Jeśli cię to pocieszy – przerwała mu bezceremonialnie – to wątpię, czy te więzy przetrwają lądowanie. Nie wiem dlaczego, ale wygląda na to, że strażnicy je poluzowali. – Podprowadziła koło do progu.

W oczach Narska zapłonął słuszny gniew.

– Pożalujesz tego, Jedi. Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz!

– Pa, pa! – Pchnęła koło w dół.



Tylko Mak pofatygował się, żeby zaczekać na Rushera. Tym razem naprawdę robiąc użytek z laseczki, brygadier minął strażników w bramie i obejrzał się na czarne mury wznoszące się za jego plecami. Spostrzegł, że tak umiłowane przez Daimana słońca właśnie zaszły. Załoga „Gorliwości” nie będzie miała zbyt dużo czasu na spakowanie manatków i na start. Dackettowi na pewno się to nie spodoba.

Nie było mowy o tym, żeby odmówili wykonania tego zlecenia – przynajmniej jeśli Rusher miał zamiar jeszcze kiedyś postawić stopę w przestrzeni Daimana. A przecież nigdy nic nie wiadomo, prawda? Jeśli spisek Daimana wypali, całkiem możliwe, że jego wpływy powiększą się szybko o sąsiednie terytoria...

Mak spojrział na niego i uśmiechnął się pod zadartym nosem.

– Serio, Rusher? „Wolałbyś wynajmować, niż mieć na własność”?

– Tak mi się skojarzyło – mruknął Rusher, rozcierając obolałą nogę. Drobne skręcenie; szybko je rozchodzi. – To cytat. Admirał Veltraa powiedział to o nieregularnych jednostkach dawno temu – wyjaśnił. Cóż, czasem znajomość historii popłaca.

– Przez chwilę myślałem, że nagle ci się oo... odwidziało.

– Spokojna twoja łepetyna, Mak. Nie zamierzam wskoczyć w złotą zbroję i zacząć śpiewać pochwalne hymny na cześć Daimana.

Nagle ich uszu dobiegł mrozący krew w żyłach wrzask; dochodził z prawej strony. Rusher zlustrował uważnie wały, ale niczego nie zauważył. Gdy okrzyk umilkł, brygadier owinął się szczelniej prochowcem.

– Co za zwariowane miejsce... – westchnął.

– A jego właściciel najbardziej zwariowany ze wszystkich – szepnął Mak, teatralnie zasłaniając usta dłonią. – Ten cały interes mi śś... śmierdzi.

– No, nie wiem – westchnął Rusher, podnosząc kołnierz. – Będziemy musieli stawić czoło Odionowi. A jego hołdujący śmierci wyznawcy mają zostać wysadzeni w powietrze. To mi wygląda na szybką robotę.



„*Era Daimanos*” był okrętem flagowym Daimana właściwie tylko z nazwy. Kerra widywała większe i potężniejsze statki we flocie młodego Lorda, tymczasem „*Era*” była raczej czymś w rodzaju skrzyżowania okrętu z jachtem. Ale to właśnie na jej pokładzie podróżował Daiman i ten niefortunny zbieg okoliczności zapewniał jej zaszczytne miano okrętu flagowego.

Kerra była zaskoczona, jak łatwo udało jej się dostać na pokład statku przed przybyciem świty Daimana. Dając sobie spokój z kluczeniem po labiryntach pałacu, znalazła sposób, by wspiąć się na dach. Stąd miała już tylko kawałek do przebycia w skafandrze maskującym. Zanim zjawiła się pierwsza grupa tragarzy z ekwipunkiem Daimana, siedziała już bezpiecznie w kryjówce na terenie przedziału serwisowego pod okratowaniem pokładu.

Tunel serwisowy był dość ciasny, ale znalazła kilka odchodzących od niego odnóg, prowadzących do innych części statku. Z ulgą się zorientowała, że jedna z nich prowadzi do nieużywanego kambuza, co oznaczało, że będzie mogła spokojnie wszystko przygotować i wybrać najlepszą chwilę na atak. W tunelu nie będzie też musiała nosić cały czas skafandra maskującego. Miała nadzieję, że Daiman nie przewozi ze sobą na pokładzie zbyt wielu adeptów wyczulonych na uczucie nienawiści, bo z każdą minutą nienawidziła przekłętego wdzianka coraz bardziej.

Zatrzymawszy się w pobliżu kratownicy głównego pokładu, aktywowała czujniki audio kombinezonu. Słyszała teraz głosy Daimana i jego woostoidzkiej asystentki, którzy szli gdzieś w asyście strażników.

– ...jak mój pan zapewne raczy doskonale wiedzieć – mówiła Woostoidka – bothański szpieg zniknął. Gamorreanie zostawili go, tak jak im rozkazano, ale kiedy wrócili, już go nie było.

– Twój pan wie o tym – mruknął pod nosem Daiman. – Wiedziałem, że znajdzie sposób, żeby wydostać się z pałacu, kiedy go zostawimy. Sprytna mała bestia. Interesujące.

Ukryta pod podłogą Kerra zesnurowała usta. Tak jak myślała, Gamorreanie poluzowali więzy, którymi Bothanin był przywiązany do ramy, zanim go zostawili... Ale to się nie trzymało kupy!

Na dźwięk odpalanych silników wyteżyła słuch, żeby usłyszeć ostatnie słowa Daimana, zanim ryk całkiem je zagłuszy: – Wszystko idzie zgodnie z moim planem. Spojrzała na ładunki wybuchowe ukryte w jej sakwie i uśmiechnęła się drapieźnie. Zaczekaj, Mroczny Lordzie, zobaczymy, czy zaplanowałeś sobie wyjście cało z tego, co dla ciebie przygotowałam! – pomyślała.

ROZDZIAŁ 7

Stratowana ziemia była najeżona wieżyczkami z sarrassiańskiego żelaza, skierowanymi ukośnie w dół. Stojący w bocianim gnieździe na kadłubie „Gorliwością” Rusher patrzył z dumą na rozciągający się w dole widok, zastanawiając się, czy tak właśnie czują się oglądający swoje dzieło ogrodnicy.

Z tą niewielką różnicą że on, zamiast pielęgnować życie, zbierał żniwo śmierci. Tak czy inaczej, pasowało to do przestrzeni Sithów całkiem nieźle.

Kilka godzin wcześniej ciągnęły się tu jak okiem sięgnąć rdzawe pasma gór, niezamieszkałe przez istoty organiczne. Teraz wschodnią grań doliny znaczyły rzędy działek, ustawione wewnątrz pola stałagmitów przez jego uwijającą się jak w ukropie załogę. Rusher przyjął makrolornetkę od jednego ze swoich ludzi i spojrział znów na zbocze. Na północy rozstawiono długie nosauriańskie działka, ósemki typu Brock. Nieco niżej Mak ustawiał swoje droidy w równym szyku – co nie było łatwe, zważywszy na liczne polodowcowe szczeliny w podłożu.

Rusher rzadko działał w tak niesprzyjającym terenie. Dolina była dawnym kraterem o średnicy kilku kilometrów; obstawiane przez nich zbocze stanowiło część wschodniej grani, noszącej ślady co najmniej kilku wstrząsów tektonicznych i uderzeń meteorów.

Dziwne odłamki skał sterczały z krawędzi, przez co niezwykle trudno było znaleźć dobre miejsce do posadzenia „Gorliwością”. Rusher domyślał się, że te twory były efektem działania kwaśnych deszczy, wywołanych przez te same wulkany, których wyziewy spowijały glob Gazzari. Wyglądało na to, że pogoda występuje tu tylko w dwóch wariantach: deszczu albo opadów popiołu. Obserwując poczerńiałe płatki wirujące na wietrze, brygadier cieszył się, że trafili na ten drugi wariant. Nie miał specjalnej ochoty moknąć na deszczu zdolnym wyszczerbić krater.

W dole widział skutki działania obydwu typów pogody. Dno krateru było pokryte lepka mazią ciągnącą się lśniąca powierzchnią aż do przeciwległej grani. Daiman posadził swój statek na północnej ścianie krateru; w tej chwili jego elitarni żołnierze wnosili na ścianie niecki tymczasowe konstrukcje. Cóż, w każdym razie próbowali wznosić. Szlam był głęboki po kostki. Rusher widział, jak Daimanicy się w nim taplają jak muchy w smole, jednak sam pomysł był, jego zdaniem, niegłupi. Stawiając fałszywe namioty i sztuczne magazyny, Daiman wprowadzał w błąd każdego, kto zamierzał tu wylądować, utwierdzając go w przekonaniu, że teren się do tego nadawał. A czas stracony przez ludzi Odiona na

wygrzebywanie się z blocka da jego oddziałom przewagę nad wrogiem. Planeta sprawiała wrażenie, jakby została stworzona specjalnie z myślą o zastawianiu na niej pułapek.

Oczywiście, Daiman powiedziała by zapewne, że to on stworzył ją w tym celu, pomyślał Rusher, rozcierając kark.

Spojrzał znów w stronę swoich ludzi. Traktował rozmieszczenie sił jako studium naukowe, ale na oko cały proces miał pozory jakiegoś dziwnego tańca. Posadzili „Gorliwość” na placu między kamiennymi iglicami o wysokości kilku metrów – wystarczającej, żeby zasłonić przed niepowołanym wzrokiem rozładunek sprzętu, a Wylądowawszy na płaskim terenie, który umożliwiał łatwiejszą pracę, aktywowali cenne podnośniki hydrauliczne, aby pochylić dziób przedziału pasażerskiego w dół. Dzięki temu Rusher miał lepszy widok na dolinę z umieszczonego na szczycie statku centrum dowodzenia.

Póki wróg nie dotarł jeszcze do granic układu, praca trwała w najlepsze. Trapy „Gorliwości” zostały opuszczone; kiedy utworzyły się dwie grupy transportowe, ze środka wynurzyło się jednocześnie osiem dywizjonów. Najpierw na zewnątrz pojawiły się oddziały uzbrojonych w karabiny żołnierzy. Za nimi wylecieli na swoich skuterach repulsorowych zwiadowcy, by zbadać teren i sprawdzić go w poszukiwaniu min.

Po nich wynurzyli się majorowie (Rusher zawsze lubił stary, republikański system rang) z ich centralkami, prowadzący bezustanne rozmowy na temat stref rozmieszczenia z obserwatorami na kadłubie „Gorliwości”. Jako ostatnie wyjechały z ładowni potężne maszyny, majestatycznie tocząc się na ciężkich podwoziach, by przetransportować długie lufy na zewnątrz statku.

W brygadzie Rushera nie było zespołu montażowego ani nawet strzelców, skoro już o tym mowa. Pod względem specjalizacji Rusher był bardzo zasadniczy. Każdy twórca broni był również zobowiązany do jej obsługi, a ten, kto chciał się pobawić w strzelanie, musiał wcześniej zbudować własne stanowisko ogniowe i rozebrać je, kiedy już cała impreza się skończyła. Działa artyleryjskie były wystarczająco skomplikowanym sprzętem; to dlatego na każdym etapie ich obsługi wymagano szczegółowej znajomości ich funkcjonowania – od budowy, poprzez strzelanie, aż po naprawę. Tego właśnie Rusher nauczył się od starego, dobrego Yulana, kiedy jeszcze można się było z nim dogadać. Jeśli strzał z turbolasera wysłał w niebyt połowę twoich ludzi, wolałeś nie stracić tych, którzy wiedzieli, jak oddać wrogowi... albo jak szybko zebrać manatki i zwijać się w te pędy.

Mimo to od czasu do czasu pojawiał się jakiś element, ogólnie rzecz biorąc, trudny do zastąpienia. Usadowiony na wsporniku ładowni, krzycząc bezgłośnie na uwijające się jak w ukropie zespoły, Rusher właśnie zobaczył jeden z takich elementów: to pierwszy oficer Ryland Dackett sprawiał, że cały proces przygotowania do walki robił wrażenie starannie zaplanowanej choreografii, a nie chaotycznej bieganiny. Całe życie spędził, pomagając Sithom zestrzeliwać innych Sithów. Samo to, zdaniem Rushera, byłoby wystarczającym powodem, żeby nadać Dackettowi miano honorowego Jedi. Tym razem, jak zwykle, widać

było efekty jego pracy. Wszystko szło jak po maśle. Inżynier Novallo doglądała ustawienia topornych wsporników statku. Tun-Badon, lekko przerażający Sanyassanin, stojący na czele Dywizjonu Serraknife, wyciskał ze swojego zespołu siódme poty; nic dziwnego, że to właśnie oni zawsze byli gotowi ze wszystkim pierwsi. Tym razem bili chyba własne rekordy – i to pomimo koszmarnego terenu do prowadzenia takich działań.

W pewnej chwili uwagę Rushera przykuło światło na północnej ścianie krateru. Kiedy nakierował w tę stronę makrolornetkę, zobaczył Daimana wysiadającego z „Ery Daimanos”. Nie miał już na sobie świetlistej szaty, którą nosił dzień wcześniej. Teraz był ubrany skromnie: w błękitny kaftan i skórzane, obcisłe spodnie, wpuszczone w wysokie buty. Strój do walki, ocenił Rusher. A może po prostu Lord Sithów uznał, że pogoda jest zbyt kiepska na ozdobną pelerynę?

Odrywając wzrok od opuszczającej statek załogi Daimana, Rusher przez moment miał wrażenie, że dostrzegł jakiś ruch na jednym z trapów ładunkowych okrętu... Wydało mu się, że coś zawirowało pośród opadającego popiołu, niczym przejrzyste widmo.

Skupił wzrok i przeskanował to miejsce uważnie jeszcze raz. Nic. Odjął makrolornetkę od oczu i postukał nią dwukrotnie o barierkę.

– Sprawdźcie ją – polecił, przekazując urządzenie jednemu z przybocznych. – Jeśli jest coś, czego będę dziś naprawdę potrzebował, to niezawodny sprzęt.



To była najbardziej frustrująca podróż, jaką Kerra miała okazję odbyć, odkąd przebywała w przestrzeni Sithów. Wiedząc, że Daiman zaokrętował się na Darkkneel, założyła, że zdoła go namierzyć, po prostu odnajdując największe pomieszczenie na statku. Okazało się, że była w błędzie. Na pokładzie „Ery Daimanos” brakowało zbyt dobrych miejsc na podobieństwo tego w kompleksie w Xakrei.

W swoim zakładzie słyszała plotki, że Daiman ponoć nie przepada za podróżami kosmicznymi. Kerra nie posądzała go o słaby żołądek; może rzekomy stwórca kosmosu po prostu nie czuł się na siłach, by oglądać go z tak bliska? Tak czy inaczej, było to wyjaśnienie równie dobre jak każde inne, zważywszy na fakt, że nie natrafiła na ślad Sitha w żadnym z głównych pomieszczeń z widokiem na przestrzeń kosmiczną. Nie sprawiał wrażenia osoby, która zaszywa się podczas podróży w komorze medytacyjnej, ale po trzeciej dobie spędzonej na pokładzie statku Kerra zaczęła się w desperacji rozglądać nawet za takim pomieszczeniem.

Niestety, na próżno. Może drań hibernuje się w jakiejś specjalnej kapsule, żeby zachować... świeżość, pomyślała z rozbawieniem.

Gorzej, że chociaż opustoszałe korytarze zdawały się rozchodzić dosłownie w każdym kierunku, żaden z nich nie prowadził najwyraźniej w stronę reaktorów. Ale może tak było lepiej? Na „Erze” nie brakowało kambuzów, ale znacznie gorzej było z kapsułami

ratunkowymi. Najwyraźniej projektanci wyszli z założenia, że w sytuacji zagrożenia liczy się tylko życie Daimana. Nie było więc szans na wysadzenie statku i ucieczkę.

Tak więc pozostało jej tylko czekać. Paczuski z azotynem baradium już niedługo będą ładunkami, które przebyły najdalszą trasę w historii wojen partyzanckich.

Czwartego dnia, kiedy „Era” podchodziła do lądowania, Kerra zaczęła się obawiać, że tak naprawdę Daimana wcale nie było na pokładzie. Kiedy więc dotarła do trapu rozładunkowego, z ulgą powitała widok wywieszzonego na zewnątrz sztandaru z wizerunkiem uzbrojonego w siedem macek słońca – godła Lorda Sithów.

Kilkaset metrów dalej, na nierównym gruncie Gazzari, łopotał na wietrze kolejny taki sztandar, ustawiony przed sklepionym namiotem, wzniesionym wśród strzelistych iglic. Kerra zauważyła kręcących się w pobliżu kilku sługusów Daimana, aż wreszcie jej oczom ukazał się sam wyelegantowany Sith. Jego kwatery główna wydawała się znakomitym celem – w sam raz dla jej ładunków. Kiedy rozejrzała się po okolicy, na wschodniej grani krateru zobaczyła jeszcze kilka innych statków dokujących na wyżynie – całkiem sporo potencjalnych środków transportu, które po wszystkim mogła wykorzystać do ucieczki. Nareszcie sprawy zaczynały iść po jej myśli.

A przynajmniej tak jej się zdawało. Teraz, kiedy wylądowali, Kerra uświadomiła sobie, że może być gorzej niż podczas lotu. Kombinezon Mark VI, który pomógł jej przetrwać podróż i zwiedzanie pałacu Daimana, był tu prawie całkowicie bezużyteczny. Drobne płatki wulkanicznego pyłu, dryfujące w powietrzu, najwyraźniej zapalały nagłą miłością do jej skafandra, bo lgnęły do niego jak muchy do miodu. A może nie do niego, a do niej? Tak czy inaczej, z jakiegoś niezrozumiałego powodu popiół osiadał tylko wtedy, kiedy kombinezon był aktywny, a to czyniło go kompletnie nieprzydatnym. Po pięciominutowym spacerze po powierzchni Gazzari Kerra wyglądała niczym nieduży Talz, pokryty zamiast sierści białym pyłem, z dziwną maską w miejscu trąbki.

Nieważne, czy mnie zobaczą czy nie, pomyślała butnie, nurkując za osłonę rampy rozładunkowej. Nie zamierzam zginąć w tym czymś na sobie!

Po zmianie garderoby, przykucnąwszy w cieniu, podziękowała cicho Mocy za swobodę, jaką dawały jej stare, czarno-brązowe szaty, a także pas z kaburą i miecz świetlny. Dodała też do stroju coś nowego – bandolier, w którym na pokładzie statku ukryła ładunki wybuchowe. Połączyła je ze sobą tak, żeby jednym ruchem móc aktywować całość. Ukrywszy schludnie złożony skafander w opróżnionej sakwie, zarzuciła sobie worek podróżny na ramiona i wstała.

Po całych dniach spędzonych na ukrywaniu się w ciasnych schowkach ciało miała obolałe, a włosy posklejane w strąki i zmierzwiłone. Na pokładzie statku musiała wkładać Mark VI nawet wtedy, kiedy chciała udać się do odświeżacza, a żywiła się tym, co zdołała ukradkiem skubnąć z kuchni.

To musiało się wreszcie skończyć.

Śmiałym susem wyskoczyła zza rampy i popędziła przed siebie. Nadszedł czas, by

dołączyć do walki.



– Jak idzie, Dackett? – spytał Rusher z lekkim rozbawieniem. Właściwie to pytanie było niepotrzebne.

– Nie możemy wydobyć Kelli Dwa-Pięć z ładowni – poinformował pierwszy, wyjmując spomiędzy zębów niedopałek cygara. – Jakiś kretyn załadował je tyłem do przodu na Whinn dorze. – Dackett wklepał coś w swój datapad, poruszając nerwowo szczęką. Dopiero co wspiął się bez słowa skargi po sześciu kondygnacjach na sam szczyt kadłuba, zatrzymując się tylko po to, żeby zapalić cygaro. Co tu dużo gadać, facet był niesamowity.

Rusher prawie bał się zapytać, ile gość ma lat. Wiedział, że jego pierwszy oficer służył jeszcze przed panowaniem Lorda Mandragalla, ale jedyną sugestią na temat jego pochodzenia był pewien komentarz Dacketta: „Urodzony, a i poczęty, pod ostrzałem artyleryjskim”. Działko pulsacyjne było dla niego po prostu kolejną wielką układanką; swoje pierwsze działo jonowe złożył w wieku siedmiu lat, pomagając ojcu i macosze. Rusher nie miał pojęcia, ile bitew stoczył Dackett od tamtego czasu aż do ich pierwszego spotkania, ale brygadier nigdy nie podejmował się zleceń bez niego. Zaczynali razem – od samotnej ekipy strzelców, działającej pod nazwą Bitsy, a obsługującej długolufowe ciężkie działo laserowe, odzyskane z jakiegoś starożytnego wraku. W tamtych czasach ledwie udawało im się załadować je do transportu, którym je przewozili.

Teraz mieli pod sobą prawie trzy tysiące ludzi. Zgodnie z raportem Dacketta, wszyscy byli na swoich pozycjach po złożeniu dziesiątków dział w ciągu kwadransa od chwili rozładunku.

– Wciąż mamy trochę problemów z tymi masowymi ładownikami z odzysku – westchnął Dackett. – Ale za to lewoburtowa hydraulika działa jak marzenie. Starzy tego twojego Durosjanina świetnie się sprawili.

– Miło słyszeć – odparł Rusher.

– Ta-a... ale Novallo nie dostała wszystkiego, co chciała? Rusher uśmiechnął się pod nosem.

– To nie moja wina, że dzieciak okazał się jedynakiem.

– Szkoda, że jego rodzice nie złożyli przysięgi czystości. – Dackett wskazał prawą burtę.

Rusher podniósł do oczu nową makrolornetkę. W jej soczewkach za jedną z ramp rozładunkowych zobaczył Beadle'a Lubboona, siedzącego w gąsienicowym ładowniku i beznadziejnie zagrzebanego w gęstym błocie.

– Nie sądziłem, że tu, na górze, też jest to świństwo... – mruknął.

– Cóż, jakoś je znalazł.

Nastolatek wciskał chaotycznie różne kontrolki, jedna po drugiej – bezskutecznie.

Rusher prychnął. Ich nowy nabytek okazał się totalną porażką – w przeciwieństwie do

większości członków załogi, którzy trafili do nich w zamian za jakiś sprzęt. Prawda była taka, że nielicznym tylko udawało się przetrwać dłużej w przestrzeni Sithów, jeśli nie mieli szczególnych zdolności – czy w ogóle jakichś zdolności. Może dzieciak ma ukryte talenty? – zachodził w głowę Rusher. Cóż, jeśli nawet, to jak dotąd ukrywał je naprawdę bardzo skutecznie.

– Dzień dobry, sir! – wrzasnął Beadle, wstając z siodełka i salutując mu.

– W porządku – mruknął Rusher, uśmiechając się blado do dzieciaka i zwracając w stronę Dacketta. – Proszę, powiedz mi, że już rozładowaliście tę kapsułę...

Dackett wzruszył ramionami.

– Spokojnie, szefie. Wszystko, co zostało w środku, to Kelligdyd... części, których i tak nie uda nam się wytargać z ładowni. Nie powierzyłbym dzieciakowi pieczy nad niczym ważnym.

– Oficer odwrócił się w stronę wjazdu prowadzącego na dół. – A przy okazji, będziemy ze wszystkim gotowi za jakąś minutę.

– Wyjdzie pan za mnie, oficerze Dackett? – zażartował Rusher.

– Trzy żony w zupełności mi wystarczą – odparł pierwszy oficer. – Gdyby jednak którejś się przypadkiem zmarło, dam panu niezwłocznie znać.



„Era Daimanos” miała na pokładzie więcej załogi, niż Kerra podejrzewała. Z trzewi statku wysypywały się setki żołnierzy; wszyscy maszerowali na skraj kotliny i zajmowali pozycje obronne. Cóż, Kerra miała dobry kawałek do pokonania; na szczęście skalne iglice rzucały długie cienie, w sam raz nadające się na kryjówkę. Gazzara sprawiało wrażenie planety, na której nie nastają zamiennie dzień i noc, tylko warstwy szarych chmur zastępują fale rozświetlanych płomieniami fal czarnego dymu.

Prześlizgując się od iglicy do iglicy, Kerra uśmiechała się drapieźnie. Uwielbiała polować w nocy. Kręta ścieżka do namiotu dowodzenia miała jakieś pół kilometra, ale przynajmniej była...

– Hej, ty tam!

Kerra podniosła wzrok i spojrzała prosto w lśniące, czarne ślepie nautolańskiego zwiadowcy. Jeden z żołnierzy Daimana, zielonoskóry osiłek, trzymał w jednej ręce karabin blasterowy, a w drugiej – pojemnik z przyprawą.

Niewiele myśląc, złapała oburącz pęk macek wyrastających z głowy zaskoczonego żołnierza i szarpnęła mocno, przyciągając jego głowę do swojego podniesionego kolana. Zarówno broń, jak i pudełeczko z narkotykiem wypadły mu z rąk, a wtedy wyprowadziła cios w jego okryty pancerzem korpus, zwalając go z nóg. Kiedy upadł na ziemię, stanęła nad nim okrakiem i wepchnęła mu jego własne macki do otwartych ust, tłumiąc krzyk.

Prawa ręka Nautolanina zacisnęła się kurczowo na pokrywającym ziemię żwirze,

szukając... broni? Oparcia? Ale Kerra była szybsza. sięgnęła do pasa, zapaliła swój miecz świetlny... i wyłączyła go, nim jeszcze klinga osiągnęła pełną długość.

Rozejrzała się spanikowana dookoła, podczas gdy strażnik dogorywał. Nikt nie usłyszał ich starcia, a ona nie musiała korzystać z Mocy. Uff. Oddychając ciężko, spojrzała w dół, na ciało zwiadowcy. Z pewnym zaskoczeniem spostrzegła, że przed śmiercią próbował sięgnąć nie po wytrąconą z ręki broń, tylko po pojemnik z przyprawą.

Zaciągawszy ciało w szczelinę między pokruszonymi skalnymi iglicami, zabrała jego karabin i podjęła żmudną wędrówkę do namiotu. Wejścia z przodu strzegli strażnicy, ale na tyłach, tam gdzie konstrukcja graniczyła z kamiennymi iglicami, nikogo nie było. Światło wewnątrz rzucało długie cienie na płótno namiotu; dzięki nim Kerra widziała, że w środku są dwie osoby.

Sięgając z niepokojem do bandoliera na piersi, przygryzła wargę. Zbyt duży dystans, żeby detonować ładunki. Poza tym musiała się najpierw dowiedzieć, kto jest w środku. Widziała, że wcześniej do namiotu wszedł Daiman, ale to było jeszcze zanim poszła się przebrać.

Przekradając się wzdłuż ściany, znalazła to, czego szukała. Chociaż przed rozstawieniem namiotu robotnicy wyrównali część terenu, powierzchnia gruntu była na tyle nierówna, że u dołu pozostały szpary, przez które przeświecało światło. Podkradając się bliżej do ściany, chwyciła karabin strażnika i wsunęła ostrożnie lufę pod płótno.

– Oddychasz. Nie pozwoliłem ci oddychać.

Na dźwięk głosu Lorda Sithów Kerra zamarła w bezruchu.

– Wybacz, mój panie... – odpowiedział drżący, kobiecy głos. Jedi z nieskończoną ostrożnością podniosła lufę bardziej, podwijając skraj płótna. To była Woostoidka, którą widziała wcześniej w pałacu Daimana. Ubrana w jedwabną białą suknię, siedziała na srebrnym zydlu, gapiąc się bezmyślnie w źródło światła – lampę zawieszoną pośrodku pomieszczenia.

Przed nią plecami do Kerry, stał Daiman. Był ubrany w czarną tunikę bez rękawów; w blasku lampy mięśnie jego ramion lśniły od potu. Kerra nie powinna zapominać, że chociaż Sith prowadził pozornie gnuśny, siedzący tryb życia, był biegłym w walce, niebezpiecznym przeciwnikiem. Teraz jednak skupiał się bez reszty na swojej asystentce; zanurzył ręce w jej purpurowych włosach.

– Czas spróbować ponownie, Uleeto – powiedział cicho.

Kerra cofnęła się gwałtownie od namiotu, ogarnięta falą mdłości. Oglądanie przedbitewnych ekscesów w buduarze Lorda Sithów było ostatnią rzeczą na jaką miała teraz ochotę, jednak następne słowa Woostoidki zaintrygowały ją na tyle, że wróciła pod ścianę.

– Ciało jest okrucieństwem – zanuciła Uleeta.

– Ciało jest więzieniem – dodał Daiman, wciąż z dłońmi zanurzonymi w jej włosy. Chyba nie miał teraz na palcach swoich szponów. – Trwam poza nim. Forma jest więzieniem, które powstrzymuje mnie przed osiągnięciem wszystkiego, co rodzi się w moim umyśle. Mimo to

mogę wzbić się ponad zasady, które sam stworzyłem, dzięki sile Ciemnej Strony Mocy. Mojej Mocy.

– Jesteśmy Obarczonymi Brzemieniem – zawodziła Woostoidka.

– Jesteście pozbawieni światła – zawtórował jej Daiman. – Macie formę, ale nie macie ducha. Jesteście skorupami. – Objął jej głowę, przyciskając dłonie do skroni. – Wiedziałem o tym, kiedy pierwszy raz zaglądałem do innego umysłu.

Jeśli jednak mam być ponad to, muszę zwiększyć swój zasięg.

– Jestem niczym. Nie ma Uleety. Jest tylko projekcja Daimana.

– Jesteś niczym i jesteś Daimanem – mrucał Sith. – Będę widział twoimi oczami, oddychał twoimi płucami. Teraz!

Kerra odskoczyła od namiotu jak oparzona. Jeśli to była próba uwiedzenia, to właśnie była świadkiem najbardziej idiotycznej randki, jaką kiedykolwiek miała okazję oglądać. Mimo to ciekawość zwyciężyła i przyciągnęła ją z powrotem do szpary. Kobieta dygotała teraz spazmatycznie, a Lord Sithów wciąż trzymał jej głowę w dłoniach. Kerra czuła promieniujące od niego fale skoncentrowanej Mocy Serce jego asystentki było teraz prawie tak samo czarne jak samego Daimana. Otwierała się przed nim, obnażając duszę i umysł, poddając mu swoją wolę, aby służyła jako narzędzie jego potęgi. Prawa ręka Uleety zaciśnięta kurczowo na podołku, zadrżała i uniosła się w powietrze.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją Daiman. – To moja wola podniosła twoją dłoń... Moją dłoń – poprawił się szybko.

– Jak mój pan raczy wiedzieć – wymamrotała Uleeta.

– Nie pozwoliłem ci mówić.

Kobieta momentalnie zamilkła, a Daiman chwycił jej czaszkę mocniej, wyraźnie sfrustrowany.

– Nie... To nieprawda. To nie jest prawda! To nie ja podniosłem twoją rękę! Uleeta milczała chwilę, zanim odpowiedziała:

– Kazałeś mi to zrobić, mój panie. Robię to, co mi nakazałeś.

– Ty nie istniejesz. Nie bierzesz w tym udziału. To moja wola powinna wyzwolić twój ruch – warknął Daiman, uwalniając jej skronie z uścisku. – Popatrz tylko! – Chwycił ją za nadgarstek. – Puls! Twoje serce bije! – Urażony, pochylił się nad nią i obrzucił gniewnym spojrzeniem. – A poza tym oddychasz! Nie życzę sobie tego! To ja powinienem cię kontrolować!

– Wybacz, Lordzie Daimanie – bąknęła Uleeta. – To niezależne ode mnie...

– Tu nie ma żadnej niezależności! Nie, dopóki sam jej nie zechcę! Woostoidka wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz w dłoniach.

Do Kerry dotarła fala emocji kobiety, zupełnie niechronionych – szczere poczucie winy. Zmieniła pozycję na skalistym podłożu. Chociaż czuła emanujący od Woostoidki żal tylko przez chwilę, to był on niemal hipnotyzujący. Uleeta chyba nie cierpiała fizycznie, ale

sprawiła wrażenie, jakby pod gniewnym spojrzeniem Daimana zapadała się w sobie, kurczyła.

– Ciągle to samo – warknął Sith, gotując się z wściekłości. – Mogę wprawiać w ruch obiekty nieożywione. Mogę kazać ci działać. Ale nie mogę działać za twoim pośrednictwem. – Zepchnął brutalnie swoją asystentkę z zydła i otworzył jego pokrywę. – Wiem, że to zadziała. Musi – powiedział, szperając w środku.

– Holokrony – wykrztusiła Uleeta – mówią o Karnessie Muurze, starożytnym Lordzie Sithów, który potrafił władać całymi populacjami, czyniąc je przedłużeniem swojej woli. Opracował nawet metodę przenoszenia własnej świadomości z jednej istoty żywej do drugiej – Daiman wyprostował się i spojrzał z góry na skuloną na podłodze kobietę.

– To takie oczywiste! – parsknął pogardliwie. – Po cóż innego miałbym umieszczać tę informację w przeszłości, jak nie po to, żeby skorzystać z niej podczas ucieczki z tego... tego więzienia?

– Poprzez zwycięstwo zrywamy krępujące nas więzy – dodała Uleeta drżącym głosem.

– Moc mnie wyzwoli – zakończył Daiman, cytując Kodeks Sithów. – Wstawaj. Mamy trochę czasu przed zasadzką. Spróbujemy jeszcze raz.

Koniec tego dobrego! Kerra zabrała karabin i odmaszerowała żwawym krokiem od namiotu. Wkurzona, zdjęła przez głowę bandolier. Nie obchodzi mnie, czy ktoś mnie znajdzie... zamierzam wysadzić ten bajzel pod samo pieprzone niebo! – pomyślała ponuro.



– Zgłasza się Serraknife Dwójka!

Rusher stuknął kontrolkę komunikatora w swoim hełmie.

– Przyjąłem. Ruszaj, Dwójko.

– Nadlatują jednostki powietrzne na kursie dwieście siedemdziesiąt.

– Przyjąłem. – Rusher spojrzał ponad pomrukującymi wulkanami na przeciwległą ścianę krateru. Pośród chmur dostrzegł jakiś ruch. – Spokojnie, brygado. To dopiero pierwszy gość na naszym małym przyjęciu.



Zjawili się nagle; Kerra usłyszała ryk silników, kiedy klęczała, zajęta ładunkami. Wzmianka Daimana o „zasadzce” i obecność oddziałów zbrojnych kazały jej się spodziewać sił Odiona, chociaż nie miała pojęcia, dlaczego ludzie Sitha mieliby się tu zjawiać z własnej woli. Jednak statki, które przeleciały z hukiem nad zachodnią ścianą krateru, wyglądały zdecydowanie na jednostki militarne.

Zawiesiła znów bandolier na piersi i odczołgała się kawałek od namiotu, a potem wspięła

na występ ściany, bezpiecznie osłonięty od góry. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła pośrodku kotliny cztery unoszące się w powietrzu transportowce; podmuchy rozgrzanego powietrza z ich silników tworzyły kręgi na powierzchni mazi pokrywającej dno krateru.

Widziała osobiste transportowce Daimana już wcześniej, na Chelloi, ale tutaj sprawiały raczej wrażenie statków handlowych, a poza tym nie miały na sobie symboli Daimana. Na ich statecznikach widniały oznaczenia, których nie rozpoznała od razu – pionowe linie... a może to były strzały?

Gdzie ja je widziałam? – zachodziła w głowę. Zamrugła, na chwilę oślepiona przez wszechobecny popiół. Po jej lewej stronie, na wschodniej krawędzi krateru rozbłysły miniaturowe światła – makrolornetki! Całe mnóstwo soczewek kierowało się w stronę przybyłych. Kerra dałaby wiele, żeby mieć teraz jedną taką dla siebie.



Rusher namierzył nową jednostkę w tej samej chwili, co jego ludzie. Cóż, trudno było ją przeoczyć. Atmosfera dosłownie kipiała – coś nowego, o wiele, wiele większego schodziło właśnie do lądowania w kotlinie.

Brygadier strząsnął z włosów popiół. Czas założyć hełm, uznał. Może i Daiman nie stworzył wszechświata, pomyślał, ale na pewno zaplanował wszystko co do minuty.

– Mamy gościa numer dwa, załogo. Czas start!



– A to co, u licha? – Kerra przemówiła głośno pierwszy raz od ostatniego spotkania z Bothaninem. Coś tu było nie tak – wszystko wskazywało na to, że szpieg coś przed nią zataił.

Na początku wydało jej się, że za chmurami dostrzega dziewięć podchodzących do lądowania w szyku jednostek, ale szybko sobie uświadomiła, że patrzy na jeden statek, wyposażony w dziewięć modułów o wielkości i kształcie bloków mieszkalnych, połączonych siecią monstrualnych przęsł. Wrażenie, że patrzy na budowlę, spotęgowało się, kiedy gigant zszedł niżej – wtedy dotarło do niej, czym jest jego centralna, pionowa część, obudowana u podstawy wieżyczkami. Przetarła z niedowierzaniem oczy. To był jeden z największych statków, jakie kiedykolwiek widziała w przestrzeni Sithów, porównywalny rozmiarem z mobilnymi fabrykami uzbrojenia Daimana.

Gapiała się z otwartymi ustami, jak pojazd – jeżeli faktycznie był to pojazd – zawisa tuż nad dnem krateru. Strumienie rozgrzanego gazu z dziewięciu potężnych silników uderzyły w powierzchnię, odsłaniając spod czarnej mazi nagą skałę. Namierzywszy odpowiednie miejsce do lądowania na północny wschód od centrum krateru, kompleks zaczął opadać, aby wreszcie osiąść w resztkach szlamu.

Zapanowała dziwna cisza. Jedi zerknęła w dół zbocza, na siły Daimana zgromadzone obok prowizorycznych budynków, a potem obejrzała się na wschodnią ścianę kotliny. Nigdzie nie widziała śladu aktywności ludzi Daimana.

Jako pierwsze zareagowały cztery transportowce. Zaparkowane jakiś kilometr na zachód od nowo przybyłego giganta statki wysunęły jednocześnie trapy. Kerra przyglądała się, jak ze środka zaczynają wypływać strumienie istot żywych. Chcąc wiedzieć dokładniej, co się święci, zeszła nieco niżej, żeby znaleźć lepszy punkt obserwacyjny. Tutaj przynajmniej poczuła się bezpieczna – ludzie Daimana na zboczu byli zwrócenii w stronę środka kotliny! i nie zwracali uwagi na wzgórze.

Mrużąc oczy, dostrzegła setki postaci, ustawiających się w rzędkach pod transportowcami. Szeregi były jednak zbyt nieregularne! jak na wojsko, a tworzące je istoty nie nosiły mundurów. Wokół kłębiły się dziesiątki przedstawicieli najróżniejszych ras, taplając się i dokazując w błocie...

Dzieci! – dotarło wreszcie do Kerry. To są dzieci!

Były ich setki – młodszych i starszych, a nawet kilkoro nastolatków, ubranych w robocze drelichy. Wszystkie popatrywały z pod; nieceniem na niebo, na widniejące w oddali wulkany i wielką nową budowlę, która zstąpiła z nieba do krateru. Każda z jej dziewięciu wież sięgała aż pod wiszące nisko chmury; na każdej widniał ten sam symbol z trzema strzałami – teraz Kerra widziała go wyraźnie!

– Nie! – jęknęła cicho, zrywając się na równe nogi i niemal wystawiając się na widok. – O, nie! Tylko nie to!

Przypomniała sobie, gdzie widziała ten znak – na plakietce Ishi Tibki, na Darkknell! Rozglądając się pospiesznie po twarzach małych istot, wyczuła znajomą obecność. A kiedy się skoncentrowała, odkryła dokładnie to, czego obawiała się zobaczyć: żwawą sullustańską dziewczynkę, wyraźnie podekscytowaną swoją pierwszą wizytą na obcej planecie.

Że też Tan Tengo musiała trafić akurat tutaj!

– Wylądowali, brygadierze!



A więc tak wygląda to ich całe arxeum, pomyślał Rusher. Całkiem spora zabawka... Nawiązał połączenie.

– To już ostatni z naszych gości, moi drodzy. Ruchy! – Wydarzenia następowały teraz po sobie w zawrotnym tempie. Głos na innym paśmie poinformował go o wszystkim, co powinien wiedzieć: – Daiman się z nami skontaktował. Nasi intruzi są już na obrzeżach układu.

A więc Rusher dobrze zgadł – Daiman wysłał do mgławicy otaczającej główną gwiazdę Gazzari sondę zwiadowczą. To było kosmiczne widowisko, stworzone – zdawałoby się – na

uczcie dla oczu, a także świetne miejsce do wysledzenia niezapowiedzianych wizyt. Reszta sił Sitha – zarówno wojska naziemne, jak i jego flota – miała rozkaz wyskoczyć z nadprzestrzeni, jak tylko rozejdą się wieści o przybyciu Odiona. Do tego czasu eskorta Daimana i najemne siły zbrojne stacjonujące na obrzeżach krateru miały zająć walką wojsko Złego Brata.

– Aktywować broń, brygado! Potwierdzić!

– Coyn'skar potwierdza!

– Serraknife potwierdza!

– Dematoil potwierdza!

Wszystkie osiem dywizjonów, jeden po drugim – każdy nazwany od innej egzotycznej, starożytnej broni – zgłosiło gotowość do ataku. Rusher wyszperał te nazwy podczas swoich badań – nazwy łączące jego żołnierzy z przeszłością. To była ciężka praca, przypłacana co roku śmiercią podczas zleceń dla różnych Sithów. Dobrze było mieć oparcie w czymś stałym – w historii.

Opuszczając owiewkę hełmu, brygadier pomachał patrzącemu w jego stronę technikowi, który stał za półkolistym iluminatorem „Gorliwości”. Powtórzywszy gest, mężczyzna pchnął dźwignię i chwilę później rozległo się niskie buczenie, kiedy kadłub osłoniło pole ochronne. Usadowiona pośród stanowisk bojowych „Gorliwość” była stanowczo zbyt łatwym celem. Niewidzialne pole nie zatrzyma co prawda pocisku, ale rozproszy lżejszy ogień kierowany w stronę statku. A ostrzału Rusher spodziewał się całkiem sporego. Od chwili lądowania nosił pod płaszczem kamizelkę blasteroodporną.

– Działa gotowe! – zawołał. – Rusher, bez odbioru. – Spojrzał w dół, na cztery transportowce i zgromadzonych wokół pasażerów, i aktywował jeszcze raz komunikator. – A jeśli ktoś trafi w promieniu chociaż klika od tych dzieciaków, przyczepię go do Bitsy i sam nacisnę spust!



– Nie! Nie! – Teraz Kerra już rozpoznawała umundurowanie przybyszów. Każdy z nich był pracownikiem fabryki, czyli niewolnikiem z Darkknell i innych planet, rekrutowanym przez Industrial Heuristics; dzieckiem, tak jak Tan. Prowadzona przez droidy ochroniarzy grupa powoli kierowała się przez szlam w stronę potężnej placówki szkoleniowej.

„Mamy jeszcze czas przed zasadzką”, dowodził Daiman w namiocie; teraz Kerra widziała jego siły przygotowujące się do ataku u stóp północnej ściany krateru. Na wzgórzach, na wschodzie, stały kolejne grupy żołnierzy. Kto wie, ile blasterów i innej broni było wycelowane w te dzieciaki?

I dlaczego? Wcześniej sądziła, że Odion nie miał żadnego powodu, żeby przysyłać swoich ludzi w miejsce, w którym najwyraźniej czekała na nich zasadzka. Nie było tu nic, o co warto by było walczyć... A przynajmniej dopóki nie zjawili się to gigantyczne miasto-statek.

Nie!

Puściła się biegiem w dół zbocza, nie troszcząc się o to, czy ktoś ją zobaczy. To wszystko było złe, złe, do gruntu złe! W ciągu niewielu minut Daiman zmienił Gazzari z bezużytecznej skały w ważny cel strategiczny – cel, którym była także jej przyjaciółka, która podskakiwała teraz wesoło tam w dole, w błocie, razem ze swoimi kolegami i koleżankami, zaśmiewającymi się do łez.

Na Chelloi Daiman zastawił na Odiona pułapkę, wykorzystując jako przynętę miny z baradium. Tym razem przynęta była żywa.

Najszybsza droga w dół zbocza prowadziła z dala od namiotu Daimana, ale teraz nie miało to znaczenia. Zjeżdżając po kamienistej stromiźnie w stronę dna krateru, Kerra przyciągnęła uwagę dwóch sithańskich żołnierzy, patrolujących obrzeże kotliny. Jednak uzbrojeni wojownicy nie mieli nawet czasu zareagować, zanim przecięła ich na pół zieloną klingą. Wstała; teraz nie było już sensu się ukrywać.

– Jedi? – zawołał zaskoczony głos gdzieś z góry.

– To Jedi!

Kerra rzuciła się biegiem przed siebie, wzbijając w powietrze kłęby ochrowego pyłu i kierując się w stronę prowizorycznych budynków. Nie słyszała jeszcze strzałów, ale wiedziała, że niebawem rozpęta się tu piekło. Od transportowców dzielił ją spory kawałek, ale ona wciąż miała ze sobą karabin zwiadowcy. Może zdoła zagonić dzieci z powrotem do środka...

Nurkując w stronę statków, Kerra potknęła się i runęła jak długa w smolisty szlam. Zaskoczona, rozejrzała się dookoła. W pobliżu nie było nic, o co mogłaby się przewrócić – ziemia była równa, jak okiem sięgnąć. Nadstawiła znów uszu, nasłuchując strzałów...

...ale zamiast tego poczuła w okolicy serca palący ból.

Ignorując go, zaczęła pełznąć przed siebie w czarnej sadzawce. Przez chwilę sądziła, że w końcu dopadły ją skutki wyczerpania.

efekt ostatnich męczących tygodni, ale dudnienie w górze wyprowadziło ją z błędu. Wiedziała już, co się dzieje.

Otworzyła się na Moc. Teraz już nie było sensu się maskować. Żołnierze Daimana, łącznie z Dyscyplinatorami, wiedzieli już, że Kerra tu jest. A jeśli znajdowali się blisko, na pewno czuli to samo miażdżące ciśnienie co ona. Coś się zbliżało. Psychiczna czarna dziura, przyciągająca do siebie wszystko, co istniało, i niszcząca wszystko, co stało na jej drodze. To uczucie pierwszy raz ogarnęło ją na Aquilarisie, w dniu, kiedy straciła rodzinę – a potem znowu na Chelloi, gdy odszedł Mistrz Treece i inni Jedi, jej druga rodzina. To właśnie dlatego ludzie Daimana do niej nie strzelali. Oni też już wiedzieli. Wyczuli tę obecność, tak samo jak ona.

Zbliżał się zabójca Vannara Treece'a. Lord Odion przybył na Gazzari.

ROZDZIAŁ 8

– To pułapka, Lordzie Odionie!

– Oczywiście, że to pułapka – rozległ się z góry grzmiący głos. – Ten smarkacz nie umie robić nic innego.

Narsk spojrział z podziwem na Odiona. Starszy brat Daimana był pod każdym względem jego przeciwieństwem – zarówno pod względem światopoglądowym, jak i estetycznym. Podczas gdy rzekomy stwórca wszechświata lubił otaczać się światłem, niszczycielski Odion tkwił pośrodku sfery mroku, rozświetlonej tylko hologramami przedstawiającymi statki w pobliskiej przestrzeni kosmicznej. Mostek na „Mieczu Ieldisa” był jednym z najdziwniej skonstruowanych mostków, jakie Narsk miał okazję oglądać w swoim życiu. Na podium, zawieszonym kilka metrów nad pokładem, stał wielki, niewygodny tron z mandaloriańskiego żelaza. Pod nim koncentrycznie rozmieszczono stanowiska załogi. Część z nich była obsługiwana przez personel składający Odionowi raporty – te były zwrócone w jego stronę. Inne, obsadzone przez ludzi zajmujących się lustrowaniem przestrzeni kosmicznej – skierowano na zewnątrz.

„Miecz” wyskoczył z nadprzestrzeni i wleciał do układu Gazzarii z prędkością, która zaniepokoiła Narska. Właściwie był to po prostu kolejny dzień w służbie Odiona. Jego okręt flagowy został nazwany na cześć starożytnego Lorda Sithów, wojownika, a on sam kreował się na kogoś w rodzaju barbarzyńskiego króla. Ciężki pancerz zakrywał całe umięśnione ciało brata Daimana, z wyjątkiem bezwłosej, poznaczonej bliznami po oparzeniach czaszki. Narsk mocno w to wątpił, żeby któryś z prawdziwych barbarzyńskich władców nosił cały czas swoją zbroję, ale Odion najwyraźniej nic sobie nie robił z konwenansów. Czy w ogóle z czegokolwiek albo kogokolwiek.

– Jeśli to rzeczywiście pułapka, Bothaninie, to wyślemy tam najpierw ciebie. – Odion spojrział na niego z góry; mrok rozświetlała tylko czerwona poświata z jego lewego, cybernetycznego oka. – Daję ci kilka minut na obrócenie tego wszystkiego w perzynę.

Narsk zamarł, analizując słowa swojego pana. Kilka sekund później Odion wybuchnął gromkim śmiechem; upiorny dźwięk potęgował jeszcze jego wszczepiony w szczękę implant. Narsk aż się zjeżył. Najgorsze było milczenie reszty załogi, niezbyt skorej czy po prostu zbyt przerażonej, żeby śmiać się razem ze swoim władcą. Na mostku „Miecza” panowała temperatura porównywalna z tą na biegunie polarnym.

Nawet przed Darkknell praca dla Odiona przypominała taniec boso na długim ostrzu

wibromieczy. Jednak Narsk musiał do niego wrócić, nawet bez informacji o Convergence, po które został wysłany. Daiman darował Narskowi życie po to, aby mieć pewność, że dojdzie do bitwy, która za chwilę miała się rozegrać na Gazzari – bitwy, której Odion pożądał bardziej niż tysiąca datapadów wypchanych tajnymi planami.

Narsk był teraz pewien, że Daiman chciał, aby dostarczyć Odionowi informacje o układzie z Bactrą i o arxeum. Miał mnóstwo czasu na przemyślenie tego, kiedy ukrył się na pokładzie frachtowca opuszczającego Daimanat. Młodszy brat Odiona zadbał o to, żeby Narsk usłyszał wszystko, o czym rozmawiał z Bactrą. Uświadomił sobie teraz, że nawet jego żyroskopowe więzienie zostało zaprojektowane w taki sposób, żeby spowalniać, kiedy była mowa o czymś ważnym.

A ta cała Jedi miała rację: Gamorreanie specjalnie poluzowali więzy na jego nadgarstkach i kostkach, zanim zostawili go w ciemnym korytarzu. Gdyby się nie zjawiała, sam by się uwolnił – tak jak przewidział Daiman.

Doszedł także do wniosku, że taki obrót spraw wyjaśniał, dlaczego bez trudu udało mu się wydostać ze złomowiska na Darkknell i znaleźć statek kierujący się w odpowiednie miejsce. Frachtowiec, który wybrał, leciał na neutralną planetę, na której całkiem przypadkiem często lądowali goście z Odionatu. Nim minęły dwa standardowe dni, Narsk stanął przed Odionem.

Spotkanie nie było miłe, ale i tak znacznie lepsze niż wszystko, co spotkało go w niewoli u Daimana. Tak czy inaczej, udało mu się zniszczyć Czarny Kieł – nawet jeśli to nie on wywołał eksplozję, to przecież osobiście podłożył ładunki. I chociaż nie wspomniał swojemu panu o roli, jaką w całej tej historii (ani w historii jego ucieczki) odegrała Jedi, to napomknął o jej obecności na Darkknell, co bardzo zainteresowało Odiona. Sith najwyraźniej utrzymywał go przy życiu podczas przygotowań do bitwy tylko po to, żeby usłyszeć więcej o ciemnowłosej Jedi, siejącej chaos na terytorium Daimana.

Chociaż ten ostatni wydawał się czasem działać niedorzecznie, na pewno wszystko to sobie doskonale przemyślał. Pozwolił Narskowi zdobyć informacje, które rozgrzeszały wszelkie wcześniejsze uchybienia Bothanina, a więc gwarantowały, że Odion pozwoli mu żyć, aby mógł mu je dostarczyć. Poza tym uknuł spisek, który był oczywistą pułapką a któremu mimo to jego starszy brat nie mógł się oprzeć. Daiman unikał bezpośrednich konfrontacji od czasu przegranej na Chelloi, za to Odion skrzętnie korzystał z każdej okazji do walki – nieważne, jak bardzo niebezpiecznej.

– Sprawdźcie okolicę w poszukiwaniu sił Daimana – polecił Odion, kiedy „Miecz” zwolnił i dotarł do skraju planetarnej mgławicy.

– Sił Daimana nie ma w układzie – zaskrzeczał jakiś głos jakby zza grobu – ani bardzo blisko niego. – Jelcho, jeden z givińskich nawigatorów Odiona, odwrócił w ich stronę swoją przerażającą, przypominającą maskę twarz. Narskowi na ten widok nieprzyjemnie zabulgotało w żołądku.

– O, nie... nasz mały chłopczyk tam jest, czuję jego obecność – prychnął Odion. – Jest na

Gazzari, tak jak powiedział ten partacz. – W ciągu ostatnich kilku dni większa część floty Daimana ostentacyjnie pojawiała się w różnych miejscach; sam Daiman także nie krył się z tym, że zjawiał się w tym odludnym miejscu tylko w towarzystwie lekkiej eskorty. – Ktoś jeszcze jest w tej mgławicy – warknął Odion. – Przeprowadźcie bardziej szczegółowy skan.

Jelcho zwrócił swoje puste oczodoły w stronę monitora. Narsk poczuł na ten widok niewypowiedzianą ulgę. Nienawidził Givinów. Cała ta rasa ma dziury w głowach zamiast oczu, a ten wariat obsadza nimi mostek, pomyślał ponuro. W służbie u Odiona próżno by szukać różnorodności. Na swoich szpiegów wybierał Bothan, na inżynierów – Verpinów, a nawigacją na jego usługach zajmowali się Givinowie – dziwaczna rasa, potrafiąca obliczać skoki nadprzestrzenne w swoich nagich czaszkach.

Hologramy otaczające Odiona zmieniły układ. Sith wskazał niewielką flotyllę, czekającą za słońcem Gazzari.

– Co to?

– Flota Lorda Bactry – pospieszył z odpowiedzią Jelcho.

– Poruszają się?

Jelcho zaczekał, aż inny Givin skończy mu coś szeptać na ucho.

– Jeśli odczyty naszych skanów z układu są prawidłowe, właśnie wysłali na powierzchnię Gazzari arxeum. Wygląda na to, że szykują się do odlotu.

– Nie spiesz się im – zauważył Odion. Machnął potężną zakutą w rękawicę ręką, aktywując niewidoczny dla oczu system. – Kto tam się czai? – huknął w mrok. – Wylegitymuj się!

Minęło kilka mrozących krew w żyłach chwil, zanim w powietrzu przed nim zmaterializował się hologram Lorda Bactry.

– Tu Bactra, Lordzie Odionie. Bądź pozdrowiony. – Migoczący Quermianin przestąpił z nogi na nogę; czuł się wyraźnie nieswojo. – My... tak tylko przelatywaliśmy...

– Łżesz! Wiem, co dostarczyłeś temu gnojkwowi!

– Owszem, dostarczyłem – odparł bez ogródek Bactra, zmieniając taktykę. – To, co się teraz stanie z arxeum, to już nie mój problem. – Pochylił swoją długachną szyję i posłał Odionowi chytry uśmieszek. – Oczywiście, jeśli ty także chciałbyś skorzystać z usług Industrial Heuristics, jestem pewien, że możemy...

Odion przerwał transmisję.

– Mały, podły sprzedawczyk – warknął. Chociaż od lat żyli ze sobą we względnej zgodzie, jego pogarda dla sposobów działania Quermianina nie była dla nikogo tajemnicą.

– Mamy dane potrzebne do rozpoczęcia ostrzału Bactranitów, Lordzie Odionie – zacharczał inny Givin.

– Nic z tego. Najpierw przyjemności.

Narsk patrzył przez iluminator mostka na mijane właśnie statki Bactry, nadal zwlekające z rozpoczęciem bitwy na Vellas Pavo. Może chcieli po prostu obejrzeć kawałek dobrej walki?

Chociaż Bactra nie miał żadnego interesu w tym starciu, jego wynik z pewnością zachwieje równowagą władzy w tym regionie, a to powinno zainteresować Bactrę.

Znając Daimana, Narsk nie wykluczał zresztą że mogło też chodzić o coś zupełnie innego. Zastanawiał się, czy młodszy braciszek potajemnie namówił Bactrę do odrzucenia jego powszechnie znanej neutralności, aby pomógł mu w przygotowaniu pułapki? Jeśli tak, to Quermianin raczej nie zgromadził wystarczająco dużej floty, żeby wpłynąć znacząco na wynik konfliktu. Tuzin jego statków to w sam raz na eskortę arxeum albo zniszczenie jakichś kopalni gadolinu, ale Odion zabrał ze sobą jedną czwartą swojej floty, która spokojnie mogła otoczyć Gazzari.

Mistrz zniszczenia nie omieszkął też wziąć ze sobą czegoś jeszcze, czegoś, co właśnie wyskoczyło za nim z nadprzestrzeni.

– Oto i on – mruknął, podnosząc się z hałasem ze swojego tronu. – Pioruny, do statków. Jelcho, lecisz ze mną. – Zatrzymując się na ciemnej kładce, prowadzącej do jego osobistego planetarium, spojrzął ze złośliwą satysfakcją na Narska. – Ty też, partaczu.

Narsk wyprostował się gwałtownie w swoim fotelu.

– Dlaczego ja?

– Mogę cię potrzebować do wysadzenia jakiejś innej zabawki Daimana. – Odion odsłonił w drapieżnym uśmiechu czarne zęby – A jeśli jest tutaj ta dziwka Jedi, może będzie tak miła i wysadzi to za ciebie... jeszcze raz!



Kerra przyklękła w samą porę. Ogień z działek Daimana wzbil w powietrze wulkaniczny pył z podłoża, okrywając ją całą popiołem. Widziała ludzi Sitha, zajmujących miejsca na stanowiskach artyleryjskich, i chociaż wiedziała, że nie strzelają do niej, to zdawała sobie sprawę, że zwróciła na siebie uwagę co najmniej kilku kolejnych strażników. Podźwignęła się na nogi i rzuciła w poszukiwaniu schronienia do najbliższego prowizorycznego budynku.

Kiedy ostrożnie zajrzała przez okno, zobaczyła dokładnie to, czego się spodziewała: nic. To była podpucha, przynęta – mizerna placówka na środku krateru. Studenci... A teraz potężna akademia Industrial Heuristics, która dopiero co przyleciała... Wszystko to miało na celu przyciągnięcie Odiona na Gazzari, żeby wojsko ulokowane na ścianach krateru mogło go związać ogniem.

Czy Odion był naprawdę tak głupi, czy tak desperacko spragniony walki, żeby dać się w to wszystko wciągnąć?

Uznała, że to właśnie jego obecność czuła na orbicie, a huk i dudnienie nad chmurami zapowiadały coś więcej, niż tylko deszcz. Spojrzała z niepokojem na zachód. Grupki uczniów wciąż maszerowały przez czarną kotlinę w stronę arxeum, w błogiej nieświadomości tego, co zaszło między nią a strażnikami Daimana.

Czas naglił. Kerra ruszyła pędem przed siebie.



– Zgłasza się Rozpruwacz Dwa! Kolejny cel!

– Przyjąłem, Dwójko – rzucił do mikrofonu Rusher, starając się nie stracić z oczu samotnej kobiecej postaci pędzącej przez ponury krajobraz. Ubrana w brązowe szaty, kierowała się w stronę grupki transportowców, od której dzielił ją teraz jakiś kilometr – a zbiry Daimana na zboczach brali ją właśnie na cel. – Nie wiem, kim ona jest ani co próbuje udowodnić, ale to nie nasz problem.

– Nie mówię o niej, brygadierze! Kolejny cel na niebie!

Rusher podniósł makrolornetkę i natychmiast uświadomił sobie, że wcale jej nie potrzebuje, żeby rozpoznać obiekt, który kierował się właśnie w stronę powierzchni planety. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewał się tu zobaczyć – a oglądanie tego było ostatnią rzeczą na jaką miał ochotę.

– Spirala Śmierci!



Rojące się na dnie krateru istoty zadzierały z zachwytem głowy do góry. Kerra, teraz już w pół drogi od grupki dzieci, także patrzyła, jak zasnuwającą niebo warstwę mgły przecina jakiś cień.

Kształt przebijający się przez chmury był pozbawionym widocznych elementów zewnętrznych, ściętym stożkiem o wysokości kilkuset metrów. Dzięki rakietowym silnikom hamującym czarny kolos lądował teraz na powierzchni na południowy zachód od centrum krateru, w równej odległości od transportowców i potężnej placówki naukowej, która przybyła tu wcześniej.

Kilka sekund po tym, jak znieruchomiał na pasującej kolorem do jego kadłuba powierzchni, zadygotał gwałtownie. Potem, z donośnym szczękiem, wywołującym okrzyki zaskoczenia i przerażenia u dzieci, odrzucił część poszycia, opuszczając na ziemię wielkie, metalowe panele.

Obiekt, który ukazał się oczom zgromadzonych, Kerra rozpoznała niemal natychmiast z historycznych hologramów: to była Spirala Śmierci. Zaprojektowana przez Lorda Chagrasa wiele lat wcześniej, powstała jako swego rodzaju przeciwieństwo wieży obłączniczej. Od podstawy aż po spiczasty szczyt tworzyło ją kilkanaście koncentrycznych pierścieni – wieżyczek blasterowych i wyrzutni pocisków, zdolnych obracać się niezależnie od siebie. Zrzucana w sam środek obłączonego terenu, Spirala Śmierci – nazwana tak od jej obracających się pierścieni, które w akcji dawały złudzenie, że stożek wkręca się w ziemię – została

zaprojektowana tak, aby można z niej było strzelać we wszystkich kierunkach naraz.

Świętej pamięci Chagras zbudował kilka tych piekielnych urządzeń w mniejszej skali; Vannar cudem tylko wyszedł cało ze spotkania z jedną taką machiną żeby móc opowiedzieć o tym innym. Wieżyczki były zdalnie sterowane. Wersja Odiona była jednak tak ogromna, że Kerra widziała na każdym z poziomów członków załogi, obsługujących pierścienie działek. Potężna baza służyła też jako transportowiec i zbrojownia – szerokie wrota u jej podstawy otworzyły się, wypuszczając ze środka sznur śmigaczy, skuterów repulsorowych i trzynogich opancerzonych łazików.

Nad ich głowami podchodził do lądowania transportowiec z żołnierzami Odiona na pokładzie. Kerrą wstrząsnął nagły dreszcz. Miała wrażenie, że ogląda powtórkę z Chelloi: Odiona zstępującego z nieba ze swoją piekielną niosącą śmierć machiną. Nie było mowy o pomyłce. Ten sprzęt nie należał do Daimana. Symbole starszego brata, zdobiące poszycie transportowców, mówiły same za siebie. Siedem klinów skierowanych na zewnątrz i wpisanych w koło na czarnym polu – strzały w ruchu, dościgane przez ogarniającą wszystko czarną próżnię.

Ze świdrującym uszy wizgiem wieżyczki Spirali zaczęły się poruszać i strzelać. Próżnia nadciągała.



– Ogień ciągły! Zaporowy!

Kiedy z obu stron minęły go jaskrawe smugi energii, Rusher chwycił się kurczowo barierki. W ciągu kilku minut z wyludnionego, opustoszałego miejsca dno krateru zmieniło się w gwarne pole bitwy – a za chwilę miało tu się zrobić naprawdę gorąco. Ogień z działek brygady Rushera bombardował mordercze paskudztwo® wznoszące się na południowy zachód. Kilka sekund później dołączyła do nich ekipa Nosaurian, rozmieszczona nieco wyżej na zboczu. Rusher uśmiechnął się pod nosem. Jego chłopcy znowu namierzyli cel pierwsi – i to całkiem niezły cel. Yulan opowiadał mu o Spiralach Śmierci, ale Rusher nigdy dotąd nie widział żadnej z tych maszyn, a na pewno nikt dotąd nie oglądał czegoś takiego jak to... coś. Produkcja wieży musiała zająć ludziom ze Szpica całe miesiące. Kiedy rozbłyski gasły, Rusher widział pierścienie Spirali w ciągłym ruchu, ostrzeliwujące wojska Daimana stacjonujące na północy.

Było naprawdę kiepsko.

– Sierzancie Wenna'lah! – krzyknął. – Proszę o ocenę stanu uszkodzenia celu. Ledwie dosłyszał głos obserwatora przez hałas wywołany kolejną salwą z działek:

– Melduję, że zniszczenia są na poziomie zerowym.

– Zerowym?

– Jak tylko wylądowali, aktywowali pole ochronne.

Rusher zaklął pod nosem. Kiedy to cholerstwo podchodziło do lądowania, mieli doskonałą linię strzału, ale Daiman nakazał im wstrzymać ogień. Młody Lord czekał na pojawienie się Odiona. A teraz, kiedy ten w całym tym zamieszaniu wyrzucał ze swoich transportowców oddziały Straży Pioruna, było już za późno. Najpotężniejsza broń Rushera na nic się tu nie zda.

– Rozpruwacze i Safskar! Tylko pociski! Cel: wieżyczka! – Te dwa dywizjony dysponowały największą liczbą mózdzierzy protonowych.

– Nie mamy czystej linii strzału na północy! – odkrzyknął ktoś. Dywizjon Rozpruwacz był rozmieszczony na górnym skrzydle, częściowo osłonięty przed Spirala Śmierci przez bryłę arxeum.

– Celujcie wysoko i ostrzeliwujcie ich z góry! – Rusher podniósł wzrok na niebo. Aby ominąć arxeum, jego ludzie będą musieli strzelać w chmury. Zanoszą się na deszcz, zaśmiał się ponuro w duchu. – Zespoły obsługi broni energetycznej, brać na cel pojazdy i personel Złego Brata! Ogień zaporowy! Nie dajcie im się przedrzeć! – Siły Odiona parły naprzód, rozszerzając szyk. Pierwsi do arxeum, transportowców i studentów dotrą najpewniej żołnierze w śmigaczach i na skuterach – o ile nie uprzedzi ich piechota Daimana.

Studenci! Rusher z niepokojem rozejrzał się po dnie krateru. Młodzi uczniowie odłączali się od grup prowadzonych przez droidy i spanikowani gnali na łeb, na szyję w stronę transportowców. Spirala Śmierci nie zaczęła jeszcze strzelać w ich stronę, ale wątpił, żeby minęło dużo czasu, zanim siły Odiona się nimi zajmą.

A ludzie Rushera wystawiali ich na ogień.

I ty także, żeby ratować własną dupę, zganił się w myśli brygadier. Gwiazdy, pomóżcie nam!

Na południu pierścienie Spirali Śmierci zbierały obfite żniwo, prezentując pełen zakres swoich możliwości.

– Strzelajcie do tej cholernej wieży, teraz!



Łuuuup, szczęk!

Narsk położył po sobie spiczaste uszy i zakrył je dla pewności rękami. Ludzie Odiona nie zawracali sobie głowy wyposażeniem go w hełm, ale w tej odległości od Spirali Śmierci Bothanin żałował, że nie ma chociaż zatyczek do uszu.

– Właśnie tak! – darł się Lord Odion jak opętany, stojąc w otwartych wrotach zawieszono tuż nad ziemią transportowca. Patrząc radośnie na plującą ogniem wieżę, przysunął swój cybernetycznie wszczepiony komunikator bliżej ust. – Tak! Jeszcze raz! Dalej!

Kolejny przenikliwy, ogłuszający wizg z góry i na oczach Narska następny transportowiec

Industrial Heuristics stanął w ogniu. Usłane popiołem podłoże w promieniu setek metrów, tuż przed tłumem dzieciaków, zrosił deszcz odłamków. Kiedy trzecia salwa zniszczyła kolejny, uwięzieni w pułapce uczniowie odwrócili się znowu i pognali jak przyciągani magnesem do arxeum.

Koniec wycieczki, dzieciaczki, pomyślał Narsk. Przykro mi.

Stojąc we wrotach, przyglądał się, jak Odion wydaje donośny okrzyk bojowy i wyskakuje z pojazdu. Inni członkowie Straży Pioruna poszli w jego ślady – wkrótce na pokładzie został tylko on, Jelcho i załoga.

– Tam! – krzyknął ktoś, wskazując horyzont.

Kiedy Narsk odwrócił się w tę stronę, zobaczył rozbłyśki wystrzałów z działek ukrytych daleko na wschodniej ścianie krateru! To nie byli żołnierze Daimana – ci ostrzeliwali się zaciekle na północnym zboczu. Przypomniawszy sobie najemników, których mijał w drodze powrotnej z pałacu Daimana. Bez dwóch zdań byli częścią zasadzki Sitha.

Obserwując, jak kilka Piorunów wyprzedzających Odiona zostaje zestrzelonych, Bothanin przerwał milczenie:

– To szaleństwo! Wiedział, co tu zastanie! Dlaczego po prostu nie zbombardował krateru z orbity?

– Lord Odion chciał się upewnić o obecności Drażliwego, zanim wyśle go w niebyt – oznajmił flegmatycznie Jelcho. Givin dołączył do niego na rufie transportowca; zaciskał w podnieceniu kościste palce, a Narsk mógłby przysiąc, że widzi na jego bladej twarzy ślad rumieńców. No, prawie.

Jego zdaniem Giviniowie byli obleśni i obmierzli. Najgorliwsi wyznawcy kultu śmierci głoszonego przez Odiona wydawali się nie mieć w swoich bezskórych czaszkach nic poza pragnieniem dopełnienia własnego procesu rozkładu – raz na zawsze.

– Mój lud wolałby oczywiście, żeby to nasz pan zakończył nasz żywot – głądził Jelcho. – Ale z radością przyjmujemy łaskę przejścia w pustkę dzięki wstawiennictwu brata Śmierci.

Narsk spojrzał na niego z odrazą.

– A co powiesz na łaskę z rąk futrzastego kumpla Śmierci?

– Co takiego?

– Nic. – Narsk żałował, że nie ma pod ręką czegoś, czym mógłby trzasnąć Jelcha w pysk, chociażby po to, żeby nieco poprawić jego wygląd. Niestety, Odion na czas walki zrobił z obrzydliwca swoją niańkę; widmowe paskudztwo było kimś najbardziej zbliżonym do definicji przybocznego Odiona, który nie zawracał sobie głowy tworzeniem w swoich szeregach hierarchii. Pod tym względem był chyba najbardziej prymitywny spośród wszystkich panujących dotąd Sithów. To dlatego w jego wojsku brakowało porządku, który cechował siły zbrojne Daimana. W przeciwieństwie jednak do swojego brata, Odion był świadom istnienia innych i bał się ich. Uniemożliwiał potencjalnym rywalom dojście do władzy, pilnując, żeby donosił mu dosłownie każdy.

W praktyce efektem takiego procederu był chaos. Imperium Odiona pożerało światy niczym kosmiczny ślimak, nie dbając przy tym ani o finezję, ani o zdrowy rozsądek. Fachowcy byli neutralizowani albo paraliżowani, a ci najbliżej Odiona nie troszczyli się specjalnie o własny los, bo mało komu z jego świty udawało się przetrwać długo.

Jako outsider, Narsk nie miał z tym jednak problemu. Dzięki temu, że trzymał się na uboczu, mógł traktować podwładnych Odiona jak mu się tylko podobało, bo żaden z nich nie miał nad nim władzy. No, pomijając fakt, że przyprawiali go o mdłości.

– Jelcho! – zawołał ze środka jeden z pilotów. – Mamy komunikat z „Miecza Ieldisa”. Flota Daimana wyskoczyła właśnie z nadprzestrzeni. Wiążą ogniem nasze siły!

A więc o to chodziło, pomyślał Narsk. Zwabić tu Odiona i nie pozwolić mu wrócić...

Kąciki ust Jelcha uniosły się do góry w czymś na kształt uśmiechu, czyniąc jego wiecznie skwaszoną minę jeszcze okropniejszą. Położył Bothaninowi dłoń na ramieniu i uścisnął je z entuzjazmem.

– A więc to naprawdę dziś jest ten dzień! – ucieszył się. – A wszystko dzięki tobie, bothański szpiegu!

Narsk wzdrygnął się pod dotykiem widmowej istoty.

– Czy mógłbym dostać blaster? Obiecuję, że nigdzie się z nim nie wybiorę...



Spirala Śmierci ziała ogniem, niszcząc sukcesywnie ostatni z transportowców Industrial Heuristics. Kerra ślizgała się w czarnej mazi, przystając co jakiś czas, żeby uniknąć zasypania płonącymi szczątkami.

Wybór tej drogi nie był najmądrzejszym pomysłem, przyznała niechętnie. Miała nadzieję, że uda jej się zagonić na pokład któregoś z transportowców przynajmniej część uczniów, ale przerażająca machina Odiona nie zostawiła miejsca, w którym można się było skryć. Grupka młodych rozpierzchła się i dzieciaki biegły teraz, gnane paniką, przez północną połąć krateru. Przynajmniej ludzie Daimana jeszcze tu nie zaczęli ostrzału, bo inaczej zostałyby wzięte w krzyżowy ogień.

Na razie Daiman składał obowiązek walki na innych. Ze wschodu nadciągało kilka korpusów droidów bojowych, wiążąc ogniem Pioruny Odiona, ostrzeliwane też z działek najemników. Podejmując a bieg, Kerra podziękowała w duchu temu komuś – ktokolwiek to był – kogo Daiman rozmieścił na wschodniej grani. Celowo czy nie, ich pociski chroniły uciekające dzieci przed atakiem Odiona.

Wiedziała jednak, że to nie potrwa długo. Kiedy obejrzała się na południe, zobaczyła, że Spirala Śmierci bierze na cel stanowiska na wschodzie. Uprzytomniła sobie, że nie będzie miała dość czasu, żeby zająć się studentami. Chyba że...

Nagle tuż przed nią ziemię zasypał grad strzałów z działek. Dała susa w bok i przeturlała

się kawałek po tłustym, mazistym podłożu. Skrzydło osłaniające pierwszą falę skuterów repulsorowych Odiona przemknęło obok, a trzech uzbrojonych żołdaków wyłamało się z szyku, żeby ją okrążyć. Odbijając mieczem świetlnym ich strzały z blasterów, Kerra podbiegła do najbliższego żołnierza na skuterze i rzuciła się w jego stronę. Odcięła płynnym ruchem przednie płyty sterujące pojazdu w połowie drążków i zawirowała pod pojazdem, a kiedy się obejrzała, jeździec i śmig zniknęły właśnie w osłepiającej eksplozji.

Zawirowała jeszcze raz i jeszcze, podczas gdy pozostali żołnierze usiłovali wziąć ją na muszkę. Pierwszy z nich, Rodianin, stracił równowagę, kiedy odbity przez nią strzał z blastera strącił go z siodełka; drugiego Kerra skróciła o głowę płynnym cięciem miecza świetlnego.

Ignorując ich kompanów, podeszła do Rodianina. Ubrany w pancerz Piorunów Odiona, bełkotał coś w agonii, kiedy przechodziła nad jego ciałem, żeby dostać się do przewróconego na bok skutera.

– Fakt, jest kiepsko – mruknęła, podnosząc kierownicę. – Ale możesz mi zaufać, że nie zginąłeś na marne.



– Kelli uziemione, dowódco!

– Niech to szlag! – Światła na burcie gasły jedno po drugim. Teraz najlepszy dywizjon Rushera stracił swoją najpotężniejszą broń. – Bierz do galopu Gweithów, Tun-Badona i razem uderzcie na wieżę!

Wiedział, że dowódca grupy Serraknife nie będzie tym zachwycony; wyrzutnie pocisków Braci Gweith były w rzeczywistości najpowolniejszymi działami w ich arsenale. Między jednym strzałem tych zabawek a drugim można było malować na murach pokojowe graffiti. Brygadier wiedział też jednak, że major Tun-Badon zabierze się do dzieła jak należy.

W krótkich chwilach ciszy słyszał komunikaty z mostka – wynikało z nich, że zjawiała się wreszcie flota Daimana i wiązała teraz ogniem siły Odiona na orbicie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia dla „Gorliwości”, która cały czas walczyła o to, żeby się w ogóle utrzymać.

– Namierzają nas! – rozległo się w słuchawce komunikatora. Rusher nie zdołał uchwycić kodu.

– Powtórz! Który dywizjon? Czyj?

Na widok smug energii wystrzeliwanych ze Spirali Śmierci Rusher uświadomił sobie, że zna odpowiedź: wszystkie.



Sygnał był trudny do pomylenia z czymkolwiek innym. Nawet w ferworze walki Narsk czuł

go i słyszał – ciche buczenie z tyłu głowy.

Wywoływał je niewielki implant wszczepiony u podstawy jego czaszki, ukryty tak dobrze, że skanery Daimana nie zdołały go wykryć. Bothanin od razu wiedział, co oznacza ten sygnał: wzywał go jego prawdziwy pracodawca. A on musiał odpowiedzieć na wezwanie.

Dotarł do przedziału dla załogi. Implant był po prostu urządzeniem alarmowym – wzywał go do skontaktowania się z nadawcą sygnału. Wystarczy mu do tego jakikolwiek sprzęt łącznościowy, pod warunkiem, że będzie sprawnie nadawał w przestrzeń kosmiczną. Namierzywszy działający moduł poza zasięgiem załogi, Narsk usiadł i aktywował połączenie.

Szумы. Skrzywił się gniewnie. Najprawdopodobniej łączność zakłócało pole Spirali Śmierci. Kiedy doszły ich słuchy o pojawieniu się floty Daimana, nerwowy pilot transportowca posadził statek bliżej podstawy wieży, dla ochrony. Narsk podejrzewał, że nieprzetestowane do końca urządzenie zakłócało transmisje podprzestrzenne w promieniu chronionym przez pole. Jego implant wychwycił sygnał, ale tylko dlatego, że został on nadany przez sprzęt, którego działania nie zdołaliby zaburzyć nawet najzdolniejsi inżynierowie Odiona.

Wstał, czując w całym ciele skutki niedawnych przejść. Nie miał wyboru. Musiał się wydostać ze statku. Wsunąwszy zestaw komunikacyjny do plecaka, skierował się do wyjścia. Przynajmniej ten parszywy Givin nie będzie go szpie...

– Gdzie idziesz?

Narsk westchnął ciężko. Nie mógł nawet wyjść na pole walki bez pozwolenia. Przełknął ślinę i spojrzał w puste oczodoły Givina.

– Ja... uznałem, że masz rację, Jelcho. – Wskazał ręką na zewnątrz, gdzie Odion i jego Pioruny śmigwały między pociskami, eliminując najemną piechotę schodzącą ku nim ze wschodniego zbocza. – Kiedy na to wszystko patrzę... Czuję potrzebę, żeby do nich dołączyć.

– Żałuję, że ja nie mogę tego zrobić... Narsk łypnął na niego spode łba.

– Hm, a właściwie to dlaczego nie? – Krzywiąc się w duchu, wziął nawigatora pod chitynowe ramię.

– Nie mogę – westchnął Jelcho. – Lord Odion chciał, żebym został tutaj. Jeśli operacja się nie powiedzie, na jego statku będzie potrzebny nawigator.

– Nie powiedzie? O czym ty mówisz? – Narsk wyszedł z transportowca i skierował się w stronę odbywającej się w pobliżu rzezi. – Odion zmienia mapę tego miejsca. To wielka rozgrywka, a ty mi mówisz, że nie chcesz w niej brać udziału? Niepewnie, niczym zawstydzona panna młoda, Jelcho postawił ostrożnie stopę na ziemi. Potem drugą. Z jego kościstej piersi wydarło się głębokie, zachwycone, charczące westchnienie.

– Tyle tu próżni...

Nie zmarnuj jej ani odrobiny, czubku, pomyślał Narsk. Zabrał z pokładu dwa blastery, wrócił do Givina, chwycił go za ramię i obrócił w stronę otwartych garaży śmigaczy u podstawy niezmordowanej sięjącej spustoszenia Spirali Śmierci.

– Tam masz śmigacz, a tu karabin. – Wręczył mu broń. – Idź, upomnij się o kawałek swojej próżni.

Sam wziął blaster i zaczął okręzać Spirale Śmierci, kierując się na południe, w jakieś cichsze i bezpieczniejsze miejsce, gdzie od sił Daimana będzie go odgradzała wieża. Nie miał ochoty na ponowne spotkanie z obłąkanym Sithem. Czując na sobie czyjś wzrok, odwrócił się. Givin stał za nim, przygarbiony, i gapił się na niego bez słowa.

– Co znowu? – Narsk ledwie słyszał słowa nawigatora, zagłuszone hukami wystrzałów z obrotowych pierścieni wieży.

– To dość dziwne, bothański szpiegu! – zawołał głośno Givin. Narsk odniósł wrażenie, że trójkątne oczodoły Jelcha zapadły się jeszcze bardziej do wnętrza egzoczaszki. – Kiedy mówiłeś wcześniej o bombardowaniu krateru, użyłeś słowa „on”, zamiast „my”. Czy chwała Odiona nie jest twoją chwałą?

– Zamknij się i idź coś zastrzelić! – wrzasnął na niego Narsk. Zanim ja zastrzelę ciebie, miał ochotę dodać.



Rusher rozejrzał się dookoła. Nagle na szczycie kadłuba zrobiło się mnóstwo miejsca. Każdy dywizjon miał trzech swoich obserwatorów na platformie dowodzenia, ale kiedy Serraknife, Flechette i Safskar zostały wyłączone z gry, ich czujki zeszły ze swoich stanowisk, aby pomagać przy akcji ratunkowej.

Nie żeby ci, którzy zostali, byli w stanie wiele wskórać. Koniec końców, grań okazała się kiepskim miejscem na zastawienie pułapki. Każdy atak na wzgórza odbijał się na „Gorliwości”, niemal strącając obserwatorom hełmy z głów, nie mówiąc już o tym, że wokół unosił się dym tak gęsty, że brygadier nie widział przez niego własnych ludzi.

Sprawdził ekran dowodzenia na swoim stanowisku. Zgodnie z danymi na wyświetlaczu, mieli pięć funkcjonujących zespołów – dwa na północy i trzy na południu. Jego dywizjony nadal dawały z siebie wszystko, zasypując kotlinę gradem ognia, jednak siły Odiona, obsługujące Spirale Śmierci, nie pozostawały im dłużne.

Część północnej grani zniknęła w oślepiającym rozbłysku światła, rozsiewając wokół chmurę szczątków. Członkowie zespołu dowodzenia Rushera rzucili się w poszukiwaniu kryjówek, kiedy w poszycie „Gorliwości” zabębnił deszcz ostrych odłamków skał. Żadne pole energetyczne nie mogło ich uchronić przed spadającą z góry lawiną.

– Straciliśmy Dywizjon Rantok! – Ignorując kamienny grad, główny obserwator Rantoka zeskoczył ze swojego fotela i razem z asystentem rzucił się w stronę drabinki.

Rusher złapał trzeciego z nich, młodego chłopca, za ramię.

– Zostań tu – nakazał mu. – Masz teraz pilnować ewakuacji. Na lewą burtę! Młody, góra szesnastoletni obserwator skinął głową a Rusher skierował się na drugą burtę. Ich misja

będzie teraz polegać na wytyczeniu optymalnych tras powrotu do „Gorliwości”. Kierowanie zespołów do wyznaczonej rampy rozładunkowej nie było dobrym pomysłem, jeśli na ich drodze ziała dziura po wybuchu.

Przewieszony przez barierkę Rusher rozejrzył się po spowitym kurzem polu walki. Nie da się ustalić tras do każdego z trapów; kamery na brzuchu „Gorliwości” nie działały od lat. Mógł jednak skorzystać z informacji uzyskanych od innych. U stóp prawoburtowej Trójki ziała wielka dziura. Odpada. Przynajmniej Dwójka po prawej sprawiała przyzwoite wrażenie...

Opuścił makrolornetkę i zmrużył oczy. Beadle Lubboon, w przekrzywionym hełmie, trzęsąc się jak galareta, zjeżdżał właśnie z trapu swoim transportowym łazikiem. Do łańcucha z tyłu pojazdu przymocowano byle jak długą lufę Kelligdyda 25, działka laserowego, pechowo załadowanego odwrotnie na Whinndorze. Durosjański rekrut jakimś cudem zdołał wydostać krnąbrne działko z ładowni i ciągnął je teraz za sobą – jego ciężar zostawiał w wulkanicznym pyłe głęboki ślad.

– Hej tam! Młody! – Rusher ledwie słyszał swój własny głos. Cóż, sądząc po jego dzikim wyrazie twarzy, żółtodziób postradał zmysły. Pochylał się tak nisko, jak tylko zdołał, łypiąc nieprzytomnie spod daszku łazika, i zaciskał zielone dłonie na drążku sterowniczym tak kurczowo, że pobielały mu knykcie.

Rusher w bezsilnej złości palnął się pięścią w hełm. Jeszcze tego mu teraz brakowało!

Po drugiej stronie kotliny Spirala Śmierci bluznęła ogniem – i cała „Gorliwość” dosłownie podskoczyła na kilka metrów w górę, po czym opadła z jękiem na ziemię. Uczepiwszy się kurczowo barierki, Rusher obejrzał się za siebie. Młody obserwator zniknął za burtą tak samo jak dwóch pozostałych oficerów, którzy nie byli przypięci do swoich foteli. Dotarł na czoło stanowiska i zerknął w dół. Strzał padł pod kątem, trafiając kawałek na południe od statku. Jeden rzut oka na wyświetlacz potwierdził, że stracili pole energetyczne. Co jeszcze? – jęknął w duchu.

Nawiązał połączenie.

– Dackett! Jak tam u was?

Nie było odpowiedzi. Zawołał jeszcze raz, ale usłyszał tylko nieznamy głos z krawędzi grani:

– Oficer Dackett dostał!

Rusher z trudem przełknął ślinę. Obrzucił spojrzeniem garstkę obserwatorów i ruszył do drabinki. Jego brygada była w porządnym opałach.



Zataczając skuterem koła niczym poganiacz banth, Kerra pędziła studentów naprzód. Transportowce stały w ogniu, więc nie miała innego wyjścia, jak tylko zagonić grupkę do

potężnej bryły statku Industrial Heuristics. Śmiercionośna maszyna Odiona pluła ogniem w kilku kierunkach naraz, posyłając salwy z działek nad głowami uczniów. Strzały te były przeznaczone dla ludzi Daimana, stacjonujących na północnym stoku; kolejne salwy wzbijały fontanny pyłu na wschód, siejąc spustoszenie wśród oddziału droidów bojowych, jednak większość ognia skupiała się na najbliższym celu – na przypominającym miasto statku, stojącym pośrodku krateru. Jedna z jego dziewięciu wieżyczek już implodowała i zapadła się do środka, wyrzucając w powietrze chmurę szczątków, które pomogły Kerrze osłaniać manewry grupki dzieci.

Na Chelloi Kerra Holt miała okazję prowadzić Jedi do ataku, jednak to było zupełnie coś innego. Tutaj miała setki dzieci – może więcej niż tysiąc – rozbiegających się nieustannie we wszystkich kierunkach po śliskiej, błotnistej niecce. Trzymała zapalony miecz świetlny nad głową, używając go jako boi kierunkowej, aby prowadzić swoją trzódkę naprzód, jednak, jak się okazało, nie było to konieczne. Na widok wznoszących się w kurzawie wież arxeum kilkudziesięciu uczniów zaczęło biec w stronę potencjalnego schronienia...

tylko po to, żeby zawrócić w panice, kiedy kolejna wieżyczka od południa runęła, zestrzelona.

Mimo to żołnierze Odiona wciąż parli naprzód, rozprawiając się z siłami Daimana, które teraz ostrzeliwały chaotycznie Spirale Śmierci z północnego stoku. Kerra zakręciła i obleciała rozgorączkowany tłumek z jednej i z drugiej strony, usiłując pilnować, żeby nikt nie odłączył się od grupy. Stwierdziła, że mali przedstawiciele niektórych ras nie mogą w ogóle biec, a inni – tak jak Tan – poruszali się tylko w takim tempie, na jakie pozwalały im ich krótkie nóżki. Zaganiając swoje stadko na spokojniejszy teren, w pół drogi między północnymi a wschodnimi stanowiskami sił Daimana, zatoczyła szerokie koło, zbierając po drodze maruderów.

Za sobą usłyszała świst blasterowych strzałów, więc uchyliła się raptownie na bok. Jeden z vodrańskich żołnierzy Daimana, pozbawiony nóg i wykrwawiający się na śmierć w czarnym szlamie, leżał nieopodal na brzuchu i strzelał do niej z karabinu. Kerra wcisnęła gaz do dechy i ruszyła w jego stronę, ale to nie skłoniło żołnierza do zaprzestania ostrzału.

To oni was atakują idioto! – wrzasnęła do niego, zawijając w bok. – Dlaczego strzelasz do mnie?

Na widok przebiegających przed skuterem dzieci skrzyła ostro. Obok niej przelatowały z wizgiem promienie energii; zeskoczyła z siodelka i rzuciła się na strzelającego do niej żołnierza. Kiedy spróbował się odwrócić i znów wycelować w nią swój karabin, wydała z siebie gniewny okrzyk i opuściła na niego klingę miecza.

Szybko podniosła broń, zacisnęła zęby i cofnęła się od Vodranina. Wyłączywszy miecz, obejrzała się na grań. Miała nadzieję, że Daimanowi też się nieźle obrywa, ale jego namiot wciąż stał w tym samym miejscu, nienaruszony, całkiem jakby Sith z niej drwił. Pewnie obozowisko otacza pole ochronne, pomyślała. Zastanowiła się nad ładunkami, które z takim

trudem zgromadziła i wlokła przez pół Daimanatu, aż do tylnych wrót namiotu stwórcy chaosu. Ładunki, które przenikną każde pole, chroniące Daimana...

Zmrużyła oczy. Zrób to! – nakazał jej wewnętrzny głos. Zakończ sprawę! Stojąc obok zarytego w czarnym błocie skutera, wyobraziła sobie siebie samą kucającą przy namiocie zaledwie godzinę wcześniej i zdejmującą przez głowę bandolier. Mogła to wtedy zakończyć.

Możesz też skończyć tu i teraz. Właśnie tutaj. Zrób to!

Sięgnęła do plecaka i namacała detonator. Zerknęła dla pewności na wyświetlacz – była teraz w zasięgu potencjalnej eksplozji; skupiła wzrok na namiocie. W tym jednym ułamku sekundy wezbrały w niej cała gorycz i gniew. Widziała teraz namiot taki, jakim chciała go widzieć: zniszczony, a w nim jej martwy prześladowca... i koniec jej problemów... Widziała to samo, co wtedy na Szlaku Wytwórców, kiedy zniszczyła Czarny Kieł za pomocą tego samego urządzenia. W tej właśnie sekundzie zobaczyła zakończenie całej tej farsy.

Tym, czego nie widziała – bo nie zauważyła – był fakt, że bandolier był wciąż przewieszony przez jej pierś. Od chwili, kiedy bezmyślnie założyła go z powrotem na stoku, godzinę temu.

ROZDZIAŁ 9

– Kerro? Kerro! – Trzymając palec zawieszony nad czerwonym przyciskiem, Jedi obejrzała się za siebie. Jeden z małych maruderów – tych o krótszych, mniej sprawnych nóżkach – zatrzymał się i patrzył w jej stronę: to Tan Tengo. Jej czarne oczy były szkliste od łez, tak jak w dniu, kiedy rozstawały się na Darkknell. – Kerro, co ty tu robisz? Skąd się tu wzięłaś?

Opuściła detonator. Przez ostatnich kilka tygodni zadawała sobie to samo pytanie już tyle razy! Teraz zadała je sobie znowu i – niemal bezwiednie – poklepała bandolier przepasujący jej pierś. Co ja tutaj robię?

– Ojej! – Zaskoczona, odrzuciła detonator, podnosząc do piersi obie dłonie. Przez sekundę, pośród chaosu i gwaru walki, wsłuchiwała się we własny spazmatyczny oddech. O czym ja w ogóle myślałam? – jęknęła w duchu.

Tan pochyliła się i podniosła z ziemi urządzenie detonujące.

– Coś ci wypadło – pisnęła. – Czy ty... czy ty jesteś Jedi? Kerra westchnęła i przytuliła swoją byłą podopieczną do piersi.

Wzięła od niej detonator.

– Tak – powiedziała cicho. – Chyba tak. – Wciąż tuląc w objęciach drżącą Tan, spojrzała w stronę Spirali Śmierci. Wiedziała już, co się stało. To Odion wykorzystał swoje niezwykle zdolności we władaniu Mocą, aby skłonić uczestników walki do aktów autodestrukcji. Nieważne, czy w swoim imieniu – czego przykładem byli przypuszczający samobójcze ataki żołnierze – czy w innym celu. Zbiorowe szaleństwo nie ominęło też oddziałów Daimana, rozmieszczonych na grani. Oni także wyrzynali się nawzajem w dzikim amoku.

Tan zaszlochała i pociągnęła nosem.

– Nasza szkoła... Nasze... arxeum! Zniszczyli je! Dlaczego to robią? – Obejrzała się na zbitych w grupkę pod osłoną północno-wschodniej ściany krateru kolegów i koleżanki. – Dlaczego oni chcą nas zabić, Kerro? Co takiego zrobiliśmy?

– Nic – syknęła Kerra, czując wzbierającą znów w piersi falę gniewu. Podniosła wzrok na złowrogą wieżę Odiona, teraz zajmującą się niszczeniem budynków w centrum arxeum i zamienianiem ich w hałdę żużlu. – Ale powinni się zacząć martwić tym, co ja wkrótce zrobię im. – Wypuszczając Tan z objęć, obróciła się na pięcie tylko po to, żeby zobaczyć kolejnego żołnierza na skuterze, pędzącego w jej stronę i strzelającego z działek. Ani drgnęła; podniosła po prostu ręce do góry...

...i opuściła je w dół, całkiem jakby ciskała niewidoczny ciężar na ziemię. Odionita spadł z

siodełka, a skuter uderzył w dno krateru, kilka metrów od jej stóp. Kerra podeszła niespiesznie do oszołomionego jeźdźca, zamachnęła się i wymierzyła mu solidny cios w szczękę.

To był Givin. Widziała przedstawicieli tego gatunku podczas swojej niechlubnej wyprawy do Szpica kilka tygodni wcześniej, ale nie miała pojęcia, że Odion wykorzystuje ich jako mięso armatnie. Poza naturalnym egzoszkieletem nieszczęsna istota nie miała na sobie nawet pancerza.

– Schowaj się za moim skuterem, Tan – poleciła Sullustance, ustawiając uziemiony pojazd Givina na tryb zawieszenia. Poderwała nieprzytomnego wojaka z ziemi za patykowate ramiona. – To potrwa tylko minutkę, obiecuję!



Chociaż nad głową przelatywały mu ze świstem pociski udarowe, Rusher zmusił się do skupienia uwagi na usianej szczątkami ścieżce. Stwierdził, że bombarduje ich więcej pocisków, niż sami wystrzelili, mniej więcej w stosunku trzy do jednego. Nieważne, jak długo to jeszcze potrwa – bitwa miała się ku końcowi, nawet gdyby miał pełną załogę.

A było wręcz przeciwnie. Jego brygada została zdziesiątkowana tak szybko...

Tak samo jak cała ekipa, z którą spotkał się wtedy w świątyni Daimana – no, może poza nieszczęsnym Togorianinem. A przecież wyglądało na to, że będzie jeszcze gorzej. Widział, że ludzie Nosaurianina wciąż stawiają słaby opór, ale nigdzie nie dostrzegł armii droidów Medagazy'ego.

Jego ludzie, którzy wrócili na pokład „Gorliwości”, donieśli mu, że Dackett wyruszył wraz z ekipą ratowniczą żeby odzyskać co się da z dywizjonu Tun-Badona – począwszy od dział, aż po samego Sanyassanina. Jego pierwszy oficer zawsze martwił się o tych, którzy potrzebowali pomocy, pomyślał refleksyjnie Rusher. Nikogo nie zostawiamy, tak zawsze mówił. Najwyraźniej nie wiedział, że cały fragment zbocza zajętego przez dywizję Serraknife został zniszczony. Łączność trafił szlag, tak samo jak dyscyplinę, co zresztą nie dziwiło, bo zazwyczaj jedno było nierozzerwalnie związane z drugim.

Podniósł wzrok na wybrzuszenie grani tuż przed nim. Nie było go tu wcześniej; większość z dalszych formacji skalnych się zawaliła, a reszta tliła się, zasnuwając powietrze dymem. Dźgając ziemię swoją laseczką brygadier ruszył przed siebie, obawiając się tego, co zobaczy po drugiej stronie rumowiska.

– Sir? Sir!

Wspiął się na hałdę i zagapił z niedowierzaniem na to, co widział w dole. Patrzył oto na śmierć i zniszczenie. Co prawda właśnie tego się spodziewał, ale widok był gorszy niż wszystko, co dotąd widział w swojej karierze. Zbocze i stanowisko artylerii zmieniły miejsca, pozostawiając po sobie dziwną płataninę metalowych prętów i kończyn istot żywych, sterczących ze skwierczącego pobojowiska. Jego wzrok przyciągnął jakiś ruch – to łazik

Beadle'a Lubboona parł przed siebie przez dym, klucząc między lejami po pociskach. Zamiast zaczepionej wcześniej na łańcuchu lufy, Durosjanin ciągnął za sobą prowizoryczne nosze.

– Mam tu oficera Dacketta, sir!

– Widzę!

Zapominając o bólu w nodze, Rusher rzucił się przez sterty śmieci w stronę łązika. Faktycznie, na noszach leżał pierwszy oficer Dackett w zakrwawionym, podartym ubraniu.

– Zobaczyłem go, kiedy zajechałem za wzgórze z działem, sir! – krzyknął Beadle.

Rusher przyklęknął przy noszach. Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył długi, kręty ślad wyżłobiony w żwirze, znikający z pola widzenia w kłębach dymu.

Wątpił, czy w takich warunkach poradziłby sobie pojazd repulsorowy.

– Trochę wyboista przejażdżka, co, Ryland? – zagadnął Dacketta. Oficer chwycił go za kołnierz posiniaczoną prawą ręką.

– Zastrzel mnie, stary, zanim ten dzieciak mnie wykończy! – jęknął.

Rusher spojrział na drugą rękę Dacketta, leżącą w pobliżu jego stóp, na końcu noszy.

– Sam ją ze sobą zabrałem. – Dackett odkaszlnął. – Nigdy niczego nie zostawiaj...

W zбочe, tym razem nieco niżej, uderzyła kolejna salwa z turbolasera. Rusher odrzucił swoją laseczkę na bok i wgramolił się do kabiny pojazdu młodego Lubboona. Otworzył schowek w drzwiach i wyjął pakiet medyczny.

– Och, a więc tutaj był – mruknął Beadle, nadal jak przykuty do drążka sterowniczego.

– Tak, właśnie tu był – stęknął Rusher, wysiadając.

Znalazł odpowiednie miejsce wśród bruzd na szyi Dacketta i zaaplikował mu środek znieczulający. Oszołomiony weteran zaczął głądzić od rzeczy, przepraszając potoczyście za to, że zostawił statek na pastwę losu.

– Za stary się chyba robię; nie powinienem był ryzykować...

Rusher rozejrzał się dookoła. Wyglądało na to, że wszyscy w zespole działają pod wpływem chwili i nagłych impulsów – włącznie z tym durosjańskim gnojkiem. Coś na Gazzari było nie tak. Muszą się stąd jak najszybciej zabierać.

– Pomóż mi z tym, młody! – zawołał.

Odrywając z trudem palce od drążka, Durosjanin zeskoczył z siedzenia i wysiadł z wozu. Wspólnie z Rusherem podnieśli masywne ciało Dacketta i usadowili je na siedzeniu pasażera w łąziku.

– Nie zapomnij o ręce – przypomniał sennie młodemu Dackett.

– Tak jest, sir! To znaczy, nie, sir, nie zapomnę! – zaplątał się Durosjanin. Kiedy Beadle wdrapał się niezdarnie na maskę, Rusher usadowił się za sterami i sięgnął do drążka. W plastoidzie zobaczył głęboko odcisnięte ślady palców rekruta. Rusher pokręcił z niedowierzaniem głową. Dzieciak wiózł Dacketta niemal pół kilometra przez najbardziej poznaczony lejami po pociskach teren zбочa, w dodatku pod ostrzałem.

– Młody, co cię napadło, żeby przebyć tę całą drogę po niego? – spytał rekruta. Durosjanin

spojrzał na niego z zakłopotaniem.

– To jedyna osoba, którą znałem, sir...

Rusher mimo woli parsknął śmiechem, ale zaraz spoważniał. Na szczycie wzgórza zobaczył to, czego się najbardziej obawiał. Przed opuszczeniem „Gorliwości” zarządził generalny odwrót i polecił dywizjom rozmieszczonym najbliżej statku osłaniać ruchy tych przybywających z daleka, jednak z osłanianych i osłaniających pozostały tylko tłące się szczątki.

– Stan załogi! – rzucił do komunikatora.

– Jeden dywizjon na pokładzie – nadeszła przerywana wyładowaniami odpowiedź. – Dwa na zewnątrz i maruderzy. Północ i południe... – Rusher nie dosłyszał reszty raportu. W oddali, na dnie krateru, Spirala Śmierci wystrzeliła znów, a potem jeszcze raz – całe baterie wieżyczek na różnych poziomach celowały jednocześnie we wszystkie cztery strony świata. Jeszcze nie wzięły na cel „Gorliwości” – Rusher wątpił, żeby strzelcy dostrzegli jego statek przez cały ten pył i popiół w powietrzu. Świetnie im jednak wychodziło wyłapywanie wszystkich jego ludzi, którzy próbowali do niego wrócić. Bezpieczne schronienie dla reszty jego brygady mogło się równie dobrze znajdować całe lata świetlne stąd.

A ja? Mogę się poruszać z maksymalną prędkością cztery kilometry na godzinę, pomyślał smętnie Rusher. Wstał i skrzywił się z bólu. Nie było szans, żeby się przedrzeć – nikt nie miał na to szans.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o fuchę dla stwórcy wszechświata – parsknął gorzko, siadając i włączając silnik pojazdu. – Cudów nie ma. I nie będzie.



Przykucnąwszy przy ramie rozbitego śmigacza, Narsk zerknął raz i drugi na centralkę łączności. Cóż za wycucie czasu! – pomyślał. To będzie najdziwniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w historii zorganizowanych działań wojennych – a przynajmniej w dziejach wojen między Lordami Sithów.

Ale wiadomość, którą otrzymał, była jasna – tak jak misja, którą mu powierzono. Dostał sygnał, aby sprowadzić żołnierzy na Gazzari – Odiona i Daimana.

Otrzymał odpowiedni kod i nie było odwrotu. Jednak, patrząc na Spirale Śmierci, siejącą spustoszenie pośród i tak już przeredzonych sił broniących ścian krateru, Narsk zastanawiał się, czy któryś z obecnych w ogóle usłyszy jego przesłanie. Rozejrzał się dookoła i znalazł makrolornetkę w pobliżu zwłok pilota śmigacza, Odionity. Nawet gdyby Spirala Śmierci nie dziesiątkowała ich sił, czy Odion i Daiman w ogóle by go posłuchali?

Rozglądał się chwilę po polu walki i wreszcie namierzył kogo trzeba. Trudno ich było przeoczyć. Daiman stał na szczycie platformy repulsorowej, zajmującej północny stok krateru, z zapalonym mieczem świetlnym w dłoni. Jego ludzie gromadzili się w dole – mieszanina

żołnierzy i przeklętych Dyscyplinatorów, dzierżących własną broń. Niecały kilometr dalej Pioruny Odiona pędziły w ich stronę, niweczając cały plan zasadzki. Na czele leciał na skiffie ich przywódca. Po jego palcach tańczyły wyładowania Mocy, całkiem jakby nie mógł się doczekać długo wyczekiwanej konfrontacji.

Cóż, na pewno by go nie posłuchali, uznał Narsk. Pewnie nikt na polu walki nie usłyszałby jego wołania. Zwrócił soczewki makrolornetki na wschód, gdzie potężne arxeum zostało zredukowane prawie do kupki żwiru. Nie potrwa długo, zanim Spirala Śmierci znajdzie grupkę uchodźców, rozrzuconych na wschodzie...

Zamrugął nagle, zaskoczony. Nie, nie przywidziało mu się – w oddali przemykało zielone ostrze miecza świetlnego. Jedi! Kerra siedziała na skuterze repulsorowym z jakimś bachorem, kierując grupą rekrutów. To jakiś obłąd, pomyślał nieprzytomnie. Czarnowłosa kobieta pojawiała się i znikła z jego pola widzenia, kiedy przenosił wzrok z niej na Spiralę Śmierci i z powrotem. Ona jednak nie patrzyła w stronę Spirali, ostrzeliwującej teraz bezskutecznie chronioną polem platformę Daimana, a na coś, co znajdowało się bliżej jej podstawy...

Narsk spojrział w lewo, ponad rozległym krajobrazem, pełnym utaplanych w szlamie trupów. Odionici wyczyścili całe terytorium wokół stożkowej platformy bojowej – terytorium, które teraz przemierzał samotny skuter repulsorowy. Z miejsca, w którym przedtem stała Jedi, za polem ochronnym przesuwiał się żołnierz w szarym uniformie, kursem prowadzącym bezpośrednio do garaży u podstawy Spirali Śmierci. Narsk zmrużył oczy...

To Jelcho!

Nieprzytomny Givin, bezwładnie przewieszony przez kierownicę śmigła, pędził z pełną prędkością przy zablokowanym akceleratorze. Narsk przyjrzał się lepiej i zauważył, że Givin jest przypięty do pojazdu czymś ciemnym – bandolierem z małymi, srebrnymi kieszonkami!

Zanim omdlały jeździec dotarł do wieży, Narsk spojrział znowu w stronę Jedi i doznał nagłego deja vu: miał przed sobą Kerrę Holt, ściskającą w dłoni... jego detonator!

Zanurkował za przewrócony śmigacz. Zapowiadały się duże kłopoty...



Podstawa Spirali Śmierci znikła w oślepiającym rozbłysku, rozdzierając potężny korpus maszyny wojennej. Z epicentrum wybuchu dobiegł ogłuszający trzask, wstrząsając podłożem krateru i wyrzucając ariergardę Odiona w powietrze. Na północy eksplozja zrzuciła obydwu Sithów z ich napowietrznych środków transportu, ciskając każdego pośród zwolenników przeciwnika.

Trzęsienie ziemi posłało wszystkich obecnych w kraterze na ziemię – włącznie z uczniami, kulącymi się w pobliżu północno-wschodniej ściany niecki. Kerra obejrzała się z obawą za siebie. Odsunęła dzieciaki wystarczająco daleko od strefy wybuchu, ale opasana pierścieniami wieża rozprysła się na kawałki, siejąc we wszystkie strony deszczem odłamków.

Widząc, że kawałki opadają jednak z dala od dzieci, usiadła z powrotem na siodełku skutera i uśmiechnęła się łagodnie. Azotyn baradium, dzięki któremu zniszczyła maszynę Odiona, wyprodukowały zakłady Daimana. Wykorzystała je zgodnie z przeznaczeniem, a jednak w sposób, którego nigdy nie wyobraziłby sobie rzekomy stwórca Darkkneel!



– A to co, do jasnej i nagłej? – Nawet Dackett w swoim farmaceutycznym otępieniu poczuł wstrząs, który wprowadził w drżenie konstrukcję łoża.

– To chyba nasz cud – wykrztusił Ruser przez ściśnięte gardło. Wieża, która do niedawna ostrzeliwała zbocza krateru, teraz szybowała w licznych drobnych częściach daleko poza jego krańce. Nie czekając, aż opadnie pył wzniecony wybuchem, przysunął do ust mikrofon komunikatora. – Oto nasz sygnał. Wszystkie jednostki, meldować się i na pokład! Pędem!

Odpalając znów silnik łoża, obejrzał się na słup dymu i ognia i pokręcił z niedowierzaniem głową. Jak, u licha, Daimanowi udało się dokonać tej sztuczki? Jeszcze kilka takich akcji i sam stanie się jego wyznawcą!



Narsk wynurzył się z wraku śmigacza. Fala uderzeniowa uniosła pojazd w powietrze i rzuciła go na południową ścianę krateru, porywając go razem z nim. Bothanin wylądował do góry nogami na przednim siedzeniu; większość impetu zderzenia przyjęła na siebie tablica rozdzielcza.

Gramoląc się na nogi, zaklął szpetnie. Znów go wszystko bolało – ależ wybrał odpowiedni moment na nawiązanie łączności! Spirala Śmierci została pogrzebana na własnym stosie, w miniaturowym, nadprogramowym wulkanie na Gazzari. Jelcho znalazł dzięki Jedi swoją próżnię. Szkoda, że nie mogłem tego dokonać własnoręcznie, pomyślał z żalem Narsk, utykając boleśnie. Z orbity.

W pobliżu wraku znalazł centralkę. Obudowa była popękana, ale poza tym aparat działał. Narsk otworzył kanał. Mógł wreszcie nawiązać łączność. I może teraz Lordowie Sithów nawet go wysłuchają kto wie?



Kerra stała na skuterze z zapalonym mieczem świetlnym w dłoni wymierzonym na wschód, okrążając z wolną grupką studentów. Wołała na wszystkie strony w każdym języku, jaki tylko mogła sobie przypomnieć; usadowiona z tyłu Tan robiła to samo:

– Na wschód! W stronę wzgórz! – krzyczała.

Lordowie Sithów na chwilę przerwali walkę, żeby się przegrupować, ale na pewno wkrótce dojdą do siebie i zwycięzca starcia upomni się o studentów. Kerra uświadomiła sobie, że mali uchodźcy mogą znaleźć teraz schronienie tylko w jednym miejscu. Te wszystkie droidy bojowe i działa musiano tu przecież jakoś dostarczyć...

– Kerro! Tam jest ścieżka!

Jedi podziękowała w duchu Mocy za bystry wzrok Sullustanki. Bombardowanie powyrywało tu i ówdzie fragmenty skał ze zboczy, ale nie uszkodziło ścieżek, które wydeptały droidy w drodze na dno krateru. Nie wiedziała, co jest ponad warstwą dymu, ale dotarcie tam było bez dwóch zdań lepszym wyjściem niż pozostanie tutaj.

– Wspinamy się! Szybko!



Pierwszy oficer był bezpieczny na pokładzie statku. Zanim Rusher wrócił na dół, dopilnował, żeby durosjański rekrut wprowadził Dacketta po trapie na pokład. Dywizjony Coyn'skar i Zhaboka już wróciły, o dziwo, z większością swojego sprzętu, jednak oddział Rozpruwaczy, powracający z najbardziej wysuniętego na północ punktu, przechodzący przez piekło, przez które przebrnął wcześniej Beadle, nadal był w drodze. To prawda, Spirala Śmierci nie była już zagrożeniem, ale w pobliżu wciąż czyhały siły Odiona. Rusher wiedział, że będzie czekał na swoich ludzi tak długo, jak zdoła, ale ani sekundy dłużej.

Spojrzał na rozciągające się w dole pobojuwisko. Bitwa o Gazzari była porażką porównywalną z klęską na Serroco. Cóż, zawsze marzył o udziale w wydarzeniu na skalę historyczną, a teraz dostał, czego chciał – jeśli oczywiście ktoś na tym świecie przeżyje, żeby o tym komuś opowiedzieć. Trzy tysiące żołnierzy obudziły się tego ranka pod jego rozkazami. Cieszyłby się, gdyby miał pewność, że przeżył chociaż tysiąc.

Nie, poprawił się w duchu, nie mógłby się z tego cieszyć. Nic nie zdoła uleczyć tej rany. I tak miał dotąd wielkie szczęście. Przez wszystkie te lata udawało mu się uniknąć katastrofy – aż do teraz. Tylu żołnierzy zginęło...

Tun-Badon i jego Serraknife. Safskarowie. Dematoil. A teraz Dackett walczył o życie. Rusher w żaden sposób się z tego nie wygrzebie – nie jako artylerzysta, zaledwie z połową załogi...

Poprzez wirujący w powietrzu pył dostrzegł nad północną granicą długie działa Kelligdyd. A więc Rozpruwaczom się udało! Pokuśtykał w ich stronę, ostrożnie przestępując nad szczątkami, patrząc, jak zza wzniesienia wynurzają się platformy repulsorowe. Ogarnięty euforią poklepywał po plecach zdezorientowanych, zmordowanych żołnierzy, biegnących obok niego.

– Ładujcie sprzęt, chłopcy! Wszystko jedno, którą rampą! Którąkolwiek z ośmiu, nie ma...

– Urwał. Zatrzymał się na szczycie rumowiska i spojrzął w dół, na tłum kłębiących się w dole istot. Studenci z Industrial Heuristics! Roili się u stóp zbocza, wspinając się na górę i mieszając z jego umęczonymi ludźmi.

Zatoczył się do tyłu, podnosząc swoją laseczkę w daremnej próbie zagrodzenia im drogi.

– Nie! Zaczekajcie! – Młodociani przedstawiciele najrozmaitszych gatunków ze wszystkich chyba zakątków Daimanatu mijali go, wdrapując się na wzgórze. Pędzili gorączkowo w stronę „Gorliwości” i każdej z jej ośmiu ramp.

Zaskoczony, spojrzął w stronę jednej z uzbrojonych strzelczyń, z trudem gramolącej się w górę.

– Zeller! Czy to wy sprowadziliście tutaj te istoty?

– Nic podobnego, brygadierze. Przyszły z nią! – zameldowała kobieta.

Rusher spojrzął we wskazanym przez nią kierunku. Na tyłach pochodu leciała na skuterze repulsorowym ubrana w brązowe szaty dziewczyna, zagadując idących koło niej maruderów. Była młoda, ale zdecydowanie starsza niż większość uczniów – no i miała miecz świetlny.

Zeller podniosła swoją broń i wskazała opuszczone rampy.

– Życzy pan sobie, żebyśmy ich zawrócili? – Na trapach stali strażnicy Rushera z karabinami w gotowości, spoglądając na niego niecierpliwie w oczekiwaniu na wskazówki. Lada chwila uczniowie dotrą do statku...

Rusher zdjął hełm i potarł zmęczone oczy.

– Chyba mają przewagę liczebną – mruknął. Szczerze powiedziawszy, nie spodziewał się, żeby jego ludzie zatrzymali i zawrócili bandę dzieciaków, uciekających ze strefy działań wojennych. Ale ta kobieta na skuterze – to była już całkiem inna sprawa. Popędziwszy maruderów do przodu, wyłączyła miecz świetlny.

– Świetnie – mruknął brygadier. Cisnął hełm na ziemię i ruszył w jej stronę, eskortowany przez Zeller i trójkę innych żołnierzy, Strumień małych uchodźców po prostu rozstał się przed nim; dzieci wymijały go, zupełnie nie zwracając na niego uwagi. On także je ignorował.

– Hej! Ty tam! Stój! Kim jesteś? – zawołał. – I co tu robisz?

– A ty jesteś...? – Kobieta miała chrapliwy, pasujący do twardych rysów twarzy głos.

– Jarrow Rusher. Brygadier Rusher – przedstawił się i machnął w stronę wzgórze.

– To mój statek.

– Aha. Kerra Holt – mruknęła kobieta, zsiadając ze skutera. Wskazała w tym samym kierunku. – A to teraz nasz statek.

– Jak jasna cholera – burknął Rusher. – Co to niby za szopka?

– Co masz na myśli? – spytała Jedi, zsiadając ze śmigła młodą Sullustankę. – To chyba oczywiste, nie? – Wskazała kciukiem przez prawe ramię na dno krateru. Daiman i Odion znów zaczęli zabawę, rzucając się sobie do gardeł. – Jesteś tu, a my także. Odlatujemy.

– Jesteśmy jednostką wojskową wypełniającą misję! – zaprotestował Rusher, próbując zagrozić jej drogę.

– Już nie – odparła Jedi, prześlizgując się bokiem obok niego.

Żołnierze towarzyszący Rusherowi odwrócili się, by interweniować, ale brygadier wyprzedził ich i dogonił kobietę.

– Chyba czegoś tu nie rozumiesz, moja droga. Możemy znaleźć na pokładzie miejsce dla... ile ich tam masz?

– Nie mam czasu na ćwiczenie „kolejno odlicz”.

Ani ja, westchnął w duchu Rusher i zerknął na „Gorliwość”. Tłumek malców dotarł już do ramp i zaczął się po nich wspinać, mijając działa czekające na zewnątrz na załadunek. Kobieta zatrzymała się, przyglądając się kadłubowi statku opartemu na bliźniaczych lądownikach.

– To mi wygląda na komercyjny liniowiec.

– Bo to był liniowiec!

– Świetnie – stwierdziła Jedi, poprawiając plecak. – A więc będzie nim znowu. Rusher złapał ją za połą kurtki. Skóra była znoszona i wyświechtana, oblepiona popiołem. Spojrzały na niego czujne, brązowe oczy – nie były to obmierzłe złote tęczówki Lordów Sithów, ale miały tę samą moc.

– Żadnych Sithów na moim statku! – warknął.

– A czy twoim zdaniem wyglądam na Sitha?

– Wyglądasz na wariatkę! Dosyć tego! Kerra uwolniła się z jego uścisku.

– Ilu Sithów z zielonym mieczem świetlnym widziałeś w swojej karierze?

– Zależy od tego, kogo zabijają! – Rusher znał wielu Sithów, którzy kolekcjonowali miecze świetlne, jeszcze kiedy w tym rejonie można było się natknąć na Jedi.

Zacisnąwszy palce na rękojeści swojej broni, kobieta zatrzymała się i przyjrzała Rusherowi uważnie.

– Pracujesz dla Daimana. Widziałam cię niedawno w jego pałacu. Rusher wlepił w nią zdumiony wzrok.

– Niby jakim cudem?

– Wątpię, żebyś był sobie w stanie to wyobrazić. – Jedi obejrzała się na uczniów wspinających się po rampach na pokład „Gorliwości” i gestem nakazała sullustańskiej dziewczynce podejść do siebie. – Te dzieci pochodzą z Daimanatu. To Daiman je tu sprowadził.

– Wiem o tym.

– A więc teraz musisz je stąd zabrać – dodała. – Zanim zginą.

– Szczerze współczuję, ale naszym zadaniem jest wyłącznie zapewnienie wsparcia ogniowego podczas walki z Odionem – powiedział Rusher, prostując plecy. Czyżby Daiman naprawdę zadał sobie trud, nasyłając kogoś, żeby go sprawdził? – Tutaj, w samym środku walki? O, nie – nie miał zamiaru dać się złapać. – Nie przysłał nas tutaj, żebyśmy ewakuowali cywili.

– Nie wygląda mi na to, żebyś teraz udzielał wsparcia w bitwie. Wyglądasz, jakbyś

szycował się do odlotu. – Kobieta machnęła ręką na rozkładających sprzęt żołnierzy, pozostałych z dywizjonu Rozpruwaczy, po czym podeszła do Rushera. Stając z nim twarzą w twarz, spojrzała mu prosto w oczy. – Posłuchaj, zabierz je stąd. Wiesz dobrze, że jeśli to zrobisz, Daiman i tak ci powie, że to był jego pomysł.

Rusher zamrugał, zaskoczony. Dziewczyna rzeczywiście musiała spotkać Daimana... Była od niego o połowę młodsza, no, może ciut mniej. Co ona tu w ogóle robiła? Nie była na usługach Daimana – jego ludzie nie ubierali się w ten sposób. A poza tym martwiła się o dzieci...

Czy naprawdę mogła być Jedi?

Kerra obróciła się na pięcie i podeszła do Sullustanki, która pomagała wejść najmniejszym dzieciakom na rampę. Najwyraźniej zadowolona z obrotu spraw, odwróciła się z powrotem do Rushera.

– Słuchaj, jeśli nie chcesz, żebym z wami leciała, zostanę. – Obejrzała się przez ramię na dzieci. – Tylko proszę, zabierz je stąd.

Zanim zdążył odpowiedzieć, gdzieś z góry dobiegł donośny zgrzyt. Poprzez skłębione chmury, z których właśnie zaczynał padać kwaśny deszcz, ci, którzy stali na zewnątrz „Gorliwości” zobaczyli ciemniejące z każdą sekundą cienie. Kilka cieni. Rusher przygarbił ramiona.

– Co to znowu ma być? W tym miejscu jest większy ruch niż w kosmoporcie!

– Masz rację – stwierdziła Kerra, wskazując na ciemne kształty: dwa potężne okręty przedzierały się przez warstwę obłoków i schodziły w dół, kierując się na dwa przeciwległe krańce dna krateru. Rusher rozpoznał jeden ze statków jako część floty bojowej Daimana; drugi miał na kadłubie wymalowany symbol Odionitów. Statki zawisły nad kraterem jakiś kilometr od siebie – i zwrócone w swoją stronę dziobami, czekały.

– To... nie wygląda jak wsparcie powietrzne – mruknął brygadier.

– Nie – potwierdziła Kerra, przygryzając wargę. – Coś się zmieniło.

– Chyba nie dość. – Szukając bezskutecznie swojego hełmu, Rusher sięgnął do kieszeni po zapasowy komunikator. – Novallo, damy radę wystartować?

Jego wyszczekana pani inżynier okrasiała swoją odpowiedź paroma niewybrednymi epitetami pod adresem nowych gości, wałęsających się po korytarzach statku.

– Zakładam, że to znaczy „tak”. Udobruchaj ją jakoś. – Odwrócił się w stronę Zeller. – Wyślij wszystkich do koszar i każ im trzymać nisko głowy.

Zwrócił się w stronę Kerry i zobaczył, że dziewczyna klęczy przy małej Sullustance.

– Nic się nie martw, Tan – mówiła do niej. – Ten pan was stąd zabierze. – Ujęła w dłonie małe rączki dziewczynki. – Ja też znajdę jakiś sposób, żeby się stąd wydostać.

– No właśnie, mała. Nie martw się. Twoja przyjaciółka da radę – potwierdził Rusher. Wrzucił swoją laseczkę do środka statku, chwycił w ramiona Tan i obejrzał się na resztę żołnierzy stojących na zewnątrz. – Zapomnijcie o sprzęcie. Ładujcie na pokład dzieciaki!

Kerra zwlekała w pobliżu statku, przyglądając się, jak generał i jego marudzący ładunek znikają w głębi statku. Wreszcie wzięła głęboki oddech i odwróciła się, żeby spojrzeć na nowe statki, lądujące właśnie ma dnie krateru.

– Na co się gapisz? – zawołał Rusher, stając na szczycie jednej z ramp. – Powiedziałem małej, że dasz radę! Może i masz skłonności samobójcze jak Odionici, ale na pewno nie pracujesz dla Daimana. – Machnął na nią. – Chodź! I weź kogoś ze sobą!



Narsk patrzył na podchodzące do lądowania statki Sithów i uśmiechał się pod nosem. Nawiązał połączenie zgodnie z rozkazem i wiedział już, że jego wiadomość dotarła do celu. Teraz, kiedy tryby maszyny zostały wprawione w ruch, bitwa o Gazzari zakończy się zgoła inaczej, niż spodziewali się zarówno Odion, jak i Daiman.

Po wydarzeniach kilku ostatnich tygodni dobrze było znów dla odmiany móc manipulować wydarzeniami.

Kierując się do jednego z transportowców Odiona, obrzucił wzrokiem pole walki, teraz moknące w kwaśnym deszczu. Tyle istnień... Tyle sprzętu... Rozrzucone po dnie kotliny ciała i wraki wkrótce staną się kolejną warstwą szlamu. Cieszył się, że opuszcza to miejsce. Teraz musiał tylko dotrzeć na pokład „Miecza Ieldisa” i zakończyć swoją misję w tym miejscu. Wcześniej, na pokładzie okrętu flagowego Odiona, przejrzał jego plany. Kiedy znajdzie się na „Mieczu”, szybko dotrze do jednoosobowego myśliwca z napędem nadprzestrzennym.

A potem wróci do swojego prawdziwego pracodawcy.

ROZDZIAŁ 10

– Coś jest nie tak!

Właściwie to całkiem sporo rzeczy było nie tak z punktu widzenia Kerry, stojącej na mostku „Gorliwości”. Jak na okręt wojenny, pokład dowodzenia wyglądał śmiesznie. Przedtem Jedi żartowała, że główny kadłub przypomina komercyjny liniowiec. Teraz, znajdując się w środku, poznała, że tym właśnie jest. Eleganckie fotele na mostku miały emblematy linii wycieczkowej z republikańskich kolonii; sądząc po nich, przedział załogowy „Gorliwości”

najwyraźniej zaczął swój żywot jako „Vichary Telk” z Devarona. Jak to się stało, że skończył tutaj, przewożąc artylerię Sithów?

Nie to jednak było powodem, dla którego otworzyła usta po raz pierwszy, odkąd dotarli na orbitę. Stojąc na pluszowej wykładzinie, długo po tym, jak została zmuszona do uległości, Kerra obserwowała pozoję szalejącą za iluminatorem. Ciężkie okręty Odiona rywalizowały z mniejszymi niszczycielami i z flotami myśliwców Daimana o kontrolę nad Gazzari; sądząc po masie płonących szczątków, bitwa trwała już od jakiegoś czasu. A po strzałach, które minimalnie chybiały wznoszącą się „Gorliwość”, widać było, że żadna ze stron nie ma zamiaru oddać drugiej ani metra przestrzeni.

Więc dlaczego dwa wielkie krążowniki, które zjawiły się podczas załadunku „Gorliwości”, mogły bez przeszkód zejść do lądowania?

Podczas startu podeszła do jednego z dolnych iluminatorów w nadziei, że zobaczy rezultaty pojedynku Daimana z Odionem, opóźnionego dzięki zniszczeniu przez nią Spirali Śmierci. Zamiast tego widziała samotne krążowniki Odiona i Daimana, zbliżające się do powierzchni, ale nikt do nich nie strzelał. I nie widziała żadnych śladów wskazujących na ostateczną rozgrywkę pomiędzy braćmi.

Kerra zeszła po wyściełanych stopniach do odgradzonego barierką centrum dowodzenia. Wyglądało ono groteskowo. Nie było tam żadnego taktycznego oprzyrządowania; mostek zaprojektowano tak, żeby turyści mogli chodzić po obrzeżach pokładu i gapić się na kosmos – albo obserwować w dole kapitana i jego załogę przy pracy, niczym eksponaty w muzeum. Zastała tam Rushera, który nachylał się nad jednym z członków załogi. Wyglądał, ogólnie rzecz biorąc, na osłupiałego.

– Kapitanie, coś jest nie tak?

– Owszem – przyznał Rusher. – Jestem brygadierem. – Bez słowa przeprosin przepchnął

się obok Kerry do następnego stanowiska dowodzenia. – Zoo zamknięte. Wpadnij, jak nie będziemy ścigani.

– Ścigani? – Konstrukcja statku uniemożliwiła zobaczenie rufy z mostka, a Kerra nie zauważyła niczego, co przypominałoby mapę taktyczną. – Przez Odiona?

– Przez wszystkich – odparł Rusher, zerkając na nią. Oświetlony od dołu przez ekrany, wyglądał na starszego, niż go zapamiętała. – Ludzie Odiona sądzą, że trzymamy z Daimanem. I tak było, tyle że Daiman nie spodziewał się, że się wycofamy, więc statki, które teraz ścigał, nie wiedzą kim jesteśmy – wyjaśnił. Otarł pot z krótkiej kasztanowej czupryny. – Nikt tu nie kieruje ruchem.

– Właśnie zestrzelili „Bezlitosnego” – zameldował jego kalamariański nawigator.

– Widzisz? – Generał się skrzywił. – Nie chodzi tylko o nas. To był transportowiec piechoty. Wszystkie nieregularne jednostki mają to samo.

Kerra wróciła po schodach do ogromnego okna po stronie sterburty. Bitwa była tak chaotyczna, że ludzki umysł ledwie mógł przetworzyć obrazy. Turyści na pokładzie „Vichary'ego Telka” nigdy stąd nie ujrzeli podobnego widoku.

„Gorliwość” cały czas kluczyła i trudno było znaleźć stały punkt odniesienia. Poza jednym...

– Zaraz, zaraz – powiedziała, mrużąc oczy, Kerra. Dostrzegła właśnie niewielką flotyllę statków, zawieszoną w mgławicy nieopodal słońca Gazzari. – Kto to jest, o tam?

– Ludzie Lorda Bactry – wyjaśnił Rusher, spoglądając ponad monitorami. – Dostarczyli tu arxeum. To znaczy, to, co było arxeum.

– I Odion nie zwraca na nich uwagi? Rusher odwrócił się w jej stronę.

– Nie prowadzę tu lekcji historii. – Za jego plecami ktoś z załogi stłumił chichot. Rusher obejrzał się i uśmiechnął szyderczo. – W każdym razie nie w tej chwili.

Kerra się zamyśliła. To, co widziała, pokrywało się z informacjami wywiadu Republiki: Bactra robił interesy z obydwoma braćmi. Jakiegokolwiek interesy łączyły go z Daimanem, wątpliwe, żeby włączył się do walki – a więc tamci powinni trzymać się z dala od niego. To było to!

– Lećcie tam – powiedziała Kerra, wskazując na siły Bactry. Może zdołamy się ukryć wśród neutralnych.

– Może nas zaadoptują i zabiorą do domu – prychnął Rusher, przewracając oczami. Podniósł rękę. – Wykonać – polecił sterniczce.

„Gorliwość” zadygotała, skręcając w prawo tak gwałtownie, że Kerra musiała przytrzymać się okna. Wsłuchując się w metaliczny jęk zbaczającego z kursu statku, spojrzała w dół na olbrzymi desantowiec w kształcie krzyża, który służył jako prawa noga jednostki, zastanawiając się, czy nie odpadnie. Każdy stoczniovec w Republice określiłby to jako fuszerkę.

– Dostaliśmy, panie brygadierze! – odezwał się nawigator. Rusher podniósł wzrok i

spojrzał na błękitny ogień laserowy, świszczący za oknem na sterburcie. Sekundę później pomarańczowy płomień przemknął obok iluminatora po stronie Kerry.

– Kto nas trafił? Kalamarianin podniósł wzrok.

– Jedni i drudzy. – Po kilka statków Odiona i Daimana odłączyło się i podążyło w ślad za nimi w kierunku mgławicy.

– Tylna wieżyczka?

– Zniszczona w czasie ostrzału.

Rusher wzruszył ramionami i wszedł po schodach.

– To już nie potrwa długo – stwierdził, spoglądając w dół. Statki Bactry były przed nimi, zwodniczo blisko. Ale w tym tempie nie mieli szans tam dotrzeć.

„Gorliwość” nie miała dostatecznej szybkości ani osłon, żeby przetrwać starcie.

– To szaleństwo! – Stając naprzeciwko Rushera, Kerra ruchem ręki wskazała na okno za jej plecami. Kolejna wiązka rozświetliła przestrzeń na zewnątrz. – Możecie przecież walczyć! Ten statek jest najeżony bronią!

– Ten statek ma broń na paletach w ładowni, paniusiu – powiedział Rusher, piorunując ją wzrokiem. Złapał dziewczynę za rękę i obrócił gwałtownie twarzą na zewnątrz. – Te lufy to tylko ładunek, a połowy z nich już nie ma.

Kerra sposepniała, patrząc we wskazanym kierunku.

– Straciliśmy działo na rufie. Zostało nam tylko kilka nieruchomych działek do kruszenia skał, które strzelają wyłącznie do przodu – oznajmił Rusher. Kolejna salwa rozniosła się echem po statku i brygadier musiał się oprzeć, żeby nie upaść. – Mają nas. Jak zwolnimy chociaż na sekundę, żeby się odwrócić...

Kerra patrzyła w odrętwieniu na stanowisko kontrolne. Musi być coś, co da się zrobić! Cóż, kiedy jej umysł, zwykle pełen pomysłów, teraz nie potrafił jej żadnego podsunąć. Obejrzała się i zobaczyła brygadiera. Rusher stał z rękami skrzyżowanymi na piersi, opierając się o kolumnę, i wyglądał przez okno na swój statek. Laserowe strzały przelatywały coraz bliżej, odbijając się w oknie.

– Dzięki. Za to, że... dowieźliście nas tak daleko – powiedziała. Nie obejrzał się na nią.

– Przykro mi, że nie możemy uratować twoich dzieci. Kerra ruszyła w stronę okna.

– To właściwie nie są moje dzieci...

Trrraachhh! Widok za oknem nagle się zmienił. Laserowy ogień i mgławice zastąpiła czarna stal i jaskrawe czerwone światła. „Gorliwość” zakołysała się gwałtownie, odrzucając Kerrę i Rushera do tyłu.

– Trafili nas!

– Nie – odparł Rusher, podnosząc się i patrząc w sufit. – Wpadli na nas!

Kerra dołączyła do niego przy iluminatorze. Ciemne kanonierki Odiona przemykały po prawej, prawie się ocierając o kadłub „Gorliwości”. Z lewej śmigły trójskrzydłowe myśliwce pościgowe Daimana, strzelając przed siebie – z dala od nich.

– Oni nie celują w nas – zauważyła Kerra. – Oni strzelają do statków Bactry! Rusher otworzył ze zdumienia usta. Przed nimi, w mgławicy, dwa krążowniki Bactry w kształcie półksiężyca buchnęły właśnie płomieniami.

– Co do...

– Dostaliśmy wiadomość – obwieścił łącznościowiec za jego plecami. – Hologram!

Nagle przed nimi pojawił się holograficzny wizerunek Daimana, i jarzący się w ciemności.

– Uwaga, wszystkie nieregularne jednostki. Operacja weszła w nową fazę...



Rusher pokręcił głową.

– Co... się właściwie stało? Na mostku panowała cisza.

Wiadomość była równie zwięzła, jak ta na placu apelowym kilka dni wcześniej. Daiman nakazał „Gorliwości” – i, jak się domyślał Rusher, wszystkim innym najemnikom ocalałym z Gazzari – podążać konkretną trasą w nadprzestrzeni. Rusher dostrzegł wojowniczkę Jedi, która klęczała w najdalej wysuniętym do przodu punkcie pokładu dowodzenia, przyglądając się mgławicy na wprost nich. Niewiele tam było do zobaczenia – poza szczątkami.

Połączone siły Daimana i Odiona wdarły się w zaskoczoną flotyllę Bactry, obracając połowę statków w perzynę w ciągu niecałej minuty. Największy statek Bactry i wszystkie inne, które ocalały, błyskawicznie skoczyły w nadprzestrzeń, a za nimi podążyło kilka okrętów wojujących ze sobą jeszcze przed minutą braci. A właśnie w tej chwili odlatywały dwa duże krążowniki, jeden Odiona i jeden Daimana, które niedawno wylądowały nietknięte na Gazzari.

– Wspominał coś o współrzędnych? – zainteresował się Rusher.

– Tutaj, brygadierze. – Łącznościowiec przeczytał to, co otrzymali. – Nie uwierzy pan. Rusera na chwilę zatkało.

– To... to przecież jest w przestrzeni Bactry. Jutrand.

– To jego stolica, prawda? – Głos Kerry dobiegł z przodu. Wciąż kołysała się lekko na kolanach, wpatrując się w mgławicę, gdzieś poza płonącymi wrakami. – To stolica Bactry.

– Nie wiem – powiedział Rusher. – Może już niedługo nią będzie.

Próbował połączyć to wszystko w jedną całość. Domyślał się, że Odion wysłał taką samą wiadomość do swoich sił. W przeciwnym razie dlaczego równocześnie zaatakowałyby Bactrę? Ale to kazało postawić kolejne pytanie: dlaczego Daiman i Odion mieliby równocześnie robić cokolwiek innego, niż próbować się nawzajem pozabijać?

Jego pasażerka spojrzała mu w oczy, równie skonsternowana jak on.

– Nie było mnie tu jakiś czas – powiedziała. – Zdarzyło się już kiedyś, żeby Daiman i Odion ze sobą współpracowali?

– Nie. To pierwszy taki przypadek – odparł Rusher. – Gdybym tego nie widział na własne

oczy, sam bym nie uwierzył.

Kerra wstała.

– Nie ma tu rzeczy, w którą bym nie uwierzyła. – Mówiła ciszej niż przedtem. Rusher obejrzał się na Kalamarianina.

– Ktoś do nas celuje?

– Nie, panie brygadierze. Część sił Daimana dopiero wylatuje z Gazzari, ale wygląda na to, że wszyscy ludzie Odiona podążyli za nim.

Na ojczystą planetę Bactry. Rusher podniósł wzrok i zobaczył Beadle'a Lubboona, stojącego w drzwiach z datapadem w dłoniach. Chłopak wyglądał tak, jakby co najmniej raz się zgubił w drodze na mostek. To nic, pomyślał Rusher. Wszyscy jesteśmy teraz trochę zagubieni.

– Mam dane co do stanu osobowego, panie brygadierze. Rusher wszedł po schodach, żeby wziąć od niego datapad.

– Co z Dackettem?

– Sanitariusze musieli go przywiązać do stołu, żeby tu nie przyszedł, kiedy zaczęła się strzelanina.

Rusher odetchnął, biorąc datapad. Ulga wywołana nowinami trwała jednak tylko do chwili, gdy zobaczył dane.

– Tysiąc siedemset siedemnaście – oświadczył. Kerra się obejrzała.

– To pańska załoga?

– Nie – powiedział Rusher. – Twoja.

Załoga Rushera popatrzyła na dowódcę. Jak tylu uchodźców mogło się zmieścić na „Gorliwości”? Brygadier miał odpowiedź.

– Naszych zostało pięciuset sześćdziesięciu. – Odhaczył kolejne liczby: ci z Dywizjonów Rozpruwacz, Coyn'skar i Zhaboka plus ci, którzy mieli przydział na „Gorliwości”, kiedy była na Gazzari.

Upuścił datapad na podłogę i stał przez chwilę w milczeniu. Wreszcie się odwrócił.

– Daiman wydał nam rozkaz. Wprowadzić współrzędne na Jutranda. Stojąca po drugiej stronie mostka Kerra omal nie wyskoczyła z butów.

– Co takiego?

– Zostaliśmy wynajęci, żeby walczyć dla Daimana – oświadczył z powagą Rusher.

– A on mówi, że walka się nie skończyła.

– Teraz już tak! – Kerra zbiegła po schodach do punktu dowodzenia, mijając członków załogi mostka. – Co chcecie zrobić? Rzucić w Bactrę kamieniami? Przecież sam pan przed chwilą powiedział, że połowa pańskiej załogi nie żyje albo... – Urwała i spojrzała z niedowierzaniem na brygadiera. – Nie, o nie – powiedziała, nachylając się nad fotelem nawigatora. – Proszę anulować ten rozkaz. Po prostu...

– Anulować? – Rusher skoczył do barierki. – Słuchaj, paniusiu, masz szczęście, że w ogóle

tu jesteś. Mam ochotę wyrzucić ciebie i twoje dzieciaki z powrotem na to wzgórze, póki jeszcze możemy! – Popatrzył na statki na zewnątrz. Przynajmniej nikt już nie strzelał, ale to nie znaczyło, że są bezpieczni. – Niezależnie od sytuacji jesteśmy zawodowcami. Mamy zobowiązania. Daiman może wciąż być w tym samym systemie co my...

– Nie. Odion i Daiman ruszyli za Bactrą. Tymi krążownikami, które po nich przyleciały. – Kerra spojrzała na niego. – Już ich nie wyczuwam.

– Używasz Mocy? – Rusher popatrzył na nią. – Ten miecz świetlny to nie dla zabawy?

– Jestem Jedi.

Rusher przewrócił oczami. To było surrealistyczne.

– Takim błędnym rycerzem, samotnie przemierzającym terytoria Sithów, tak? Ratując uczniów to tu, to tam.

– Nie, to dla mnie coś nowego – odparła z powagą Kerra. – Zwykle ratuję całe planety.

Rusher przyglądał jej się przez chwilę, spodziewając się zmiany w wyrazie twarzy dziewczyny Nic takiego się jednak nie stało. Miałem rację za pierwszym razem, pomyślał. Ona jest szalona.

Podniósł ręce i odwrócił się, żeby zejść z mostka.

– Dobra, spadamy stąd. Wytyczyć trasę.

– Dokąd? – spytali jednym głosem nawigator i Kerra. Rusher wzruszył ramionami.

– Dokądkolwiek. – Potrzebowali napraw. Posiłków. Czasu na przegrupowanie. Jednak w przestrzeni należącej do Daimana nie zostaliby przyjęci z otwartymi ramionami po tym, jak wycofali się z operacji na Jutrandzie. Mogliby próbować się tłumaczyć, że ich statek nie był dostatecznie sprawny, by dotrzeć na miejsce, ale Rusher nie liczył za bardzo na współczucie Lorda Sithów.

A przede wszystkim musieli pozbyć się swoich pasażerów. W szczególności jednego.

– Pójdę zobaczyć, co z Dackettem i innymi. Rusher zatrzymał się w drzwiach i obejrzał.

– To do twojej informacji: pięć szóstych mojej załogi nie żyje albo zaginęło. Żebyś dobrze zrozumiała.

Drzwi się za nim zamknęły.



– Bactra jest skończony – powiedział Narsk, wygrzewając się na piasku.

Na futrze czuł ciepły pustynny wiaterek. Wysokiej jakości pakiety medyczne także mu pomogły. U Odiona opieka medyczna sprowadzała się do amputowania bolących kończyn i wszczepiania w ich miejsce blasterów.

Wystarczyło zaledwie parę dni, żeby niespodziewany atak połączonych sił obalił reżim Bactry. Narsk zgodnie z planem ewakuował się wkrótce po rozpoczęciu natarcia i udał się na placówkę niedaleko Jutranda, gdzie miał obserwować wszystko i wracać do zdrowia. Teraz

składał ostatni raport.

– Odion i Daiman walczą o resztki, ale tego należało się spodziewać.

– A więc sprawa załatwiona. – Kobięcy głos wyrażał zadowolenie. – Dokonamy stosownego zapisu.

Narsk skłonił głowę.

– Oczywiście. – Audiencja niemal na pewno dobiegła końca. Nigdy nie usłyszał od hologramu więcej niż dwa zdania.

Kiedy zaczął wstawać, padło jeszcze jedno pytanie:

– Co z tą Jedi?

Zaskoczony Narsk wyprostował się przed kamerą zestawu łączności.

– Z Kerrą Holt? Była na Gazzari – powiedział. – Polowała na Odiona. Nie wiem, czy uciekła.

Słowa zawisły na chwilę w powietrzu. Narsk zastanawiał się, czy powinien powiedzieć coś więcej – a może coś innego.

– Uciekła – padła w końcu odpowiedź. – Wiem dokładnie, gdzie jest.

Narsk nie miał pojęcia, skąd ona wie, ale wiedział, że lepiej nie pytać. Przełknął ślinę. Jego gardło dopiero dochodziło do siebie dzięki drinkom z hotelu w oazie. Czuł, że chwila wytchnienia dobiega końca.

– Jakie są twoje rozkazy?

– Miej ją na oku. Możesz odegrać większą rolę w moich planach, niż ci się zdaje.

– Hologram zaczął zanikać w promieniach dwóch zachodzących słońc. – A co do ciebie, przygotuj się do podróży. Znam jeszcze kogoś, kto potrzebuje usług specjalisty...

CZEŚĆ II



DIARCHIA

ROZDZIAŁ 11

Saaj Calician lubił patrzeć na to majestatyczne miasto, ale nie wiedział już, dlaczego.

Jak przez mgłę pamiętał, gdy po raz pierwszy ujrzał widok z Poddasza tuż po przyjeździe, wiele lat wcześniej. Wtedy właśnie metropolia wydała mu się majestatyczna i wciąż trwał przy tej ocenie teraz, kiedy zdolność opisywania zaczynała go zawodzić. Dzisiaj, kiedy regent spoglądał w dół, widział jedynie geometrię tutejszego życia; małe istoty w małych sześciokątnych budynkach wznoszących się z błękitnego morza, które otaczało jego stoliwo [pojedyncza góra o płaskim szczycie (przyp. tłum.)]. Zdawało mu się, że ocean także lubił – ale nie był pewien. Było to tylko wrażenie i Calician nie potrafił ustalić, czy to jego myśl, czy kogoś innego.

Krevaaki tkwił przy oknie okalającym cały apartament, wygrzewając w słońcu swoje macki. Nawet przez ciemną zasłonę słońce zdawało się pomagać mu na krążenie. Przez chwilę wydawało mu się niemal, że ma znów czucie we wszystkich kończynach.

Ale było to jedynie przelotne wrażenie. Calician zmrużył w irytacji swoje lśniące czarne oczy. Inni Krevaaki, dwa razy starsi od niego, mieli większe zdolności ruchowe niż on. Czasami nie mógł nawet poruszać czułkami pod swoim podobnym do muszli pyskiem. To nie było sprawiedliwe. Regent nie żył przecież intensywnie. Nie podróżował wiele. Z powołania był jednak nestorem – i ta rola go postarzyła.

Owinięta w płaszcz postać zatrzęsała się ze złości. Jego górne kończyny, ukryte w fałdach beżowej tkaniny, wciąż były sprawne. Ci Krevaaki, których znał, ci, którzy w jego wieku cieszyli się o wiele lepszym zdrowiem – czym oni w ogóle byli? Niczym! Tkwili teraz gdzieś wewnątrz poligonalnych komun na horyzoncie, wykonując jego polecenia. Żaden z nich nie osiągnął pozycji choćby zbliżonej do jego, nawet ci, którzy tak jak on byli obdarzeni Mocą.

Słyszał ich opowieści, wtedy kiedy jeszcze je opowiadano, o sławnych Krevaakich wyznających drugą stronę Mocy, jak Rycerze Jedi i inni głupcy. Co im to dało? Nic w porównaniu z tym, co on osiągnął dzięki Ciemnej Stronie – dawniej, jako młody adept pod kierunkiem Lorda Chagrasa, i teraz. Było przecież oczywiste, co może dać Ciemna Strona. Wielkie, potężne korzyści, takie jak...

...cóż, w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć. Ale był pewien, że jakieś są, a ci bezinteresowni durnie nigdy ich nie zaznają. Zawsze miło było pomyśleć sobie o innych Krevaakich. Porównując ich los z własnym, Calician dobrze wiedział, kim jest. Potężnym, prawdziwym i niezależnym...

– Regencie!

Krevaaki oderwał się od okna. Szaty mu się wydeły, a ściśnięte macki zadrżały, ożywione nagle nie tylko jego duchem. Wspiął się po romboidalnym podium i stanął twarzą w twarz z cieniami, nie widząc ich. Był w Obecności i nie należało się zanadto przyglądać.

– Regent-aspekt nas nakarmi – rozkazał szorstki kobiecy głos.

– Nakarmię was.

Calician wymknął się z wielkiej sali na korytarz, jakby płynął w powietrzu, żeby wykonać polecenie. Trzeba było przygotować posiłki. Musiał znaleźć istoty na sąsiednim piętrze, które znały się na dozownikach żywności, a gdyby one nie potrafiły spełnić życzenia, wówczas sam musiałby się tym zająć. I mógł to zrobić. Macki, które jeszcze parę minut wcześniej odmawiały mu posłuszeństwa, nagle odzyskały zwinność.

Calician nie zastanawiał się nad tym; nie było potrzeby. Znał swoją rolę. Dla Obecności on sam był tylko wyrostkiem.



– Brygadier Rusher śpi – oznajmił Beadle Lubboon. – Próbowałem powiedzieć mu o sytuacji z zakwaterowaniem dla uchodźców i znowu przysnął.

– Znowu? – Kerra popatrzyła na młodego Durosjanina, wiercącego się przy drzwiach do koszar. – Często mu się to zdarza?

– Sam jestem tu nowy proszę pani – odparł Beadle przeproszającym tonem. – Ale on wydaje się... zainteresowany tym, czym jest zainteresowany.

Było to delikatniejsze wytłumaczenie, niż ona sama by wymyśliła. Kerra pokręciła głową.

– Poczekaj, aż pierwszy oficer Dackett dostanie protezę – powiedziała. – Może on coś zdziała.

Kerra odprowadziła wzrokiem rekruta, który wolnym krokiem wrócił do turbowindy, i odwróciła się w kierunku gwarnej sali sypialnej. Po kilku dniach na pokładzie jej opinia na temat statku Rushera radykalnie się zmieniła. Nie był to luksusowy liniowiec, jakiego się spodziewała po tym, co widziała na mostku; tanto przypominało bardziej taras widokowy, gdzie można było oglądać zarówno kosmos, jak i załogę. Wyglądało na to, że Devaronianie – a przynajmniej ci, którzy budowali przedziały załogowe – mieli dosyć rozwarstwiony system społeczny. Niektórzy pasażerowie dostawali wygodne, a nawet wytworne indywidualne pokoje z widokiem. Większość podróżowała jednak w rozległych koszarowych salach, ulokowanych nie tyle „pod pokładem” co „między ścianami” w najgłębiej ukrytych częściach statku. Pasażerowie byli rozmieszczeni na długich rzędach koi, ustawionych w trzech poziomach. Pomiędzy nimi ledwie dało się chodzić – a co dopiero biegać, jak wiele dzieciaków uparcie robiło, mimo jej wielokrotnych upomnień.

Zresztą nie mieli za bardzo dokąd iść. Poza kojami było tylko wspólne pomieszczenie,

które służyło jako mesa. Kiedy nie jedli, próbowali je zniszczyć. Uczniowie nie byli już wprawdzie młodzikami, ale po raz pierwszy w życiu zostali pozbawieni nadzoru Sithów i zamknięci na małej przestrzeni. Teraz rozpierała ich energia. Nawet młodzi dorośli zdawali się równać do najniższego poziomu dojrzałości w grupie. Ich działania stanowiły realne zagrożenie dla przytwierdzonych do pokładu mebli, jeśli nawet nie dla kadłuba statku. Kerra cieszyła się, że nie wiedzieli, jak trafić tam, gdzie była przechowywana artyleria.

Na innych pokładach były jeszcze trzy sale pełne uczniów, z których każda wymagała uwagi Kerry. A i tak brakowało miejsca. Wprawdzie statek Rushera zabierał niegdyś trzy tysiące wojowników, jednak większość z nich pracowała na zmiany i korzystała z tych samych kwater. Kerra musiała nawet umieścić kilkunastu podopiecznych na podłodze w korytarzu – głównie starszych uczniów, których wyznaczyła na opiekunów. Większość z nich była zadowolona, że mogą wyrwać się z dużych sal i zaznać trochę ciszy.

Był to wyczerpujący okres. Musiała zmierzyć się z problemami, jakich wcześniej nawet sobie nie wyobrażała, i z sytuacjami, które stanowiły wyzwanie dla jej zdolności logistycznych nabytych pod okiem Vannara Treece'a. W devaroniańskim społeczeństwie większość podróżujących byłaby płci męskiej, odświezacze na pokładzie były więc wspólne i nie zapewniały prywatności, jakiej wymagały niektóre z ras znajdujących się pod jej opieką – jej samej nie wyłączając. Zaczęła organizować kolejki do odświezaczy na każdym z pokładów, ale to nie było takie proste. Wkrótce okazało się, że Industrial Heuristics ściągało na Gazzari rekrutów z kilku należących do Daimana światów, nie tylko z Darkknell. Ci rekrutujący, z którymi Kerra miała do czynienia, mówili w basicu – a przynajmniej jeden z nich, ale niektóre z ras na pokładzie nie znały w tym języku ani słowa. Jak powiedzieć Wookiemu, że musi poczekać na swoją kolej, żeby się załatwić?

A to jeszcze nie był koniec problemów. Wprawdzie wszyscy oddychali tlenem, ale w kwaterach mieszkalnych zawsze komuś było za gorąco lub za zimno – na ogół za gorąco, w miarę, jak podróż się przedłużała. Niektóre rasy nie mogły być zakwaterowane obok siebie ze względu na zapach lub z innych powodów. A umieszczenie zawsze kochliwych, szybko dojrzewających Zeltronów na statku wycieczkowym wspólnie z kimkolwiek było totalną pomyłką.

Industrial Heuristics wszystko to kiedyś obmyśliło, jak się dowiedziało; arxeum było zaprojektowane jako obiekt wielorasowy. Kerra niejedną raz marzyła, by arxeum w jakiś cudowny sposób się tu pojawiło.

Członkowie brygady nie byli specjalnie pomocni. Niekiedy pomagali jej na rozkaz, jednak mało kto, poza młodym Beadlem, robił to z własnej woli. Większość nie ruszała się ze swoich pokładów. Kerra zastanawiała się nad tym głośno w obecności Novallo, inżynier rasy ludzkiej w średnim wieku. Kobieta wydała jej się kimś prawie bez osobowości, ale mimo wszystko Kerra zapytała ją czy członkowie załogi zawsze byli tak wrogo nastawieni do cywilów.

– Czasami – odpowiedziała Novallo. – Ale nie o to chodzi. Twoje bachory śpią w kojach

ich zmarłych przyjaciół.

Rusher był niewiele milszy podczas tych paru minut, w czasie których miała okazję go oglądać w ciągu minionego tygodnia. Od czasu Gazzari złapała go zaledwie kilka razy, a zawsze był akurat w drodze. Wszystkie sprawy, które wiązały się z uchodźcami, przekazywał podwładnym, zwłaszcza niefrasobliwemu, lecz pełnemu dobrych chęci Durosjaninowi. Trudno pewnie było oczekiwać czegoś więcej od kogoś, kto pracował dla Sithów. Nie był osobą, u której należałoby szukać pomocy, a tym bardziej współczucia.

Całkowitym jego przeciwieństwem był weteran nazwiskiem Dackett, który, jak sam twierdził, miał wieloletnie doświadczenie w kwaterowaniu mieszanych załóg. Podobnie jak działa w ładowni, mężczyzna wydawał się zrobiony z sarrassiańskiego żelaza. Kiedy Kerra ujrzała go po raz pierwszy, leżał w przedziale medycznym i nie chciał się zgodzić, żeby lekarze przyszyli mu rękę, dopóki nie zajmą się bardziej poszkodowanymi kanonierami. Zanim nadeszła jego kolej, było już za późno na uratowanie kończyny, ale on martwił się bardziej tym, czy uda się poskładać do kupy statek i załogę. O ile wiedziała, nie został formalnie przywrócony do służby, ale po czterech dniach bezskutecznych prób zatrzymania go w łóżku droidy zrezygnowały z podawania mu środków uspokajających. Mężczyzna przypominał jej nieco przyjaciela, którego poznała na Chelloi – on też całkowicie poświęcał się innym. Miło było mieć jakąkolwiek pomoc.

Dackett był lepiej od niej zaznajomiony z rasami żyjącymi w sektorze Grumani i kilka razy przysyłał kanonierów, którzy mogli pełnić rolę tłumaczy. A co ważniejsze, spowodował, że ich sytuacja żywnościowa znacząco się poprawiła. Brygada Rushera jadała lepiej niż ktokolwiek, kogo spotkała w Daimanacie – w końcu nawet przy dużej liczbie uchodźców i tak było ich mniej niż normalnie liczyła załoga statku. To, co znajdowało się w spiżarni, zaspokajało potrzeby żywieniowe większości uczniów; kanonierzy też stanowili zróżnicowaną grupę. Jednak obserwując nastolatków, Kerra zauważyła, że wielu z nich się obżerało, wielu też gromadziło zapasy albo jedno i drugie. Nie da się zapomnieć o doświadczeniach wielu lat niewoli w ciągu jednego rejsu statkiem gwiazdowym.

Najsmutniejsze było to, ilu z nich pośród całej tej wrzawy, siedziało w milczeniu; jak bardzo byli wstrząśnięci niedawnymi wydarzeniami. Jak mogła im wytłumaczyć, co się stało, w jakimkolwiek języku? A kiedy z nimi rozmawiała, wszyscy chcieli wiedzieć jedno: co teraz z nimi będzie?

Kerra też się nad tym zastanawiała. Było ich tak wielu. Nieraz poważnie się zastanawiała, czy nie odwieźć ich z powrotem tam, skąd przybyli. Byłoby z tym jednak mnóstwo problemów. Nawet gdyby zdołała przekonać Rushera – na co specjalnie nie liczyła – to przecież nie wszyscy pochodzili z tego samego miejsca. A nawet gdyby wrócili na terytoria Daimana, jego siły nie przyjąłby ich z otwartymi ramionami. Kerra wyobrażała sobie, jak lecą na jedną planetę tylko po to, by uczniowie ponownie zostali siłą rozdzieleni i być może użyci jako pionki w kolejnym śmiercionośnym planie. A to było nie do przyjęcia. Widmo

Daimana, jak się przekonała, było wątkiem przewijającym się w historiach tych spośród nielicznych uchodźców, których zdążyła poznać.

Tak jak w przypadku Eejora, drobnego Ortolanina, którego malutka siostrzyczka zmarła z powodu zatrutej przez Daimana wody. Rodzice Eejora przez rok zwlekali ze zgłoszeniem jej śmierci, bo chcieli zgromadzić dostateczną ilość racji żywnościowych, by móc kupić pozytywną opinię od kierownika zmiany w jego fabryce. Albo sprawa Yuru, sniwiańskiego nastolatka, którego czworo starszego rodzeństwa zginęło w niewolniczych armiach Daimana. Jego bliźniaczo podobny ojciec podał się za niego, kiedy przedstawiciele Industrial Heuristics zjawili się, żeby przeprowadzić badania.

Najbardziej dramatyczna była historia Lureii, najwyżej dziesięcioletniej dziewczynki rasy ludzkiej. Jej rodzina miała to nieszczęście, że żyła na jednym z granicznych światów, przechodzących z rąk do rąk między Daimanem i Odionem. Po kolejnych inwazjach z rodziny Lureii pozostała tylko jej nastoletnia siostra – aż w końcu i ona pewnego dnia nie wróciła do domu. Przez tydzień dziewczynka żyła w panicznym strachu, nie wiedząc, co się stało, aż zjawili się korporacyjni łowcy talentów, najwyraźniej przekonani, że Lureia zapowiada się na wybitnego fachowca w projektowaniu napędów repulsorowych. Teraz siedziała całymi dniami na swojej koi, składając i rozkładając postrzępioną niebieską opaskę – jedyne, co jej zostało po siostrze.

Kerra nie miała dla dziewczynki żadnej odpowiedzi – ale znalazła odpowiedź na własne pytanie. Gub zasugerował to jako pierwszy, kilka dni wcześniej. Pewnie chciał zatrzymać wnuczkę przy sobie – ale ważniejsze dla niego było, żeby trafiła do lepszego miejsca, gdzie czekało na nią lepsze życie. Kerra pomyślała, że mogłaby uczynić Darkknell lepszym miejscem dla wszystkich, gdyby pozbyła się Daimana. A gdyby jej się to nie udało, to mogłaby chociaż zadbać, żeby poświęcenie siostry Lureii i wszystkich innych opiekunów nie poszło na marne. Wywiozła Tan i innych z Daimanatu. Teraz musiała się upewnić, że wylądują w bezpiecznym miejscu.

Jeśli w ogóle istniało takie miejsce w przestrzeni należącej do Sithów.

– Nie ruszaj się, Kerra! Mam cię na muszce!

Kerra obejrzała się i zobaczyła niski, szary, niewyraźny kształt za ladą mesy.

– Jeśli chcesz pozostać niezauważona, Tan, to lepiej włącz wygłuszacze. – Podeszła i poklepała przyjaźnie krępą postać. – No i musisz jeszcze trochę podrosnąć, skoro chcesz polować na Sithów.

– Niech to! – Tan Tengo ściągnęła maskę kombinezonu maskującego, powodując wyłączenie systemu. Sullustanka wyglądała komicznie; musiała pościągać kostium w różnych miejscach, żeby jakoś na niej leżał. Maską Bothanina lepiej pasowała do jej bulwiastych rysów, ale reszta była tak zmiętoszona, że wygłuszacze nie mogły zadziałać. – Myślałam, że tym razem cię mam!

Kombinezon uczynił z Tan, zajmującą koję obok Kerry, duszę towarzystwa w dawnych

koszarach batalionu Safskar. Kerra nie miała zamiaru go więcej używać, chociaż parę razy zastanawiała się, czy gdyby go włożyła na lewą stronę, udałoby się wyciszyć panujący na pokładzie hałas.

A Tan była teraz wpatrzona w Kerrę jak w obraz. Po części wynikało to z obecnej sytuacji, ale nie tylko. Już jako niania i nauczycielka na Darkknell, Kerra była dla Tan bohaterką. A kiedy dowiedziała się, że bajki opowiadane jej do poduszki przez starszą siostrę rasy ludzkiej były prawdą – i że Kerra była jednym z Rycerzy Jedi, o których mówiła? To było spełnienie marzeń. Przewracając oczami, Kerra obserwowała, jak Tan wykonuje serię postaw bojowych w zabawnie wielkim kombinezonie. Jej kometa zyskała ogon.

– Nie jesteś jeszcze śpiąca?

– Czas jak na Darkknell, Kerra! Kerra ziewnęła.

– Nie możesz się tak wiecznie tłumaczyć. – Obejrzała się na otwarte drzwi kambuza. – Wychodziłaś w tym na zewnątrz?

Tan zachichotała.

– Chciałam go jeszcze wypróbować.

– Znowu? Dowiedziłaś się czegoś ciekawego?

– No cóż, jeśli próbujesz namierzyć nieuchwytnego kapitana, to znajdziesz go dwa pokłady wyżej, w solarium. – Tan się uśmiechnęła. – Poszłam za tym chudym Durosjaninem.

– Brawo. Dostajesz pięć punktów Jedi.



Rusher opróżnił kolejną kwadratową szklankę. Lum nie należał do jego ulubionych napoi, ale nie miał zamiaru marnować dobrego trunku. Nie w tym tygodniu.

Nazwa „solarium” zawsze wydawała mu się głupia. Jako gwiazdny liniowiec, „Gorliwośc” kursowała między gwiazdami. Trudno byłoby się opalić od patrzenia na przelatującą nadprzestrzeń. Pozostawili jednak to niewielkie pomieszczenie nietknięte, po części dlatego, że było to miejsce, w którym Rusher mógł się odprężyć i pooglądać swoje historyczne holofilmy.

Tego dnia jednak ani fakty, ani fermentacja na niego nie działały. Rusher był w ciągłym ruchu od pierwszego skoku w nadprzestrzeń, jednego z całej serii, potrzebnej, żeby wydostać się z terytoriów Daimana. Inwentarz i lista ofiar, lista ofiar i inwentarz. Nie miał nawet chwili, żeby pomyśleć, dokąd zmierzają ani co mogłby zrobić, gdy się tam znajdą. Sam o to zadbał.

Załoga spodziewała się – wręcz potrzebowała – zobaczyć tego samego Jarrowsa Rushera co zawsze. Pewnego siebie. Żartującego. Sypiącego cytatami i historyjkami. To właśnie im zapewniał. Na mostku, w mesie, a przede wszystkim w przedziale medycznym. Nauczył się tego od swojego mentora, Yulana, zanim nadeszły ciężkie czasy. „Jednostki ponoszą straty. Dowódcy odnoszą zwycięstwa”.

Ale tym razem nie wiedział, jak tego dokonać. Jak ustalili, „Gorliwość” dysponowała teraz jedynie dwoma sprawnymi batalionami. Jednym batalionem laserów – Rozpruwaczem, w pełni wyposażonym i uzupełnionym personelem batalionu Coyn'skar – oraz jednym batalionem pocisków w postaci Zhaboki. Rusher od ponad dekady nie miał pod sobą tak niewielu żołnierzy. Cztery rampy towarowe po każdej stronie wydawały się zbyteczne. Rozpruwacz i Zhaboka miały każdy całą stronę statku dla siebie.

Poruszanie się po terytoriach Sithów z tak małą załogą wiązało się z ryzykiem, większym nawet niż na polu bitwy. Tak jak Rusher miał okazję zaobserwować w przypadku Daimana, Lordowie Sithów nieustannie wchłaniali niezależne jednostki do swoich niewolniczych armii. Liczebność oznaczała skuteczność, a ta oznaczała niezależność. I bezpieczeństwo – bezpieczeństwo, którego teraz byli pozbawieni. Historyczna wiedza, podobnie jak władza, była w przestrzeni Sithów rozproszona. A i tak mimo usilnych prób Rusher nie mógł sobie przypomnieć żadnego przypadku zniewolonych jednostek, które przetrwałyby na tyle długo, by zostały zapamiętane, ani tym bardziej czczone przez późniejsze pokolenia.

Zresztą właśnie zamiłowanie do historii zapewniło Rusherowi niezależność. Miał to szczęście, że urodził się w systemach należących do Lorda Mandragalla. Mandragall, prawdziwy relikwiarz przeszłości, wiedział więcej na temat dawnych Sithów niż większość jego rywali – i wykorzystał tę wiedzę do opracowania planu, który jak dotąd uchronił „Gorliwość” przed szponami Sithów. Lord wpadł na jego ślad w nagraniach Elcho Kressha, którego ojciec – Ludo – wstąpił w czasie wielkiej wojny nadprzestrzennej tysiące lat wcześniej. Ludo zadbał, żeby jego syn przesiedział ten tragiczny konflikt w ukryciu. Jednak, mimo wątej postury, Elcho nie myślał przyglądać się beczynnemu klęsce Imperium Sithów. Poświęcił wiele lat na stworzenie planu kontrataku z wykorzystaniem niewielkich sił, jakie miał do dyspozycji. koncepcja, jak dowiedział się Mandragall z jednego z holocronów mackogłowego Elcho, była prosta – i nadająca się do zastosowania we współczesnym mu świecie.

Podczas gdy większość Lordów Sithów budowała swoje armie wyłącznie ze zniewolonej ludności, Naga Sadow, rywal rodziny Kresshów, osiągał lepsze efekty, wchłaniając kultury o różnych umiejętnościach. Elcho, wygnany poza stygijską Kalderę, dostrzegł znaczne zasoby sił, które w podobny sposób można było wykorzystać przeciw Republice. Bandy piratów, grupy najemników, rasy chowające urazę – źródło potencjalnych najemników było niewyczerpane. Z ich pomocą nieduża liczba wyznawców Sithów mogła się przekształcić w wielką siłę. Nie trzeba było mieć oficerów Sithów na pokładzie każdego statku, rozumował Elcho, o ile umowy były odpowiednio skonstruowane. Oferując swobodę działania i udziały w zyskach, Elcho ze zbędnych odpadów zbudował imponujące siły.

Nigdy jednak nie przeprowadził swojego kontruderzenia na Republikę, bo chociaż ojciec Elcha na każdym kroku starał się chronić syna – sprawił mu nawet ochronny amulet – żadna magia nie mogła uchronić młodego Sitha przed własną głupotą. W przeddzień inwazji Elcho doznał pęknięcia żołądka w czasie suto zakrapianej uczyty i zmarł w ciągu paru godzin. Jego

siły, spójne jedynie dzięki zawartym przez niego umowom, wkrótce się rozproszyły. Sama idea jednak przetrwała w holocronie, który w latach swojej młodości odkrył Lord Mandragall.

Otoczony ze wszystkich stron sąsiadami, mieniącymi się Lordami Sithów, i pozbawiony przyjaciół Mandragall stwierdził, że nie dysponuje mięsem blasterowym, które mógłby rzucić przeciwko swoim wrogom. Kiedy okazało się, że droidy nie są w stanie ochronić jego międzygwiazdnych granic, sięgnął do nagrań i zastosował co do joty wytyczne dawno zmarłego przywódcy. Było w tym coś na swój sposób romantycznego, zauważył Rusher; blisko trzy tysiące lat po jego śmierci wielki plan Elcha doczekał się w końcu godziny próby.

I rzeczywiście Mandragall odniósł znaczące sukcesy w starciach z przeciwnikami, prężąc muskuły, które w istocie nie należały do niego. Ponad trzy czwarte sił bojowych Mandragalla stanowiły niezależne jednostki, uciekające przed groźbą zniewolenia ze strony innych Lordów Sithów. Większość ochoczo stawiała do walki w imię Mandragalla w zamian za autonomię i dostęp do potrzebnych zasobów oraz rekrutów.

Koniec końców jednak Mandragall, tak samo śmiertelny jak Elcho, dał się pokonać ludzkiej słabości. Dwadzieścia lat wcześniej matka Daimana i Odiona – przeklęty potwór imieniem Xelian – uwiodła starzejącego się Mandragalla i zabiła go w nocy. Rywale wykorzystali nadarzącą się okazję i przekonali się, że wielka armia Mandragalla była w znacznej mierze efemeryczna. Jednak już został stworzony – czy raczej odtworzony – wzór, z którego korzystali Beld Yulan i wielu innych.

A także Rusher, choć może już niedługo.

Ludzka słabość. Obrócił w rękę szklanę. Ile błędów popełnionych na Gazzari obciążało jego konto? Wiedział wcześniej, że Spirale Śmierci istniały, nawet jeśli nie zdawał sobie sprawy ze skali ich działania. Czy powinien był przygotować jakąś taktykę, tak na wszelki wypadek? Ilu spośród tych, którzy jeszcze zostali, zapłaci za jego błąd?

Drzwi za jego plecami się rozsunęły.

– Dackett – powiedział, nie oglądając się. – Jak ręka?

– Chudsza. I pachnie, jakby ją wypluł k'lor'ślimak.

– No to nie będzie żony numer cztery. Najwyższa pora, żebyś dał szansę innym. – Rusher napełnił jeszcze jedną szklanę i podał pierwszemu oficerowi. – Środek znieczulający?

– Nie potrzebuję twojej litości – odparł Dackett – ale drinka chętnie przyjmę. – Usadowił się w drugim fotelu i sięgnął odruchowo po szklany sześcian, jednak zorientował się, że uniósł swoją mechaniczną rękę. Popatrzył na nią gniewnie. – Leżeć! – Cybernetyczna kończyzna cofnęła się, jakby z ociąganiem.

Rusher zachichotał.

– Będziecie musieli się jakoś dogadać.

– No, chyba nie tylko my. – Dackett chwycił drinka prawdziwą ręką i wypił jednym haustem. – Musisz coś zrobić z tym wszystkim. Poradziłeś sobie z resztą, ale nie mamy koi dla wszystkich uchodźców.

– To połóżcie ich na podłodze.

– I tak już nie da się przejść po korytarzach na śródkręciu, żeby nie stanąć komuś na gardle – odparł pierwszy oficer. – No i... na razie mamy żywność, ale niektóre zapasy niedługo się skończą. – Walnął pustą szklanką o stolik. – W dodatku niektórzy z tych osobników, szefie, na przykład Skrillingowie, wyjadają ze śmieci.

– Może dałoby się je im wydzielać – zastanowił się Rusher i pociągnął kolejny łyk. – Wiesz, to nie jest zupełnie nowa sytuacja. Już nieraz zabieraliśmy pasażerów.

Dackett się ożywił.

– Tak, ale to byli wojskowi. Piechota. Komandosi. Najemnicy. I zwykle dawali nam coś w zamian za podwózkę. – Uchodźcy faktycznie nie mieli im nic do zaoferowania.

Rusher popatrzył na cienie na podłodze. Jeśli już po kilku dniach wystawili cierpliwość Dacketta na próbę, to był zadowolony, że sam nie musiał się do nich zbliżać.

– Wiesz, jak jest, Ryland. Nie znaleźliśmy jeszcze miejsca, gdzie moglibyśmy ich wyrzucić.

– Do cholery, szefie! Nawet nie szukacie! – Dackett wstał gwałtownie. – Nie rozumiem. Ten lebiega...

– Lubboon?

– Wiem, co powiedziałem. Mieliśmy go wysadzić na pierwszym kawałku skały, na którym będzie boja nadprzestrzenna!

Rusher podniósł wzrok.

– Ten chłopak uratował ci życie, Dack!

– Ale wcześniej przejechał mi po nodze ciężarówką!

Rusher odstawił szklankę i popatrzył tępym wzrokiem na butelkę.

– Może jeszcze nie chcę opróżnić statku. Dackett usiadł z powrotem.

– To co innego. – Popatrzył na swojego dowódcę. – Słuchaj, ja też to widzę. Cała moja załoga dała się na to złapać. Ale mówię ci, nie ma tam nikogo, kto nadawałby się na kanoniera lepiej niż ten durosjański dzieciak. – Zakorkował butelkę. – Im szybciej opróżnimy pokłady, tym szybciej będziemy mogli ściągnąć nowych lud Nowe bataliony.

Rusher rzucił mu gniewne spojrzenie.

– I czym będą strzelać? Ciętymi ripostami? ?

– Tym, co im damy – odparł Dackett – do czasu, aż zdobędzie my więcej dział. Ale nie będzie miejsca na nikogo nowego, dopóki go nie zrobisz. – Wstał ponownie, zostawiając na fotelu potężne wgniecenie. – Nie będę ci mówił, jak się masz czuć, ale powiem ci, jak się masz zachowywać. Nie możesz tylko markować działania. Musisz coś zrobić. Pociągnąć za spust.

– W porządku – powiedział Rusher z szyderczym uśmiechkiem. – Więc jak powinniśmy to załatwić? Śluza powietrzna czy trucizna?

– Może trucizna – odparł Dackett, otwierając drzwi. – Brygadier panią teraz przyjmie.

W drzwiach stała Kerra Holt.

– Wreszcie – powiedziała.

ROZDZIAŁ 12

Kerra, wyszkolony Rycerz Jedi, była znakomita w tropieniu. Przez wiele tygodni żyła w przestrzeni Sithów, mając do dyspozycji jedynie wspomnienia gwiazdnych map, na podstawie których musiała się zorientować, gdzie jest. A jednak jakimś cudem brygadier Rusher znów jej się wymknął. Zgodnie ze wskazówkami Tan udała się do solarium, gdzie spotkała pierwszego oficera Dacketta, który zaoferował się, że wejdzie pierwszy, żeby przygotować jej grunt. Kiedy w końcu znalazła się w środku, gotowa rozpocząć swoją wyliczankę żądań dla uchodźców, Rusher wstał i przeprosił, mówiąc, że idzie do odświeżacza w pomieszczeniu obok. Patrząc na puste butelki, Kerra zrozumiała dlaczego, a widząc jego laskę opartą wciąż o fotel, nie przejęła się tą chwilą zwłoki.

Tyle że Rusher już nie wrócił.

Zaczęła walić w drzwi, a kiedy je w końcu otworzyła, nie zobaczyła żadnego odświeżacza. Był tam jedynie korytarz, na końcu którego znajdowała się drabinka. Poczowała się, jakby była znów na „Erze Daimanos”, tyle że zamiast ekscentrycznego Lorda Sithów był ekscentryczny sługus Sithów. O co chodziło z tymi facetami ukrywającymi się na własnych statkach?

Teraz, całe trzy godziny później, Kerra namierzyła go ponownie – kilka pokładów dalej, w mesie, gdzie opowiadał swoim podwładnym o jakiejś dawnej bitwie. Kerra zastanawiała się, czy brygadier nie ma sekretnego brata bliźniaka. Bojowy Rusher był uparty, ale ponury; tamtą wersję widziała w solarium. Tu trafiła na odmianę występującą w mesie – kuglarza i żartownisia. Kerra wparowała do środka, zdeterminowana, żeby uzyskać jakieś odpowiedzi od którejkolwiek z tych osobowości.

– Stój! – wrzasnęła, wymachując jego laską. – Tylko się rusz, a naprawdę będziesz potrzebował tej laski!

Rusher popatrzył na nią, a potem na pełne wyczekiwania twarze wokół niego. Wybuchnął donośnym śmiechem, a reszta mu zawtórowała.

– Obowiązki wzywają – oznajmił, wstając.

Widząc pożądlive spojrzenia kilku brudnych kanonierów, ucieszyła się, że nie kręcili się w pobliżu jej uchodźców. Ten Rusher nie dowodził bynajmniej okrętem republikańskiej marynarki. Ale w końcu czego można było się spodziewać po pacholku Sithów?

Może jakieś odpowiedzi?

– Dokąd się tym razem wybierasz? Sytuacja kryzysowa na mostku?

– Poszła za nim do salonu.

– A może trzeba wesprzeć finansowo kolejny browar?

– Owszem, piłem, młoda damo – przyznał Rusher, odbierając swoją laskę. – Musiałem się potem przejść, żeby oczyścić umysł, zanim zajmę się twoimi niezwykle ważnymi problemami.

– Dzięki za protekcyjne traktowanie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł, kierując się długim,! korytarzem w stronę mostka. – A zatem, Jedi... Tutaj nie widuje się takich jak ty. Jesteś tu z oficjalną misją?

– Niezupełnie. – Kerra wyjaśniła, na czym polegała misja Vannara Treece'a w Daimanacie i jak to się stało, że została pozostawiona sama sobie. – Słyszałeś z pewnością o Vannarze Treesie?

– Nie. A powinienem?

Kerra zagryzła wargę. Sądziła, że wysiłki Treece'a odbiją się większym echem. Patrząc racjonalnie, zdawała sobie sprawę, że terytoria Sithów obejmowały wiele sektorów i niezliczone układy i nie istniało tu nic takiego jak masowa komunikacja. Rusher jednak wyglądał na takiego, który wie, co w trawie piszczy – a przynajmniej starał się sprawiać takie wrażenie. Poczowała się zawiedziona. Jednak w miarę jak mówiła, Rusher wydawał się coraz bardziej zainteresowany. Niewątpliwie rozumiał sposób działania Republiki, nawet jeśli nigdy w niej nie był.

– Jeśli nie masz oficjalnego upoważnienia od Zakonu Jedi – powiedział – albo od Kanclerza, to jak się tu dostałaś? – Przypomniał sobie to, co wiedział na temat niepewnych czasem relacji republikańskiej marynarki z Jedi. Bez odpowiedniej podkładki nie podwieźliby samotnego Jedi nawet do kantyny. – Nie można tak po prostu wparować do przestrzeni Sithów na komercyjnym statku.

– Sami zapłaciliśmy za transport.

– Aha, więc jesteście jak Gell'ach lecący na Kabała albo Revan przed... gdzie to było? Garr'lst? Nie, Cathar. – Pstryknął palcami. – Mieszają mi się ci wszyscy zmasakrowani ludzikioty.

– Zawsze się tak zachowujesz?

– Nie wiem, nie zawsze przy tym jestem. Kerra ruszyła do wyjścia.

– Wrócę, jak wytrzeźwiejesz.

Rusher złapał ją za nadgarstek i zachichotał.

– Nie martw się, nic mi nie jest – powiedział, puszczając ją. – Po prostu nie dociera tu zbyt dużo wiadomości z Republiki. – Poklepał czule gródź.

– Jak ten statek się właściwie nazywa?

– „Gorliwość”. To po jednym z republikańskich okrętów klasy Inexpugnable z czasów wojen mandaloriańskich – wyjaśnił. – Statku admirała Morvisa. Wiesz, Dallan Morvis był w dużej mierze niezrozumiany. Wielu osobom się wydaje, że jak ktoś się urodził bogaty, to nie wie, co robi.

Rusher paplał dalej o wyczynach załogi Morvisa – a potem znów o swoim statku. Kerra go nie słuchała. Poskładana z używanych części „Gorliwość” nigdy nie została przyjeta do jakiegokolwiek floty wojennej Republiki. A mimo to Rusher był z niej dumny. Ten człowiek wydawał się jej kompletną zagadką. Sprawiał wrażenie, jakby chciał naśladować dawnych dowódców, chociaż miał tak niewiele do swojej dyspozycji. I ta nazwa statku! Wydało jej się to trochę smutne, całkiem jakby kierowca śmieciarki nazwał ją na cześć jednego z wielkich okrętów badawczych.

– ...i zawsze mówiłem: gdyby Exar Kun miał na Toprawie artylerię, wasz Kanclerz Jedi miałyby dziś złote oczy.

– Możemy przejść do rzeczy? – Kerra stanęła przed nim i wzięła się pod boki. – Musimy zająć się problemem uchodźców.

– Tak, masz rację – zgodził się Rusher, kiwając głową. – Kiedy możemy się ich pozbyć?

– Co takiego?

Przepchnął się obok niej i ruszył dalej korytarzem.

– Powiedziałaś, że mamy problem z uchodźcami. Ja się zgodziłem. Właściwie to nie planowałem zostawić was na pokładzie tak długo. – Podniósł wzrok. – Po prostu miałem inne rzeczy na głowie.

Kerra aż się zagotowała.

– Ach, tak? Sama się nimi zajmowałam! – Podążyła za nim korytarzem. – „Pozbyć się ich”? Po prostu pięknie! – Pokręciła głową. – Nie wiem, czego się spodziewałam po kimś, kto pracuje dla Lordów Sithów!

– A dla kogo innego miałbym pracować? Dla Republiki? – Rusher się roześmiał. – Nie wiem, czy zauważyłaś, ale pozamykali wszystkie swoje oddziały. – Zatrzymał się i przyglądał jej się przez chwilę.

Kerra wzdrygnęła się pod jego spojrzeniem.

– O co ci chodzi?

– Próbuję sobie po prostu przypomnieć ten rodzaj energii. – Odwrócił się i ruszył dalej.

– Naliczyłam sześć skoków nadprzestrzennych. Chcesz mi powiedzieć, że przez cały ten czas nie znaleźliśmy ani jednego odpowiedniego portu?

– To zależy, co rozumiesz przez „odpowiedni” – odparł Rusher, wchodząc po rampie ku podwójnym drzwiom prowadzącym na mostek. – I czy obchodzi mnie twoja definicja. Dla mnie odpowiednie miejsce to takie, gdzie Daiman nie będzie na mnie polował za ucieczką.

Kerra popatrzyła w osłupieniu.

– Nie opuściliśmy jeszcze Daimanatu?

– Nie mogliśmy ot, tak sobie wlecieć na terytoria Odiona albo Bactry, nie wiedząc, co u licha się dzieje. – Wcisnął guzik otwierający drzwi. – Musieliśmy lecieć trochę naokoło.

Kerra patrzyła, jak generał, utykając lekko, schodzi po schodkach do centrum dowodzenia. Zauważyła, że noga naprawdę mu dokucza, ale ciągle zapominał przełożyć laskę do właściwej

ręki. Kuglarz.

Rusher stanął za plecami sygnalisty.

– Szukaliśmy jakichkolwiek wieści, żeby zorientować się, jak wygląda sytuacja. Dalej tego nie wiemy. Możliwe, że jest bezpiecznie.

Spojrzał na Kerrę, która pokręciła głową.

– Daiman chciał wcielić te dzieciaki do swojego wojskowo-przemysłowego zespołu ekspertów – powiedziała. – Znajdzie je.

– Cóż, jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, że Daiman i Odion się zjednoczyli, to nie jest odpowiednie miejsce dla nich... ani dla ciebie. Kerra ucieszyła się, że tak chętnie się z nią zgodził.

– Tylko że to nie ma sensu – stwierdził. – Naprawdę, nie masz pojęcia, ile krwi zostało przelanej między tymi dwoma.

– Mam pewne podejrzenia. – Oględnie mówiąc, pomyślała.

– Daiman i Odion skaczą sobie do gardeł... właściwie od śmierci Chagrasa. Chagras. Kerra знаła to imię z raportów wywiadu i z opowieści Vannara. Hegemonia Chagrasa stanowiła względnie stabilny okres w polityce sektora Grumani; to wtedy Sithowie najeżdżali na Republikę. Inwazja na jej ojczystego Aquilarisa miała miejsce właśnie za czasów Hegemonii. Na szczęście dla cywilizacji nie trwała ona długo. Śmierć Chagrasa w niewyjaśnionych okolicznościach, osiem lat temu, zapoczątkowała kolejny okres wewnętrznych walk. Nie tylko na jego terytoriach, ale na całej opanowanej przez Sithów przestrzeni.

Rusher potwierdził, że wtedy właśnie wybuchła wojna między Odionem i Daimanem – gdy twórca wszelkiego stworzenia nie miał jeszcze dwudziestu lat. Nie miał jednak pojęcia, o co walczyli ani co było przyczyną konfliktu. Rusher wiedział o Chagrasie – za młodu walczył i dla niego, i przeciw niemu – ale sam nigdy go nie spotkał i nie orientował się, co go zabiło.

– Bo co ich wszystkich zabija? – Opowiedział o śmierci Elcha i Mandragalla. – Nie wiem, skąd się bierze ich długowieczność, ale na pewno nie jest to kwestia trybu życia.

Kerra uklękła i oparła głowę o barierkę, a ciemne kosmyki włosów opadły po obu jej stronach. Nic z tego nie rozumiała. Po co Odion i Daiman mieliby połączyć siły, choćby tymczasowo? Wyczuwała tu robotę jakiejś niewidzialnej ręki. Zresztą wśród Sithów zawsze coś takiego wyczuwała. Jęknęła głośno, sfrustrowana.

– Nie możemy po prostu polecieć do Republiki?

– A kto mówił coś o Republice? – Rusher spojrzał na nawigatora. – Ishel, wiesz, jak dolecieć do Republiki?

Kalamarianin wzruszył ramionami.

– Bo ja nie wiem – oświadczył brygadier. – A jak ty się tutaj dostałaś?

– Trasą prowadzącą do węzła komunikacyjnego Daimana w pobliżu Chelloi – wyjaśniła Kerra, pocierając czołem o chłodną barierkę. Zaczynała ją boleć głowa.

– Ale to raczej nie wchodzi w grę.

– Fakt. – W ciągu paru tygodni, jakie minęły, odkąd Odion i Daiman starli się o Chelloę, ruch wokół głównego ośrodka wojskowego Daimanatu się podwoił. – Może mógłbym się tam zapuścić, gdybym miał cały statek Jedi, a nie tylko jednego. Następnym razem weź ze sobą paru kolegów.

Kerra otworzyła oczy i spojrzała gniewnie nad barierką.

– Co ja takiego powiedziałem? – zdziwił się Rusher.

– Nic – odparła. Stawy w kolanach zatrzeszczały jej przy wstawaniu. – Nie możecie nas po prostu podwieźć gdzieś bliżej Republiki?

– Na co ty liczysz? Na dogodne połączenia? Chyba nic nie rozumiesz. Jeśli chodzi o szlaki nadprzestrzenne, możliwości są tutaj dosyć ograniczone. – Rusher włączył holograficzny wyświetlacz i wskazał na świecące linie. Omijając terytoria Daimana i Odiona, musieliby wykonać kolejne sześć skoków, żeby znaleźć się znacząco bliżej od granic Republiki, no i parę razy musieliby zawracać. – A między tymi skokami za każdym razem czekać będą jacyś Sithowie. Nie myślisz chyba, że tylko nam pomachają, jak będziemy przelatywać.

Kerra się nachmurzyła. To była główna trudność, z jaką musiała się mierzyć, odkąd tu przyleciała. W Republice można było liczyć na swobodny dostęp do bazy danych, obejmującej większość znanych komercyjnych tras nadprzestrzennych. Niektóre były utajnione przez wojsko, a niektóre korporacje starały się utrzymać nowo odkryte szlaki w tajemnicy, jeśli mogło im to przynieść korzyści.

Jednak w przestrzeni należącej do Sithów było zupełnie inaczej. Wyłączając sieć łączności podprzestrzennej, Republika stworzyła barierę niewiedzy między przestrzenią Sithów a wewnętrznymi systemami. Nie mogąc czerpać z danych zebranych przez republikańskich pilotów, Sithowie musieli opierać się na informacjach, które już posiadali oraz na tym, co można było znaleźć w bibliotekach i bazach danych, znajdujących się na ich terytoriach. Tyle że odwieczne rozdrobnienie władzy wśród Sithów poważnie odbiło się na zawartości tych ostatnich; poszczególne dominia często niszczyły nawzajem swoje ośrodki wiedzy, tak jak niedawno uczynił to Odion w walce z Daimanem.

Na pokładzie jednego z myśliwców Daimana na Chelloi, jeszcze przed wydarzeniami na Darkknell, Kerra miała dostęp tylko do jednej trasy nadprzestrzennej – tej, którą zgodnie z zamierzeniami Daimana statek miał obrać. Mapy oznaczałyby możliwości, także ucieczki. Kartografia była kluczem do władzy, a Lordowie Sithów sukcesywnie ją zdobywali.

Rusher klasnął głośno w dłonie.

– Dobra, mam. Byllura. Kerra popatrzyła na mapę.

– Byllura nie jest bliżej Republiki. Jest dalej – zauważyła. – Ato nie znaczy lepiej.

– Tutaj czasem znaczy. – Rusher dotknął przycisku i w powietrzu pojawiły się linie współrzędnych, oznaczające ostatnie terytoria znane załodze „Gorliwości”.

– Byllura należy do dzieci.

– Jakich dzieci?

– Nie wiem – odparł Rusher, przesuwając ręką po obrazie, żeby obrócić gwiazdy.
– Nigdy nie byłem tak daleko. Ale podobno jest tam księstwo Sithów, którym rządzą dzieci.

– Dzieci? – Brzmiało to jak motyw z kiepskiego republikańskiego holofilmu. Kerra wyobraziła sobie podwórkowe królestwa, rządzone przez wściekłych małych Sithów o potarganych włosach. – Nie mówisz poważnie.

– No cóż, nie wiem za wiele na ten temat. Zawsze wyobrażałem sobie, że to jakiś rodzaj regencji z ukrytym ośrodkiem władzy i tak dalej.

Kerra popatrzyła na pseudogwiazdy i wzięła głęboki oddech. Jeśli był tam ktoś, kto pociągał za sznurki, to nie wyobrażała sobie, żeby taka sytuacja mogła się długo utrzymać – nie wśród Sithów.

– Na ile aktualne są twoje informacje?

– Wiem to od kogoś, kto był niedaleko. Sprawują władzę od co najmniej pięciu lat – powiedział Rusher. – Mnie też się to wydaje dziwne. Ci niżsi rangą Sithowie nie należą do specjalnie cierpliwych. Wydaje się, że „stary wujek” powinien już się z nimi rozprawić. Albo „stara ciotka”, albo pałacowy kucharz.

Widząc uśmiech Rushera, Kerra się poddała. Skoro odpowiadało mu to rozwiązanie, przekonywanie go do innego mogłoby zająć kolejny tydzień.

– Zdaje się, że nie mamy wyboru – stwierdziła. – Cokolwiek się stanie, chyba nie mogą być równie okrutni jak dorośli.

– W twojej szkole Jedi były jeszcze inne dzieci, prawda? – spytał Rusher. – Spotkałaś wcześniej niektóre z nich. – Zerknął w kierunku wyjścia. – To znaczy przed tym tygodniem.

Nie zwracając na niego uwagi, Kerra ruszyła w stronę wyjścia. Było mnóstwo do zrobienia, zakładając, że miejsce okaże się chociaż mniej więcej odpowiednie, o czym nie była wcale przekonana.

– Żadne z nich nie opuści tego statku, dopóki nie zbadam tego miejsca, najemniku.

– To terytoria Sithów, Jedi – zawołał za nią Rusher, najwyraźniej rozbawiony tym określeniem. – Nie znajdziemy lepszego wyjścia... i nie znajdziemy rajy, którego szukasz. – Wszedł po schodach i zobaczył Kerrę stojącą w drzwiach. Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. Wzruszył ramionami i uniósł ręce. – Musi ci wystarczyć najlepsze, co możemy znaleźć. Bo to oznacza najmniejsze zło.

Kerra popatrzyła na niego lodowato.

Rusher odwrócił się do swojej załogi i uśmiechnął, znów przyjmując postać wesołego pijaka.

– Dobrze, że się nie pomyliłem. O mały włos nie powiedziałem „najmniejsze piekło”.

– Jestem pewna – odparła Kerra – że to by pasowało.



– Regencie-aspekcie! – zawołała dziewczyna.

Tym razem nie był to rozkaz. Calician ocknął się z otępienia i spojrzał na stos pomarańczowych poduszek pośrodku pomieszczenia. Znowu się zaczęło. Chłopak na szczycie pluszowej góry cały dygotał, a kropelki potu spływały po jego bladym czole.

Gorączka powróciła. Quillan widział przyszłość. Przyszłość – a może coś tak dalece wykraczającego poza jego układ odniesienia, że wystawiało na próbę całą jego zdolność pojmowania. Człowiek wodził oczami po sali, szukając... czego? Słów? Quillan miał czternaście lat i nigdy jeszcze nie odezwał się w obecności Calicianiana.

Jego siostra Dromika klęczała przy nim, próbując opanować drgawki chłopca. Machając gorączkowo dłońmi przed twarzą słabowitego brata, starała się przykuć jego uwagę.

Calician podszedł tak blisko, jak tylko się odważył. Jedyne droidy opiekuńcze miały prawo zbliżyć się do bliźniąt. On mógł zwracać się do nich tylko ze swojego podium. Stojąc bliżej, mógłby dezorientować Quillana. Percepcja nastolatka była zbyt silna. To, co określało Saaja Calicianiana jako jednostkę, świeciło w Mocy, oślepiając chłopca. Dodatkowe bodźce wzrokowe tylko by go oszołomiły. Dlatego właśnie, jak sobie teraz przypomniał, jego szaty miały ten sam kolor co ściany.

Gdy jej brat się uspokoił, Dromika jak zawsze przemówiła w jego imieniu.

– Regencie-aspekcie – powiedziała, wodząc palcem w powietrzu. – Regent ma wyczuć nadejście nowych aspektów – rozkazała drżącym głosem.

– Wyczuję nadejście nowych aspektów – powtórzył Calician. Krewaaki zamknął oczy, próbując się skoncentrować. Aspekty.

Tak Quillan i Dromika nazywali wszelkie twory zewnętrzne, czy to organiczne, czy elektroniczne. Bliźnięta o oddzielnych ciałach, lecz złączone w Mocy – jeden byt, którego żadna siła znana nauce ani alchemia Sithów nie mogła rozdzielić. Kiedy ich spotkał, mieli zaledwie po pięć lat – bardzo niewiele jak na ludzi – i o ile Calician pamiętał, nigdy od tego czasu nie opuścili swojego Poddasza.

A mimo to Calician od razu się zorientował, że reprezentują to, czego najbardziej pożądał – potęgę. Prawdziwą potęgę, przekraczającą wyobrażenia wszystkich pretendentów spośród okolicznych Sithów. Potęgę, która kiedyś zawładnie galaktyką.

Dromika zacisnęła ręce na swoich długich blond włosach.

– Regent ma znaleźć aspekty i przyjąć ich.

Calician powtórzył polecenie. Jego audyencja dobiegła końca. Opuścił azyl rodzeństwa, mijając droida-nianię, gotowego pomóc Dromice przy zabiegach pielęgnacyjnych. On miał swoje zadanie.

Przyjąc... Kiedyś, dawno temu, nie rozumiał tego polecenia. Wtedy nie był jeszcze w pełni wtajemniczony. Własne ego wciąż stało mu na drodze do oświecenia. Wciąż myślał o innych Krewaakich, o tym, jak wygląda jego strój i że to on może być tym Sithem, który raz na

zawsze zniszczy Republikę. Wszystko to były błahostki. Takie informacje nie przydawały się jego władcom. Mogły nie istnieć.

A wkrótce wszyscy ich rywale mieli przestać istnieć. Zsuwając się po spiralnej rampie na piętro niżej, regent dostrzegł stworzenie, które mogło w tym pomóc.



Olbrzymi śpiący mózg unosił się w swoim obłoku. Calician wpatrywał się w niego. Dryfujący w cylindrycznym zbiorniku, wypełnionym zabójczym gazem cyjanowym, groteskowy obcy organizm nie zwracał na niego uwagi.

Celegianin był stary. To jego pierwszego Calician schwytał i sprowadził na Poddasze, wiele lat wcześniej. Liczące już wówczas dwieście lat monstrum nie miało szans. Wciąż nosiło ślady poskromienia; po niektórych z jego zwisających dendrytów, odciętych przez oprawców, pozostały jedynie kikuty.

Calician nienawidził Celegian. Jednym z niewielu wspomnień, jakie mu pozostały, były szyderstwa, których doświadczył jako dziecko – „Saaj Celegianin”, przezywali go inni Krevaaiki, zazdrośni o jego przenikliwą inteligencję. Kiedy potem kształcił się na Sitha, w końcu spotkał prawdziwych Celegian w jednej z ich kolonii na Tramanosie. Gdyby już wcześniej nie czuł do nich niechęci, poczułby ją wtedy. Stworzenia unosiły się w swoich samonapędzających się obłokach gazu, próbując uczestniczyć w planetarnym handlu, całkiem jakby nie były wyłącznie olbrzymimi latającymi mózgami. Nie przyjmując do wiadomości własnej brzydoty, zdawały się oczekiwać, że inni również nie będą zwracać uwagi na ten, delikatnie mówiąc, uciążliwy szczegół. I chociaż Celegianie mieli wrodzone zdolności telepatyczne, które pozwalały im pokonywać wszelkie bariery językowe, wydawali się niezbyt zainteresowani wykorzystaniem swoich szczególnych umiejętności do zdobycia wpływów i władzy. Niedorzeczne, prawda? Cóż warta przewaga, jeśli się jej nie wykorzystuje?

Calician nie miał żadnych skrupułów przed skorzystaniem z tego, z czego oni nie robili użytku. Kiedy został mianowany strażnikiem bliźniąt, już po paru dniach nakazał ściągnąć ten pierwszy okaz – znany po prostu jako „Jeden”. Rezultaty okazały się tak dobre, że postanowił zwabić całe społeczeństwo Celegian na Byllurę. Tysiące istot osiedliły się w stołecznym Hestobyllu. Ale Jeden, chociaż był stary, okazał się niezrównany w swojej pracy.

Nadszedł czas, żeby znów udowodnił swoją przydatność. Calician uniósł ręce przed cylindrem.

– Skontaktujesz się ze stanowiskami obronnymi – powiedział, smagając Jednego poprzez Moc.

Przez chwilę szaropurpurowa masa tkwiła bez żadnej reakcji w mglistej zawieszynie. Potem jednak regent usłyszał w głowie chłodną odpowiedź Celegianina:

Skontaktuję się ze stanowiskami obronnymi.

– Bezzwłocznie powiadomisz o pojawieniu się jakichkolwiek obcych. Bezzwłocznie powiadomię o pojawieniu się jakichkolwiek obcych.

Calician zadrżał, obserwując, jak kosmki na spodzie stworzenia zaczynają się poruszać. Fioletowa krew pulsowała pod cienkimi błonami na jego głowie. Istota budziła się oto do życia i kontaktowała z innymi umysłami w kompleksie. Jego zdolności telepatyczne miały ograniczony zasięg – niecały kilometr – ale to wystarczało, żeby dotrzeć do wszystkich zamierzonych adresatów na wyspie. I nie tylko.

Regent wpatrywał się w transpastalowy zbiornik. Przed laty wzdrygnąłby się i odszedł pospiesznie, żeby nie widzieć tego odrażającego stworzenia w akcji. Teraz nie pamiętał już, co było w tym takiego obrzydliwego.

Patrzył bezmyślnie przez chwilę; gdy się poruszył, dostrzegł odbite w szybie jakieś nieznajome oblicze. Rozglądał się przez kilka sekund, aż zdał sobie sprawę, że to jego własne odbicie.

Zwiesił wyrastające z twarzy macki i powlókł się z mazołem na wyznaczone miejsce w pobliżu bliźniąt.

ROZDZIAŁ 13

Rusher mówił, że nie znajdą raju. Najwyraźniej brygadier nie był nigdy na Byllurze.

Stolica planety, Hestobyll, była zbudowana na wodospadzie. Czy raczej zbudowana jako wodospad, a ściślej rzecz biorąc delta rzeki, wyłobiona w łagodnym zboczu. Kerra zauważyła to niezwykle ukształtowanie terenu, kiedy schodzili z orbity. Największą formacją Byllury był wysoki płaskowyż, oddzielony od morza przez wyniosłe skarpy – otaczające go ze wszystkich stron poza południową zatoką gdzie zejście do oceanu prowadziło przez wyrzeźbione w skale tarasy. Sieć kanałów tworzących heksagonalny wzór dzieliła każdy z tarasów na setki sześciobocznych bloków, a przyjemnie szumiąca woda spływała poprzez system tam z jednego poziomu na drugi. Tym sposobem krople deszczu z lasów tropikalnych na środku kontynentu kończyły swoją długą podróż w błękitnej cieśninie na krańcu geometrycznego wybrzeża.

Kerra zwróciła się w stronę różowawego słońca i wzięła głęboki oddech. Świeże morskie powietrze wypełniło jej płuca, przypominając klimat ojczystego Aquilarisa sprzed lat. Skrzydlate stworzenia szybowały leniwie nad wodą. W porcie nie było żadnych statków – co wydawało się dziwne, było za to całkiem sporo lądowisk, takich jak to, na którym usiedli, zbudowanych na platformach ponad łagodnymi falami i połączonych mostami z miastem.

Z tej odległości nie widziała zbyt dokładnie rozmieszczonego na tarasach miasta; Dackett został wezwany, zanim zdążyła go poprosić o makrolornetkę. Mimo że metropolia była wyraźnie sztuczną konstrukcją, jej formy dobrze harmonizowały z otoczeniem. Na biegnących w górę heksagonalnych stopniach wznosiły się niskie, niewyróżniające się niczym budowle, a nad kanałami przerzucono mosty. Nigdzie nie było widać kominów, takich jak na Darkknell, czy charakterystycznych dla Chelloi szybów górniczych.

Sithowie tego nie zbudowali, pomyślała Kerra. To zdecydowanie republikański świat. Wpisała go w myślach na listę miejsc wartych odwiedzenia, kiedy już je odzyskają.

Jedynym elementem szpecącym krajobraz było stoliwo. Spłaszczona góra tej samej wysokości co płaskowyż na głównym lądzie wznosiła się pośrodku zatoki, kilka kilometrów od brzegu. Kerra podejrzewała, że może to być jakaś granitowa pozostałość po erozji lub też fragment oddzielony od kontynentu przez to same sejsmiczne zdarzenie, które ukształtowało zatokę. Zauważyła, że na jego szczycie znajduje się jakaś budowla ze spłaszczoną kopułą, która wystawała ze wszystkich stron poza pagórek, sprawiając, że cała formacja przypominała olbrzymi grzyb balo. Co jakiś czas między stoliwem a miastem kursowały śmigacze. W

zatoce widać było coś jeszcze – boje wielkości gwiazdnych myśliwców, unoszące się na wodzie w koncentrycznych kręgach, które rozchodziły się promieniście od pagórka w głąb łądu.

Dziwne. A jeszcze dziwniejsze było to, że nikt nie wyszedł im na spotkanie.

– Jedi, myślę, że trafiło ci się lepiej, niż mogłabyś się spodziewać.

Kerra odwróciła się i zobaczyła Rushera, stojącego u dołu jednej z ramp na sterburcie. Kiedy stało się jasne, że na platformie nie czeka żaden komitet powitalny, Kerra zeszła na łąd jako pierwsza, a po niej Novallo i jej ekipy sprawdzające szczelność kadłuba. Rusher jednak się nie spieszył.

– Cicho tu – przyznała Kerra.

– W każdym razie nikt nas nie zatrzymywał – zauważył Rusher. Dziwnie wyglądające myśliwce na orbicie nawet się nie poruszyły, kiedy wyszli z nadprzestrzeni. Nikt nawet się do nich nie odezwał aż do momentu, gdy podchodzili do lądowania; wtedy przez system łączności rozległ się gardłowy głos, który skierował „Gorliwość” na jedną z platform otaczających zatokę.

– No i wiemy, że nie jesteśmy w przestrzeni Daimana – dodał brygadier, ukląkł i wskazał na wyłożoną płytkami powierzchnię lądowiska. „Gorliwość” była zaparkowana na ogromnej literze aurek utworzonej z sześciokątów o barwie kredy.

– Żadnych małych znaków. Normalny alfabet.

– No, nie wiem – zastanowiła się Kerra. – Może robotnicy Daimana nie zabrali się jeszcze za kamieniarkę. – Ale i ona wątpiła, żeby to były terytoria Daimana. Te równe rzędy bloków... no i żadnych holograficznych posągów w zasięgu wzroku. Ani też prawdziwych.

I z całą pewnością nie były to terytoria Odiona. Wciąż stało tu miasto – nawet jeśli widać było niewielu mieszkańców.

Rusher przeciągnął się, unosząc łaskę wysoko ponad głowę.

– No cóż, jak dla mnie wygląda w porządku – stwierdził, odwracając się w stronę rampy towarowej. Przyłożył dłoń do ust i krzyknął: – Rozładowywać!

W jednej chwili pozostałe siedem ramp otworzyło się ze szcękaniem. Po metalowej powłoce rozniosło się dudnienie i pierwsza grupa uchodźców zaczęła schodzić po pochyłościach za plecami Rushera.

Kerra skoczyła w kierunku rampy, prawie przewracając brygadiera.

– Stać! Stać! – wrzasnęła. Spojrzała w górę. Dackett stał na czele tego exodusu, Beadle Lubboon zaś prawie się zagubił w potoku ciał.

Tupot nie ustawał, aż w końcu Kerra zapaliła miecz świetlny i zawołała:

– Nie ruszać się!

Zdziwiony tłum się zatrzymał, chociaż po innych rampach wciąż schodzili kolejni uczniowie. Kerra rzuciła Dackettowi gniewne spojrzenie.

– Więc po to cię wezwali, tak?

Pierwszy oficer wzruszył ramionami i ruchem głowy wskazał na przełożonego. Kerra wycelowała świecącą klingę w pierś brygadiera.

– Mówiłam, że najpierw muszę sprawdzić to miejsce!

– Myślałem, że to właśnie teraz robiłaś – odparł Rusher, spoglądając z irytacją na żarzący się koniec broni. – A może sprawdzałaś tylko morskie powietrze?

Kerra wyłączyła miecz świetlny i podeszła bliżej.

– Muszę przeprowadzić porządną rekonesans – zawołała. – Wiesz w ogóle, co to jest?

Mężczyzna popatrzył na nią chłodno. Toczyli tę grę przez kilka ostatnich dni, ale zawsze to on wybierał pole walki. Wiedziała, że te sprzeczki z małą Jedi pozwalają mu zyskać w oczach żołnierzy. Zawsze był górą albo udawał, że to, w czym ustępuje, nie jest ważne. Teraz jednak nie miała zamiaru puścić mu tego płazem – nawet jeśli musiałyby go złamać przy jego oficerach i tych wszystkich uchodźcach.

– Sądzę – powiedział powoli Rusher – że w tym mieście znajdziecie schronienie. Jest tam znacznie więcej miejsca niż na moim statku. I nikt nas nie ostrzelał za to, że tu przylecieliśmy.

– Wyliczył na palcach zalety Byllury: – Schronienie. Bezpieczeństwo. Pożywienie. Wygrałem. Żegnam.

Zaczął iść, ale Kerra zagroziła mu drogę.

– Nic nie wiemy o Sithach, którzy rządzą tą planetą! Dlaczego w ogóle ich tu jeszcze nie ma?

– Może poszli popływać – zasugerował Rusher. – Jest dobry dzień na pływanie. Słuchaj, mówiłem ci przecież... Na datapadzie to miejsce ma wszystko, czego wam trzeba.

– Dla ciebie najważniejsza jest teoria!

– Czy ja wyglądam na teoretyka? – Rusher uśmiechnął się kpiąco.

Kerra rozumiała, że znów popisuje się przed swoją załogą. Nie miała zamiaru mu na to pozwolić.

– Myślę, że nic cię to wszystko nie obchodzi. Nie odwiedziłeś nawet uchodźców przez cały ten czas, kiedy byliśmy na pokładzie. – Wskazała na przysłuchujący się im tłum uczniów stojących na rampie. – To dlatego służysz w artylerii? Żeby nie widzieć, kogo atakujesz?

Rusher w końcu wybuchnął.

– Słuchaj no! – Chwycił ją gwałtownie za ramiona i przesunął za jeden ze wsporników rampy, tak że była teraz niewidoczna dla większości tłumu. Zaskoczona tym nagłym ruchem Kerra popatrzyła na niego.

– Myślisz, że dla mnie to nie jest realne? – Brygadier mówił szybko, starając się nie podnosić głosu. – Może nie widzę, do kogo strzelam, mała Jedi, ale zawsze widzę, kto oberwał. Miałem w oddziałach dzieciaki w wieku twojej Sullustanki i młodsze, które musiałem wywozić w fiolkach!

Wyciągnął zaskoczonego Beadle'a z kordonu i odgiął mu ucho, pokazując wszczepiony czip.

– Wszyscy moi ludzie mają elektroniczne znaczniki, żebym wiedział, kto gdzie jest o każdej porze – powiedział. – Nikogo nie zostawiam samego, chyba że akcja ratunkowa miałaby kosztować więcej istnień niż by ich ocaliła. Tak jak na Gazzari. – Wyprostował się i obejrzał na rampę. – Wożenie twoich uchodźców może kosztować życie moich ludzi.

Kerra zakipiła złością. Oto ujrzała jeszcze jedno oblicze Rushera – ale widać było, że tym razem brygadier nie żartuje.

Z takim mogła się dogadać.

– Wystarczy mi godzina – powiedziała.

Rusher spojrział na most prowadzący do miasta i cofnął się w kierunku rampy. Zerwał słuchawki komunikatora z głowy Beadle'a i rzucił je Kerrze.

– Jedna godzina.

Kerra popędziła po kamienistej nawierzchni w stronę nierównej kładki. Rusher odwrócił się i skinął na swoich żołnierzy, żeby wprowadzili uchodźców z powrotem na pokład. Był już prawie między nimi, kiedy zatrzymała go Jedi, stojąca na skraju mostu.

– Brawo, brygadierze! Jedi też nikogo nie zostawiają – zawołała. – To dobra cecha.

Odwróciła się i pobiegła w kierunku miasta. Nadszedł czas!



Calician chodził tam i z powrotem wokół okrągłego apartamentu. Od lat nie był tak podekscytowany. Czuł nawet czubki swoich macek – i to bez stymulującej mocy rozkazów Dromiki. Osiem lat planowania, osiem lat przygotowań, czynionych w imieniu dwójki jego władców, zaczynało przynosić efekty. I wszystko to miało związek z przybyszami tam na dole.

Regent wrócił do północnego okna, żeby znów popatrzeć na dziwnie wyglądający okręt wojenny. Jeden doniósł o jego wyjściu z nadprzestrzeni, przekazując wiadomość od orbitalnych wartowników. Teraz statek był wyraźnie widoczny na platformie lądowiska, oddzielonej od stoliwa i Poddasza na jego szczycie kilkoma kilometrami wody.

Zgodnie z planem pasażerom statku pozwolono bez przeszkód zejść na ląd. Z pewnością zrobili to chętnie. Byllura była miejscem przyjemnym dla organicznego oka, chociaż Calician nie pamiętał już dlaczego. Zgodnie z projektem, który zrealizował dla swoich młodych podopiecznych, Byllura miała stanowić planetarny odpowiednik whinndoriańskiej rośliny gorsk – pięknego kwiatu z paraliżującym kolcem. Populacja, produkcja przemysłowa, potencjał militarny – wszystko to w ciągu minionych ośmiu lat nieustannie się rozwijało, ponieważ kiedy ktoś odwiedzał Diarchię, zostawał tu na stałe – czy tego chciał, czy nie.

A wkrótce dzięki jego wysiłkom Quillan i Dromika będą mogli wprowadzić ten rodzaj gościnności na innych światach, w obrębie należącej do nich przestrzeni i nie tylko. Planety już kontrolowane przez bliźnięta powinny jeszcze ściślej przestrzegać ich rozkazów,

przygotowując dla Diarchii grunt pod dalszą ekspansję.

Teraz Calician w końcu wiedział, w jakim kierunku ta ekspansja podąży. Diarchia miała kilku Sithów za sąsiadów – od czujnego Arkadianatu po pretendenta z Chagrasiańskich Szczątków. Żadna z granic nie była jednak równie długa jak ta, która oddzielała bliźnięta od tego przeklętego Lorda Daimana. Podobnie jak inni sąsiedzi, Daiman nie chciał się z nimi sprzymierzyć ani wypowiedzieć otwartej wojny ich Diarchii. Calician rozmawiał z nim kilka razy, zawsze za pośrednictwem hologramu. Narcystyczny Lord Arogancji wydawał się nie rozumieć swoich młodszych rywali, a to, czego nie rozumiał, ignorował. Zresztą tak było dobrze, uważał Krevaaki; Quillan i Dromika nie mieli wystarczających sił, żeby stanąć do otwartej walki.

Teraz jednak Daiman popełnił poważny błąd, montując strategiczne posunięcie przeciwko Lordowi Bactrze w porozumieniu z bratem Odionem. Calician doskonale wiedział, dlaczego to zrobili; on także odebrał wiadomość na specjalnym kanale. Jednak chociaż Diarchia była zbyt daleko położona, żeby brać udział w rozbiórce terytoriów Bactry, to przylegała kuszaco do wielu systemów na tyłach Daimanatu. Na tyłach, które teraz były niestrzeżone. Daiman zagarnął przestrzeń Bactry po to tylko, by stracić własną.

Ten żaloszny okręt w dole był tego zwiastunem. Wieści o ataku Daimana na Bactrę dotarły już wcześniej, ale pojawienie się statku – „Gorliwości”, jak nazwał go jego dowódca – stanowiło potwierdzenie. Zapytany najemnik podał nawet powód przylotu na Byllurę – chodziło o ewakuację uchodźców z Gazzari. Calician wiedział, że Daiman nigdy by nie pozwolił na ucieczkę choćby niewielkiej części swojej siły roboczej, gdyby miał na miejscu statki mogące temu zapobiec.

Tak, to było wystarczające potwierdzenie. Oczywiście Quillan już to wyczuł; a kiedy Dromika wydała rozkaz, Calician potrzebował zaledwie paru chwil, żeby wprowadzić plan w życie. Budowane przez lata okręty czekały gotowe w tajnych dokach. W ciągu jednego dnia – może nawet kilku godzin – operacja powinna się zacząć.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy Calician czuł, że naprawdę żyje. Nie jako jednostka, ale jako część czegoś wielkiego. Czegoś, co przewidzieli jego władcy. Nie miało znaczenia, że to on opracował cały plan. To nieprawda, co głosił Kodeks Sithów. „Dzięki zwycięstwu zrywam łańcuchy”? To łańcuchy dawały zwycięstwo. Krępując słabych, łańcuchy same stawały się zwycięzcami!

W całej tej euforii do umysłu regenta wkradła się zabłąkana myśl, przekazana przez Celegianina na dole: ktoś zbliża się do Hestobylla od strony okrętu, a uczniowie wracają na pokład.

Calician zastygł w bezruchu. Nic z tego nie rozumiał. Kapitan „Gorliwości” zgłosił przecież gotowość wysadzenia pasażerów. Co mogło go skłonić do zmiany planów? Nic. Chyba że nie byli tym, za kogo się podawali. Chyba że to jakiś podstęp Daimana...

Calician cofnął się gwałtownie. Nie tylko on słyszał myśli Jednego. Z łopotem macek

uderzających o szaty regent wbrew własnej woli popędził z powrotem na romboidalne podium przed bliźniętami.

Dromika zwróciła się do niego z błyskiem w zielonych oczach. Wiedział, czego od niego oczekuje, zanim jeszcze wydała rozkaz. Ale i tak posłuchał. Jak zawsze.



Chodziło o sól? A może o wiatr? Kerra nie wiedziała dlaczego, ale przybrzeżne osady z bliska nigdy nie wyglądały tak ładnie jak z oceanu albo z góry. Budynki Hestobylla były przeważnie białymi lub beżowymi konstrukcjami z piaskowca i innych miejscowych, jak domyślała się Kerra, materiałów.

Z jakiegoś jednak powodu każde miejsce, które mijiała, wydawało jej się... okropne. Zanedbane. Nawet nowsze budynki miały warstwę brudu na ścianach od strony przystani. Duże sadzawki, wbudowane w niektóre z tarasów, pokrywał kożuch glonów tak gruby, że można było niemal po nim chodzić. Łączenia między małymi płytkami tworzącymi ścieżki nikły pod pleśnią. Katarakty! nie rozpylały zbyt dużo wody, ale wyglądało na to, że to, co spadało na ulice, nie było nigdy wycierane. Każdy chodnik, którym szła, był śliski, niezależnie od tego, jak bardzo oddalony od wody, mosty zaś, które łączyły wielokątne bloki tworzące miasto, śmierdziały nagromadzonym brudem.

To nie było dobre miejsce do biegania.

Na szczęście nie musiała biec – przynajmniej na razie. Hestobyll przypominał jej niektóre z najbardziej sennych portów Republiki – istoty różnych ras krążyły niespiesznie pomiędzy pospolitymi kamiennymi budowlami. Durosjanie. Caamasjanie. Ithorianie. Sullustanie. Nikt z nich nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Kerra spojrzała po sobie. Nie, nie miała kombinezonu maskującego – a jednak czuła się niewidzialna.

Upewniła się, że jej miecz świetlny jest dobrze schowany w kieszeni kamizelki i podeszła do przechodzącej Ithorianki. Mogłaby wciągnąć ją w jakąś niezobowiązującą rozmowę, chociażby o cudownej pogodzie – a wówczas może zdołałaby się dowiedzieć czegoś na temat sytuacji na Byllurze.

– Przepraszam – powiedziała, dopasowując krok do ociężałego chodu brązowej olbrzymki.
– Hej, mówię do ciebie!

Ithorianka ledwo na nią spojrzała i nie zatrzymując się, podążyła w stronę jednego z sześciokątnych silosów, którymi usiany był miejski krajobraz.

Nic z tego, pomyślała Kerra. Bariera językowa. Nie znała ithoriańskiego. Ale ktoś tu musiał znać basie.

Dostrzegła przechodzącą parę starszych Durosjan i spróbowała jeszcze raz. Durosjanie nawet się zatrzymali, ale po to tylko, by spojrzeć na nią z kompletną obojętnością. Kerra

odwróciła się z niesmakiem, obserwując tłum. Mieszkańcy wyglądali równie nędznie jak budynki – stare ubrania, w wielu przypadkach kiepsko na nich pasujące. I wszyscy mieli ten sam nieobecny wyraz twarzy.

Jestem w fabryce droidów! – pomyślała.

Godzina, którą miała do dyspozycji Kerra, dobiegała właśnie końca, kiedy ruszyła w pogoń za Sullustanką na jednym z dolnych poziomów. Sullusta znajdowała się w pobliskim sektorze, a Kerra wiedziała, że znaję tam basic. A nawet jeśli nie, to ona liznęła nieco sullustańskiego w czasie pobytu u rodziny Tengo. Ale znów odpowiedziało jej tylko to samo smutne spojrzenie. Kerra popatrzyła w wyłupiaste oczy Sullustanki. Wyglądało to tak, jakby chciała odpowiedzieć, ale nie mogła sobie przypomnieć słów.

– Pamiętaj o naszej umowie – zatrzeszczał komunikator Kerry. To był głos Rushera. Punktualnie.

Kerra schowała się we wnęce i opisała mu pokrótce, co zobaczyła.

– Coś mi tu śmierdzi – stwierdziła.

– Spodziewałem się tego – odparł głos. – No cóż, lepiej się pospiesz, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co cię interesuje. Przed chwilą odezwał się znów ten niski głos. Bylluranie widzieli uchodźców na platformie i teraz wysyłają kogoś do pomocy w rozwiązaniu naszego problemu.

– Naszego problemu? – Kerra wytrzeszczyła oczy. – Skąd o nim wiedzą? Ty im powiedziałaś?

– Hej, to ich planeta. Facet powiedział tylko, że wysyłają kogoś, kto zaprowadzi dzieci do ośrodka.

– Jakiego ośrodka?

– Zakwaterowania. To były dokładnie jego słowa – wyjaśnił Rusher. – Musisz przyznać, że brzmi to dość niewinnie.

Kerra zmarszczyła brwi. Zgadzała się z brygadierem. Jak na praktyki przesiedleńcze w przestrzeni Sithów, wszystko to wydawało się wręcz łagodne. Zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć, Rusher oznajmił, że jego wartownicy zauważyli kogoś w pobliżu.

– Bądźcie czujni – ostrzegła.

– Raczej „gorliwi” – odparł Rusher. – Aha, i uważaj. Masz ogon. Bez odbioru. Kerra postukała w słuchawkę.

– Halo? Co takiego? Ogon? O co mu chodziło?

– Nieznośny palant – burknęła na głos.

– On o tobie mówi to samo – odezwał się głos za jej plecami.

Kerra odwróciła się, zła na siebie, że dała się tak podejść. Zobaczyła jedynie chodnik i kanał. Potem jednak spojrzała w dół.

– Tan Tengo! – warknęła. – Przyszłaś tu za mną?

Zanim młoda Sullustanka zdążyła odpowiedzieć, Kerra usłyszała jeszcze jeden znajomy

głos, dobiegający z kamiennych schodów prowadzących w dół.

– Jesteś wreszcie! – wy sapał Beadle Lubboon, gdy pokonał ostatnie stopnie i zobaczył Tan. Durosjański żołnierz upadł na kolana, a po jego szmaragdowej czaszce spływały strużki potu. – Tyle tych schodów...

Tan popatrzyła na Durosjanina, a potem znów na Kerrę.

– Nie znasz jakichś uzdrowicielskich sztuczek Jedi, żeby mu pomóc?

– Jak mam mu pomóc? Kazać robić codziennie kilka okrążeń? – Kerra objęła rekruta i zaprowadziła go nad kanał. Ku jej zaskoczeniu Beadle zanurzył nagle głowę w szemrzącej wodzie.

Kerra i Tan wymieniły spojrzenia; w końcu Beadle się wynurzył, z trudem łapiąc powietrze.

– Dziękuję – sapnął.

– Co wy tu robicie? – chciała wiedzieć Kerra.

Tan wyjaśniła, że znajdowała się w jednej z grup, które zeszły po rampach z „Gorliwości” – ale kiedy kazali im wejść z powrotem na pokład, zobaczyła, że Kerra biegnie w stronę miasta.

– No i wystrzeliła jak z procy, Mistrzynie Holt – powiedział Beadle, wytrząsając wodę z uszu. – Brygadier wysłał mnie za nią.

Kerra chwyciła się za głowę. Przekonała się, jak ważni są dla Rushera uchodźcy, skoro szeregowy Lubboon pełnił rolę ekipy ratunkowej.

– Ale tu ponuro – stwierdziła Tan, spoglądając na miasto. – W kółko te same trzy budynki.

– Darkknell też nie jest specjalnie kolorowym miejscem – zauważyła Kerra. Ale wiedziała, co dziewczyna ma na myśli. Tutaj, na Byllurze, wszystkie żywe kolory były wyłącznie wytworem natury. Architektura, moda – wszystko to cierpiało na brak energii, wyobraźni, świeżości.

Kerra podeszła do zewnętrznej ściany, żeby się upewnić, że „Gorliwość” nie odpala jeszcze silników, po czym zwróciła się w stronę kolejnej grupy istot, zmierzających do jednego z sześciokątnych silosów. Ten był duży, wielkości całego bloku – a sądząc po dźwiękach dochodzących ze środka, mieściła się tam najwyraźniej jakaś fabryka. Kerra widziała teraz dym wydobywający się z górującego nad budynkiem komina.

Holując za sobą Beadle'a i Tan, Kerra wyciągnęła z kolejki przed wejściem starszego Durosjanina. Tak jak wcześniej, ani on, ani nikt inny nie zareagował na jej działania, a także nie odpowiedział na najprostsze pytania. Trzymając go za ramiona, spojrzała na Beadle'a.

– Możesz z nim porozmawiać, Beadle? Pokaż mu, że jesteśmy przyjaźnie nastawieni. Zapytaj go, jak się nazywa.

Patykowaty Durosjanin zasalutował i podszedł do starca.

– Proszę pana, jak się pan nazywa? Kerra spiorunowała go wzrokiem.

– Mów po durosjańsku! Beadle wzruszył ramionami.

– Nie znam durosjańskiego.

– Świetnie.

– Może coś jest w tej wodzie – wtrąciła Tan, która siedziała na brzegu kanału, chlapiąc pulchnymi stopami.

– Nie wydaje mi się – odparła Kerra, wpatrując się w zmętniałe, pozbawione życia oczy starca. – Język też nie stanowi problemu. – Wyczuwała to. Durosjanin rozumiał słowa, więc nie chodziło o to, że nie chciał odpowiedzieć; po prostu nie mógł. – Wydaje się... otępiały. Zaczekajcie.

Kerra odwróciła się z powrotem w stronę Durosjanina i uniosła dłoń. Nie chciała tego robić, ale jeśli jej przeczucia były trafne...

– Nie chcesz wejść do budynku – powiedziała monotonnym głosem. Starzec zastygł w bezruchu.

– Nie... nie chcę... – Zaczęły mu drżeć ramiona. – Wejść do budynku.

Kerra przytrzymała go za ramiona i spojrzała w oczy. Coś w nich było. Jakieś emocje. Może zakłopotanie?

Nie. Panika.

Nagle Kerra puściła Durosjanina, który popędził przed siebie, jakby został wystrzelony z jednego z dział Rushera. Zielona postać zniknęła w drzwiach, tak jak planował. Albo jak ktoś inny za niego zaplanował.

– To dzieło użytkownika Mocy – stwierdziła Kerra. Daiman miał swoich Egzekutorów i propagandowych historyków, ale to było co innego. Tutaj Sithowie bezpośrednio narzucali poddanym swoją wolę. Wszystkim. Ale jak? Perswazja Mocą była techniką stosowaną indywidualnie. Żeby omamić całą populację, trzeba było... czego? Nie miała pojęcia.

Zmarszczyła z przygnębieniem brwi. To nie było wcale bezpieczne miejsce dla jej podopiecznych. Miała nadzieję, że poza strefą wpływów Daimana i Odiona znajdzie lepsze warunki. Tymczasem wydawało się, że są jeszcze gorsze.

Czy tu wszędzie panuje obłąd? – zastanawiała się. Podeszła do ściany kanału i podniosła Tan za ramiona.

– Beadle, powiedz Rusherowi, że wracamy – poleciła.

– Pani ma mój komunikator – przypomniał Durosjanin, dłubiąc sobie w uchu. Kerra już chciała włączyć mikrofon, gdy nagle w uszach zadźwięczał jej obcy głos: Pracownicy Floty Diarchii, w tej chwili rozpoczniecie operacją załadunku!

Kerra rozejrzała się, zaskoczona. Głos nie dochodził z komunikatora, ale z czyjegoś umysłu.

Opiekunowie, dostarczycie wyznaczonych Celegian na przydzielone im statki! Leniwe tempo, w jakim toczyło się życie Hestobylla, natychmiast przyspieszyło.

Mieszkańcy, którzy wcześniej niespiesznie podążali do swoich celów, nagle zwałowym krokiem ruszyli w kierunku sześciokątnych budynków. Inni zaczęli wylewać się na śliskie

ulice z białych kopuł – domów mieszkalnych, jak podejrzewała Kerra – żeby przyłączyć się do tego marszu. Była to byllurańska wersja porannego szczytu z Darkknell, sterowana tajemniczym głosem – tym samym, który Kerra właśnie usłyszała.

Celegian – powiedział głos. Kerra spotkała przed laty jednego Celegianina na Coruscant – niemiły dla oczu, ale gładki w obejściu osobnik należał do pozornie radosnej rasy międzygwiazdnych podróżników. Ich przekaz myślowy – zdolność, jaką zostali obdarzeni przez naturę – „brzmiał” całkiem inaczej niż projekcja myśli za pośrednictwem Mocy; bez wątplenia to właśnie usłyszała Kerra oraz miejscowi. Miało to sens jako forma publicznej odezwy, ponieważ słuchacze mogli zrozumieć przekaz niezależnie od różnic językowych.

„Słyszac” kolejne obwieszczenie, Kerra rozejrzała się dookoła. Nie było widać żadnych Celegian – a z pewnością daliby się zauważyć! – ale to nic nie znaczyło. Kiedy odwróciła się w kierunku, skąd płynęło najsilniejsze doznanie, jej wzrok padł na jeden z większych silosów. Stamtąd Celegianin mógłby kontaktować się równocześnie ze znaczną częścią miasta. To musiało być to. Kerra, zła na siebie, rozejrzała się. W całym Hestobyllu bloki rozchodziły się promieniście od silosów. Zapewne te okręgi odpowiadały zasięgowi Celegian. Musiało ich być więcej niż jeden.

Jednak błyskawiczne podporządkowanie się miejscowych wydało się jej dziwne, a w dodatku nic nie tłumaczyło drgań, jakie czuła teraz w Mocy. Poza słynnym Mistrzem Jedi Ooro przed tysiący lat stosunkowo niewielu Celegian było wrażliwych na Moc. Wykorzystanie tych istot do masowej komunikacji wydawało się czymś nowym, ale samo w sobie nie było zagrożeniem. Przeciskając się przez zatłoczone schody, żeby mieć lepszy widok, Kerra zawołała przez ramię:

– Beadle, zostań z Tan!

Nagle tłum zaczął poruszać się szybciej. Zmagając się z falą istot, Kerra próbowała zachować równowagę – i sprawdzić, co nimi steruje. Nie były to chyba słowa Celegianina. Znad klifu na pokładach srebrzystych wieloosobowych śmigaczy nadciągały humanoidalne postacie w obcisłych czerwonych kombinezonach. Kilku szkarłatnych jeźdźców wyskoczyło wysoko w górę, pozostawiając śmigacze zawieszony ponad kanałami. Pokonując w jednej chwili kilkanaście metrów, zdeterminowani przybysze lądowali bezpiecznie na chodnikach i nacierali na tłum.

Są tu i Sithowie, pomyślała Kerra. Ładny mi raj.

– Tan! Tan! – Kerra obejrzała się za siebie. Dziewczyna zniknęła w tłumie. Durosjanin także zniknął. Szkarłatni Jeźdźcy, istoty obojga płci i różnych ras, cały czas się krzątali, zaganiając maruderów do pracy. Dotąd nikomu nie zrobili krzywdy, ale Kerra zauważyła, że na lewym ramieniu noszą broń przypominającą pałki.

– Niech to szlag, Beadle – zaklęła. – Kazałam ci z nią zostać!

Przeciskając się przez tłum, Kerra wskoczyła na mur oporowy kanału i spojrzała w dół. Stała tam Ithorianka, którą widziała wcześniej – zaskakująco blisko, prawie twarzą w twarz z

jednym z jeźdźców. Pomimo różnicy wzrostu nietrudno było się domyślić, kto tu rządzi. Ithorianka wyglądała na otumanioną. Wyczuwając nieprzyjemne ukłucie w Mocy, Kerra domyśliła się dlaczego. Wyteżając słuch, usłyszała ich rozmowę:

– Natychmiast wykonasz rozkazy! – powiedział jeździec.

– Natychmiast wykonam rozkazy – powtórzyła w basicu Ithorianka, po czym ruszyła naprzód.

Widząc podobne sceny, rozgrywające się na całej długości arterii, Kerra zrozumiała, co się święci. Celegianie tylko wydawali – a raczej przekazywali – rozkazy. Szkarłatni Jeźdźcy je egzekwowali, wykorzystując perswazję Mocą. Teraz wszystko układało się w logiczną całość. Mieszkańcy Byllury faktycznie byli otępiali, a powodem tego była ciągła mentalna manipulacja użytkowników Mocy!

Czujnie poszukała wzrokiem obydwójga swoich towarzyszy. Nagle w tłumie dostrzegła Beadle'a Lubboona; naprzeciw niego stało dwóch jeźdźców. A tuż za nim stała Tan, trzymana przez trzeciego. Nie próbowali uciekać – a Kerra wiedziała dlaczego. Mogła zrobić tylko jedno.

– Hej, Sithowie! – krzyknęła i wskoczyła na kamienną platformę, zapalając swój miecz świetlny. – Tak, tutaj! Nie chce mi się iść do pracy! Łapcie mnie!

ROZDZIAŁ 14

Po raz pierwszy od czasu Gazzari miecz świetlny Kerry przeciął ciało Sitha. Tamta bitwa była chaotyczna; każdy z przeciwników podążał za innym celem. Tutaj, nawet wśród uciekających w popłochu robotników, wydarzenia miały oczywisty przebieg. Kerra ścigała porywaczy Tan i Beadle'a; niezliczona liczba Szkarłatnych Jeźdźców próbowała ją powstrzymać.

Odbiła się od ściany z piaskowca i rzuciła ponownie w wir walki, nacierając na przeciwników. Ich pałki ożywiała energia, a klingi były dopasowane kolorem do strojów. Broń była jednak o połowę krótsza od jej miecza świetlnego – w sam raz do poganiania robotników. Zmusiło to Kerrę do rezygnacji z wszystkich wymyślnych technik o nazwach, których i tak nie mogła nigdy zapamiętać, i do walki w stylu wolnym. To jej zresztą odpowiadało. Jedna z przeciwniczek spróbowała wykonać pchnięcie – i zarobiła kopniaka z półobrotu, a po nim śmiertelny cios. Potężny jeździec skoczył na nią z tyłu, ale Kerra błyskawicznie się odwróciła i odcięła mu rękę, w której trzymał broń.

Wyciągając miecz świetlny z czwartego napastnika, odwróciła się – i poczuła się jak w samym środku nawałnicy.

Ustąpisz ustąpisz ustąpisz!

Czterech nacierających Sithów, mówiąc jednym głosem, bombardowało ją poprzez Moc. Oszołomiona tym mentalnym atakiem, Kerra poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Przeturlała się po mokrym chodniku, otworzyła oczy i zobaczyła, jak nacierają. Nacierają – i cały czas mówią, smagając ją słowami.

Skrzywiona z bólu Kerra spojrzała ponad nimi – i dostrzegła jeden z ich śmigaczy, opuszczony i unoszący się w powietrzu. Sięgnęła poprzez Moc, chwyciła go i pchnęła. Pojazd usłuchał i wpadł gwałtownie na mur oporowy kanału, tuż za plecami zaskoczonych napastników. Korzystając z tego, że ich psychiczny atak na chwilę ustał, Kerra pchnęła raz jeszcze, sprawiając, że na śliskiej nawierzchni stracili równowagę. Sama tymczasem się podniosła i skoczyła ku Sithom...

...ale minęła ich, wskakując ponad szczątkami śmigacza na mur oporowy. Puściła się biegiem w stronę morza, zadowolona, że mentalny nacisk osłabł. Perswazja Mocą to technika, której uczył się niemal każdy użytkownik Mocy, chociaż ona sama jej nie znosiła. Nigdy jednak nie odczuwała jej z taką siłą – może z wyjątkiem sugestywnego wezwania Odiona do samozniszczenia. Uszła z tego z życiem tylko dzięki temu, że Szkarłatni Jeźdźcy, jak się domyśliła, uczyli się hipnozy kosztem innych, bardziej fizycznych umiejętności. Mogła sobie

z nimi poradzić w bezpośrednim pojedynku – ale teraz nie miała na to czasu. Przed sobą dostrzegła swój prawdziwy cel. Porywacze Tan i Beadle'a załadowali ich na pokład jednego ze śmigaczy, pierwszego z trzech szykujących się do startu.

Miała tylko jedną szansę, żeby ich złapać.

Przyspieszyła kroku. Zbliżając się do ruszającego powoli śmigacza, przypomniała sobie o komunikatorze i wcisnęła guzik.

– Rusher, tu Kerra! Cokolwiek się stanie, nie wypuszczaj reszty uchodźców ze statku!



Powiedz mi coś, czego nie wiem, pomyślał Rusher, chowając komunikator do kieszeni i sunąc po puszystej niegdyś wykładzinie w pomieszczeniu pilotów. W przestrzeni Sithów nie trzeba było daleko szukać, żeby natknąć się na jakieś podejrzanе sztuczki umysłowe. Przekonał się, że osobnicy w czerwieni mieli ich kilka w zanadrzu.

Brygadier już miał wracać do solarium, kiedy zobaczył ich przez świetlik – pierwszych pilotów nadlatujących od strony stoliwa pośrodku zatoki. Zanim Rusher dotarł na szczyt sterburty numer trzy, dostrzegł Novallo i jej ekipę naprawczą jak stali niczym zahipnotyzowani na środku metalowego mostu. Między nimi a „Gorliwością” kroczyli po platformie funkcjonariusze reprezentujący byllurański rząd i zgarniali każdego, kto się nawinał.

Rusher przeklinał się w duchu. Sam doradził wartownikom, żeby nie sprzeciwiali się zbyt zdecydowanie nikomu z miejscowych, sądząc, że będą chcieli tylko odprowadzić uchodźców. A jeśli nie, to Jedi lub szeregowy Lubboon powinni wrócić z tą małą Sullustanką. Jednak Sithowie rządzący tą planetą najwyraźniej nie mieli zamiaru zadowolić się tylko pasażerami.

To nie pierwszy raz Lord Sithów naruszał niezależność Rushera; nie każdy respektował sposób działania sił z dawnego imperium Mandragalla, a jeśli nawet było inaczej, to w końcu byli Sithami. Oszukiwanie mieli we krwi. Jednak anonimowi władcy Byllury nie mogli nawet wiedzieć, kim albo czym jest Brygada Rushera. Dla nich była to po prostu załoga, którą można zniewolić, kolejny okręt wojenny do zagrabienia.

Okręt wojenny, który większość uzbrojenia ma w środku, pomyślał Rusher, wbiegając na mostek. Przynajmniej wachtowi mieli dość przytomności umysłu, żeby pozamykać rampy, zanim ktokolwiek wszedł na pokład. Ale teraz możliwości były już ograniczone. Wiedział, że będzie dobrze, jeśli w ogóle wyjdą z tego cało.

– Wołają do nas z dołu, kapitanie!

Rusher zszedł do centrum dowodzenia, żeby sprawdzić obraz z kamery pod bakburtową rampą numer jeden. Stało tam stadko czerwono ubranych postaci, a wśród nich Trandoshanin o zębatej paszczy, który chyba nie czuł się zbyt komfortowo, wcisnięty w swój lekki kombinezon. Gapiąc się w kamerę, Trandoshanin pomachał mięsistą zieloną ręką i wysyczał:

– Otworzyście ten statek i zgłoszcie się po przydział.
– Przez komunikator to nie działa, kolego! – prychnął Rusher. A więc to nie byli Lordowie Sithów ani nawet wyżsi rangą adepci Sithów. Po prostu specjaliści, tacy jak on – wytrenowani do jednego celu.

I nie wychodziło im to najlepiej. Trandoshanin powtórzył polecenie.

– Krzyk nic tu nie pomoże! – Rusher usiadł na stanowisku Besaliska. – Możemy porozmawiać o uwolnieniu mojej załogi albo...

– Diarchia przemówiła! Otworzyć statek!

– Skoro tak mówisz – odparł Rusher i skinął na sterniczkę. – Spuścić kotwicę! Bakburtowa rampa numer jeden opadła z metalicznym szczękiem, przygniatając Trandoshanina i dwóch jego kumpli. Po niecałej sekundzie rampa podniosła się z powrotem.

– Dobra hydraulika, dziecino – powiedział Rusher, poklepując z uśmiechem konsolę dowodzenia „Gorliwości”.

Mieli chwilę wytchnienia, ale krótką. Z zadumy wyrwał go głos kalamariańskiego nawigatora, który wskazywał na drugi monitor.

– Pierwszy oficer Dackett tam jest.

– Co takiego?

– Z drugiej strony. – Rusher spojrział na przestrzeń pod brzuchem okrętu. Dackett z kilkoma wartownikami stał nieruchomo przed kolejnym z czerwonych jeźdźców.

– Niech to szlag! – Rusher klapnął na fotel, podenerwowany. Ten grubas kiedyś go wpędził do grobu. – Pewnie zobaczył brzeg i poszedł poszukać kobiet.

Podczas gdy Rusher wpatrywał się w monitor, w polu widzenia znów pojawił się Trandoshanin; pocierał świeże wgniecenie w swojej gumowatej czaszce.

– Poddasz się, najemniku! – Zapalił krótki, szkarłatny miecz świetlny. – Albo wytniemy dziurę i cię stamtąd wyciągniemy! – Trandoshanin spojrział na swoich otępiałych zakładników. – A może potniemy coś innego!

Rusher wstał, na próżno stukając w komunikator.

– To twoja działka, Jedi! Gdzie jesteś? – Przydałaby im się odsiecz w stylu Jedi. – Kerra Holt, zgłoś się! Cisza.

– Niech to jasny szlag! – zaklął Rusher i cisnął komunikatorem o podłogę. Tupiąc głośno, podszedł do wielkiego okna. Liczba zostawionych na lodzie i tak przekroczyła wszelkie granice. – Jesteśmy zdani tylko na siebie. – Spojrział na sterniczkę. – Możesz wystartować tak, żeby ich nie ugotować?

– Zostawi pan Dacketta?

– Znajdzie drogę – powiedział Rusher, wyglądając na zewnątrz. – Wciąż mamy jego starą rękę.



Jako dziecko na Aquilarisie Kerra skakała czasem do wody z klifu. Nigdy jednak jako dorosła, nigdy jako Jedi – i nigdy z występu, który był zawieszony nie nad wodą ale nad miastem. Biegąc po murze oporowym, dostrzegła przed sobą permabetonową półkę, która kierowała wodę sto metrów w dół, na następny poziom Hestobylla.

Przyspieszyła. Lepiej, żeby mi się udało, pomyślała.

Skoczyła i wyciągnęła ręce, próbując dosięgnąć ostatniego z ruszających właśnie śmigaczy. Była zaszokowana, że w ogóle się na coś takiego odważyła, jeszcze bardziej jednak zaskoczył ją fakt, że wylądowała na masce pojazdu. Odwróciła się i zobaczyła obleczonego w szkarłat kierowcę, który mocował się z drążkiem sterowniczym. Rodianin poczuł uderzenie i spojrzał na nią zdziwiony.

– Kłopoty z silnikiem? – spytała Kerra, rozbiła szybę i kopnęła kierowcę w twarz. Przecisnęła się przez roztrzaskane szczątki i wskoczyła na oszołomionego Rodianina. Zepchnięty z fotela kierowcy pacholek Sithów zaczął szukać swojej pałki. Widząc zachęcający cel w postaci zielonego ryjka istoty, Kerra chwyciła go za szkarłatny kołnierz i zaczęła okładać pięścią.

Wystający do połowy ze śmigacza Sith skierował na nią szkliste oczy, najwyraźniej się koncentrując.

– Wypuścisz mnie!

– Dobra – zgodziła się Kerra, cofając ręce. Osłupiały Rodianin zniknął z pola widzenia.

Kerra wykopała resztki szyby – najwyraźniej nie było tu żadnej fabryki transpastali – i usadowiła się na fotelu pilota. Przed sobą widziała uciekający śmigacz, wiozący Beadle'a i Tan, jak mijał granice Hestobylla i przystań. Kierował się prosto na stoliwo pośrodku zatoki; Kerra podążyła jego śladem.

Upewniwszy się, że nikt jej nie ściga, popatrzyła w lewo. Coś się działo z „Gorliwością”, ale z tej wysokości nie było dokładnie widać co. Na platformie i moście było teraz więcej osób; dostrzegła także parę śmigaczy i trochę czerwonych strojów. Ale przynajmniej nie było widać, żeby ktoś strzelał. Kerra nie wyobrażała sobie, żeby Rusher narażał własną załogę, stawiając opór – ale z drugiej strony nigdy nie wiedziała, czego się po nim spodziewać. Jeśli ci czerwoni w dole byli równie potężni jak ci, z którymi ona miała do czynienia, to mogli go już nauczyć rozumu.

Kerra musiała podjąć decyzję. Uchodźcom z pewnością groziło niebezpieczeństwo. Jednak nie ulegało też wątpliwości, że wszyscy mieszkańcy Byllury byli zagrożeni – zagrożeni utratą zmysłów, tak jak utracili już swoją niezależność. Takiej intrygi nawet Daiman by nie wymyślił. Ci robotnicy nie byli tak po prostu zniewoleni; władcy – jak ten Celegianin to nazwał? – Diarchii dosłownie zmieniali swoich poddanych w automaty, rozkaz po rozkazie. Na Darkknell sztuka i inne formy rozrywki były potępiane jako obcy, niepotrzebny element. Byllura posunęła się o krok dalej. To miejsce było tak bezbarwne nie dlatego, że

mieszkańcom nie wolno było upiększać swojego otoczenia; w istocie prawdopodobnie nie zdawali sobie nawet sprawy z tego, jak ono wygląda. W ogóle niewiele do nich docierało pod takim psychicznym przymusem. Istoty o silnej woli mogły czasem oprzeć się perswazji Mocą, ale tutaj było jej po prostu za dużo. Z jej pomocą łamano wolę, zanim ktokolwiek się zorientował, że nadciąga atak.

Kerra przypomniła sobie, że stoliwo i budynek na jego szczycie skojarzyły jej się z grzybkiem balo. Teraz to wrażenie zdawało się prorocze. Jednym z jej pierwszych zadań jako padawana było zatrzymanie gangu przemytników ze Światów Jądra, którzy przerzucali dostawy grzybów na Coruscant, gdzie poddawano je dalszej obróbce. Ot, rutynowe zadanie dla nowicjusza; ani Jedi, ani Republika nie mieli zbyt dużo czasu na walkę z przyprawą w dodatku między wojną i zarazą społeczeństwo miało ważniejsze rzeczy na głowie. Jednak wtedy właśnie miała okazję zobaczyć istoty znajdujące się w niewoli narkotyków – istoty, które wciąż funkcjonowały, ale nie były już panami własnego życia.

Tak samo było z mieszkańcami Hestobylla. Ktoś – lub coś – na tej pionowej wyspie panował nad nimi w taki sam sposób. Bylluranie wciąż byli niezależnymi istotami, ale brakowało im siły woli, by stawić opór, kiedy słyszeli wezwanie. I w coraz większym stopniu brakowało im własnej tożsamości.

A to jeszcze nie wszystko, zauważyła teraz Kerra. Przyspieszając, spojrzała w dół, na pokrywające całą zatokę boje, prowadzące od pagórka do miasta za jej plecami. Wydawały się rozmieszczone w równej odległości.

– Kolejni Celegianie – mruknęła, przelatując nad jedną z nich. Przez przezroczysty dach boi widać było Celegianina unoszącego się na wodzie w swoim ochronnym cylindrze. W głowie Kerry kłębiły się myśli. A więc Celegianie na lądzie nie spełniali jedynie roli urzędów nagłaśniających. Te biedne stworzenia były ogniwami w systemie telepatycznej łączności, który sięgał aż do stoliwa i ustronia na jego szczycie. Kerra słyszała o pradawnych metodach komunikacji, które zamiast elektroniki wykorzystywały sygnały wzrokowe. Ten, kto rządził tą planetą pokrył całą zatokę swoją telepatyczną siatką. Komunikatory nie były potrzebne.

Cóż, jak komu. Kerra przypomniła sobie o swoim urządzeniu i włączyła je, by nawiązać połączenie z miejscem, do którego zmierzała. Przed sobą zobaczyła pagórek i jego metaliczną pokrywę.

– Kolejne sanktuarium – jęknęła, kręcąc głową. Mam tylko nadzieję, że nie korzystali z usług tego samego architekta co Daiman, dodała w myśli.



– Dziurawią nas, brygadierze!

Rusherowi zadrgały nozdrza. To było gorsze niż mynocki. Gdy tylko „Gorliwość” włączyła silniki manewrowe i oderwała się od podłoża, kilku czerwonych jeźdźców stojących na

zewnątrz wskoczyło na statek. Na monitorach widać było teraz, jak Trandoshanin i jego kumple, uczeplieni potężnych silników raketowych, dźgają gdzie popadnie swoimi krótkimi, czerwonymi mieczami świetlnymi.

– Ster, zrób im karuzelę!

Mackogłowa Khilka i jej zielone palce mignęły nad konsoleą. „Gorliwość” szarpnęła i zaczęła się obracać tak gwałtownie, że Rusher musiał przytrzymać się oparcia fotela, żeby nie stracić równowagi. Na zewnątrz przelatowała sceneria Byllury – a na monitorach niektórzy ze wspinających się Sithów.

– Paru jeszcze zostało!

– Wyłączyć silniki! – wrzasnął Rusher.

„Gorliwość” opadła gwałtownie na platformę, a Rusher natychmiast wykrzyczał następny rozkaz:

– Włączyć silniki!

Mackogłowa sterniczka zrozumiała, a „Gorliwość” zaczęła skakać jak zeltrońska tancerka. Podpierając się, żeby nie upaść, Rusher patrzył na monitory. Tym razem nawet muskularny Trandoshanin nie zdołał się utrzymać.

Brygadier dał znak do powrotu w powietrze.

– Dobra robota, Zussh! Następnym razem, jak mi ktoś powie, że był na Korelii, to mu uwierzę!

– Przede wszystkim dobrze, że zdążyliśmy naprawić hydraulikę – wyszczała Khilka.

– I że nie ma tu Novallo, bo skreśliłaby mi kark za ten numer. – Rusher wspiął się po schodach i podszedł do iluminatora. – A właśnie, gdzie są nasi?

„Gorliwość” przeleciała nad zatoką zawróciła i przechyliła się. Rusher dostrzegł Dacketta i Novallo, którzy stali z mniej więcej trzydziestoma członkami ich załogi, przyparci do skraju uniesionego doku. Chociaż potężna była siła sugestii pachołków Sithów, nie wystarczyła, żeby zmusić ofiary do bezczynnego tkwienia w miejscu, kiedy wokół rozpętało się piekło. Rusher dostrzegł, że Trandoshanin i paru innych zbirów, którzy nie wpadli do wody, leżą nieprzytomni w ogromnych popękanych wyrwach, jakie „Gorliwość” pozostawiła w pokrytej płytkami nawierzchni. Jednak mostem od strony miasta nadciągali kolejni.

Miło będzie wreszcie do czegoś postrzelać, pomyślał Rusher.

– Zróbcie z tego wyspę!

Turbolasery zamontowane po lewej i prawej stronie przedziału załogowego otworzyły ogień z impetem, który zakołysał całym statkiem. Przeznaczone do usuwania asteroid działa w zupełności wystarczyły, żeby posłać metalowy most – i całkiem sporo uzbrojonych w pałki zbirów – do wody.

– Panie brygadierze! Śśmigacze...

Rusher zobaczył to – i poczuł – zanim Zussh dokończyła. Iluminator przed nim wypełnił błysk, a mostkiem wstrząsnęły drgania, które powaliły brygadiera na wykładzinę. Kilka

śmigaczy, które sprawiały problemy na platformie lądowiska, wciąż tam było. Jeśli Rusher zdążył już o nich zapomnieć, to teraz mu o sobie przypomniały, taranując górne pokłady i próbując przebić okna. Wiedział, że niestety nie zdoła użyć przeciwko nim uzbrojenia, którym dysponował statek. Szkoda, że nie mieli...

Zaraz, zaraz, pomyślał Rusher. Przecież mamy broń. Nie ruszając się ze swojego miejsca na podłodze, odwrócił się w stronę załogi centrum dowodzenia.

– Obróć nas jeszcze raz i walnij ich długimi działami! Kelli! Zussh zamrugła ciemnymi oczami.

– Ale przecież one sssą w ładowni.

– Lawety i generatory. Lufy są przecież przymocowane do kadłuba! – Rusher wstał i położył ręce na szybie. Trzy śmigacze przemknęły obok, szukając bezpiecznego sposobu na zbliżenie się do wirującego statku. Widząc, że jeden z czerwonych jeźdźców szykuje się do ataku, Rusher wrzasnął: – Prawo na burtę!

„Gorliwość” skręciła gwałtownie, a jej wystające działa z sarrassiańskiego żelaza przecięły powietrze niczym potężny wirnik. Twardy metal bez trudu rozdarł tandetnie wykonany śmigacz. Wprawdzie drugi pojazd uniknął tego samego losu, ale jego pilot już nie, wyrzucony niemal poza horyzont przez obracającą się lufę.

To coś całkiem nowego, pomyślał Rusher. Patrzył, jak trzeci śmigacz spada do zatoki, strącony lekko chybionym uderzeniem. Jak można by nazwać tę taktykę? Nie dałoby się jej zastosować przeciwko większemu statkowi lub nieruchomej przeszkodzie bez stracenia dział. Może „Jednorazowy Manewr Rushera”?

– Pierwszy oficer Dackett w polu widzenia, panie brygadierze.

– Co robi?

– Tłucze Trandoshanina do nieprzytomności swoją nową ręką. Rusher się uśmiechnął.

– Ustaw nas obok platformy i opuść rampę sterburtową numer trzy. Jak przy normalnej ewakuacji. – Cóż, nic nie jest normalne, pomyślał, ale powinno się udać.

„Gorliwość” zajęła pozycję. Rusher poszukał swojej laski. Skręcona kostka już mu nie dokuczała, ale laska mogła się przydać do obrony, kiedy Prenda Novallo wejdzie na pokład. Jeśli nie była już zahipnotyzowana, to miała okazję widzieć, jak używał jej najdroższego statku w charakterze tarana.

Obserwując na monitorze, jak jego załoga wchodzi na pokład, zdał sobie jednak sprawę, że ta nieunikniona konfrontacja będzie najmniejszym z jego problemów. Zyskali parę minut wytchnienia od Sithów, ale uchodźcy wciąż znajdowali się na pokładzie, a ich niańka jeszcze nie wróciła. Rusher odnalazł swój komunikator leżący na podłodze.

– Holt! Zgłoś się! Jedi!

Światelko na urządzeniu migало. A więc wysłała mu wiadomość w czasie całego tego zamieszania. Zanim jednak zdążył ją odsłuchać, dobiegł go głos sterniczki:

– Panie brygadierze, nowe jednosstki nadciągają z północy. Dużo... i sssą wielkie!

Rusher zazgrzytał zębami. Co znowu? – pomyślał.

– Większe od śmigaczy?

– Większe od nas!

Rusher rzucił się do iluminatora wychodzącego na Hestobyll i rozdziawił usta. Z olbrzymich kamiennych sadzawek, wbudowanych w niektóre z tarasów, unosiła się para. Para – i coś jeszcze, coś z czym nie poradziłiby sobie za pomocą kilku dział do rozbijania skał i paru sztuczek.

Otworzył szeroko oczy.

– Mała Jedi, gdziekolwiek jesteś... chyba ich rozgniewaliśmy!



Jedi!

Calician, powłócząc nogami, oddalał się od Jednego i nie mógł się nadziwić. Rycerz Jedi znajdował się niecałe dziesięć minut drogi od Poddasza. Nie było potrzeby sprawdzać tego przy użyciu jakichkolwiek elektronicznych skanerów ani nawet wyglądać przez okno. Sieć, którą stworzył, natychmiast przekazała wiadomość jemu i jego młodym władcom.

Pomysł tej sieci wziął się po części z obserwacji pajaków jornisae, przypadkowo i nieroztropnie sprowadzonych z Cularina na jego ojczystą planetę. Nawet kiedy je oślepił, stworzenia wyczuwały nadejście innych dzięki drganiom pajęczyny. Rozmieszczeni w regularnych odstępach Celegianie też tworzyli własną sieć, nieustannie przekazując między sobą meldunki. Ci zaś, którzy dostarczali im treść meldunków – czerwono ubrani Unifikatorzy – zmuszali także Celegian do ich przesyłania.

Quillan i Dromika nie rozumieli konieczności noszenia mundurów przez adeptów Sithów; zresztą i tak nie mieli ich nigdy zobaczyć. W organizmie diarchicznej władzy Unifikatorzy pełnili rolę czynników regulujących, które odpowiadały za egzekwowanie rozkazów, i zarazem przeciwciał, które miały zabijać lub wchłaniać patogeny. Ta biologiczna metafora również była autorstwa Calicianiana i pochodziła z jego rozprawy o tym, jak Sithowie mogą osiągnąć szczyt swojej potęgi.

Gloryfikacja samego siebie? Podporządkowanie sobie innych? Te prastare zasady wskazywały na jedno tylko rozwiązanie. Jeśli jeden Sith miał panować nad systemem żywych organizmów obejmującym całą galaktykę, to ci pozostali musieli stać się jego częścią. Byliby częściami składowymi większej całości, samoregulującej się i działającej wedle wytycznych umysłu. Nie było innego sposobu. Rządy, czy to despotyczne, czy republikańskie, były za mało skuteczne.

Dopóki inni mieli jakąkolwiek własną wolę, przywódca nie mógł narzucić wszystkim swojej woli.

Wymagało to włączenia bliźniąt do jego planu, ale dokonał tego. Daiman i jego

Egzekutorzy byli pionkami w porównaniu z tym, co oni osiągnęli. Do pewnego stopnia Byllura funkcjonowała jak jeden żywy organizm – i, sądząc po odgłosach dochodzących z zewnątrz, pisklę było gotowe do wyfrunięcia z gniazda. To jednak też stanowiło problem.

Przypomniał sobie o tym teraz, kiedy wszedł do turbowindy i skierował się w stronę apartamentu bliźniąt. Quillan i Dromika byli absolutnie niezbędni. Żaden z Sithów, jakich spotkał, obojętne, Lord czy adept, nie miał takiego daru przewidywania jak chłopiec; i zapewne żaden użytkownik Mocy nie dorównałby dziewczynce w wydawaniu tak silnych hipnotycznych poleceń. Regent jednak zakładał, że jego własna wola pozostanie nienaruszona. Miał służyć jako ego – świadomy łącznik między światem zewnętrznym a bliźniętami zamkniętymi w swoim kokonie. Dla nich świat znajdujący się poniżej ich komfortowej siedziby, miał wymiar czysto teoretyczny. Był sferą którą mogli sobie wyobrażać i kształtować, ale do której nie mieli wstępu. Ta rola była zarezerwowana dla Calicianana.

Tyle że coś poszło nie tak. Wjeżdżając na ostatnie piętro, wszystko sobie przypomniał. Podniecenie przywróciło mu część władz umysłowych, część duszy, którą kiedyś posiadał. Nie mógł pośredniczyć między kimś tak potężnym jak Dromika a resztą społeczeństwa, nie tracąc przy tym własnej tożsamości. Nie był na tyle silny. Wątpił zresztą, by ktokolwiek był.

Nie dało się nic z tym zrobić. Zmierzając na swoje miejsce pod oknem, rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku bliźniąt. Złotowłosey Quillan wpatrywał się w dal, siedząc bez ruchu, z brudnymi ustami i w nocnej bieliźnie, tak jak co dzień. Dromika leżała na plecach, zaplatając i rozplatając włosy. Palcami bosych stóp ugniatała poduszkę. Calician szybko odwrócił wzrok. Nikt nie mógł poskromić takiej potęgi.

Słyszając kolejne grzmoty dobiegające znad zatoki, regent zdał sobie sprawę, że wkrótce przekona się o tym także reszta galaktyki. Okręty wojenne były gotowe. Właśnie opuszczały swoje hangary, ukryte pod osuszonymi w tym calu zbiornikami wodnymi Hestobylla. Czternaście gigantycznych statków z drogocennej importowanej durastali budowano po cichu przez pięć lat w oczekiwaniu na ten dzień.

I każdy z nich miał na pokładzie ważnego pasażera – Celegianina. Te same ośrodki treningowe na Byllurze, które zmieniały surowych adeptów Sithów w mistrzów perswazji, zajmowały się także nielicznymi Celegianami, którzy okazali się wrażliwi na Moc. Żaden z nich nie mógł się równać potęgą ze znenawidzonym Mistrzem Ooroo, ale wszyscy – usadowieni w sercu okrętu – gwarantowali, że rozkazy z Byllury będą dokładnie wykonywane. W przeciwieństwie do swoich kuzynów w porcie i w miejskich silosach, nie mieli oni jedynie przekazywać rozkazów. Powinni jeszcze pilnować, żeby były one wykonywane, narzucając swoją wolę zarówno załodze, jak i pilotom eskortujących myśliwców.

Niektórych trzeba było dopiero przekonać. Celegianie byli z natury bardzo niezależni, ale tak samo jak tutaj, na Byllurze, zawsze był na miejscu jeden z Unifikatorów, który potrafił

wymusić na nich współpracę. A gdyby to nie wystarczyło, groźba krzywdy wyrządzonej ich ziomkom w niewoli zawsze przynosiła efekt.

Nie było ich dużo, ale powinni wystarczyć. Mieli stanowić pierwszą falę, która zagarnie najdalej wysunięte systemy Daimana. Calician miał nadzieję, że zdołają nawet wygrywać kosmiczne potyczki i bitwy lądowe bez jednego wystrzału. Każdy Daimanita, który zbliży się do nich na odległość pół kilometra, będzie narażony na ich atak. Sterując nimi, bliźnięta mogą sterować wszystkimi. Nic ich nie powstrzyma.

– Regent-aspekt... nas ochroni – powiedziała Dromika. Calician odwrócił się, zaintrygowany. Dziewczynka siedziała teraz prosto i patrzyła na niego żałośnie, uspokajając jednocześnie Quillana. Chłopiec znów przyjął pozycję embrionalną jak często robił, kiedy miał do czynienia z czymś nieoczekiwanym.

– Ochronię was – powtórzył z opóźnieniem regent. W dziwnie nieśmiałym głosie Dromiki nie było charakterystycznej dla niej siły psychicznej.

Ale w następnym żądaniu już tak.

– Powiesz nam, jak zniszczyć Jedi – powiedziała dziewczynka, a jej zielone oczy rozbłyły pomarańczowym ogniem. – Powiesz nam, natychmiast.

Calician powtórzył bezmyślnie jej słowa, ale zaraz stwierdził, że nie ma nic do powiedzenia. W czasie swojego szkolenia na Sitha mierzył się z wieloma Rycerzami Jedi, żaden jeden nie pojawił się na Byllurze ani w okolicznych systemach przez te osiem lat od założenia Diarchii. Sektor Grumani był już wtedy od dawna w rękach Sithów, a Byllura znajdowała się zbyt głęboko na ich terytoriach. Wprawdzie pojawiały się pogłoski o wypadach Jedi na terytoria Sithów, jednak zawsze atakowali gdzieś indziej. Calician jednak wiedział, że kiedyś się z nimi mierzył. Po prostu wiedział...

Krevaaki zamknął chitynowe powieki i zwiesił ze wstydem głowę.

– Nie... nie wiem, Lordzie Dromiko. Nie pamiętam.

– Zniszczysz Jedi!

– Pokonam Jedi – zapewnił Calician. Poczuł, jak wstępują w niego nowe siły, i odwrócił się z powrotem w stronę turbowindy. Słowa, które wypowiedział, były słowami Dromiki, ale także jego własnymi. To on stworzył doskonałą strukturę dowodzenia Sithów. I chociaż myśl o utracie miejsca w ich szeregu była potworna, bladła wobec groźby, że w chwili triumfu mogą zostać zniszczeni przez Jedi. Lepiej przegrać z innym Sithem niż z Jedi.

Mógł zapomnieć wszystko inne, ale czegoś takiego żaden Sith zapomnieć nie mógłby.

ROZDZIAŁ 15

Cała sztuka w szturmowaniu ukrytej fortecy, stwierdziła Kerra, polegała na tym, żeby obrać jedną strategię i konsekwentnie się jej trzymać. Wprawdzie nie miała wystarczająco dużego doświadczenia, żeby uważać się za eksperta w tej dziedzinie, jednak biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, wyglądało to na truizm. Można było się skradać, za wszelką cenę unikając konfrontacji; ale też można było po prostu wtargnąć do środka razem z drzwiami. Zmienianie koncepcji zaciemniało tylko sprawę. Kiedy miało się za sobą stos ciał, było już za późno na rozważanie subtelnych podejść.

Spoglądając na te wszystkie ciała w korytarzu za jej plecami, Kerra uznała, że nie będzie się przejmować tym, czy ktoś ją widział ani czy przyślą posiłki. Szukanie miejsca najmniejszego oporu zajęłoby więcej czasu i w konsekwencji, naraziło na szwank więcej istot.

A poza tym ten sposób mógł jej dać więcej satysfakcji.

Przez ten cały czas na Darkknell, kiedy marzyła o rewanżu, wyobrażała sobie taki dzień jak dzisiejszy. Starła się nie pragnąć go zbyt mocno; to by ją zaprowadziło na Ciemną Stronę. Ale kiedy tak się teraz czaiła, zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała okazję zmierzyć się bezpośrednio ze swoimi ciemieżcami. Nie byli to co prawda ludzie Daimana; świadczył o tym brak posągów na każdym rogu. Jednak przez ostatnie dwie godziny poznała byllurańską odmianę Sithów wystarczająco dobrze, żeby uznać Diarchię, czymkolwiek była, za wymarzony cel. Dawać ich tu, pomyślała.

A z pewnością następni już nadciągali. Odkąd wylądowała w hangarze dla śmigaczy, wydrążonym w ścianie granitowej wieży, Kerra nie słyszała żadnych syren i nie widziała ani jednego droida obserwującego czy kamery monitoringu. Jednak Celegianie wewnątrz kompleksu nie przestali trąkotać w jej głowie, informując Szkarłatnych Jeźdźców – teraz Szkarłatnych Biegaczy – o jej posunięciach. Uzbrojeni w pałki strażnicy od początku próbowali zagrozić jej drogę, w dodatku nie pozwolili jej zobaczyć, dokąd zabrali Tan i Beadle'a ich porywacze. Nie chcieli wpuścić jej do głównego tunelu prowadzącego w głąb miasta i nie szczydzili wysiłków, żeby nie dać jej się zbliżyć do jedynej turbowindy, jaką znalazła. Sługusy jeśli faktycznie nimi byli – stawali się coraz silniejsi. Sprawniejsi.

Spodziewała się tego, jednak niewiele spraw na Byllurze potoczyło się zgodnie z jej oczekiwaniami.

Teraz Kerra zaczęła wykorzystywać zaciekłość i liczbę Szkarłatnych jako wskazówki. Wewnątrz kompleksu mentalne zawrodożenie Celegian dochodziło z tylu różnych stron, że

Kerra nie mogła kierować się jego natężeniem jako sygnałem naprowadzającym. Jednak ostatnia fala napastników miała tylko jeden cel: powstrzymać ją przed wejściem wyżej. Tak jak w prawdziwych grzybkach balo, aktywny składnik musiał znajdować się w kapeluszu.

Co za przewrotne naśladownictwo natury, pomyślała Kerra, odpychając zwłoki, które blokowały drzwi windy. Sprawdziła przyciski i zobaczyła, że wyżej są jeszcze tylko dwa poziomy. Skierowała kabinę na najwyższy, po czym wyciszyła emocje i przyjęła obronną postawę z mieczem świetlnym w gotowości.

Drzwi się otworzyły, odsłaniając kolejnych strażników w czerwonych kombinezonach, również w obronnej postawie i z zapalonymi mieczami świetlnymi. Wszyscy równocześnie unieśli wolne ręce i krzyknęli poprzez Moc: Odejdiesz odejdiesz odejdiesz!

– Dobra – powiedziała Kerra i wcisnęła guzik, zamykając drzwi. Wprawdzie dotąd nie miała zamiaru w połowie drogi zmieniać obranej strategii, ale z drugiej strony nie było sensu aż tak bardzo się przy niej upierać – zwłaszcza że tamci jej się naprzykrzali. Widząc uchwyt nad drzwiami, Kerra zjechała piętro niżej i zgasła miecz świetlny. Podskoczyła, chwyciła jedną ręką za uchwyt i uniosła broń.

W suficie tuż nad jej głową nie było żadnego wjazdu, ale wystarczyło parę cięć mieczem, żeby się pojawił.

Wspinając się po drabince wewnątrz szybu windy, Kerra w dalszym ciągu czuła psychiczny nacisk ze strony znajdujących się za drzwiami obrońców. Cała ich taktyka wprawiała ją w zdumienie. Taka obrona zdawała się jedno, najwyżej dwuwymiarowa. Hipnotyzować i walczyć. Walczyć i hipnotyzować. Garnizon ze stoliwa odznaczał się większą siłą sugestii i większymi umiejętnościami w walce, ale inne zadania najwyraźniej ich przerastały. Mijając piętro, z którego przed chwilą uciekła, słyszała, jak rzucają się z całej siły na drzwi. Czyżby nie potrafili otworzyć zablokowanej windy?

Znalazła tunel wentylacyjny odchodzący od szybu – to by było na tyle, jeśli chodzi o unikanie wroga. Przypomniała sobie Rodianina w śmigaczu, który sprawiał wrażenie, jakby nie miał pojęcia, jak uruchomić pojazd, kiedy silnik zgasł. Ten schemat obronny także wydawał się jej dziwny. Słyszała umysłowe nawoływania Celegian, nakazującym jej przeciwnikom bronić korytarzy, które zaledwie brała pod uwagę przy wyborze drogi. Czyżby wykorzystywali Moc, żeby przewidzieć jej posunięcia? A może robił to ktoś inny?

Ktoś tym wszystkim steruje, pomyślała Kerra, widząc światło na końcu bocznego szybu. Znalazła metalowe fundamenty zbudowanej na szczycie pagórka konstrukcji, wpuszczone w skalną podstawę; przewody wentylacyjne doprowadzały powietrze z zewnątrz. Posuwając się w stronę oświetlonej kraty, spojrzała w górę i zobaczyła to, czego się spodziewała – krótki odcinek szybu prowadzącego do spłaszczonej kopuły.

Zaskoczyło ją jednak to, co przypadkowo dostrzegła przez skąpane w słońcu pręty. Na zewnątrz, nad zatoką wznosiły się wielkie okręty wojenne, wytaczające się z łoskotem z ukrytych w głębi miasta hangarów. Nagle zrozumiała, nad czym pracowali robotnicy. Ale w

jakim celu?

Kerra wycięła mieczem świetlnym większy otwór, zmrużyła oczy i popatrzyła na przystań, szukając „Gorliwości” i jej platformy. Dwukrotnie przebiegła wzrokiem linię brzegową zanim dostrzegła dok, najwyraźniej odcięty od lądu – i pusty.

Wymacała zawieszony na szyi słuchawki i znalazła mikrofon.

– Rusher! Lepiej, żebyś miał dobre wytłumaczenie!



Wpatrując się w morze, Rusher stwierdził, że nie wygląda ono równie spokojnie jak wtedy, gdy lądowali. Może dlatego, że tafla wody była teraz pełna istot, które niedawno próbowały ich zniewolić – a od strony brzegu nadciągały kolejne śmigacze, które próbowały dogonić lawirujący statek.

Okręty wojenne nie zwracały na nich najmniejszej uwagi – przynajmniej na razie. Pierwsze trzy niemal natychmiast weszły na orbitę; najwyraźniej gdzieś im się spieszyło. Obecność kilku innych, które pozostawały wciąż w stratosferze, była dobrym powodem, dla którego Rusher nie chciał lecieć wyżej. Uciekając przed śmigaczami, znaleźli się zaledwie pół kilometra od ostatniego kolosa.

Brygadier poczuł lekkie ukłucie z tyłu głowy. Drobna iskierka oznaczająca przecucie.

Przecucie, że powinien nakazać lądowanie.

Rusher pokręcił głową. Dziwna myśl, ale cóż, miewał czasem takie przecucia. Stojąc przy iluminatorze, spojrzał znów na ocean. W jaki sposób powrót miałby ich uchronić? Nie było w tym żadnej...

Posadzisz statek.

Laska Rushera spadła na podłogę.

– Czujesz coś? – spytał.

– Tak jest! – Pierwszy oficer Dackett stał w otwartych podwójnych drzwiach prowadzących na mostek. – Zupełnie jak to, co ci mali kretyni robili na platformie.

– W pobliżu okrętów to wydaje się silniejsze – stwierdził Rusher, wyglądając przez okno. Spojrzał na siedzącą u steru Zussh. – Lećmy... gdzieś dalej.

Przeczesał włosy, strącając na dywan kropelki potu. Powiódł za nimi wzrokiem. Powrót na powierzchnię wydawał się naprawdę dobrym pomysłem – przez chwilę. Wylądować, zejść na ląd i oddać statek ubranym czerwono sługusom Sithów, tak jak prosili...

Rusher podniósł wzrok. Statek się nie ruszał. Spojrzał na sterniczkę i zauważył, że jej ręka drży nad przyrządami. Zszedł do centrum dowodzenia i ujął jej dłoń.

– To nic, Zussh. Ja też to czuję. – Razem wcisnęli przełącznik i wyprowadzili „Gorliwość” na otwartą przestrzeń.

– Bardzo przepraszam.

– Dosyć już tego – zdecydował Rusher, wchodząc z powrotem po schodach. – Wyprowadź nas nad ocean, a potem w przestworza.

Uchodźcy uchodźcami, ale Byllura nie była miejscem, w którym chciałby dłużej zabawić. W przestrzeni Sithów zdarzało mu się to nad wyraz często. Sytuacja bywała tak płynna, a niektórzy watażkowie tak skryci, że nigdy do końca nie wiedział, czego można się spodziewać, lecąc z jednego systemu do drugiego. Wkrótce jednak powinni znaleźć jakiś inny świat. Może w Chagrasiańskich Szczątkach – to nie było tak daleko. Każde miejsce musi być lepsze od tego.

– Wciąż mamy jednego zaginionego, brygadierze – odezwał się stojący przy barierze Dackett.

– Lubboon? – Rusher popatrzył z niedowierzaniem na pierwszego oficera. – Przecież i tak mieliśmy go wyrzucić na najbliższej boi nadprzestrzennej. – Miał cichą nadzieję, że chłopak zostanie na Byllurze razem z uchodźcami; dlatego to właśnie jego wysłał na poszukiwanie Sullustanki, a nie kogoś bardziej kompetentnego. – Do licha, Dack, sam o tym mówiłeś!

– Wiem. Ale to było, zanim się dowiedzieliśmy, co oni tu kombinują.

– A jakie to ma znaczenie?

– No, nie ma – odparł Dackett, drapiąc się sztuczną ręką po mięsistej szyi. – Ale w końcu wyciągnął mnie z tarapatów, wtedy na Gazzari – westchnął. – Jestem mu to winien.

Uderzył wierzchem dłoni o iluminator.

– Mnie nikt nigdy nie wyciąga z tarapatów! Wszyscy mnie tylko w nie pakują! – Rusher popatrzył na falujący ocean, odzyskując humor, w miarę jak „Gorliwość” oddalała się od lądu. Przypomniał sobie znów o swoim komunikatorze. Spojrzał na urządzenie i zobaczył migającą lampkę; podczas gdy ich zaprzętały okręty, nadeszła kolejna wiadomość. – Zaczekaj. Wiadomość od Jej Nienormalności. – Przyłożył komunikator do ucha, żeby odsłuchać.

Stojący przed centrum dowodzenia Dackett patrzył na swojego dowódcę.

– I co?

– Obrzuca mnie wyzwiskami. I rozłącza się. – Cisnął komunikatorem o podłogę i spojrzał na Besaliska siedzącego przy konsoli łączności. – Morrex, masz coś więcej?

– Nie – odparł zielony olbrzym, stukając w potężne słuchawki. – Ale znają trochę oryginalnych słów w tej Republice.

Rusher odwrócił się z powrotem w stronę okna. Śmigacze, które leciały obok nich, szukając swojej szansy, już dawno zniknęły. Lecieli teraz nad otwartym morzem, przez nikogo nie niepokojeni. Obejrzał się na sterniczkę, która patrzyła na niego.

– Mam wolną drogę na orbitę – oznajmiła Zussh. – Jest puszczka pomiędzy tą półkulą a najbliższym ssszlakiem nadprzestrzennym.

Rusher skrzyżował ręce na piersi i podjął męską decyzję. Kopnął parę razy w ścianę swoją zdrową nogą.

– Otwórz rejestr znaczników elektronicznych – polecił, spoglądając na Besaliska.

– Lubboon. Stopień: generalny kataklizm. – Przy odrobinie szczęścia Jedi będzie tam gdzie on. Obejrzał się na Dacketta, który uśmiechał się łagodnie. – A ty przestań się szczerzyć, bo ci utnę drugą rękę.

– To tylko niestrawność, sir.



Rusher! Czy ten facet sprawdzi w końcu swój komunikator? Żałowała, że nie powiedział jej, które kanały monitoruje „Gorliwość”. Przynajmniej ten Besalisk obsługujący systemy łączności sprawiał wrażenie, że wie, co robi.

Ale to pewnie nie jest wina Rushera, pomyślała, biegnąc przez zaciemniony korytarz. W trakcie wspinaczki przez granitową wieżę i budynek na jej szczycie nie zdołała wysłać sygnału na zewnątrz, odkąd minęła otwór wentylacyjny.

I trudno się dziwić, wiedząc, jak oni się porozumiewają w tym gnieździe mynocków, pomyślała. Atakowali ją kolejni akrobaci w czerwonych kostiumach, jeszcze bardziej zaciekle niż wcześniej. Ten, kto nimi sterował, zmienił najwyraźniej taktykę. Zamiast przewidywać, którądy pójdzie Kerra, i próbować ją złapać, obrońcy zaczęli stawiać blokady. W niektórych korytarzach za pospiesznie zbudowanymi barykadami czaili się uzbrojeni wojownicy; w innych, tak jak w tym, w którym teraz się znajdowała, były jedynie świeżo wzniesione bariery. Zakurzone biurka i sprzęt komputerowy stały w bezładnych stertach przed drzwiami.

– Zupełnie jakby dziecko próbowało zatarasować drzwi do swojego pokoju – powiedziała głośno Kerra, przedzierając się przez przeszkody. Nie wiedziała, skąd przyszło jej do głowy to porównanie; Rusher wspominał coś o dzieciach rządzących Byllurą ale na całej planecie nie widziała ani śladu dziecka. Tylko kolejnych szkarłatnych wojowników.

Potrzebowała odpowiedzi – odpowiedzi, które miała nadzieję znaleźć w słabym świetle znajdującego się przed nią okrągłego pomieszczenia. Sala była ogromna. Zbędne biurka i konsoly pochodzą właśnie stąd, uświadomiła sobie Kerra; niewątpliwie kiedyś mieściło się tutaj jakieś centrum dowodzenia. Teraz w użyciu pozostawało siedem dużych monitorów zwisających z sufitu, na których wyświetlano mapy Hestobylla. O dziwo, zamiast na zewnątrz ekrany były zwrócone w stronę transpastalowego cylindra pośrodku pomieszczenia. I jego monstrualnego lokatora, który unosił się w bladożółtym obłoku, emitując ciągły parapsychiczny szum.

Kerra nie przypuszczała, że Celegianie mogą osiągać takie rozmiary. Nawet gdyby ten tutaj mógł się poruszać, nie zmieściłby się w żadnych drzwiach. Nie wiedziała, co jedzą Celegianie ani jak, a nawet czy w ogóle jedzą. Jednak to stworzenie wyglądało, jakby zanadto utyłło i teraz było sflaczałą, bezbarwną masą pokrytą krwawymi obrzękami przypominającymi czyraki. W odróżnieniu od energicznej istoty, którą poznała na Coruscant, ta miała korzeniowate macki, które zwisały bezwładnie, pokiereszowane i zwiotczałe.

Podeszła ostrożnie do zbiornika, pamiętając, że znajdujący się w środku gaz byłby dla niej równie zabójczy jak powietrze dla Celegianina. Stworzenie w dalszym ciągu się nie ruszało ani w żaden sposób nie reagowało. Kerra zmarszczyła nos. Nic z tego nie rozumiała. Ta istota najwyraźniej była ośrodkiem nerwowym – nie sposób było uniknąć takich skojarzeń, patrząc na ogromny, pozbawiony ciała mózg. Telepatyczne wiadomości krążące po mieście zaczynały i kończyły swój bieg tutaj, wśród kakofonii, którą z trudem ignorowała. A mimo to Celegianin zupełnie nie wyglądał na władcę Sithów, na ich odpowiedź na starożytnego Mistrza Ooroo. Prawdę mówiąc, wyglądał raczej na martwego. Jak okaz w probówce.

Gdy tylko Kerra dotknęła ściany zbiornika, zaskoczył ją ponury głos w jej głowie, wyraźnie głośniejszy od innych: Jaką masz wiadomość?

– Wiadomość?

Jaką masz wiadomość?

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedziała głośno. Nie pamiętała, czy Celegianie mają normalny słuch, czy porozumiewają się tylko telepatycznie, ale stworzenie jakby się poruszyło, kiedy mówiła. A rozbrzmiewający w tle szum telepatycznych przekazów nagle ucichł. Słucha, domyśliła się. – Te istoty na zewnątrz... one wykonują twoje polecenia, tak? To ty ich zniewalasz. – Kerra rozejrzała się ostrożnie, spodziewając się, że Celegianin wezwie swoich poddanych.

Jednak stworzenie tkwiło wciąż nieruchomo w swoim gazie. W tle rozległ się znów komunikacyjny szum między Celegianinem a... kim?

– Okręty też, prawda? – zapytała Kerra, przypominając sobie widok z zewnątrz.

– Nimi też sterujesz. Z Celegianami na pokładach, mam rację? – Popatrzyła gniewnie na swoje odbicie w zbiorniku. – Wysyłasz im wiadomości. To ty rozsiewasz ten obłąd.

Przez kolejną długą chwilę nie było żadnej odpowiedzi.

Kerra uklękła u podstawy cylindra. Na samym dole znajdowały się migające przyciski. Nie mogła rozbić zbiornika, ale mogła wyłączyć system cyrkulacji. W ciągu paru minut w środku powinno zgromadzić się dość zużytego gazu, żeby raz na zawsze uciszyć rozkazy, które stworzenie wydawało swoim sługusom.

– Przykro mi – powiedziała Kerra, wyciągając rękę w kierunku przełącznika. – Ale jesteś Sithem.

Spojrzała na niego po raz ostatni, czekając na jakąś reakcję. Znowu nic. A potem rozległ się skowyt.

Kerra nigdy nie słyszała czegoś podobnego – wysoki, dźwięczny jęk, niewiele głośniejszy od szeptu. Odniosła wrażenie, jakby jakiś pradawny smutek przemknął obok niej, ledwie muskając jej umysł. Myśl – jeśli była to myśl – nie była skierowana do niej. Była skierowana do wszechświata.

Jak ten skowyt.

Kerra popatrzyła na bestię górującą nad nią w oparach za transpastalą. W całym budynku

pełno było emanacji Ciemnej Strony Mocy. Tylko że, jak zauważyła, nie pochodziły one od Celegianina.

Cofnęła gwałtownie rękę. Zanadto się pospieszyła. Tak bardzo wsłuchiwała się w telepatyczny hałas, że nie zwracała uwagi na Moc. Celegianin w ogóle jej nie używał, ani w dobrej, ani w złej wierze.

Kerra położyła ostrożnie rękę na chłodnej powierzchni zbiornika i sięgnęła poprzez Moc. Gdy tylko dotknęła olbrzymiego umysłu Celegianina, przytłoczyła ją fala emocji. Strach. Nienawiść. Radość. Miłość. Wszystkie naraz, bezładne i wymieszane.

Zerwała łączność i nagle zdała sobie sprawę, że to wszystko były jej uczucia, wywołane w odruchu samoobrony przeciwko umysłowi, który stał się pusty. Jałowy. Umysł Celegianina żył i aż tętnił przekazywanymi wiadomościami – ale cała ta aktywność, jak zauważyła Kerra, była niezależna od niego. Ośrodki decyzyjne stworzenia nie pojawiały się, o ile w ogóle funkcjonowały. W jego umyśle nie było miejsca na samodzielne myślenie.

Celegianin mówił, ale nie znał już znaczenia słów.

Kerra wzięła głęboki oddech i ponownie nawiązała kontakt z tym dziwnym umysłem. Tym razem skoncentrowała się mocniej, próbując znaleźć drogę poprzez szczątki psychiki Celegianina. Większość rozumnych istot, których umysły penetrowała, miała w sobie jakąś iskrę, ogień, który je napędzał. W tym tutaj pozostał jedynie rozżarzony węgielek, a to, co poczuła, zmroziło jej krew w żyłach.

Stworzenie wydawało się... opuszczone. Całe jego życie było niekończącą się agonią. Niezależny umysł został zredukowany do roli przewodu i kontrolowany przez innych. Inni... Kerra szukała obrazu, ale zobaczyła tylko pojedynczą niewyraźną postać o pokrytych łuską rękach i przypominającej skorupę powłoce na twarzy.

– Krevaaki? To on tobą steruje? Steruje... kim?

Zaskoczona, że usłyszała odpowiedź, Kerra rozejrzała się i znalazła plakietkę na dole zbiornika.

– Jeden? Tak się nazywasz?

Celegianin poruszył się, wydając łagodniejszą wersję tego samego dźwięku. Kerra zrozumiała, że stworzenie miało kiedyś inne imię, ale te czasy dawno minęły. Spróbowała wyciągnąć z niego więcej informacji na temat Krevaakiego – i innych, jednak nieszczęsna istota straciła poczucie czasu i przestrzeni. Rozumiała, że istnieje jakaś większa siła, która panuje nad Krevaakim, ale mogła się ona znajdować równie dobrze na następnym piętrze, jak w innej galaktyce.

Słyszając głuchy odgłos po drugiej stronie pomieszczenia, Kerra się obejrzała, jednak niczego nie dostrzegła. Spojrzała ponownie na podstawę zbiornika.

– Jeden, czy chcesz, żebym cię uwolniła? Uwolniła... kogo?

Kerra schyliła się nad plakietką. Nie było czasu na egzystencjalne dyskusje.

– Słuchaj, potrzebuję twojej pomocy. Wiem, co robisz. Wiem wszystko. – Jeden był

odpowiedzialny za Byllurę i za koordynację obrony stoliwa. Rozmawiając z nim, zapewne zyskała parę chwil spokoju. Nie wyczuwała na razie żadnych rozkazów dotyczących floty; dotykając umysłu Jednego, dowiedziała się, że gdzieś w budynku znajduje się jeszcze jeden Celegianin, który przekazuje rozkazy na statki za pośrednictwem Sithów obsługujących system łączności. Bez pośredników nie zdołaliby się połączyć telepatycznie z oddalonymi Celegianami. A jednak ta drżąca masa, którą miała przed sobą mogła wiele zmienić. – Czy wiesz, gdzie są moi przyjaciele? Czy możesz powiedzieć tym, którzy mnie ścigają żeby zostawili mnie w spokoju?

Macki się poruszyły. Nie rozumiał.

– Posłuchaj cię, Jeden – powiedziała Kerra. – W ten sposób: podejmują wszelkie decyzje. Po prostu każ im...

Urwała. Ciepły róż na płatach czołowych Celegianina zaczął blaknąć. Znowu go traciła.

Zdając sobie sprawę, co musi zrobić, Kerra zagryzła wargę i wstała. Uniosła dwa palce prawej ręki i przemówiła monotonnym głosem:

– Każesz wartownikom wrócić do koszar. W Celegianina wstąpiło nowe życie.

Każę wartownikom wrócić do koszar. I tak też zrobił.

– Każesz jednemu wartownikowi zaprowadzić dwoje pojmanych, Durosjanina i Sullustankę, do hangaru dla śmigaczy. – Uznała, że stamtąd zdoła ich wywieźć; kiedy Jeden spełnił jej życzenie, mówiła dalej: – Każesz mieszkańcom Hestobylla wrócić do domów. Przystaniesz wysyłać wiadomości do innych.

Jeden zawahał się chwilę, jakby zaintrygowany, ale w końcu powtórzył rozkazy. Przez chwilę Kerrze zdawało się, że czuje kolejny skowyt. Uśmiechnęła się. Może wyzwoliła Byllurę spod panowania Sithów tylko chwilowo – mieli w końcu więcej Celegian – ale Jeden nie będzie już brał w tym udziału, jeśli tylko uda jej się ochronić go przed jego panami.

– Jakoś cię stąd wyciągnę – obiecała, poklepując ścianę zbiornika. Rozejrzała się dokoła. Zbiornik przyśrubowano do podłogi, a drzwi były za wąskie. Ale Rusher miał ekipę inżynierów... jeśli uda jej się ich znaleźć.

Kierując się w stronę wyjścia, założyła na głowę słuchawki i usłyszała sygnał nadchodzącego połączenia. Włączyła komunikator.

– Gdzieś ty się podziewał, Rusher? Nie chcę cię martwić, ale będziemy mieć jeszcze jednego gościa!

– Nie jestem Rusher – oznajmił zgrzytliwy głos.

Kerra się zatrzymała. Nie miała czasu na zgadywanki.

– Słuchaj, nie obchodzi mnie, kim jesteś, jeśli tylko przebywasz na „Gorliwości”...

Rozmówca nie dał jej skończyć.

– Spotkaliśmy się na Darkkneel. Dwa razy. Za pierwszym razem coś mi ukradłaś.

Kerra wpatrywała się w słabe światelko. Wcześniej sygnał ledwie dochodził, ale ten głos brzmiał czysto i wyraźnie. I znajomo.

– Bothanin?
– A więc pamiętasz.
– Nie... nie spodziewałam się usłyszeć twojego głosu. – Kerra nie znała nawet jego imienia.
– Jesteś tutaj?
– W ogóle bym z tobą nie rozmawiał – padła szorstka odpowiedź – ale mam swoje rozkazy. A oto twoje – ciągnął. – Dziel i rządź.
– Zaraz, zaraz! Co mam robić? – Rozejrzała się po zaciemnionym pomieszczeniu. Był tu jedynie Celegianin w swoim zbiorniku. – Gdzie jesteś?
– Tu jestem, Jedi – odpowiedział inny głos za jej plecami. Kerra zobaczyła odbijające się w zbiorniku czerwone światło i poczuła żar smagający ją po plecach. Rzuciła się do przodu i przeturlała po podłodze, a kiedy obejrzała się za siebie, zobaczyła sześć pałek-mieczów świetlnych – wszystkie w mackach jednego napastnika.
Krevaaki!



Zniszczę Jedi!

Rozkaz Dromiki rozbrzmiewał w ogromnych uszach regenta. To pomagało mu go zapamiętać. Każda sylaba popychała jego ciało do działania, przywracała utraconą młodość i wigor. Rozkazy dziewczynki zawsze tak na niego działały, ale nigdy w takim stopniu jak teraz – teraz, kiedy jego szmaragdowe oczy po raz pierwszy od lat ujrzały żywego Jedi.

– Zniszczę Jedi! Zniszczę Jedi! – Macki Krevaakiego zawirowały, zmieniając broń, którą dzierżyły, w śmiertcionośne śmigła. Zrzucił płaszcz jeszcze w turbowindzie – a kiedy zobaczył, że kobieta się ociąga, ruszył do ataku.

Zdołał jedynie rozciąć kurtkę ciemnowłosej intruzki, bo ta rzuciła się do przodu, unikając trafienia. To była Jedi. Musiała być, skoro tak się ruszała. A Quillan już to wyczuł i ostrzegł Dromikę, która rozkazała regentowi-aspektowi...

– Zniszczę Jedi! – zawołał, wpadając do centrum dowodzenia. Kobieta przeskoczyła nad wywróconym fotelem, który pozostał tu z czasów, kiedy za komunikację nie odpowiadał jeszcze Celegianin. Stworzenie siedziało w swojej tubie. Tym razem Calician pamiętał, dlaczego go nienawidzi. Będzie musiał zagonić go z powrotem do pracy, kiedy już się rozprawi z tą wścibską Jedi. – Zniszczę Jedi!

– Zamknij się!

Jedi uniosła rękę i posłała jeden z foteli w jego stronę. Dziwna umiejętność, pomyślał Calician, rozcinając mebel mieczami świetlnymi na kawałki. Jak przez mgłę przypomniał sobie, że sam umiał kiedyś unosić przedmioty siłą woli, ale minęło ponad dziesięć lat, od kiedy korzystał z tych zdolności.

Za to sztukę walki jego ciało pamiętało. A rozkaz Dromiki uwolnił talenty, których nigdy

nie posiadał. Krevaaki byli świetnymi wojownikami, jednak największy Jedi tej rasy, Vodo-Siosk-Baas, używał tylko dwóch górnych kończyn do trzymania swojego kija bojowego. Tymczasem macki Caliciana, które tego ranka nie mogły unieść filizanki, teraz dzierżyły każda własny miecz świetlny.

Jedi stanęła kilka metrów od niego, także z zapalonym mieczem. Szmaragdowa lanca żarząca się w mroku. Popatrzyła na niego nieufnie.

– Krevaaki, jak sądzę – warknęła.

Calician nie raczył odpowiedzieć, tylko ruszył ku niej najkrótszą drogą klucząc wśród labiryntu mebli. Jedi wycofała się, skacząc z jednego wywróconego biurka na drugie. Sprawiała wrażenie, jakby miała ochotę pertraktować, dowiedzieć się czegoś o nim i całej operacji. Calician ruszył do ataku. Miał swoje rozkazy.

A w dodatku teraz miał swoją szansę. Widząc, że Jedi kuli się przed komorą gazową Celegianina, regent zakręcił jednym ze swoich mieczy świetlnych i cisnął nim w kobietę. Ta wywinęła się, tak jak przypuszczał – by po chwili zatrzymać się i strącić broń na podłogę własnym mieczem świetlnym. Nacierając, Calician rzucił kolejny, celując ponad jej głową.

– Nie! – krzyknęła kobieta, podskakując, żeby odbić nieduży miecz świetlny, nim uderzy w zbiornik. – Co ty wyprawiasz? Rozbijesz komorę!

– Zniszczę Jedi! – zawołał Calician.

– I siebie też, idioto! – Postukała kciukiem w transpastal. Calician zastygł na chwilę w bezruchu, patrząc na ogromny mózg unoszący się w toksycznym gazie. Spojrzał na cztery pozostałe miecze świetlne w swoich zwiniętych mackach. To prawda, rozbijając zbiornik, zabiłby ich oboje. I prawdą było też, że nie dbał o to. Musiał zniszczyć Jedi.

Regent cofnął się o metr, przekładając broń do innych kończyn. To nie było zgodne z filozofią Sithów – tą którą pamiętał. Sithowie nie mieli skłonności autodestrukcyjnych. Do tej pory sądził, że jest częścią czegoś większego, czegoś, co jest warte poświęcenia własnej tożsamości. Jednak rozkaz Dromiki nakłaniał go, by poświęcił własne życie, chroniąc ją i jej brata.

Ale nie w ten sposób, pomyślał. Zapraszającym gestem wskazał Jedi miejsce z dala od komory Celegianina.

– W końcu zaczęłaś myśleć – powiedziała Jedi, przeskakując nad stołem, po czym przyjęła postawę obronną.

Calician ruszył naprzód, wymachując mackami. Jedi zaatakowała z impetem, odbijając swoją klingę od jego górnych mieczy, po czym poderwała broń do góry, przypalając mu włoski na twarzy. Regent natarł ponownie, ona jednak skoczyła zwinnie w prawo i musiał odwrócić się w tę samą stronę. Im bardziej się obracał, tym dalej ona się przesuwała. Regent warknął ze złością. Kręcąc się w kółko, mógł użyć tylko dwóch mieczy naraz.

Krevaaki odwrócił się nagle w przeciwnym kierunku, w nadziei, że zdoła zaskoczyć Jedi. Ona jednak doskoczyła do niego, chwyciła wolną ręką za jedną z jego nieuzbrojonych

kończyn i szarpnęła. Wytrącony z równowagi Calician upadł...

...i zobaczył jedną ze swoich macek, martwą i nieruchomą w obciążonej rękawiczką dłoni Jedi. Odcięła ją kiedy upadał. Nie ma żadnego bólu, zauważył Calician. Była to jedna z kończyn z jego środkowej skorupy; tego ranka też nic w niej nie czuł. Tylko siła sugestii Dromiki przywróciła jej życie. A teraz znów była martwa.

I wiedział, że on także będzie martwy, jeśli się nie ruszy. Calician zaczął się cofać przed nacierającą Jedi. Kobieta była zbyt silna. Owszem, miał wystarczające umiejętności, żeby ją zniszczyć, ukryte głęboko w zakamarkach pamięci. Potrzebował jednak wskazówek, tak jak jego bezwładne kończyny potrzebowały życia. Było tylko jedno miejsce, w którym mógł znaleźć jedno i drugie.

– Jedi! – zawołał, cofając się w stronę windy, którą przyjechał.

– A więc potrafisz powiedzieć coś innego niż... Calician ją zignorował.

– Przyszedłeś tu, szukając dzieci, Jedi. Słyszałem, jak Celegianin przekazuje twoje rozkazy wartownikom. – Wszedł do windy. – Jeśli chcesz zobaczyć dzieci, chodź za mną!

Drzwi się za nim zamknęły. Wkrótce Byllura znów miała stać się pułapką.

ROZDZIAŁ 16

– Nie uwierzy pan w to, brygadierze.

Czekając na pokładzie towarowym, Rusher wpatrywał się tępo w obraz, który pojawił się na monitorze. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi pokonali kilometry oceanu, żeby wrócić do stoliwa, skąd nadleciały śmigacze Diarchii. A tam, w dole, był Beadle Lubboon, siedzący na środku śmigacza niczym rozbitek obok kapsuły ratunkowej.

Rusher popatrzył na Dacketta stojącego przy wrotach załadunkowych.

– Gdybyśmy tylko mieli łączność dźwiękową moglibyśmy usłyszeć, jak twój wybawca drze się jak opętany.

– Możemy otwierać czy nie? – spytał Dackett, przewracając oczami.

– Ależ oczywiście – odparł Rusher, poklepując pierwszego oficera po ramieniu, po czym stanął po drugiej stronie wrot. – Ale pamiętaj, jeśli zechcesz go zatrzymać, to będziesz za niego odpowiedzialny.

Ignorując odpowiedź starszego wiekiem podwładnego – coś na temat brygadierów i ich matek – Rusher wcisnął przełącznik, opuszczając rampę. Najwyraźniej nikomu jego obecność nie przeszkadzała; ich zresztą też nikt nie zatrzymywał. Z tej wysokości widzieli sullustańską dziewczynę, która siedziała na skraju lądowiska, wymachując nogami.

– Dlaczego nie zabrałeś dziewczyny? – krzyknął Rusher w kierunku unoszącego się w powietrzu śmigacza.

Beadle wskazał potulnie na drążek sterowniczy pojazdu.

– Uruchomiłem śmigacz, zanim zdążyła wsiąść – wyjaśnił. – Umiem tylko ruszać i hamować.

Rusher polecił załodze mostka sprowadzić „Gorliwość” bliżej morza, przez ten czas układając w głowie odpowiedź. Zaraz jednak pierwszy oficer zwrócił jego uwagę na coś innego.

– Wielkie słońca, brygadierze! Niech pan spojrzy!

Płyta lądowiska za plecami nonszalanckiej Sullustanki usłana była ciałami. Był tam co najmniej tuzin ubranych w szkarłat wartowników, takich jak ci, którzy sprawili im tyle kłopotów w doku; spoczywali w różnych punktach ogromnego pomieszczenia. Gdzieś tam płonęły jeszcze wraki śmigaczy, pozostałości po potężnej awanturze.

Dackett spojrział na Beadle'a, z trudem wspinającego się po linie, którą mu zrzucili.

– Myśli pan, że walczył z nimi wszystkimi, żeby się wydostać?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Rusher popatrzył na Dacketta i obaj zgodnie chwycili za linę, wciągając niesfornego Durosjanina.

– Gdzie masz słuchawki, rekrucie? – spytał Rusher, obserwując, jak wdrapuje się na rampę. – Sam widzisz, jak się kończą eskapady bez komunikatora.

– Bardzo przepraszam pana brygadiera – powiedział Beadle – ale jak może pan brygadier pamiętać, pan brygadier oddał go Jedi.

Rusher wydał usta.

– Ach, tak? – Spojrzał na hangar dla śmigaczy i porozrzucane po podłodze ciała.

– To twoje dzieło?

– Kerra Holt po nas przysłała – zawołała z dołu Sullustanka. Rusher odsunął się na bok, żeby dwóch z jego żołnierzy mogło zeskoczyć na wiszący w powietrzu śmigacz.

– Posłuchaj, mała... jak ci na imię?

– Tan!

– Tan, cofniemy ten śmigacz, żebyś mogła wsiąść. Mój statek tu nie wylądował, a bliżej nie podlecimy. – Hangar znajdował się kilkanaście metrów niżej i rampy załadunkowe nie mogły go osiągnąć, bo lufy dział zawadzałyby o ścianę klifu. – Wskakuj, jak tylko się zbliży!

– Nie!

– Nie?

– Ona jest gdzieś w środku. Musicie po nią pójść.

Rusher spojrzał na Dacketta. „Już po mnie”, powiedział bezgłośnie.

– Przykro mi, mała – dodał głośno, spoglądając w dół i starając się wyglądać życzliwie. – Nie wiemy, gdzie ona jest. To miejsce jest ogromne i nie wiadomo, ile czasu musielibyśmy...

Nagle z góry spadł na „Gorliwość” jakiś złom, odbił się od sterburty i przeleciał obok Rushera.

Brygadier prawie bał się zapytać.

– Co to było? – bąknął w końcu.

– Droidy. – Dackett wskazał na kolejne spadające części. Ręce. Nogi. Czasem tułów. Wszystkie były częścią większego deszczu transpatalowych odłamków, spadających z budynku na szczycie stoliwa.

– Ona jest tam, brygadierze! – zapiszczała Tan, podskakując na krawędzi lądowiska. Pokazywała na budynek kilkaset metrów wyżej.

Rusher się wyprostował.

– Przyznaję się do błędu. Tylko przestań skakać, zanim spadniesz! – Popatrzył spode łba na Dacketta. – Albo zanim ja wyskoczę.



Otworzyła się jeszcze jedna szafka i wyleciał z niej kolejny droid, który pomknął w stronę

Kerry. Tak jak zrobiła z poprzednimi pięcioma, wyrzuciła niezgrabną maszynę przez rozbite okno, posługując się Mocą.

To już się robiło nudne.

Kerra podążyła za Krevaakim na górę turbo windą towarową. Woląla nie jechać tą samą kabiną. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby Krevaaki próbował ją zabić za pomocą podłożonej w windzie bomby, ale niczego nie mogła wykluczyć.

Gdy tylko wysiadła z windy, zorientowała się, gdzie jest. Pomieszczenie było rozległe, z pewnością o średnicy równej spłaszczonej kopule, którą widziała z zewnątrz; przestronne pomieszczenie mieszkalne położone wysoko nad zatoką. Zawsze gnieźdzą się na najwyższym piętrze, pomyślała. Najczęściej można było poznać Lorda Sithów po jego rezydencji.

Pośrodku pomieszczenia stała nieprzejrzysta kopuła, sięgająca niemal do sufitu. Wokół apartamentu biegło jedno wielkie okno, przerywane co dwadzieścia metrów przez małe pokoiki wcinające się do wewnątrz. W niektórych znajdowały się jedynie wielokolorowe pojemniki, starannie poustawiane i pozamykane. Inne mieściły rzędy szafek – mijając je, Kerra szybko się przekonała, co w sobie kryją.

Droidy-niańki. Wielkie, pękate kule umieszczone jedna na drugiej i poruszające się na swoich repulsorowych poduszkach. Widywała już takie w Republice; modele z serii BD opiekowały się pokoleniami dzieci z arystokratycznych rodzin, pieszcząc i pielęgnując je metalowymi kończynami, przypominającymi macki Krevaakiego.

Ale te, podobnie jak Krevaaki, rzucały się na Kerrę, ani trochę się z nią nie pieszcząc. Kolejne szafki otwierały się, a ich metalowi lokatorzy wypadali i zaczęli okręzać odwróconą misę na środku pomieszczenia, tworząc ochronny wir. Droidy nie były uzbrojone, ale stukilogramowe, rozpędzone mamki były bronią same w sobie. Z każdym krokiem Kerry jeden z droidów odłączał się od roju i rzucał na nią. Pierwsze trzy rozcięła mieczem świetlnym – cały czas trzymała go pod ręką ale w końcu straciła cierpliwość do tej zabawy. Teraz, gdy któryś leciał na nią wykonywała po prostu ruch wolną ręką i wyrzucała wirujący pocisk przez okno. Jeśli żywi lokatorzy pomieszczenia gdzieś tu byli, nie mogli nie słyszeć tego hałasu.

Kiedy ostatni droid runął do zatoki, Kerra przeprowadziła oględziny wielkiej sali. Krevaakiego wciąż nie było; tylko ta dziwna onyksowa półkula, szeroka na kilkanaście metrów, stercząca na środku. Pomieszczenie przypominało pokój zabaw, ale wyglądało na od dawna nieużywane. Spod szarych płacht wystawały meble w jaskrawych kolorach. Wszystkie zabawki były pochowane. Kerrze przywiodło to na myśl pusty pokój w domu sąsiadów na Aquilarisie, przed laty. Kiedyś mieszkało tam dziecko, ale nie czuć tam było dziecięcej radości.

Tutaj było to samo – wyczuła jedynie gniewną obecność Ciemnej Strony. W innych częściach kompleksu także ją czuła, ale tu, na poddaszu – to dobre określenie, pomyślała – przenikała ona wszystko. Było to coś więcej niż gniew, uzmysłowiła sobie Kerra; to była

furia. Furia z powodu uwięzienia. Z powodu utraty czegoś nigdy niezazanego. Ten, kto tu mieszkał, tłumiał w sobie tę urazę, pozwalając, żeby zamieniła się w gęstą nienawiść, od której z każdym krokiem zamierało serce Kerry.

A w samym środku sali tkwiła czarna kopuła. Kerra okrążyła ją z mieczem świetlnym w gotowości. Czy to było więzienie? A może wieko? Ze środka dobiegał jakiś szelest. Niedawna demolka nikogo nie wywabiła. Czy cokolwiek innego mogło to spowodować?

Zauważyła lekko uniesioną platformę w kształcie rombu, zaledwie parę kroków od kopuły. Na dywanie ktoś wydeptał ścieżkę prowadzącą do platformy; ten, kto na niej stał, podchodził zawsze od zewnątrz, twarzą do kopuły. Kerra zacisnęła zęby i zrobiła to samo.

Gdy tylko stanęła obiema nogami na podium, zauważyła, że półkula zaczyna drżeć. Między nią a podłogą pojawiła się szczelina, a ze środka uleciało ze świstem uwolnione powietrze. Była to faktycznie pokrywa, obracająca się wokół poziomej osi i chowająca się w podłodze. Wewnątrz niej tkwił okrągły podest – ale nie przypominało to teatru. Światło sączące się przez rozbite okna padało na stertę pomarańczowych poduszek, tworzących największe posłanie, jakie Kerra kiedykolwiek widziała.

Mniej więcej na środku siedziało dwoje nastolatków rasy ludzkiej. Chłopak kiwał się, obejmując rękami kolana. Co chwila zerkał ukradkiem na Kerrę, odwracając szybko wzrok. Miał niewiele lat mniej niż ona, ale siedząc tak w pościeli w środku dnia, sprawiał wrażenie znacznie młodszego. Tylko jego oczy wyglądały staro, osadzone głęboko w łysej głowie, podkreślone obwisłymi workami.

On przynajmniej wydawał się ją zauważać. Za to jasnowłosa dziewczyna siedząca obok cały czas szcztokowała włosy, nie zwracając na Kerrę najmniejszej uwagi. Młoda Jedi zastanawiała się przez chwilę, czy ta dobrze odżywiona para to faktycznie niewolnicy Krewaakiego – szybko jednak zrozumiała, że to oni koncentrują energię Ciemnej Strony, którą wyczuwała. Popatrzyła na odchyloną do tyłu pokrywę. Była to komnata medytacyjna, największa, jaką widziała.

Chłopiec znów spojrział na Kerrę, jakby szukając wzrokiem czegoś znajomego. Gdy tylko Kerra się odezwała, dziewczyna także ją zauważyła i upuściła szcztokę, po czym sama przemówiła, zwracając się nie wiadomo do kogo:

– Regent zajmie się aspektem Jedi.

Dziwna wypowiedź z ust jeszcze dziwniejszej postaci. Dziewczyna, tonąca w przydużej koszuli nocnej, była już prawie kobietą, jednak miała szeroko otwarte oczy dziecka.

– Znajdujesz się w obecności Diarchii – odezwał się głos zza okrągłej pokrywy, a po chwili wyłonił się stamtąd Krewaaki, dzierżąc swoje cztery miecze świetlne. Kikut odciętej macki zwisał, wiotki i niezabandażowany. – To jest Lord Quillan – oznajmił, wskazując na chłopca – a to jego siostra, Lord Dromika.

Kerra stała na podium, przyglądając się parze nieufnie.

– A ciebie jak mam nazywać?

Krevaaki trochę się ociągał, jakby szukając słów. Oglądając się na parę dzieciaków, w końcu odpowiedział:

– Ja tu jestem regentem.

Pociągający za sznurki regent, pomyślała Kerra, przypominając sobie słowa Rushera. Ale nadal nie była pewna, kto tutaj rządzi.

– Uprowadziliście moich przyjaciół – powiedziała. – Kazałam ich uwolnić. Quillan kiwał się tylko w przód i w tył, patrząc gdzieś w dal, jego siostra zaś zerkała gniewnie na Kerre. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć – ale spojrzała na brata i zachowała milczenie.

– Lordowie nie rozumieją o czym mówisz – wyjaśnił regent. – Oni nie komunikują się ze światem tak jak ty czy ja.

Krevaaki obejrzał się na rodzeństwo, a nie widząc sprzeciwu, tłumaczył dalej. Quillan i Dromika, dzieci potężnego Lorda Sithów, nigdy nie postrzegały rzeczywistości tak jak inni. Quillan był zanurzony bez reszty w swoim bezkresnym umyśle i wyczuwał inne istoty organiczne jako zjawy we własnym świecie marzeń. Nikt nie mógł się z nim porozumieć poza Dromiką połączoną z nim w sposób, jakiego żaden lekarz ani uczonego Sithów nie potrafił zrozumieć.

Ale i jej sytuacja była wyjątkowa. Odkąd tylko nauczyła się mówić, Dromika porozumiewała się wyłącznie za pomocą perswazji Mocą. Miała do tego ogromny talent, który działał na różnych poziomach, nie tylko poprzez mowę. Jeszcze we wczesnym dzieciństwie, zanim poznała słowo „głód”, Dromika wpływała na swoich ludzkich opiekunów, żeby zapewniali jej i bratu wszystko, czego było im trzeba.

– Teraz wykorzystujemy droidy do zaspokajania ich podstawowych potrzeb, kiedy mnie nie ma w pobliżu – oznajmił regent. Siła Dromiki była tak wielka, że niszczyła nieprzygotowane na nią umysły.

Te dzieci miały podobny problem jak Daiman, uzmysłowiła sobie Kerra, tylko jeszcze głębszy. O wiele głębszy. Daiman poznał pełnię swoich możliwości i filozofię Sithów w późniejszym wieku, kiedy był już do pewnego stopnia uspołeczniony. Nie potrafił uwierzyć, że inni mogą być rozumnymi istotami obdarzonymi wolną wolą – i z całą pewnością postrzegał otoczenie przez dziwny pryzmat. Wszechświat był dla niego polem gry rozgrywanej na poziomie gwiazd. Ale Daiman przynajmniej komunikował się z otoczeniem; rozumiał je przyjmował do wiadomości. Bliźnięta jedynie używały swojego otoczenia, zmieniając inne istoty w przedłużenie własnej woli.

To przecież dokładnie ten stan, zrozumiała z przerażeniem Kerra, jaki Daiman próbował osiągnąć w obozie razem ze swoją adiutantką.

– Musiałem ci to wyjaśnić, żebyś zaprzestała swoich działań i pozwoliła się przyjąć.

– Przyjąć? – Kerra zeszła z podium, uważając, żeby nie zbliżyć się za bardzo do czujnych teraz bliźniąt. – Tak jak przyjęliście Celegian? Czy oni chcieli brać w tym udział?

– Byli użyteczni. Musieli być pierwsi.

– Pierwsi z wielu? Jak wielu? – Kerra machnęła ręką w kierunku okna i widniejącego za przystanią Hestobylla. – Zniewoliliście już całą planetę. Jak długo zamierzacie to ciągnąć?

To przecież Sithowie, zdała sobie sprawę, odpowiadając na własne pytanie. Ale czy można urodzić się Sithem?

Stała naprzeciwko Krevaakiego i wskazała na bliźnięta.

– Słuchaj, regencie... Jak to się stało, że oni znaleźli się w centrum tego wszystkiego? Dlaczego nikt nie próbuje im pomóc?

– Ależ próbuję. To ja... zaplanowałem to wszystko. Zbudowałem to dla nas wszystkich. Razem spełnimy swoje przeznaczenie.

Quillan rzucił Krevaakiemu gniewne spojrzenie. Dromika poszła za jego przykładem. Regent jakby skulił się pod ich wzrokiem. Kerra to zauważyła.

– Wydaje mi się, że według nich nie odgrywasz tak ważnej roli, jak ci się wydaje – powiedziała. – Jesteś po prostu kolejnym pacholkiem Sithów. Jeszcze jednym narzędziem.

Regent zatrzęsł się z wściekłości.

– Przyłączysz się do nas... to znaczy do nich... albo zostaniesz zniszczona.

– Nie.

Kerra spodziewała się ataku Krevaakiego, więc zaskoczył ją ruch z innej strony. Quillan ukląkł na poduszkach i uniosł drżące dłonie.

Chłopak najwyraźniej nigdy się nie gimnastykował – o ile w ogóle opuszczał kiedykolwiek to pomieszczenie. Jakby w odpowiedzi na ten chwiejny ruch jego siostra wstała i uniosła ręce.

– Padniesz na kolana – powiedziała Dromika, patrząc na Kerrę.

Kerra zachwiała się. Cały dzień opierała się próbom zahipnotyzowania, ale to była zupełnie inna skala. Słowa dziewczyny wbiły jej się w mózg, uginając wolną wolę. Kerra zmarszczyła brwi, ale mentalne osłony ustawiła za późno.

– Padniesz na kolana! – zagrzmiała Dromika, zaciskając pięści. Kerra złączyła nogi, walcząc z przygniatającym ją ciężarem. To było coś więcej niż zwykła sugestia. Miała wrażenie, że Dromika bezwiednie wplata w swoje rozkazy inne formy manipulacji Mocą wpływając na fizyczny świat, żeby zmusił mięśnie i kości Kerry do posłuszeństwa.

Mimo wszystko Jedi walczyła.

– Padnę... na...

– Padniesz na kolana!

Kolana ugięły się pod Kerrą i z głuchym stukiem opadła na podłogę. Uderzyła dłońmi o posadzkę, a jej miecz świetlny wyłączył się i poturlał z brzękiem. Młoda Jedi ze łzami w oczach próbowała doczołgać się do swojej broni, leżącej parę metrów dalej, jednak ogromny nacisk wciąż na nią oddziaływał. Jeśli nie chciała, żeby wycisnąć z niej życie, musiała...

...ukłęknać.

– Regencie-aspekcie – powiedziała Dromika znacznie ciszej. Krevaaki zbliżył się do Kerry, swoje cztery krótkie miecze trzymając wysoko.

Zlana potem Kerra spojrzała w górę, próbując coś powiedzieć. Próbowwała się poruszyć. Próbowwała zrobić cokolwiek, żeby przeciwstawić się stojącemu nad nią oprawcy. Zwinięte macki trzymały cztery rozżarzone narzędzia śmierci centymetry od jej szyi.

Czując ich palącą obecność, Kerra pomyślała o wszystkich niebezpiecznych sytuacjach, z których wyszła cało jedynie przez swój zawzięty upór.

A teraz w końcu własna wola ją zawiodła.



Calician popatrzył na Jedi, zdaną całkowicie na jego łaskę. Tyle czasu minęło, pomyślał, delektując się tą chwilą. Tak wiele utracił, ale ta chwila będzie należała do niego i tylko...

Regent wyczuł, że jego macki się naprężają gotowe zatopić broń w ciele ofiary.

– Nie!

W ostatniej chwili Calician zdał sobie sprawę, że to nie on kontroluje miecze świetlne.

– Pozwól mi to zrobić! – Regent obejrzał się na Dromikę, która stała na skraju sterty poduszek z uniesionymi rękami, siłą woli nakłaniając go do czynu.

– Zniszczysz Jedi! – krzyknęła dziewczyna. Poruszyła palcami, próbując zmusić Caliciana do zadania ciosu. – Zniszczysz Jedi!

Calician zadrżał, zatrzymując miecze świetlne o włos od szyi Kerry.

– Tak... Ja zniszczę Jedi! Nie ty! Ja! – Walczył z siłą która poruszała jego mackami. – Puść mnie!

Dziewczyna patrzyła tylko z wściekłością.

Rozsierdzony Krevaaki stawiał opór, kierując przeciwko swojej młodej pani psychiczną siłę, którą tak często wykorzystywał w jej imieniu.

– Wypuścisz mnie!



Widząc wahanie Krevaakiego, Kerra rzuciła się płasko na podłogę i sięgnęła poprzez Moc. Jej miecz świetlny przetoczył się między nogami regenta i wpadł jej w dłoń. Nie minęła sekunda, gdy Kerra zapaliła go i przeturlała się w prawo, pozbawiając regenta jednej z macek, dzięki którym utrzymywał równowagę. Krevaaki krzyknął i przewrócił się, wypuszczając broń. Wyciągnęła lewą rękę, zgarniając szczątki droidów, i posłała je wszystkie w kierunku gniazda bliźniąt.

Wyzwolona na razie z władzy Dromiki, Kerra podniosła się i zaczęła biec. Dziewczyna poruszyła się; zaczynała reagować. Kerra nie mogła na to pozwolić. Biegając dookoła gniazda, nie próbowała ich dosięgnąć – jedynie zaprzętnąć ich uwagę. Chcąc narzucić Jedi swoją wolę, Dromika musiała się skoncentrować.

Kerra nie miała zamiaru jej na to pozwolić. Kątem oka dostrzegła, jak nastolatkwie reagują na nagły deszcz złomu. Quillan splótł dłonie i wydał z siebie żalospny skowyt; jego siostra chwiała się na stercie poduszek, starając się osłaniać go własnym ciałem.

Kerra zataczała coraz szersze kręgi wokół rodzeństwa. Jednym płynnym ruchem zgasila miecz świetlny i przypięła go do paska. Musiała mieć obie ręce wolne. Czuła się niemal jak w sali gimnastycznej: wrywała pojemniki z otwartych szafek i wyrzucała ich zawartość na środek pomieszczenia. Zabawki. Jedzenie. Ubrania. Wszystko fruwało, mknąc wokół posłania. Poprzez grad rupieci widziała, że chłopak stoi na chwiejnych nogach, zawodząc, a jego bliźniaczka krzyczy coś do leżącego na podłodze Krevaakiego.

Regent nigdzie się nie wybierał, jak orientowała się Kerra – za to Dromika była teraz w ruchu. Młoda Jedi zobaczyła, że dziewczyna zsuwa się ze sterty poduszek na podłogę, wprost w strumień lecących przedmiotów. Teraz Dromika uniosła ręce, naśladowując ruchy dłoni Kerry. Jedi zatrzymała się gwałtownie, podniosła z podłogi przysadzisty tułów jednego z droidów-nianieki i cisnęła nim w kierunku Dromiki. Trafiona metalową kulą dziewczyna upadła.

Quillan krzyknął, a w tej samej chwili Dromika poderwała się z podłogi z nowym zapasem sił. Kerra znów puściła się biegiem, tym razem unosząc Mocą odłamki szyb z podłogi. Musiała ciągle zmieniać strategię, spychając ich do obrony. Cała wiedza bliźniąt na temat walki, czy to fizycznej, czy poprzez Moc, pochodziła z drugiej ręki, od ich sługusów. Nie mogli być w tym dobrzy.

Jednak powoli zaczynało jej brakować przedmiotów do rzucania. Zmieniając znów taktykę, Kerra popędziła przez środek sali i przeskoczyła nad stertą poduszek. Quillan uchylił się, machając na siostrę, żeby wróciła. Tym razem dziewczyna zareagowała lepiej, szybko przemierzając platformę. Kerra obejrzała się za siebie, szukając turbowindy, którą się tu dostała.

I to był błąd. Biegająca za nią Dromika sięgnęła poprzez Moc. Kerra odwróciła się z powrotem i wpakowała się na pustą szufladę jednej z opróżnionych przez nią szafek. Padając obok rozbitego okna, sięgnęła odruchowo po miecz świetlny. Podniosła wzrok – i zobaczyła dziewczynę, zbliżającą się do niej z podniesionymi rękami. Dromika zaczęła mówić...

...ale zaraz wydała nieartykułowany krzyk. Za jej plecami Quillan zobaczył coś, czego ona nie widziała. Dromika odwróciła głowę w stronę okna – by ujrzeć nacierającą na nią lufę działa typu Kelligdyd 5000. Tysiące kilogramów sarrassiańskiego żelaza rozbiły okno, napędzane ruchem stojącego na zewnątrz okrętu, a dziewczyna runęła na podłogę.

Kerra potoczyła się w drugą stronę i popatrzyła ze zdziwieniem. „Gorliwość”! Okręt odsunął się od budynku, wycofując prowizoryczny taran, a razem z nim zabierając okienną ramę. Widząc, że Dromika dochodzi do siebie, Kerra podniosła się i puściła biegiem. Sięgnęła po komunikator.

- To ty, najemniku? – wrzasnęła.
- Głupie pytanie – padła odpowiedź.

Kerra nie mogła zaprzeczyć. Na lewo od siebie zobaczyła Krevaakiego, który próbował się podnieść na pozostałych mu jeszcze mackach. Tylko jeden z jego mieczy świetlnych był zapalony – ale obejrzała się i dostrzegła, że kolejny znajduje się w rękach Dromiki. Powinna była załatwić wcześniej regenta. Czy ta dziewczyna umie się posługiwać mieczem świetlnym? Kerra nie miała ochoty na kolejną konfrontację.

Przemierzając długimi skokami pomieszczenie, Kerra zauważyła, że „Gorliwość” nie wisi już za oknem. Pośliznęła się na dywanie, ale zaraz dowiedziała się dlaczego.

– Nie możemy przerzucić do ciebie rampy! – zatrzęszczał głos Rushera. Statek się pojawił i znów zniknął za oknem. – Ustawimy się pod budynkiem, tam gdzie wystaje poza szczyt. Będziesz musiała przeskoczyć!

Jak zwykle, pomyślała Kerra. Obejrzała się za siebie. Regent leżał plackiem, nie mogąc zmusić pozostałych mu kończyn do posłuszeństwa, Dromika jednak wciąż nacierała. Jej zielone oczy poczerwieniały; miały teraz ten sam kolor, co żarząca się w jej dłoni broń. Na prawo od niej Quillan wycofywał się potulnie w stronę okna. Uniósł ręce, naśladując ruchy Dromiki.

A może było odwrotnie?

„Dziel i rządź”, mówił Bothanin. Kerra spojrzała w oczy Quillana, całkiem ożywione, w odróżnieniu od nieobecnego wzroku jego siostry. A więc to nie Dromika pociąga za sznurki, zdała sobie sprawę. Ona jest tylko jeszcze jedną marionetką – w rękach Quillana!

– Stój! – krzyknęła bliźniaczka, unosząc wolną rękę. Stojąca naprzeciw niej Kerra zadrżała pod wpływem psychicznego nacisku...

...i ruszyła biegiem. Przemknęła między Dromiką a regentem, kierując się prosto na Quillana. Chłopak patrzył na nią w niemej panice, trzymając w górze rękę, podobnie jak jego siostra. Nacierając, Kerra zauważyła, że Dromika opada z sił, pozbawiona łączności z umysłem brata.

– Ngaaah! – wrzasnął Quillan. Kerra zanurkowała pod jego ramię, objęła go w pasie i popchnęła w stronę okna, gdzie widziała ostatnio „Gorliwość”. Dźwignęła Quillana ponad szczybatym brzegiem szyby i przeniosła go na drugą stronę.

Zaczęli spadać. Kerra zobaczyła przemykające koło niej dolne poziomy Poddasza i zbliżający się pokład widokowy luksusowego liniowca, zamieniony w gniazdo obserwacyjne okrętu wojennego. Podtrzymała nogą od dołu przerażonego nastolatka i po chwili uderzyła mocno o kadłub. Białe żar zalał ją od stóp aż po oczy.

Oszołomiona, przetoczyła się z leżącym częściowo na niej Quillanem.

„Gorliwość” także się obróciła, unoszona przez prądy powietrzne znad przystani. Kerra z chłopcem zsunęli się do tyłu, w kierunku relingu i zatoki kilkaset metrów niżej. Młoda Jedi wyciągnęła rękę, rozpaczliwie szukając czegoś, czego mogłaby się uchwycić.

Tymczasem poczuła na dłoni mocny, metalowy chwyt.

– Mamy ją! – wrzasnął Dackett.

– Wynosimy się stąd! – usłyszała zaraz Kerra. Dackett i dwóch wciągnęło ich do góry; dostrzegła Rushera, częściowo przysłoniętego przez otwarty właz.

– Zostaw mnie! – krzyknęła, bezskutecznie próbując się uwolnić. – Tan i Beadle wciąż tam są!

– Mamy ich tutaj – zawołał Rusher i zrobił miejsce dla swoich ludzi, żeby mogli ją wciągnąć przez właz. Popatrzył na szamoczącego się słabo Quillana. – Nie sądzisz, że mamy tu już dość dzieciaków?

Kerra spróbowała wyrwać się z chwytu żołnierzy sprowadzających ją po drabince. A więc Tan i Beadle się uratowali! Ale nie tylko oni byli w niebezpieczeństwie. Zostali przecież Celegianie, którzy cierpieli niewyobrażalne katusze, żyjąc w ciasnych pułapkach. A co ze wszystkimi innymi na Byllurze? W całej Diarchii?

– Nie możemy się stąd wynieść! – powiedziała i skrzywiła się z bólu, gdy członkowie załogi stawiali ją na pokładzie. – Nic nie rozumiesz. Ja na pewno nie mogę odlecieć.

– Nic z tego, Holt – odparł Rusher, nakazując gestem zamknięcie włazu. Zbliżył do ust komunikator i zadysponował: – Prędkość orbitalna, natychmiast.

– Nie możesz mnie zmusić, żebym leciała z wami!

– Ładunek, który wiozę, należy do ciebie – oświadczył Rusher, schodząc po drabince. – Dopóki nie zostanie dostarczony, leć tam gdzie my.

Czując, jak statek wyrywa się do przodu, Kerra padła zrezygnowana na pokład. Rusher ominął opatrującego ją sanitariusza i ruszył korytarzem. Jedi obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Znowu zostawiasz różne istoty na pastwę losu. To nie poprawi twoich statystyk.

ROZDZIAŁ 17

– To jeszcze dziecko! – Rusher postukał gałką swojej laski w barierkę wokół centrum dowodzenia. – A ty mi mówisz, że jest Sithem?

– Lordem Sithów – sprostowała Kerra.

– No tak, to wygląda nieźle – stwierdził brygadier. – Lorda Sithów jeszcze nie mieliśmy w swojej kolekcji. Dobrze, że ściągnęłaś go na pokład! – Popatrzył gniewnie na Jedi, która siedziała na pluszowej wykładzinie na mostku, masując stłuczone udo. Koncentrowała się na tym samym co Rusher – na chłopcu skulonym w kącie, daleko z przodu. Rusher postawił uzbrojonych strażników po obu stronach nastolatka, chociaż nie wydawało się to konieczne. Dzieciak był wrakiem człowieka. Odkąd pojawił się z Kerrą na most ku, na przemian wyglądał nerwowo przez iluminator na widoczną w dole Byllurę i wył z głową wtuloną między kolana. Lord Sithów w pizamie, parsknął w duchu Rusher. Teraz widziałem już wszystko.

– Nigdy dotąd nie był w przestrzeni kosmicznej?

– Quillan nigdy wcześniej nie opuszczał swojego pokoju – odparła Kerra, przesuwając się bliżej chłopca, by po chwili się wycofać. Postawa Jedi oscylowała między współczuciem a nieufnością. Rusher dowiedział się od niej, że zaledwie kilkanaście minut wcześniej chłopak próbował ją zabić. A przecież „Lord Quillan” nie wyglądał groźnie. Wydawał się raczej... upośledzony umysłowo. Kerra wpatrzyła się w kosmos otaczający Quillana ze wszystkich stron.

– Ten przeklęty taras widokowy zamiast mostka... Nie możesz spolaryzować iluminatorów albo coś?

– Nie podczas ataku – powiedział Rusher, omiatając wzrokiem przestrzeń od bakburty do sterburty. Były tam wszystkie okręty wojenne Diarchii, te, które widział nad Hestobyllem; wchodziły w skład sporej floty, obejmującej także krążowniki i myśliwce z tępo zakończonymi dziobami. Diarchia nie żartowała. Ale chyba nie chodziło jej o nich – przynajmniej na razie. Wbrew słowom brygadiera „Gorliwość” nie była atakowana. Odkąd weszli na orbitę, flota Diarchii tylko czekała, ulokowana między nimi a punktem docelowym ewentualnego skoku w nadprzestrzeń. Chcąc opuścić układ byllurański, musieliby przedostać się przez tę grupę drapieżników gotowych do ataku. Rusher wcale nie liczył na to, że nagle odlecą z jakąś inną misją, tak jak to miało miejsce na Gazzari.

– Twierdzisz, że ten dzieciak jest ich szefem, tak? – powiedział, wskazując na Quillana. –

Więc to dlatego nas nie atakują?

– Nie wiem – odparła Kerra. Wszelkie próby porozumienia się z chłopcem spęły na niczym. – Myślę, że czekają na rozkazy.

– Od niego?

– Od kogokolwiek. – Jedi wstała, spoglądając na szeregi nieruchomych statków kosmicznych.

Rusher skinął na Besaliska w centrum dowodzenia, nakazując mu skanowanie wszystkich kanałów pochodzących z Byllury. Gdyby ktokolwiek się odezwał, chciał o tym wiedzieć pierwszy.

– Słuchaj, Holt... skoro ten chłopak jest ich szefem, to czy nie mógłby im powiedzieć, żeby się odchrzanili?

Kerra popatrzyła na nastolatka, który dygotał i zerkał na nią zaczerwienionymi oczami.

– Nie sądzę, żeby zdołał komukolwiek coś powiedzieć – stwierdziła. – Nie bez swojej siostry.

Rusher machnął ręką.

– No to dawać ją na łącza!

– Nie!

Brygadier zakołysał się na piętach, zaskoczony tak zdecydowaną odpowiedzią.

– To znaczy – dodała Kerra spokojniejszym tonem – myślę, że to chyba tak nie działa. Ona przemawia za niego, ale on mówi do niej tylko poprzez Moc.

– Myślałem, że potraficie przekazywać te swoje dyrdymały na odległość.

– To nie takie proste, jeśli nigdy wcześniej się tego nie robiło – wyjaśniła Kerra. – A Quillan nigdy nie musiał tego robić.

Rusherowi zakręciło się w głowie. Wzburzony przejechał gałką laski po barierce, wywołując głośne klekotanie. Młody Sith znów zaczął zawodzić.

– Jasne, jasne – parsknął Rusher. – Mnie też się chce płakać. – Głośno tupiąc, ruszył w stronę Jedi. – Żadnego z was tu nie chcę widzieć!

Kerra spróbowała wstać i wzdrygnęła się, czując ból w nodze.

– Dałeś to jasno do zrozumienia.

– Nie bez powodu na pokładzie „Gorliwości” nigdy nie było Sitha – oświadczył Rusher, marszcząc brwi. – Dzięki temu ja i moja załoga byliśmy bezpieczni, a oni trzymali się z dala od ciężkiej artylerii. – Ruchem ręki wskazał na gwiazdy za flotą Diarchii. – Nie uczą was własnej historii w Republice? Może słyszałeś o czymś takim jak maksyma Telettoha. Brzmi to...

– ...nigdy nie wpuszczaj Malaka na pokład – dokończyła Kerra.

– Otóż to! – Całe pokolenia zawodowych żołnierzy znały opowieść o republikańskim admirał, który zabrał na pokład Sitha w przebraniu Jedi. Przez resztę kariery starał się naprawić wyrządzone wówczas szkody. – Możemy brać od nich robotę. Możemy brać od nich

paliwo. Ale nie zabierzemy Sitha nawet na drugą stronę ulicy. Przynajmniej dopóki ja...

– Ogień, panie brygadierze! – zawołał z centrum dowodzenia Morrex.

– Strzelają do nas? – Rusher podbiegł z powrotem do barierki, zapominając o złości.

W odpowiedzi łącznościowiec wskazał na monitory. Powierzchnia Byllury w miejscu, gdzie nad kontynentem i położonym na nim Hestobyllem zapadała właśnie noc, była rozświetlona. Nie było to jednak normalne światło.

Ale ogień.

Kerra pokuśtykała w stronę okna na bakburcie. Patrząc na powierzchnię przesuwanego się w dole świata, wskazywała na miejsca położone wzdłuż linii terminatora. Rusher dołączył do niej z makrolornetką w dłoni. Na kilku poziomach stołecznego miasta strzelały w górę płomienie.

– Zamieszki? – zapytał brygadier.

– Lud się chyba budzi – powiedziała Kerra. – I jest wściekły. – Wyjaśniła Rusherowi, że ze stoliwa płynął do wszystkich sługusów bliźniąt nieprzerwany strumień rozkazów. Teraz, gdy siostra Quillana nie miała żadnych poleceń do przekazania, dotychczasowy ład się rozpadał.

Rusher potarł czoło.

– I pierwsze, co robią, to podpalają swoje miasto? Nie widzę w tym żadnego sensu!

– A skąd mają to wiedzieć? – odparła Kerra. – Przez lata mówiono im, kiedy muszą pracować, spać i jeść. Po raz pierwszy mają możliwość wyboru. – Zawahała się. – Chociaż przyznaję, że to dziwny sposób na spędzenie pierwszego dnia wolności.

– Mnie nie pytaj – powiedział Rusher. – Ja niszczeniem zarabiam na życie. – Obejrzał się przez ramię na okręty za oknem. – Jeśli to nasza szansa, to może powinniśmy się ulotnić, zanim się zorientują jaka to frajda.

– Jasne – zgodziła się Kerra. – Chyba masz...

– Nadchodzące połączenie, brygadierze!

Parę dni wcześniej ukazał im się Daiman, za to teraz w słabym świetle pojawił się kolejny Sith. Posępny Krevaaiki z mackami ukrytymi pod peleryną.

– Kto to jest? – spytał Rusher.

– Regent – wyjaśniła Kerra. – Nie wiem, jak się nazywa. – Z przodu dobiegł pisk chłopca, oszołomionego tym dziwnym widokiem.

– Nazywam się Saaj Celegianin – odpowiedziała holograficzna postać. Krevaaiki zakaszła i spuścił wzrok. – To znaczy Saaj Calician. – Zawiesił głos i się wyprostował. – Teraz już to wiem.

Rusher popatrzył na niego, zaintrygowany.

– Wie, jak się nazywa? Duża rzecz.

– Naprawdę duża – odparła Kerra. – Cicho bądź. – Utykając, podeszła bliżej, żeby zwrócić się bezpośrednio do hologramu. – Czego chcesz?



Wiele kilometrów niżej, w sterowni Poddasza, Calician stał obok śpiącego w swojej tubie Celegianina, wpatrując się w siedem monitorów, które wyświetlały obrazy z Hestobylla. Był to jeden z nielicznych pozostałych fragmentów systemu monitoringu, które nie zostały zastąpione przez fruwające mózgi – a teraz stały się jego jedynym źródłem informacji o tym, co się dzieje.

Zgodnie z rozkazem robotnicy w tajnych podziemnych stocznich zaczęli pracę nad kolejnymi okrętami, gdy tylko zbudowana niedawno flota szczęśliwie wystartowała. Niestety, znajomość procesów odlewniczych była domeną nie samych robotników, ale niewielkiej grupki ekspertów, znajdujących się na jednym z dolnych pięter ulokowanego wewnątrz stoliwa kompleksu. Normalnie Celegianie przekazywali instrukcje ubranym w szkarłat Unifikatorom w zakładach na całej Byllurze, co pozwalało prowadzić prace w wielu miejscach naraz. Kiedy jednak centralny Celegianin przestał przysyłać wiadomości, fabryki w krytycznym momencie zostały pozbawione specjalistycznej wiedzy. W sześciu miejscach w Hestobyllu formy odlewnicze wypełniły się roztopioną durastalą, która zaczęła się przelewać, wywołując serie eksplozji. Calician zauważył, że podobne problemy wystąpiły też w trzech zakładach zbrojeniowych.

Calician patrzył na szerzący się chaos spod ciężkich powiek. Byllura stanowiła modelowy przykład centralizacji Sithów: był to nieelektroniczny system zorganizowany wokół woli jednego Lorda. A teraz były regent patrzył, jak to wszystko się kończy. Ciało mogło przetrwać bez myślącego umysłu tylko wtedy, jeśli poszczególne organy znały swoje zadania. Bez Jednego układ był niesprawny. A bez woli bliźniąt nie mógł być naprawiony.

– ...pytałam, czego od nas chcesz.

Słyszac głos Jedi, Calician powlókł się z powrotem przed holograficzny nadajnik – najszybciej, jak potrafił na pozostałych mu mackach.

– Chciałem po prostu się dowiedzieć, czy chłopiec, Quillan, jeszcze żyje.

– Po co ci to? – Ciemnowłosa Jedi stała się jakby bardziej nieufna. – Chcesz negocjować?

– Nie, na to już za późno – stwierdził Krevaaiki, po czym opisał pokrótce katastrofy przemysłowe szerzące się na Byllurze. Skierował kamerę na monitor pokazujący Dromikę, która nie odzyskała przytomności, odkąd jej brat zniknął za oknem. – Ona nie potrafi odróżnić fizycznej obecności od tej, którą wyczuwa poprzez Moc. Nie widzi go, więc go nie szuka – wyjaśnił, spoglądając na nieruchome ciało dziewczyny. – Tylko ona potrafiła się z nim porozumieć i przez to stała się jego niewolnikiem, tak samo jak ja. – Calician skierował kamerę z powrotem na siebie. – Zabij go, jeśli sprawi ci to przyjemność – prychnął, unosząc przypalony kikut, w którym trzymał wcześniej miecz świetlny. – Mnie może by sprawiło.

Kobiecie odebrało mowę.

Z drugiej strony zatoki dobiegła kolejna eksplozja, na tyle głośna, że słycać ją było przez

pozbawione okien ściany sterowni.

– To była jedna z elektrowni – oznajmił Calician. Jedi skrzyżowała ręce na piersi, marszcząc brwi.

– Nie możesz wydawać poleceń przez komunikator, jak wszyscy?

– Nasi poddani nie mają komunikatorów. Dodatkowy system łączności ułatwiłby zadanie potencjalnym wichrzycielom – wyjaśnił. – A uprzedzając twoje pytanie: pozostali Celegianie także się zbuntowali, tak samo jak Jeden. Nie mogę ich wykorzystać.

– Nie miałam zamiaru o to pytać – odparła kobieta. – Ale chciałabym, żebyś ich uwolnił.

– To, Jedi, jest ostatnia rzecz, jaką bym zrobił – oświadczył. – Ale i tak nie mogę już nic poradzić. Pozostawię to innym, kiedy przybędą. – Zerknął na drugi monitor. – A wygląda na to, że już się zjawili.



– Innym? O co mu...

Zanim Kerra zdążyła dokończyć pytanie, w przestworzach wokół mostku „Gorliwości” zaroilo się od statków.

Jeden po drugim olbrzymie białe okręty wyskakiwały z nadprzestrzeni, otaczając planetę i flotę na jej orbicie. Długie i majestatyczne, krystaliczne jednostki wojenne – niczym płatki śniegu na szpilce, pomyślała Kerra – natychmiast otworzyły ogień do statków Diarchii.

Kerra ruszyła chwiejnym krokiem w kierunku centrum dowodzenia, gdzie Rusher i jego załoga dopiero zaczynali reagować. Podobnie jak okręty Diarchii, zauważyła, wyglądając przez iluminator na sterburcie. Oni sami nie potrzebowali wskazówek z Byllury, żeby podjąć działania obronne, ale poruszali się dość niemrawo w porównaniu z krążownikami i myśliwcami o podobnych kształtach.

– Zabierz nas stąd! – zawołała.

– Którędy?

– Wszystko jedno!

„Gorliwość” odbiła w bok, oddalając się od Byllury torem wiodącym przez sam środek bitwy. Kerra zauważyła, z jaką precyzją uderzali nowo przybyli. Dwa płonące okręty Diarchii były niesprawne – ale do uratowania. Napastnicy starali się nie niszczyć swoich ofiar.

– Nigdy wcześniej ich nie widziałem – stwierdził Rusher, stając przed oknem obok Kerry.

– Myślałam, że żyjesz w tej okolicy!

– Żyję na tym statku – odparł, nerwowo obracając w dłoniach laskę. – Pracuję wszędzie. Tyle że nikt nie wie, ilu jest Lordów Sithów. Nie wiadomo, czy to w ogóle są Sithowie.

Kerra się nachmurzyła. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby to był ktoś inny dla odmiany. Ale tutaj, pomiędzy rywalizującymi ze sobą państwami Sithów, było to mało prawdopodobne.

Przytrzymując się Rushera, żeby nie upaść, kiedy „Gorliwość” lawirowała między okrętami – w całym tym zamieszaniu prawie zapomniała o swojej kontuzji – Kerra była bliska załamania psychicznego. Ziścił się jej najgorszy koszmar z Darkknell. Obawiała się, że właśnie to stanie się w Daimanacie, jeśli ona spowoduje wewnętrzny rozpad, który będzie widoczny dla innych. Obejrzała się przez ramię na Byllurę. Nie było czasu, żeby uwolnić kogokolwiek. Cała Diarchia się waliła – a rywale bliźniąt najwyraźniej się o tym dowiedzieli. Ale jakim cudem stało się to tak szybko?

Nagle uświadomiła sobie, Diarchia graniczy z terytoriami Daimana. Czy te statki należały do niego? Co zrobiłby Daiman, gdyby wiedział, jaką władzę mają bliźnięta? Jego największym pragnieniem było zawsze całkowite podporządkowanie sobie innych istot organicznych, uczynienie z nich przedłużenia własnej woli. A te bliźnięta dokonały czegoś, co jemu się nie udało.

Daiman z jakichś powodów zbyt wielką wagę przywiązywał do własnego ja, do swojej indywidualności. Chciałby wchłonąć innych, ale jednocześnie zanadto lubił nad nimi dominować, żeby pozwolić na prawdziwe zespolenie woli i materii. Za to Quillan i Dromika nie znali pojęcia „innych”. Kerra zrozumiała, że od wczesnego dzieciństwa traktowali oni Moc jak jeden ze zmysłów. Nie potrafili wyraźnie rozgraniczyć własnej jaźni od innych. Pomimo wszystkich swoich przechwałek Daiman zbyt późno zgłębił tajniki Mocy. Wiedział już wtedy, kim jest.

A co mógłby zrobić, gdyby schwytał teraz bliźnięta? Czy mógłby je dokooptować do własnej osobowości?

Uczyć się od nich?

Kerra spojrzała na monitor taktyczny. Do opuszczenia strefy walk „Gorliwości” było jeszcze daleko – a przed sobą mieli kolejny, największy statek. Okręt flagowy, który został z tyłu i wszystko obserwował.

A w tym momencie zagradzał im drogę.

Kerra obejrzała się. Za plecami wciąż miała hologram.

– Calician, nie możesz nic zrobić? Były regent pokręcił smutno głową.

– To nie jest mój dom. – Zamilkł, a po chwili podniósł wzrok. – Sukcesorka zadecyduje o naszym losie.

Obraz zniknął.

– Schwyтали nas promieniem ściągającym, brygadierze! – zameldował ktoś. Rusher popatrzył na Kerrę z niedowierzaniem, powtarzając bezgłośnie:

„Sukcesorka?”



– To na pewno ona – powiedział Narsk, stojąc w drzwiach okrętu flagowego. – To Kerra Holt.

– Bothanin popatrzył na hologram, szczerząc zęby w uśmiechu. Dostyc uciekania, mała Jedi, pomyślał.

To było równie łatwe jak reszta tego zadania.

Narsk przyleciał na Byllurę dzień wcześniej na pokładzie specjalnego, niewykrywalnego dla radarów myśliwca, ofiarowanego mu przez ostatniego pracodawcę. Szybko zlokalizował system monitoringu, który istniał od początków panowania bliźniąt, i zainstalował tajny nadajnik. Potem udał się na wzniesienie nad kataraktami, żeby śledzić sygnał z urządzenia.

Był zaskoczony – choć niezbyt zaniepokojony – kiedy zobaczył tego ranka Jedi i jej okręt. Ale wszystko dobrze się ułożyło. Z tego miejsca jeszcze łatwiej było mu przechwycić łączność z transportowca artylerii. Dzięki temu dowiedział się, że Kerra faktycznie utkwiała w samym centrum chaosu, jaki szerzył się w dole; kiedy zobaczył ją, jak pędzi w kierunku stoliwa, polecił swojej klientce, żeby była w gotowości.

A gdy upewnił się, że Jedi jest w środku, wkroczył do akcji, podsuwając jej informacje, których potrzebowała. Nie czekał nawet na efekty, tylko wyruszył z powrotem w przestrzeń kosmiczną na spotkanie z nadlatującym okrętem flagowym.

Łatwizna. Jedi nie zawiodła.

– Bardzo dobrze, Narsku Ka'hane. Usiądź.

Narsk rozsiadł się w pokrytym skórą fotelu, obserwując parę własnego oddechu. Utrzymywała tu bardzo niską temperaturę. Nad lśniącą warstwą szronu popatrzył na swoją pracodawczynię. Była najładniejszą z Lordów Sithów, dla jakich pracował. Daiman zawsze starał się swoim wyglądem skupiać na sobie uwagę, ale ona po prostu na to zasługiwała.

Ta kobieta rasy ludzkiej, zaledwie o parę lat starsza od Kerry, pozowała na szlachetną wojowniczkę w białym futrze i zbroi. Na jej gładkiej skórze osiadł szron. Złote oczy, które mu się przyglądały, były wąskie i przenikliwe.

Narsk nie był człowiekiem, ale gdyby był...

– Dziękuję za dobre wykonanie zadania, agencie – powiedziała, wchodząc na górny poziom mostka. – i za pomysł. – Spojrzała na hologram. – A więc to ty jesteś tą Jedi.

– A ty... masz teraz przewagę.

– Owszem – przyznała. – Nazywam się Arkadia Calimondra. Jestem Lordem Sithów i chcę wam pomóc.

CZĘŚĆ III



ARKADIANAT

ROZDZIAŁ 18

Nadprzestrzeń stała się dla Kerry azylem; jedynym, jaki miała, odkąd znalazła się na terytoriach Sithów. Wokół mogło panować nieszczęście i cierpienie, ale tego dziwnego miejsca między gwiazdami nawet Sithowie nie potrafili zniszczyć.

Kiedy w przeszłości podróżowała między światami, Kerra zawsze robiła to z własnej woli. Tymczasem „Gorliwość” musiała teraz podążać szlakiem nadprzestrzennym za krystalicznym okrętem flagowym i jego flotą pod groźbą dezintegracji. Kerra już chciała się sprzeciwić, ale Rusher nie miał zamiaru zbaczać z podanego kursu. Dzień spędzony w Diarchii kosztował ich zbyt dużo. Wszyscy stracili zapał do walki – nie wyłączając młodej Jedi.

Nikt nie wszedł na ich pokład, ale przed skokiem w nadprzestrzeń kazano im podać liczbę wojowników i uchodźców znajdujących się na „Gorliwości”. Kerra niechętnie przyznała, że na pokładzie są setki uczniów, ale obawiała się, że napastnicy mogliby zniszczyć po prostu cały statek. Zresztą kobieta na hologramie i tak świetnie знаła ich sytuację.

Ta nowa Sithanka była zagadką – naprawdę poważną zagadką. Kerra przez część podróży w nadprzestrzeni zajmowała się analizą tych paru słów wypowiedzianych przez Arkadię. Rusher najwyraźniej nic nie wiedział – ani o niej, ani o jej posiadłościach. Jak nazwał to jej łącznościowiec? Arkadianat. Kolejny niedoszły watażka z nazwanym na własną cześć imperium. Tego właśnie było trzeba galaktyce.

Rusher nie rozpoznał wprawdzie emblematu na jej okręcie flagowym – siedem splecionych szewronów, po jednym na każdy z kolorów widzialnego spektrum – zrozumiał jednak nazwę statku. „Nowy Tygiel” nawiązywał do leldisa, starożytnego Lorda Sithów, który był wzorem dla wielu duchowych spadkobierców – a wśród nich także Odiona. Tygiel leldisa był stworzoną przez niego nowatorską instytucją wojskową, która miała przekształcać pokojowo nastawione ludy w gorliwych wojowników. W mniej odległych czasach kilku Lordów Sithów próbowało wskrzesić tę ideę na własną modłę. Gdy Kerra usłyszała wyjaśnienia Rushera, zamarło jej serce. Oto trafiliśmy z jednego siedliska niewolnictwa w drugie, pomyślała.

Na początku podróży Rusher chyba poszedł się przespać do swojej kajuty, a może wrócił do swojego solarium, żeby nabrać sił. Kerra tego nie wiedziała. Bojąc się zostawić Quillana samego – na pokładzie „Gorliwości” nie było odpowiedniej celi – próbowała odpocząć na miękkiej podłodze, w miejscu, gdzie mogła mieć go na oku. Nie udawało jej się jednak pospać dłużej niż godzinę ze względu na hałas panujący na mostku. Ale przynajmniej sam wiezień był cicho – Quillan uspokajał się z każdym rokiem świetlnym, oddalającym

„Gorliwość” od Byllury.

Kerra część zasługi za taki stan rzeczy przypisała Tan. Sullustanka, która przyszła na mostek, żeby zobaczyć się ze swoją dawną współlokatorką, zauważyła wzburzonego Quillana zwiniętego w kłębek u stóp ziewających strażników. Zanim Kerra zdążyła zaprotestować, Tan klapnęła na podłogę niedaleko chłopaka, sądząc, że to po prostu jeden z uchodźców. W pewnym sensie oczywiście tak było. Podczas gdy mała trajkotała o widokach i dźwiękach otaczającej ich nadprzestrzeni, Quillan przestał drzeć i zaczął się jej przyglądać.

Kerra obawiała się początkowo, że chłopiec szuka kolejnej potencjalnej marionetki, ale nie zaobserwowała w Mocy niczego takiego. Wydawało się raczej, że dziewczyna działa uspokajająco na rozgorączkowanego nastolatka. Kerra wiedziała, że Tan była w podobnym wieku co Dromika, i na swój żywiołowy sposób wydawała się równie dziecinna. Jeszcze przed tygodniem uczyła się pilnie w mieszkaniu rodziny Tengo, a teraz dotrzymywała towarzystwa Lordowi Sithów; brzmiało to równie absurdalnie jak wszystko inne.

Wszystko, co zaszło w tym czasie, przypominało niekontrolowany poślizg. Siła rozpędu zaprowadziła Kerrę z Chelloi aż na Byllurę. Ale kiedy teraz „Gorliwość” wraz ze swoją eskortą wyszła z nadprzestrzeni pośrodku niebieskawego skupiska nowo narodzonych gwiazd, Jedi poczuła lęk. Podczas lotu na Gazzari nie miała wpływu na cel podróży, ale przynajmniej знаła plan na potem; wiedziała, co ma robić po przybyciu na miejsce. Teraz, widząc przed sobą biały świat poprzecinany różowymi pasami, wiedziała jedynie, jak nazywa się ta planeta. Zresztą informacja pochodziła od porywaczy.

Planeta Syned. Studiując to, co na pokładzie jego statku uchodziło za gwiazdne mapy, Rusher stwierdził, że nazwa brzmi trochę jak „sine”. Kerra twierdziła, że to dziwne skojarzenie, ale tylko do czasu, aż podlecieli bliżej. Pasowało. Syned był lodowatą bryłą. Położony niedaleko swojej młodej gwiazdy, ale zbyt słabo przez nią ogrzewany glob obracał się szybko, a słabe światło słoneczne przesuwano się tylko po jego lodowej powierzchni.

O ile jednak z orbity planeta wydawała się gładka i bez wyrazu, z bliska Kerra dostrzegła gigantyczne, ukośnie położone płyty – pozostałości ruchów tektonicznych. Gdzie indziej powierzchnię szpeciły jaskrawe smugi – ślady aktywności kriowulkanicznej. Być może Syned był teraz skostniały w bryle lodu, ale nie zawsze był spokojnym miejscem.

„Gorliwość” skierowano w poblizę oblodzonej formacji skalnej na skraju szerokiej niecki. Po przeciwnej stronie niecki znajdowało się coś, co wyglądało na niewielkie skupisko szklanych budowli, może cieplarni. Dookoła na lodzie stało kilka innych statków kosmicznych. „Nowy Tygiel” nie wylądował razem z nimi, tylko wypuścił wahadłowiec w kierunku budynku w kształcie litery „A”, stojącego na oszronionej równinie.

To miał być sygnał dla nich. Kerra i Rusher wyszli, zgodnie z rozkazem, na powierzchnię Syneda, oboje w skafandrach, które brygadier wyciągnął z ładowni. Powierzchnię planety pokrywała wprawdzie warstwa atmosfery, jednak biorąc pod uwagę temperaturę, zdjęcie skafandrów byłoby pierwszym krokiem na drodze do powolnego samobójstwa.

Wyczerpana brakiem snu Kerra rozglądała się dookoła, szukając jakichś wskazówek. Niecka była jednym wielkim parkingiem. Po lodzie jeździły pojazdy gasienicowe kursujące między statkami a cieplarniami – jeśli faktycznie były to cieplarnie. Ciepło i Syned najwyraźniej nie współgrały ze sobą.

Podobnie jak para stojąca przed rampą „Gorliwości”. Wcześniej Kerra tylko to podejrzewała; teraz była pewna. Rusher nie był jej sojusznikiem. Spojrzała na niego spode łba. Nawet tutaj zabrał tę swoją głupią laskę. Jego skafander był źle uszyty i miał barwę miedzi – podobnie jak jej; w Republice oba uznano by za starocie. Mężczyzna kiwał się w przód i w tył; Kerra podejrzewała, że stara się przybrać pozę, w której będzie wyglądał najbardziej posągowo. Nic dziwnego, że pracował dla Daimana.

Spojrzał teraz w górę, na małą gwiazdę Syneda, wyraźnie przesuwaną się po niebie.

– Zaciągnij się do Brygady Rushera, a zobaczysz galaktykę – powiedział przez komunikator.

Kolejny żart. Kerra zrobiła krok naprzód, odwracając się do niego plecami.

– Nie rozmawiam z tobą – oznajmiła.

– Przecież rozmawiasz.

– Nie musieliśmy lecieć za nimi – powiedziała. – Mogliśmy wyskoczyć z nadprzestrzeni, zanim tu dolecieliśmy!

– Wiesz, że to nieprawda – odparł Rusher, stukając laską w różowawy lód u swoich stóp. – Nie mieliśmy pojęcia, kto jeszcze jest na szlaku. Moglibyśmy się z kimś zderzyć, albo jeszcze gorzej.

– Gorzej? – wybuchnęła Kerra. – Właśnie trafiliśmy od jednego Lorda Sithów do drugiego. Znowu. – Odwróciła się i zobaczyła, że Rusher dłubie w lodzie, powstrzymując chichot. – Tan i jej przyjaciele boją się iść spać, bo następnego dnia mogą się obudzić... sam wiesz! – Kerra zamachała teatralnie rękami, nie mogąc złapać tchu. – Mogą się znaleźć w fabrykach śmierci Odiona. Albo wrócić tam, skąd przybyli, żeby pucować posągi Daimana!

Rusher zatrzęsł się ze śmiechu.

– Podoba mi się to twoje nierozmawianie ze mną – powiedział. – Słuchaj, mała Jedi... i tak nie znaleźlibyśmy planety, która nie znajduje się we władzy Sithów. Cierpliwości, sprawdzimy, jak jest tutaj.

– Chciałabym sprawdzić, ale nie mogę – odparła Kerra, oglądając swoje dłonie.

„Nowy Tygiel” nakazał im czekać na zewnątrz, bez broni. Użycie kombinezonu maskującego także nie wchodziło w grę. Mark VI miał dużą odporność na warunki atmosferyczne, jednak temperatura na Synedzie znacznie wykraczała poza dopuszczalną.

Kerra popatrzyła na zachód i zmrużyła oczy. Zaledwie parę minut wcześniej na tej szerokości geograficznej było południe; teraz słońce chowało się już za osadą. Dwa stożkowe generatory promieni ściągających, które dostrzegli z orbity, rzucały długie cienie, przypominając jej, że cokolwiek się zdarzy, „Gorliwość” nie odleci daleko bez pozwolenia.

Jej uzbrojenie było po prostu za słabe.

Mrużąc oczy przed oślepiającym światłem, zauważyła jakiś ruch. Brygadier także to zobaczył; Rusher podszedł bliżej i wcisnął zaskoczonyj Kerrze do rąk swoją laskę, po czym uniósł makrolornetkę. Kerra popatrzyła na kijek, z trudem tłumiąc gniew. Najchętniej rozbiłaby mu hełm tą...

– No, no – powiedział Rusher, opuszczając przyrząd. – Musisz to zobaczyć! Ciekawość wzięła górę nad irytacją, więc Kerra chwyciła makrolornetkę zawieszoną wciąż na szyi Rushera. Ciągnąc brygadiera w dół, skierowała szkła na zbliżający się niewyraźny kształt.

Lord Arkadia Calimondra sunęła ku nim przez lodową taflę. Wyglądała zupełnie jak zimowa księżniczka z holobajek, które Kerra oglądała w dzieciństwie. Oprócz futer i zbroi, które widzieli na niej już wcześniej, Arkadia nosiła srebrzystą pelerynę, falującą w podmuchach mroźnego powietrza, gdy jej wierzchowiec sadył susami przez tundrę. Wielki gad o trzech kończynach odbijał się na stopach, ciągnąc za sobą rozwidlony ogon.

O dziwo, twarz i przedramiona Arkadii były wystawione na działanie srogiego klimatu Syneda. Nawet stworzenie, którego dosiadała, miało widocznie zapewniony dopływ ciepłego powietrza, zauważyła Kerra. Jedynym ustępstwem Arkadii wobec żywiołów była peleryna i muzealnie wyglądające nakrycie głowy. Trzymając jedną ręką lejce, Sithanka sprawiała wrażenie, jakby cieszyła się po prostu rześkim dniem.

Kerra wypuściła z rąk makro lornetkę, przez co Rusher omal się nie wyrócił. Kobieta była teraz całkiem blisko. Kerra próbowała przetrzeć zaparowaną osłonę twarzy, ale bez efektu.

– Jak ten Krevaaki ją nazwał? Sukcesorka, tak? Co to takiego?

– Wdowa – wyjaśnił Rusher. – Starsza kobieta, która dziedziczy po zmarłym mężu jego majątek, na przykład posiadłości.

– Nie wygląda mi na wdowę.

– Masz rację. Nie sądzę, żebym przeżył zejście na ląd w jej towarzystwie – stwierdził Rusher, pocierając otulone rękawicami dłonie. – Ale nie byłaby to zła śmierć.

– Proszę cię – jęknęła Kerra. – Skończ z tą dziecinadą.

Lodowy jaszczur zatrzymał się przed nimi, rozcapierzając szeroko palce stóp, żeby zwiększyć przyczepność na lodzie. Górująca nad nimi Arkadia szarpnęła za wodze. Kiedy odwróciła się na grzbiecie stworzenia, Kerra dostrzegła długi, ozdobny kij, który miała przypięty na plecach.

– Przepraszam za te warunki – odezwała się, a para z jej ust zamieniała się w śnieg. – Nasze hangary są jeszcze zbyt małe, żeby przyjmować statki takie jak wasz. – Nachyliła się i poklepała sapiące stworzenie po pysku. – A poza tym tylko latem mogę pojeździć na beralyksie.

To jest lato? Kerra wpatrywała się w Sithankę. Kobieta miała dwadzieścia pięć, góra trzydzieści lat i wyglądała wyjątkowo zdrowo. Po raz pierwszy wśród spotkanych tu Sithów Kerra zobaczyła malunki na jej twarzy – srebrzyste paski, które otaczały oszronione policzki i

dopełniały wizerunku wojowniczej królowej. Tak, jej wygląd robił wrażenie.

Arkadia wydawała się równie zaintrygowana jak oni. Popatrzyła na Kerrę i uśmiechnęła się znacząco.

– Powiedziałam „bez broni”, Jedi.

– Słucham? – Kerra spojrzała w dół i zobaczyła laskę Rushera, którą wciąż trzymała w lewej dłoni. – Ach, o to chodzi – powiedziała i wzięła ją w obie ręce. – W porządku. – Złamała laskę na kolanie i rzuciła obie części Rusherowi, który spiorunował ją wzrokiem i cisnął połówki na lód.

Arkadia w końcu zwróciła na niego uwagę.

– To jest Kerra Holt z Republiki, z którą rozmawiałam wcześniej. A pan jest kim?

– Jarrow Rusher z Brygady Rushera. – Zasalutował. – To mój statek zmusiliście do lądowania. „Gorliwość”.

– „Gorliwość” – powtórzyła Arkadia. – Tak jak okręt admirała Morvisa?

– Właśnie – potwierdził Rusher, wyraźnie pod wrażeniem.

– Wie pan, że jego wyczyny podczas pierwszej bitwy o Omonoth to było oszustwo?

– Kobieta mówiła bardzo rzeczowo.

– Najwyraźniej wie pani coś, czego ja nie wiem.

– Zapewne.

Sięgającymi do pól uda butami kobieta trąciła gada, który zaczął okręzać stojącą na mrozie parę. Kerra w tym czasie przyglądała się Rusherowi. Brygadier kompletnie oniemiał. Arkadia podważyła zasługi jednego z jego bohaterów historycznych i zrobiła to w sposób wybitnie autorytatywny.

Muszę się poduczyć, żeby też mogła tak robić, pomyślała Kerra.

– Postanowiła nas tu pani ściągnąć – przypomniał Rusher. – Co mogę dla pani zrobić?

– Pytanie brzmi: co ja mogę zrobić dla was? – odparła Arkadia, zatrzymując beralyksa. – Tak jak mówiłam, chcę wam pomóc. Kiedy was znaleźliśmy, opuszczaliście właśnie Byllurę. O ile wiem, macie na pokładzie uchodźców.

Kerra przyglądała się kobiecie, która właśnie zsiadała z wierzchowca. Jedi sięgała Arkadii tylko do brody.

– Uchodźcy nie mieli nic wspólnego z tym konfliktem – wyjaśniła Kerra. – My tylko tamtędy przelatywaliśmy.

– Wiem – odparła Arkadia, wydłubując lód z oczu beralyksa. – Sami nam o tym powiedzieliście. I wiem też, co się stało w Daimanacie. Z arxeum, do którego zmierzali uchodźcy – dodała.

Rusher popatrzył na Kerrę, zdziwiony. Nie wspominali w transmisjach o tym, skąd się wzięli ich pasażerowie.

– Jestem gotowa pomóc waszym uczniom – ciągnęła Arkadia, nie patrząc na nich – i zaspokoić potrzeby pańskiego statku, brygadierze. Ale ja też czegoś od was potrzebuję. –

Nagle odwróciła się w ich stronę. – Macie u siebie jednego uchodźcę z Byllury – powiedziała, przewiercając Kerrę wzrokiem. – W tej chwili chcę tylko jednej rzeczy... zobaczyć się z Quillanem.

Kerra zeszywniała.

– Słucham?

– Nie igraj ze mną, Kerro Holt – ostrzegła Arkadia, spoglądając na nią. – Wiem, że na pokładzie waszego statku przebywa Lord Quillan z Byllury. Jestem gotowa udzielić wam pomocy, ale pod warunkiem, że przyprowadzicie chłopca.

Rusher zrobił krok w kierunku rampy, ale Kerra złapała go za rękę.

– Chwileczkę – powiedziała. Przyjrzała się Arkadii i machnęła ręką. – Posłuchaj, czymkolwiek był ten chłopak... już tym nie jest. Widziałam, co zrobiliście ze statkami Diarchii. Wiem, że on był waszym rywalem. Ale teraz nie stanowi już żadnego zagrożenia. – Zastanawiała się, co też jej przyszło do głowy, żeby występować w obronie Sitha. Ale ta żałosna istota pod strażą wcale go nie przypominała. Już nie. – Nie musisz go zabijać.

Arkadia popatrzyła na Kerrę. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Po chwili lodowatego milczenia nagle wybuchła śmiechem.

– Zabijać go? Oczywiście, że go nie zabiję! – zapewniła, uśmiechając się szeroko. – Jestem jego siostrą.



Daleka od wykończenia cytadela Arkadii położona była wewnątrz kilku połączonych ze sobą lodowych kalder. Zawartość podziemnych zbiorników dawno wyparowała, więc budowniczowie wznieśli po prostu rzędy lodowych filarów, które obłożono warstwą transpastali. W efekcie powstała olbrzymia hermetyczna komora, znacznie większa, niż mogłoby się wydawać z zewnątrz, i wystarczająco przestronna, by pomieścić całe miasto. Jak ślimak ukryty w skorupie, pomyślała Kerra.

Calimondretta, jak nazwała ją Arkadia, była równie pełna życia jak powierzchnia planety martwa. Wysiadając z kabiny gąsienicowego pojazdu, który przysłała po nich Arkadia, Kerra obejrzała wielkie atrium. Setki robotników przemierzały sztuczne podłóże, zastawione stertami zapasów. Ponieważ statki Arkadii zmuszone były parkować na zewnątrz, Hala Patriotów służyła jako ogromny magazyn. Kilka ramp prowadziło z głównego poziomu w dół, do wydrążonych w lodowcu korytarzy.

Gwiazdy świeciły przez transpastalowy sufit; noc zapadła po raz drugi w ciągu czterech godzin. Syned był całkowitym przeciwieństwem Darkknell, gdzie dni i noce ciągnęły się w nieskończoność. W środku było jasno dzięki długim rurom wmontowanym w lodowe ściany. Przepływał przez nie spieniony błękitny płyn, dający ciepłe światło.

– To nasza siła napędowa – wyjaśniła Arkadia, oddając beralyksa pod opiekę nieufnego

zielonoskórego tresera. – Senedańskie algi. – Jak wyjaśniła, ukryte pod lodową pokrywą morza były pełne tych roślin, które czerpały energię ze źródeł termicznych. Całe sektory Calimondretty przeznaczono na uprawę i przetwarzanie alg, które zapewniały zarówno paliwo, jak i żywność dla całej osady. – Wykorzystujemy każdą cząsteczkę. Nic się nie marnuje.

Kerra popatrzyła na swój parujący oddech.

– Mimo wszystko nie jest tu za ciepło.

– Ale z ciebie nudziara – powiedział Rusher, wysiadając z pojazdu. – Nie obwiniaj kogoś, kto mieszka w domu z lodu, że nie włącza ogrzewania.

On przynajmniej miał swój płaszcz, zauważyła Kerra. Jej nie raczył znaleźć czegoś cieplejszego do ubrania, ani też nie odzywał się przez całą drogę tutaj. Podejrzewała, że wciąż ma jej za złe incydent z laską. Cóż, przynajmniej nie zrobiła tego przy załodze. Więc co go ugryzło?

Popatrzyła na ruch pieszy wokół ich zaparkowanego pojazdu. W porównaniu z ponurymi ulicami Darkknell i mechanicznym ruchem Byllury Syned wydawał się pełen energii. Obywatele w Hali Patriotów idąc, patrzyli w górę i dookoła, a nie tylko pod nogi. A ich ubrania, w większości nowe i porządne, były uszyte w różnych kolorach i różnym stylu. Z całą pewnością nie były wytwarzane wyłącznie z alg.

– Mamy coś dla pani – oznajmił Rusher, poklepując bok pojazdu. Ze środka wysiadł szeregowy Lubboon. Wiózł po rampie Quillana na wózku repulsorowym. Chłopiec miał ręce przypięte do poręczy przestarzałego wózka i wydawał się bliski katatonii.

Arkadia stanęła na dole rampy i spojrzała na nastolatka. Na jej twarzy nie widać było żadnych emocji. Quillan także nie reagował – nawet kiedy Arkadia uklękła przy nim, zamiatając peleryną chłodną podłogę. Kerra przyglądała im się uważnie. Poza wysokim czołem nie dostrzegała specjalnego podobieństwa – ani też nadmiaru siostrzanego ciepła bijącego od Arkadii. Ale przynajmniej było to pokojowe spotkanie. Arkadia zapewniła ją zresztą, że nie wszystkie rodzeństwa Sithów są jak Daiman i Odion.

– Wciąż się tam ukrywasz, Quillanku? – spytała Arkadia, patrząc mu w oczy. Nagle chłopak poruszył się na wózku. Przez chwilę jego siostra wydawała się zaskoczona, potem jednak zauważyła Tan, która stała za jej plecami.

– Witaj, dziewczynko – powiedziała Arkadia i popatrzyła na Kerrę. – Co ona tu robi?

– Nie chciałam jej zabierać – odparła Kerra, odciągając Tan. – To jedna z uczennic... to znaczy uchodźców. Ale musieliśmy uspokoić Quillana, żeby móc go przewieźć, a ona bywa w tym pomocna.

Arkadia skinęła głową, wstała i skierowała Beadle'a w stronę lodowego portalu, gdzie czekali jej pomocnicy, gotowi zająć się Quillanem.

– Dlaczego zabrałaś Beadle'a? – szepnęła do Rushera Kerra.

– Staramy się nie stwarzać niebezpiecznych sytuacji, a najgorsze, co może zrobić Lubboon,

to najechać jej wózkiem na nogę.

– Przecież to repulsorowy wózek.

– Wierz mi, dałby radę – odparł Rusher, przewracając oczami. Przynajmniej znów się do mnie odzywa, pomyślała Kerra. Odprowadziwszy brata, Arkadia zwróciła się do wojskowego.

– Wczoraj zapisał się pan w historii, brygadierze. Mam nadzieję, że zdaje pan sobie z tego sprawę.

– Jestem tego pewna – wtrąciła Kerra. – Ale co właściwie masz na myśli?

– Diarchia upadła. Po ośmiu latach państwo Quillana i Dromiki stało się częścią Arkadianatu. – Zastępując dowódców na największych statkach Diarchii, wyjaśniła Arkadia, Quillan mógł z nich uczynić organiczne przedłużenie swojej władzy. Jednak to rozwiązanie miało pewien słaby punkt. Mózgi umieszczone na pokładach krążowników musiały w jakiś sposób otrzymywać rozkazy, a to wymagało nowych technologii. Wprawdzie Arkadia twierdziła, że może sobie wyobrazić wyćwiczonych użytkowników Mocy pokonujących przestrzeń za pomocą telepatii, jednak metoda ta wydawała jej się niepraktyczna. Tego rodzaju wyczyny należały do rzadkości i trudno było na nich polegać. – To błąd wynikający z młodości i niedoświadczenia – zawyrokowała. – Quillan zawsze byłby zależny od jakiegoś fizycznego połączenia. A takie połączenie mogło stać się celem ataku.

Arkadia wyjaśniła też, że wysłała już na Byllurę agenta z zamiarem osłabienia tego połączenia, ale nagle zjawiała się Kerra, zakłócając łączność Quillana u źródła.

– Wtedy właśnie postanowiliśmy ci pomóc – wyjaśniła. – i spisałaś się bardzo dobrze. Zapoczątkowałaś naszą inwazję.

– Pomóc mi? – Kerra znów poczuła klucie w nodze. – Co masz na myśli?

– Dziel i rządź – rozległ się znajomy głos, a po chwili zza pojazdu wyłonił się Bothanin w brązowej kurtce, pasującej do jego futra.

Kerra wlepiła w niego wzrok. Nie widziała go od czasu spotkania w zamku Daimana na Darkknell, ale wtedy na Byllurze z pewnością był to głos Bothanina.

– To ty...

– Rozumiem, że się znacie? – powiedział Rusher, przyglądając się przybyszowi z konsternacją.

– Owszem, znam go. To jest... To jest... – Kerra urwała, nie wiedząc, co powiedzieć. Nigdy nie poznała jego imienia.

– Narsk – przedstawił się Bothanin, patrząc na brygadiera. Rusher otarł szron z brody i się uśmiechnął.

– Już wiem! Ty jesteś tym facetem z koła tortur Daimana!

– Cóż, dzięki za pomoc – powiedział Narsk i minął generała, nie przyglądając mu się specjalnie. – Oto raport końcowy, Lordzie Arkadio.

Arkadia wzięła od szpiega datapad i zaczęła czytać. Narsk w tym czasie referował treść raportu. Siły Arkadii lądowały właśnie na Byllurze, przejmując kontrolę nad całym reżimem.

Kerra złapała go za rękaw.

– Myślałam, że pracujesz dla Odiona!

– Jestem niezależnym najemnikiem – odparł chłodno Narsk. – Podobnie jak twój przyjaciel, który nikomu nie pomaga. Arkadia zaoferowała najwięcej. – Zawiesił głos. – Na razie.

– Za to cię lubię, Narsk – powiedziała Arkadia, nie podnosząc wzroku znad datapadu. – Wiem, czego mogę się po tobie spodziewać. – Po jej twarzy przemknął lekki uśmiech. – To mi się podoba.

– Twoje siły zajęły Hestobyll bez jednego wystrzału, pani – oznajmił Narsk.

Straż przednia Arkadii, jak poinformował Bothanin, instalowała się na Poddaszu i rozsyłała oddziały, które uwalniały Celegian na całej planecie. Sieć komunikacyjna Diarchii miała być rozmontowana, a wszyscy jej mieszkańcy, łącznie z fruwającymi mózgami, mieli stać się obywatelami Arkadianatu.

Kerra popatrzyła w kierunku, w którym zabrano Quillana.

– Co stanie się z Dromiką?

– Pozostanie w swoim domu pod opieką i nadzorem – odparła Arkadia. – Z dala od brata. Ze względu na ich szczególną więź nie powinni się już nigdy zobaczyć. Nie wiem, jakie życie czeka Dromikę, ale sądzę, że będzie lepsze niż to, które wiodła do tej pory. – Zamilkła na chwilę. – Później ją odwiedzę.

– A Calician?

– Nie żyje – powiedziała Arkadia, wciskając Narskowi komputerowy notes. Bothanin pokiwał głową i wziął urządzenie.

– Regent został stracony tuż przed tym, jak odebrałam połączenie. Podobno odszedł spokojnie.

Kerra zrobiła krok do tyłu. Tamta istota, z którą walczyła, zachowywała się jak opętana, ale na hologramie Krevaaiki wydawał się postacią niemal tragiczną.

– Dlaczego musiał zginąć?

– Quillan był głową – wyjaśniła Arkadia – ale to Calician był mózgiem. To on zbudował cały system. Utrzymywał go. Umożliwił wszystko zło, które wyrządził mój brat.

Kolejny pomagier, pomyślała Kerra, spoglądając na Narska i Rushera. Jestem nimi otoczona.

– Każdy Sith widzi inną drogę do panowania nad galaktyką – stwierdziła Arkadia.

– Tymczasem kiedy strategia okaże się błędna, to strateg musi zapłacić. Kerra spojrzała na Bothanina.

– Więc kiedy dokładnie przestałeś pracować dla Odiona i zacząłeś pracować dla niej?

Arkadia uśmiechnęła się do Narska.

– Agent Ka'hane już wcześniej ze mną współpracował – oznajmiła. Jak wyjaśniła, skontaktował się z nią tuż po tym, jak bitwa o Gazzari przerodziła się w wojnę z Lordem

Bactrą, twierdząc, że ma serdecznie dosyć Odiona i Daimana. – i trudno mu się dziwić. Wysłałam go więc na Byllurę. A reszta – dodała, uśmiechając się łagodnie do Rushera – reszta jest historią.

– Pomyślałaś, że mogę wykonać za ciebie brudną robotę – powiedziała cierpko Kerra.

– I wykonałaś – zauważył z szyderczym uśmieszkiem Bothanin.

– Kiedy Narsk poinformował mnie, że tam jesteś, nie wiedzieliśmy jeszcze, co możesz dla nas zrobić – przyznała Arkadia. – Tymczasem wszędzie, gdzie się pojawiałaś, byłaś czynnikiem destabilizującym. Czekaliśmy po prostu na okazję. Narsk uklonił się przed Arkadią.

– Czy mogę się jeszcze do czegoś przydać?

Arkadia przyglądała się Kerrze przez kilka sekund.

– Niewykluczone. Nie oddalaj się, Narsk. Z pewnością znajdzie się dla ciebie jakieś zajęcie.

Bothanin spojrzał na Kerrę.

– Nawet wiem jakie. Ona ma coś, co należy do mnie. Pewnie trzyma to na statku. Kombinezon maskujący, domyśliła się Kerra.

– Aaa, to! Dałam go pewnej dziewczynce. Możesz spróbować to odzyskać. Powodzenia. – Nagle przypomniała sobie o Tan i rozejrzała się, zaniepokojona. – Tan! Gdzie ona się podziała?

Rusher wskazał na jeden z szerokich, oświetlonych na niebiesko korytarzy.

– Poszła z Beadle'em i chłopakiem.

– Znowu to samo – warknęła Kerra. – Czy komuś udaje się czasem wrócić na twój statek?

– Hej, to ty ją tu przyprowadziłaś. No i ty ją zgubiłaś. Kerra poczuła na ramieniu dotyk lodowatej dłoni.

– Nie martw się – powiedziała Arkadia. – Z pewnością jest podekscytowana. W naszym mieście czeka ją wiele atrakcji. Ciebie także.

– Mnie? – Kerra cofnęła się spod ręki Arkadii, rozglądając się dookoła. Spodziewała się, że zaraz zjawią się strażnicy, którzy zabiorą ją tam, gdzie trzymają pojmanych Jedi... zakładając, że mieli takie miejsce. Ale wszyscy dookoła wyglądali na cywilów.

– To nie jest obóz koncentracyjny, Kerro. Tu jest cywilizacja. Nasza oświecona społeczność przyjmie waszych uchodźców z otwartymi ramionami.

Kerra zacisnęła zęby.

– Żadnych strażników?

– No cóż, nie zostaniecie sami – wyjaśniła Sithanka. – Pamiętajcie, że wszyscy obywatele Arkadianatu mają za sobą szkolenie wojskowe i staną w jego obronie, jeśli spróbujecie zakłócić tu spokój.

Zanim Kerra zdążyła odpowiedzieć, Arkadia zaklaskała w dłonie. Podszedł do niej ubrany na fioletowo Twi'lek.

– Zaprowadź brygadiera Rushera do działu zaopatrzenia. Z pewnością jego załoga i pasażerowie mają jakieś pilne potrzeby.

Rusher uklonił się szarmancko i zasalutował, a Kerra rzuciła mu gniewne spojrzenie. Cały czas szuka roboty, pomyślała.

– I wezwij Seese – zawołała Arkadia, ruszając w przeciwnym kierunku. – Mamy wielkie oczekiwania wobec tej Jedi, ale najpierw musi się wielu rzeczy dowiedzieć!

Kerra popatrzyła za Rusherem, który odszedł z Twi'lekiem, po czym obejrzała się na Arkadię. Jeden z asystentów zdjął jej nakrycie głowy, odsłaniając jasne włosy. Inny stał w pobliżu, czekając na każde jej słowo.

Kerrze zakręciło się w głowie. Nie było to powitanie, jakiego Jedi mógłby się spodziewać ze strony Lorda Sithów. W dodatku nikt z dziesiątków istot wokoło nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Nikt poza Bothaninem, który, oparty o pojazd, wodził oczami między nimi dwiema.

ROZDZIAŁ 19

Arkadia chciała, aby Kerra spróbowała wejść w skórę jej obywateli. Spacerując po Calimondretcie, Kerra pomyślała, że cała zmieściłaby się swobodnie w jednym bucie swojej przewodniczki.

Jednak Herglijka poruszała się ulicami skutego lodem miasta z zadziwiającą szybkością, zmuszając Kerrę do energicznego przebierania nogami, by za nią nadążyć. Seese należała do większych przedstawicieli tej niegdyś wodnej rasy; jej potężne, szare ciało mierzyło ponad dwa metry w każdą stronę. W swoim jaskrawożółtym stroju przewodniczka była pewnie widoczna nawet z orbity, pomyślała Kerra.

To nietypowe miasto Sithów wydawało się robić więcej dla wygody większych ras niż większość centrów handlowych Republiki. Wszystkie przejścia były wystarczająco duże dla Herglijki, nawet ruchome schody miały długie, wygodne stopnie.

– Do Arkadianatu przyłączą się teraz Celegianie – mówiła Seese, zjeżdżając na niższy poziom. – Miło będzie mieć w okolicy kogoś o podobnych rozmiarach!

Kerra skinęła głową. Zauważyła parę, unoszącą się z otworu wydmuchowego na czubku oszronionej głowy Herglijki.

– Nie jest ci tu za zimno? – zapytała.

Seese zaniósła się grzmiącym śmiechem.

– Ciało, które pozostaje w ruchu, nie zauważa zimna – odparła i ciągnęła dalej rozmowę o swoim życiu, jak tylko wyszły z kolejnej fabryki. Seese mieszkała w Arkadianacie zaledwie od sześciu lat, ale zdążyła już zaznajomić się ze wszystkim nie tylko na Synedzie, ale i na innych światach swego przywódcy. – A jeszcze miałam czas urodzić czworo dzieci... uwierzysz w to?

Seese istotnie zdawała się wiedzieć wszystko o każdym miejscu, które odwiedzały. Fabryki przetwarzające algi, bez których na Synedzie nie mogłoby istnieć życie. Instalacje odzysku, wyszukujące w wodach głębinowych niezbędne dla życia Arkadii metale. Nawet centra edukacyjne, gdzie młodzież z Syneda zmieniała się w produktywnych i zaangażowanych obywateli. Seese właśnie tu znalazła pierwsze zatrudnienie jako nauczycielka, tuż po tym, jak Arkadia podbiła jej rodzinną planetę.

Jeśli jednak przewodniczka żywiła jakąś urazę z tego powodu, Kerra tego nie zauważyła. Właściwie niewiele konkretów zdołała się dowiedzieć o Arkadii od Herglijki, poza kilkoma banałami na temat bystrego umysłu władczyni. Na początku wycieczki Kerra, pomna słów

Caliciana, zapytała, czy Arkadia jest wdową. Seese zamyśliła się na chwilę, ale nie przypominała sobie, aby jej pani kiedykolwiek miała partnera. Ten temat wywołał kolejną lawinę pochwał na temat Arkadii.

– Oczywiście – grzmiała Seese – musiałyby to być prawdziwy spryciarz, aby zainteresować naszą panią!

Kiedy wkraczały do szóstej z kolei fabryki przy Placu Postępu, Kerra stwierdziła, że jest już zmęczona tą wycieczką zwycięzców. Zrozumiała, że ten pokaz miał udowodnić, że droga Arkadii do władzy była lepsza, niż jakiegokolwiek innego Sitha. Początkowo wydawało jej się, że nazwy tych wielkich podziemnych sal były żartobliwe, ale wszystko wskazywało na to, że ludzie biorą je na serio. Nie było tu Egzekutorów ani ubranych w szkarłat Dygnitarzy. Za to mniej więcej co dwudziesty robotnik nosił niebieską szarfę i miotacz – byli to członkowie Gwardii Obywatelskiej, odpowiedzialni za spokój i porządek.

– Mamy więcej ochotników, niż naprawdę potrzebujemy – wyjaśniła Seese. – Wielu przyjmuje dodatkowe obowiązki, aby pomóc sobie w awansie. Ale rzadko mają coś do roboty.

System istotnie wydawał się niezbyt rygorystyczny – nikt nie sprawiał wrażenia, że pracuje pod groźbą kary cielesnej. Mimo wszystko coś jednak było nie tak. W ogrodach hydroponicznych, gdzie hodowano paprocie jedwabnicze na przędzę, a także tu, w fabryce tekstyliów, której wyroby okrywały obywateli, wszyscy wydawali się jakby odrobinę zbyt gorliwi.

– Zaraz, zaraz – mruknęła Kerra, zauważając zielonoskórego mężczyznę po drugiej stronie hali fabrycznej. – Co tu robi ten facet!

Seese spojrzała w tamtą stronę poprzez kipiącą aktywnością halę.

– Falleen? Zajmuje stanowisko kierownika. On tutaj rządzi.

– Ale ja już go widziałam – odparła Kerra. – Jak tylko tu przyjechałam. Był poganiaczem berałyksów Arkadii!

Herglijka spojrzała obojętnie na wskazaną postać.

– To całkiem możliwe. – Ruszyła przed siebie i zaczęła kierownika. – Hej, obywatelu. Jesteś tu nowy?

– Awansowałem w tym cyklu roboczym – odparł Falleen, obdarzając ją krzywym uśmiechem. Odwrócił się znów do pulpitu sterowania, który migał wściekle światłkami.

Kerra obserwowała zmagania nowego kierownika. Wydawało jej się, że na jego twarzy maluje się duma, ale i przerażenie.

Odchodząc, zagadnęła swoją przewodniczkę:

– Pracował w stajniach, a teraz tutaj? Odpowiedzią, jak zwykle, była Arkadia.

– Ona lubi, aby na projekcie, patrzeć świeżym okiem – wyjaśniła Seese, kołysząc się na potężnych, masywnych stopach. – Nowe spojrzenie, rozumiesz?

Reszta czasu minęła im mniej więcej w ten sam sposób. Dlaczego fabryka produkowała tkaniny w tak wielu jaskrawych kolorach? Aby obywatele Arkadii odróżniali się od siebie i

byli lepiej widoczni. Dlaczego, jak długo Seese sięga pamięcią, nikt nie opuścił Arkadianatu? Bo żaden inny Lord Sithów nie oferował niczego lepszego od życia, jakie spędza się tu, pod lodową pustynią. Dlaczego Arkadia zwlekała z objęciem swoją ochroną reszty galaktyki? Wiedziała po prostu, że za szybki podbój płacą istniejące cywilizacje. Zanim coś zjesz, musisz strawić poprzedni posiłek.

– Ale jednego możesz być pewna – dodała Seese, widząc przed nimi jakieś zamieszanie. – Arkadia będzie rządzić galaktyką, a my razem z nią.

Kerra spojrzała w dół wydrążonego tunelu i ujrzała Arkadię, ubraną w lekką srebrzystą tunikę i pelerynę. Sithanka prowadziła Beadle'a i Tan przez Promisorium. Tan wydawała się podekscytowana zwiedzaniem akademii; Beadle tarł sobie czoło.

– Widzę, że mój czas z tobą dobiegł końca – rzekła Seese. Wydęła ogromne usta i spojrzała w dół na Kerrę. – Jeśli mogę sobie pozwolić na jedną uwagę... Kerro Holt, nie wydajesz się złą osobą. Nie rozumiem, dlaczego mówią, że Jedi nienawidzą Sithów.

Kerra podniosła wzrok, speszona.

– Nie wiem, co na to odpowiedzieć.

– Cóż, może są różne rodzaje Jedi, tak samo jak są różne rodzaje Sithów – odwróciła się na masywnej pięcie i Seese ruszyła przed siebie.

Kerra położyła dłoń na potężnym ramieniu istoty.

– Zaczekaj, Seese. Mam jeszcze jedno pytanie.

– Pytaj, proszę.

– Skąd się dowiedziałas, że Celegianie tu przybędą? – Społeczność Calimondretty wydawała się dość otwarta, ale Kerra nie zauważyła żadnych środków masowego przekazu.

– No jak to, przecież brałam udział w bitwie – odparła Seese. – Nie dalej jak wczoraj byłam oficerem taktycznym na pokładzie „Nowego Tygla”.

– A teraz jesteś przewodniczką wycieczek?

– Nowe spojrzenie – odparła Seese z szerokim uśmiechem. Patrząc w błyszczące żółte szparki, Kerra pomyślała, że Seese ma bardzo stare oczy. Herglijka odeszła, jakby nieco się ociągając.

– Kerra! Kerra! Kerra!

Jedi stwierdziła, że coś ją trzyma za nogę. Spojrzała w dół.

– Cześć, Tan. Jak ci się podobała wasza... wasza wycieczka? Tan podskakiwała jak piłka, opisując wszystko, co podziwiała z Arkadią w Promisorium, od klas po jadalnię. Kerra jednak zwróciła uwagę na Beadle'a i jego krwawiące czoło.

– Co ci się stało?

– Potknął się o własny but i spadł z ruchomych schodów – wtrąciła Arkadia. Kerra spojrzała na schody za swoimi plecami.

– Przecież każdy ze stopni ma ze dwa metry długości! Jak można z nich spaść?

Arkadia uśmiechnęła się kwaśno.

– Nie było mnie tam, ale powiedziano mi, że to był niezły widok. Beadle uśmiechnął się słabo do Kerry. Jeśli on ma być reklamą szkoły Rushera, pomyślała Kerra, to równie dobrze mogą od razu wracać do Daimanatu!

Tan trajkotała o cudach systemu edukacyjnego Calimondretty, całkiem jak pomniejszona wersja herglijskiej przewodniczki. Zanim skończyła mówić, z prawej i z lewej strony otwarły się drzwi, a z nich wysypała się młodzież różnych ras, która właśnie skończyła lekcje. Kerra zastanawiała się, czy to było starannie wyliczone w czasie, aby obie z Tan miały okazję zobaczyć świetną kondycję tutejszej młodzieży.

Jeśli tak, to Arkadia dopięła swego. Kerra obserwowała mijające ją uśmiechnięte dzieci, zmieniające właśnie klasy. Nie były to umorusane dzieciaki-robotnicy z Darkknell: wszystko, co te tutaj zbudują w przyszłości, będzie służyło im samym. Jej wzrok powędrował ku parze Gotalów, stojących z boku z niedużym dzieckiem. Pochylając ku sobie stożki nagłowne, rodzice o kosmatych twarzach odprowadzili potomka do drzwi klasy.

Kiedy Gotalowie zawracali przez zatłoczony korytarz, Kerra przymknęła oczy. Było w tej scenie sporo ciepła, ale także coś mrozącego krew w żyłach. Wszędzie wokół rozgrywały się podobne sceny. W pewien sposób przypominało to rozstanie Gubów z Tan, kilka dni wcześniej – rodzice posyłający swoje dziecko, aby znalazło lepsze miejsce w życiu. Czy tak jest wszędzie? Widziała identyczne widoki w Republice – za każdym razem, kiedy padawan wstępował do Zakonu Jedi.

Sama nigdy tego nie doświadczyła. Dopiero Sithowie odebrali jej rodzinę. A jednak tutaj rozstania wydawały się tymczasowe. Arkadia nie rozdzielała rodzin.

Co powiedziała Seese? „Może są różne rodzaje Sithów”.

Tan, otoczona gromadką uczniów podobnych jej wzrostem, była coraz bardziej podekscytowana. Najbardziej zachwycał ją szeroki zakres tematów, które wykładano uczniom: od rachunków, poprzez genetykę, aż po kartografię gwiazdną.

– Twoja podopieczna opowiedziała mi o życiu, jakie jest jej przeznaczeniem – odezwała się Arkadia i skinęła głową mijającym ich, zachwyconym młodzikom. – Tan i twoi pozostali pasażerowie mieli zostać przykuci do jednego zawodu na całe życie! Czy to pomysł Daimana? – Pochwyciła spojrzenie Kerry. – Daj spokój, tyle mi możesz powiedzieć.

– To była sprawa korporacji – odparła Kerra, odwracając wzrok. – Industrial Heuristics.

Arkadia skinęła głową.

– Ach, to jeden z holdingów Lorda Bactry. Byłego lorda – poprawiła się. Doniesiono jej już o zdarzeniach na Gazzari. – Według ostatnich informacji Bactra ukrywa się gdzieś w quermiańskiej kolonii emerytów. Cóż, tam powinien być bezpieczny, poza zasięgiem całej zawieruchy.

Kerra ciekawa była, skąd Arkadia to wie. Może ten Narsk jej doniósł? To miało sens.

Idąc w stronę Sali Patriotów – głównego atrium, Arkadia opowiadała Kerrze, co Tan i pozostałe dzieci będą robić w jej królestwie. Uczniowie mają kształcić się w taki sposób, aby

stać się możliwie jak najbardziej wielostronni – dzięki temu jako dorośli mogliby na wiele sposobów uczestniczyć w zaspokajaniu potrzeb państwa. Inni Lordowie Sithów traktowali istoty myślące jako zwykły surowiec, niezbyt się nadający do dalszej obróbki. Górnicy, pojmami w jednym miejscu, zostawali górnikami w kolejnym. Ale co zrobić, jeśli zwycięzca potrzebuje fizyków? Strategiczne potrzeby imperium zmieniały się wraz ze zmianą składu sąsiadów za ich granicami. Co się stanie z państwem, które nagle potrzebuje wielu pilotów myśliwców, a ma ich zaledwie kilku?

Zanim Kerra zdążyła odpowiedzieć, Arkadia zauważyła kogoś w oddali i przyspieszyła. Rusher i Twi'lek stali w strefie załadunkowej w pobliżu potężnej magnetycznej bramy, wiodącej na lodowaty świat zewnętrzny. Obok nich kilku robotników ładowało pojemniki i butle na trzy wozy transportowe. Arkadia pożeglowała w ich stronę.

– Czy mój asystent znalazł dla pana towar, brygadierze?

– Wszystko, czego zapragnąłem – odparł Rusher, sprawdzając w notatniku. – Powinno wystarczyć na uzupełnienie zapasów, które wyczerpali uchodźcy. Jestem zaskoczony różnorodnością żywności, jaką tu hodujecie.

– Nie żyjemy samymi algami... nie przy takiej różnorodności smaków. To, czego nie wyhodujemy, dowozimy. – Spojrzała na Beadle'a. – Pewnie waszej załodze więcej czasu zajmie załadowanie zapasów, niż nam ich wyhodowanie.

– Załadunek dobrze nam idzie – odparł Rusher, podając notatnik rekrutowi. – Właściwie to jedna z naszych specjalności.

Arkadia uśmiechnęła się uprzejmie, spojrzała w dół i wzięła Tan za rękę.

– Idź, dziewczynko, i opowiedz swoim przyjaciółom na pokładzie „Gorliwości” o życiu, jakie ich tu czeka.

Kerra skrzywiła się lekko, gdy Tan uścisnęła Lorda Sithów na pożegnanie. Arkadia przyjęła to naturalnie, choć wydawało się, że taki sposób okazywania uczuć jest dla niej nowy.

– Zajrzę tu później – zapowiedziała Kerra Sullustance, odprowadzając ją w dół rampy. – Zdaje się, że Arkadia jeszcze ze mną nie skończyła.

– Pozwoli nam tu zostać, prawda? – zapytała Tan. Jej ciemne oczy były pełne nadziei. – Proszę, spróbuj ją przekonać, Kerro.

Kerra poczuła ucisk w gardle. Obejrzała się i zobaczyła pewną siebie Arkadię, pogrążoną w rozmowie z Rusherem i jego ithoriańskim pomocnikiem.

– Zrobi to, co sama zechce, Tan. Jestem całkiem pewna, że już zdecydowała – odrzekła. – Trzymaj się, mała.

Odsunęła się i zobaczyła, że Beadle podchodzi do transportowca.

– Dopilnuj, żeby bezpiecznie wróciła na „Gorliwość” – poprosiła go. Rekrut skinął głową.

– Jedi, czy myślisz, że to mógłby być nasz dom? – Zakłopotany poprawił się szybko: – To znaczy ich dom.

– Nie jesteś pewien, czy chcesz wieść życie najemnika, co, żołnierzu? – Kerra poklepała go po ramieniu i uśmiechnęła się blado. – Cóż, mam nadzieję, że podejmiesz właściwą decyzję.

– Ty też – odparł Beadle, salutując jej całkiem niepotrzebnie. Zatrzymał się u wjazdu i obejrzał na nią. – Przepraszam, nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Kręcąc głową, znikł w głębi wozu.

Kerra obejrzała się na Arkadię, która z wyraźną satysfakcją doglądała pracy, wykonywanej przez grupę Twi'leków.

– Szybko opanowałeś swoje stanowisko, Warmalo – odezwała się, patrząc w wąskie oczy Twi'leka. – Miałabym ochotę rzucić ci kolejne wyzwanie.

– Ja... eee... lubię wyzwania – odparł adiutant.

– Zgłoś się do odlewni. Będiesz nowym dyrektorem działu metalurgicznego. Twi'lek o bladej skórze zakołysał się, widocznie niepewny, jak zareagować na nowinę. Wreszcie Warmalo skłonił guzowatą głowę.

– Dziękuję, mój Lordzie.

Kerra popatrzyła w ślad za odchodzącym świeżym dyrektorem.

– Czy on ma pojęcie o metalurgii?

– Ma takie samo wykształcenie, jakiego oczekuję od wszystkich moich ludzi – odparła Arkadia. – Był już na jednym przydziale ponad trzy miesiące. Myślę, że stać go na więcej. Jestem tego pewna.

Załadowane ciężarówki za jej plecami ruszyły z hałasem, który wypełnił całe atrium. Mimo to Rusher i Arkadia nie mogli nie usłyszeć, że Kerra nagle parsknęła śmiechem.

Rusher spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Często masz takie ataki?

– Tak, to jasne! – Kerra uklękła na podłodze drgającej od ruchu ciężarówek przechodzących przez śluzy magnetyczne i klasnęła w dłonie. – Wiem już wszystko! Rozumiem, co tu robicie! – Spojrzała jeszcze raz na niknącego w oddali Twi'leka. Herglicowie, Falleenowie, a teraz on. To była ta wspólna cecha. Spojrzała na Arkadię. – Cała tutejsza społeczność wygląda na uporządkowaną, ale działa na zasadzie chaosu.

Arkadia przez moment wbijała w nią ostry wzrok, ale po chwili wyraz jej twarzy złagodniał.

– Jesteś bardzo spostrzegawcza, Jedi – stwierdziła. – Wiedziałam, że tak będzie. W ciągu jednego dnia dowiedziałaś się tego, na czym ja spędziłam całe życie. Zrozumiałaś, jak stworzyć sprawne społeczeństwo pod rządami jednej osoby.

Rusher spojrział na nią z zainteresowaniem.

– Nie nadążam.

– Organizacje rozpadają się już od chwili, kiedy zostają stworzone, brygadierze – tłumaczyła Arkadia. – Wszyscy Sithowie chcą rządzić, najlepiej wiecznie. Ale aby rządzić wiecznie, wszystko musi się odnawiać. – Widząc, że Kerra wstaje, gestem wskazała na

gwiazdy świecące przez panele sklepienia. – Widziałas w przestrzeni Sithów wiele chaosu. Ja okiełznałam chaos. Zorganizowałam go. Uczyniłam niewolnikiem zmian.

Kerra wyjaśniła Rusherowi, o co chodzi.

– Ty tak samo rządzisz swoją załogą. Ona też oczekuje od ludzi, że będą w stanie wykonać każdą pracę.

– Elastyczność i uniwersalność. Właśnie takich cech szukam – wtrąciła Arkadia.

– Nie zakładam, że moi poddani mają tylko jeden rodzaj zdolności i tylko jedno przeznaczenie. Stawiam im wyzwania, aby wykrzesali z siebie jak najwięcej.

Jedi uśmiechnęła się ironicznie.

– Cóż, założę się, że Rusher nie zabiera swoich najlepszych strzelców z pola bitwy, jak tylko zaczynają być dobrzy w tym, co robią. Prawda, brygadierze?

Rusher poprawił kołnierz, niepewny, jak się powinien zachować.

– Jasne, bo to nie miałyby sensu. – Spojrzał na Arkadię. – Nie masz problemu z kompetencjami?

– A ty? – Arkadia wskazała w stronę, gdzie zniknęli rekrut Lubboon i ciężarówka. – Przynajmniej mam gwarancję, że wszyscy moi pracownicy zyskali tę samą wiedzę o sprawach, które mnie obchodzą. A ci, którzy poznali życie w innych reżimach, mają wiele powodów, aby dążyć do wspólnego sukcesu.

Kerra obserwowała Arkadię. Filozofia sithańskiej kobiety była mniej dziwaczna niż inne, z którymi zetknęła się w przestrzeni Sithów – ale Sith to Sith i nie ma na to rady. Zawsze istniał jakiś haczyk. Kerra musiała tylko go znaleźć.

Arkadia obserwowała ją.

– Możesz spokojnie powiedzieć, co o tym myślisz.

– Myślę, że dzięki ciągłemu przestawianiu ludzi ty sama czujesz się bezpieczna – odparła Kerra. – Twój co zdolniejsi poddani nigdy nie staną się dla ciebie rywalami, bo co chwila mają coś nowego do zrobienia. Cały czas muszą się wysilać, żeby zdobyć dobrą pozycję. – Spojrzała na Arkadię. – Twoja filozofia to polisa ubezpieczeniowa.

– A co jest złego w ograniczaniu daremnych konfliktów? – Arkadia wsparła podbródek na dłoni. – Widziałas sama, jak to wygląda. Czy możesz uznać, że rywalizacja pomiędzy Sithami jest naprawdę dobra dla galaktyki?

Uśmiech znikł z twarzy Kerry. Ta kobieta miała rację. Jedi dumna była ze swojego instynktu, ale musiała przyznać, że sądząc z tego, co do tej pory widziała, Arkadianat jest miejscem dość bezpiecznym dla jego mieszkańców. Jeśli to była najskrytsza tajemnica Arkadii, trudno było doszukać się w niej czegoś złego. Zastanawiała się jednak, dlaczego Lord Sithów wolała, żeby to ona sama na to wpadła.

– Wiesz, dlaczego? – wtrąciła Arkadia, przechwytyjąc jej myśl poprzez Moc. – Ponieważ chciałabym, abyśmy się obie zrozumiały... i żebyś się dowiedziała, co mam do zaoferowania. – Wyszła na środek atrium i rozpostarła okryte srebrną peleryną ramiona. – Proponuję

wszystkim twoim uczniom azyl tu, na Syned.

Kerra spojrzała na nią.

– Skąd mam wiedzieć, że nie zatrudnisz ich przy produkcji broni?

– Nie wiesz, a ja być może to zrobię – odparła Arkadia. – Mam granice do obrony i własne wojny, które muszę toczyć. Ale to będzie jedynie częśćka ich zajęć. Poza tym u mnie będą mieli szansę na zrobienie czegoś innego. I na bezpieczne życie – dodała.

Rusher pokręcił głową.

– Przepraszam, Lordzie Arkadio – rzekł – ale twoi sąsiedzi działają zupełnie inaczej. Jeśli chcesz przyjąć te dzieciaki... jeśli naprawdę chcesz... to dlaczego ich po prostu nie zabierzesz?

– Pochwylił gniewne spojrzenie Kerry i dodał: – Jasne, nie powinnaś tego robić!

– Po prostu uważam, że Kerra powinna sama zdecydować – odparła. – Gościnność, którą oferuję, jest uczciwa i chcę, aby o tym wiedziała... zanim poproszę o coś w zamian.

Ach, więc o to chodzi, pomyślała Kerra. Chociaż miła i uprzejma, Arkadia pozostawała Sithem. Uczniowie jej nie wystarczali.

– Czego jeszcze chcesz? „Gorliwości”? – Kerra niemal słyszała, jak Rusher zgrzyta zębami na sam pomysł.

– Nic z tych rzeczy – odparła Arkadia, patrząc z szacunkiem na Rushera. – Jestem pewna, że brygadier Rusher jest wyjątkowo utalentowany, ale specjaliści nie całkiem pasują do mojego schematu. Ich myślenie jest zbyt... ograniczone – uśmiechnęła się skromnie. – Bez obrazy.

– Bez obrazy – powtórzył Rusher, oddychając z ulgą. – Byłbym skończony, gdybyś uznała, że lepiej ci posłużę jako księgowy. – Potarł dłonie obleczone w rękawice i dodał: – Ale nas można wynająć.

Kerra zignorowała brygadiera i zwróciła się do Sithanki:

– Więc czego chcesz? Dlaczego tak ci w ogóle zależy na mojej dobrej woli? Arkadia nie odpowiedziała. Kolejny adiutant podał jej notatnik, który zaczęła oglądać z zainteresowaniem. Podnosząc wzrok, odparła: – Mam coś do załatwienia, ale niebawem wezwę was oboje. Mam nadzieję, że do tego czasu pozostaniecie tutaj jako moi goście.

Kerra obejrzała się i dostrzegła kilku członków gwardii obywatelskiej, rozstawionych przed służą magnetyczną. Arkadia mogła ofiarować nadzieję, ale nie pozostawiała niczego losowi.

ROZDZIAŁ 20

Życie jest jak działo, mawiał Beld Yulan. Musisz wyrzucić puste łuski, zanim znów będziesz mógł strzelać.

Podobnie jak w wielu innych rzeczach – przynajmniej do czasu, kiedy stał się Odionitą – tak i tu stary mentor Rushera miał rację. Brygadier omal nie uległ depresji na pokładzie „Gorliwości” po Gazzari. O dziwo, dopiero młoda Jedi i jej stadko stały się odskocznią, która pozwoliła mu stanąć na nogi. Obudziła go ucieczka z Byllury. Wciąż miał załogę, która potrzebowała jego ochrony i przewodnictwa.

Ale ten nabój już został wystrzelony. Nadszedł czas, aby ruszać dalej. Zaledwie po kilku godzinach w Calimondretcie był gotów zacząć od nowa. Ludzie Arkadii robili zdumiewające rzeczy z produkcją broni, ich pomysły mogły sprawić, że przyszłe działa będą lepsze. Przyglądanie się pracy twi'lekańskiego kierownika zaopatrzenia – dopóki jeszcze wykonywał tę pracę – również było bardzo pouczające. Rusher odkrył trzy sposoby, na jakie mógł przeorganizować kapsuły ładunkowe „Gorliwości”, aby przyspieszyć przygotowanie broni. Nie spodziewał się, że Arkadia pozwoli mu rekrutować tutaj załogę, ale nowa wiedza zapewni lepszą przyszłość Brygadzie Rushera.

Aby osiągnąć tę przyszłość, trzeba oczyścić lufę. Uchodźcy muszą odejść. Tymczasem ta łuska się zacięła.

Wkraczając do Calimondretty, Rusher zrozumiał, dlaczego do obiektu nie wpuszczano żadnego statku większego od myśliwca: to miejsce naprawdę było lodówką. Panele dachowe w atrium mogły być z transpastali, ale krokwie i ramy wykonano z czystego lodu. Nie było to odpowiednie miejsce na zapalanie silników – a nawet lądowanie. Pamiętał, jakie drgania czuł, kiedy przejeżdżały ciężarówki. Większość miasta była zapewne ukryta w długich tunelach, ale wyjście na zewnątrz musiało być chronione. „Gorliwość” nie mogła więc podlecieć bliżej, uchodźcy będą musieli przejść po tafli lodu.

Przewiezienie tysiąca siedmiuset uczniów w ciężarówkach przez lód zajęłoby wiele dni. Hermetyczne kabiny mieściły jedynie po czterech pasażerów, a ładunek ciągnięto na płozach. Trudno zaś było myśleć o sprowadzeniu kombinezonów próżniowych dla ponad tysiąca różnokształtnych obcych.

Delikatny problem, ale ludzie Arkadii naprawdę starali się rozwiązać go wraz z nim. Rozwiązanie było już w zasięgu ręki. Robiąc notatki, Rusher zjechał ruchomymi schodami do błękitnej groty. Lokalni obywatele lubili algi, to było widać: kolosalne rury wypełnione

bulgocącą masą wznosiły się na wysokości trzydziestu metrów wokół wewnętrznego placu, służąc jednocześnie za źródło światła i żywą dekorację dla Arkadian pędzących do pracy.

Niebieska ciecz w lodowej jaskini. Cóż, to przebija Daimana i jego posąg, pomyślał Rusher. Ale krążące w rurach bąbelki jakoś nikogo nie uspokajały. Syned nie zasypiał nigdy. Każdy miał coś do roboty i miejsce, gdzie musiał się udać.

No, prawie każdy.

– Hej – rozległ się głos z dołu.

Rusher odwrócił się w tamtą stronę. Kerra z łokciem wspartym na kolanie siedziała u stóp jednego z potężnych, pieniących się cylindrów oświetlających Prospekt Zadumy.

Musiał aż spojrzeć drugi raz. Cała jej nerwowa energia znikła. Od pierwszego spotkania z Kerrą widział ją jedynie w akcji. Nawet kiedy porwał dziewczynę z Byllury, pozostała na mostku, kręcąc się niespokojnie i dopytując, dokąd lecą. Musiał w końcu odejść, żeby Kerra pozwoliła odpocząć zranionej nodze. Medycyna Jedi nie była widocznie dziedziną dostępną dla wszystkich.

Tymczasem teraz Kerra po prostu oklapła; piła coś z pojemnika, niczym żebrak przed kantyną.

– Trochę za wcześnie zaczynać, co? – zapytał. – Słońce ledwie wzeszło.

– Po raz piąty dzisiaj – odparła, uchylając wieczko. – To woda, jeśli chcesz wiedzieć.

– Twoja strata. – Rusher rozejrzał się wokół. Jedyne istoty poza nimi, które nigdzie nie pędziły, byli gwardziści z gwardii obywatelskiej Arkadii, obserwujący Kerrę z odpowiedniej odległości po drugiej stronie korytarza. Miał wrażenie, że na balkonie nad jej głową zobaczył jeszcze jednego.

Kerra zatrzasnęła pokrywkę.

– Co ci kazała robić? – zapytała.

Rusher wyjaśnił, co musiał wykonać, aby sprowadzić pasażerów do miasta.

– Mają wielki pełzak lodowy, który to załatwi, ale potrzebują pomocy przy przepuście, który będziemy mogli podłączyć do jednej z naszych ramp rozładunkowych – wyjaśnił. – Problem powstał, kiedy ustawiliśmy liniowiec na kapsułach ładunkowych. Wszystkie nasze wyjścia dla ciężkiego sprzętu są na dole.

– To nie jest twój jedyny problem – odparła, wciskając pojemnik do kieszeni kurtki. – Jeszcze nie zdecydowałam, że wyjdą.

– Co, wyjścia?

– Uchodźcy!

– Jesteś pewna, że to woda? Mówisz bez sensu – parsknął. – To mój statek, a planeta należy do Arkadii. Kim ty właściwie jesteś?

Kerra wyprostowała się, oparła o rurę i machnęła pięścią.

– Wiedziałałam, że cię przekabaci! Dziwne, że skoro tak się ślinisz, nie przymarzęś do podłogi!

– O czym ty mówisz?

– Od chwili, kiedy się poznaliście, krążysz wokół niej jak satelita. Rusher zachichotał mimo woli.

– Cóż, jest piękną kobietą – odparł. „Oszałamiającą” byłoby lepszym określeniem, ale dzieciak wydawał się wystarczająco wkurzony. – No i stworzyła to wszystko. Nie widzisz tu nic do podziwiania?

– Jest Sithem.

– Tak, ale sporo wie. Mnóstwo ludzi wokół nie zna własnej historii, a co dopiero cudzej – odparł. – Podoba mi się kobieta, która jest na bieżąco ze sprawami... sprzed tysiąca lat.

Kerra wstała, a w tym samym momencie jej arkadianickie cienie po drugiej stronie placu stanęły na baczność. Niedbale machnęła ręką.

– Ciągłe mnie obserwują. Mam być jak w pudełku, dopóki nie będę jej potrzebna... do czegokolwiek.

– Ale cokolwiek kombinuje, nie wydaje mi się, aby chciała cię skrzywdzić – odparł. – Już by to przecież zrobiła.

– Co ty powiesz. Zaśmiał się.

– Nie wiem, czego oczekujesz, ale to mi wygląda na niezły interes. I tak nie mamy pojęcia, jak cię odstawić do Republiki, a większość dróg prowadzi tylko tam, gdzie będzie jeszcze gorzej.

Kerra wstała, żeby odejść, ale Rusher kontynuował:

– Tan chyba się tu podoba. I nie dość, że możemy stąd odejść, to jeszcze nam pomogą!

Kerra obejrzała się i krzyknęła mu prosto w twarz:

– Więc po prostu pojedziesz gdzie indziej? Służyć innemu Lordowi Sithów?

– Nie mam aż tylu innych klientów – zastrzegł się. Nie wiedział wiele o Lordach Sithów z sąsiedztwa, ale o praktykach Mandragalla mówiono wszędzie. Ktoś tam mógłby chcieć skorzystać z niezależnego operatora.

– Mógłbyś robić coś innego!

– Co na przykład? – Spojrzał na przechodniów zmierzających do swoich zadań. – Jestem trochę za stary, żeby zacząć się uczyć obsługi zwierząt wierzchowych.

– Coś realnego – burknęła, odsuwając połą jego płaszcz i ukazując medale zwisające mu na piersi. – Popatrz na siebie, Rusher. Nosisz order, które sam sobie nadajesz. Nie jesteś częścią niczego. Nie walczysz dla nikogo.

– Marnuję sobie życie, to masz na myśli? – Rusher ujął ją za ramię i wyprowadził ze strumienia przechodniów w krąg światła wysokiej butli z algami. – Słuchaj, jak ci się zdaje, co teraz będzie? Że przewiozę cię przez cały obszar Daimana i dalej, żeby dostarczyć cię do miejsca, w którym nigdy nie byłem? Ten sektor to mój dom – dodał. – Tu jest moja praca. Nie jestem łajdakiem o złotym sercu, którego możesz czarować, żeby dołączył do twojej...

– Dość tego! – Kerra usiłowała go wyminąć. – Nie rozmawiam już z tobą! Zastąpił jej

drogę i chwycił mocno za przeguby.

– Słuchaj, masz mnóstwo poglądów... a bardzo mało faktów. Nic nie rozumiesz.

– Puść mnie! – Orzechowe oczy błyszczały gniewem.

– Za minutę... kiedy zrozumiesz, co właściwie chcę zrobić – odparł. – Tak, jestem najemnikiem. Tak, pracuję dla Sithów. Ale nie ma tu nikogo innego, dla kogo mógłbym pracować.

– Nieprawda – zaprotestowała Kerra. – Mógłbyś pracować dla ludzi!

– Jasne, powiedz mi tylko, jak – odparł. – Chcesz, żebym był częścią czegoś, ale nie wiesz czego. W porządku, możesz sobie wytyczać cele, jeśli jesteś jedyną osobą biegającą ze świecącym patykiem. Ale ja jestem artylerzystą. Te działa ważą tony! Niektóre potrzebują sześćdziesięciu operatorów, żeby je ustawić, wypalić i wycofać! Jak mam nakarmić tych ludzi i czym mam napędzić statek, pracując dla twojego nie-wiadomo-kogo? Kantować?

– Przecież właśnie to teraz robisz!

– Jasne, z przyzwoleniem Sithów, na których terytorium jestem. Jak sądzisz, w ilu miejscach mógłbym posadzić „Gorliwość”, gdybym był renegatem? – Zerknął w stronę strażników i zniżył głos. – Wzięliby do niewoli całą moją załogę i nie obchodziłoby ich, co się z nimi stanie. Ty masz całą galaktykę istot, o które możesz się martwić. Ja mam tylko pięciuset sześćdziesięciu. I nie mam zamiaru nikogo więcej stracić – dodał. – Zanim więc zdecydujesz, jaka jest powinność innych wobec całej galaktyki, może przyjrzyj się im lepiej. Bo może już mają swoje obowiązki.

Kerra łypnęła na niego wściekle. Nagle brygadier zauważył, że jej oczy rozszerzają się odrobinę, a czarne brwi lekko unoszą się ku górze. Po raz pierwszy od dnia, kiedy się spotkali, Rusher ujrzał w tej drobnej, zdeterminowanej twarzy coś nowego.

A było to zwątpienie.

Uwolnił jej ręce i odetchnął głęboko, zdumiony i nieco zawstydzony gwałtownością swojego wybuchu. Wciąż zapominał, że Kerra Holt jest tylko dzieckiem, niewiele starszym niż jej uchodźcy i w wieku niektórych z jego własnych rekrutów. Wymieniał z nią ciosy, bo wydawało się, że dziewczyna jest w stanie wytrzymać każdą kanonadę.

Ale tu było jej wzgórze Gazzari. Odwróciła wzrok, nadąsana.

– Nie mam nawet swojego świecącego patyka.

Rusher przypomniał sobie, że jej miecz świetlny pozostał na „Gorliwości”, gdzie kazano im go zostawić.

– Mój zepsułaś – wytknął dziewczynie.

Jeden z poddanych Arkadii wyszedł zza kolumny alg i zwrócił się do nich:

– Kerro Holt, jesteś zaproszona na spotkanie z Lord Arkadią w jej muzeum.

– Muzeum? Brzmi ciekawie – wtrącił Rusher.

– Ty masz czekać na naszą panią na zewnątrz, brygadierze, dopiero kiedy skończysz pracę z naszymi technikami.

Kerra z pochmurną miną ruszyła za sługą przez tłum. Zanim znikła z oczu Ruserowi, obejrzała się na niego.

– To prawda – powiedziała, śledząc wzrokiem cienie na podłodze. – Arkadia o nic nie prosiła... jeszcze. Tylko dawała. I wydaje się najlepszą opcją jaką mamy. – Podniosła wzrok. – Ale i tak jest Sithem. To coś znaczy.

Spojrzał jej w oczy.

– Nie wiem, co to znaczy.

– To znaczy, że masz mieć oczy otwarte, Jarrow. Dla moich dzieci... i twoich.



Z balkonu na wyższym poziomie oczy Bothanina śledziły przechodzących ludzi. Narsk nie mógł mieć Jedi na oku przez cały czas: Arkadia dała jej zaskakującą swobodę poruszania się. To i tak nie miało znaczenia. Kerrę łatwo było znaleźć, bo kręciła się bez celu po wielkich lodowych komnatach. Wydawała się oklapnięta, całkowicie okiełznana.

Nawet jeśli najczęściej wiedział, gdzie jest Jedi, to wciąż nie mógł zrozumieć, co Arkadia próbowała osiągnąć jej obecnością. Nie obchodziło go to specjalnie, choć chciałby, żeby cierpiała. Obserwacja Kerry była jednak częścią instrukcji, jakie otrzymał na pustyni, instrukcji, które musiał wypełnić. Wracając myślą do tego krótkiego, słonecznego spotkania, zadrżał z zimna. Dlaczego Arkadia nie wybrała na swoją twierdzę takiej planety jak tamta?

Po wykonaniu zadania na Byllurze spodziewał się, że Arkadia wprowadzi go w swoje tajemne plany. Tak się nie stało, ale skoro wciąż przebywał w Calimondretcie, nie wszystko jeszcze było stracone. Może zdobędzie kolejne zlecenie – i dobrze wiedział, co może to spowodować.

Zbliżał się Legat.

O przyszłym wydarzeniu dowiedział się ledwie godzinę temu, przez implant: siedem długich impulsów, przekazanych przez system, który pozostawał dla niego tajemnicą. To znaczy, że dzisiaj jest szczególny dzień. O to im chodziło. Kiedy potęga spotyka się z potęgą, galaktyka drży w posadach.

Puścił zimną poręcz balkonu i zaczął sobie wyobrażać przygotowania, jakie rozpoczęto w stolicach całego sektora: rozmowy z doradcami, układanie tajnych i mniej tajnych interesów.

Zbliża się Legat.

A jeśli dobrze widział, Arkadia właśnie wezwała Jedi na spotkanie. Co ona kombinuje?

Narsk ruszył do schodów. Najwyższy czas pogadać z najemnikiem.



Kerra na Coruscant rzadko miała okazję odwiedzać muzea. Zawsze odkładała to na później. I

nie wyobrażała sobie, że pierwsze muzeum, jakie zwiedzi jako Rycerz Jedi, będzie ukryte pod skorupą lodu w twierdzy Lorda Sithów.

Adiutant Arkadii poprowadził Kerrę po kilku kondygnacjach schodów do rotundy, ukazującej gwiazdy nad nimi dzięki niewielkiemu oknu z transpastali. Algi synedeańskie spływały kaskadami po kątach sali, zalewając ją chłodnym światłem. Pośrodku komnaty sterczał półmetrowej wysokości siedmioboczny słup, stanowiąc punkt centralny wzoru podłogi, który prowadził do siedmiu równo rozmieszczonych wyjść.

Mnóstwo niewykorzystanej przestrzeni, pomyślała Kerra, patrząc, jak jej przewodnik odchodzi. To raczej planetarium niż muzeum. Jedyne eksponaty umieszczono w niewielkich, podłużnych wnękach pomiędzy drzwiami.

Spodziewała się ujrzeć zwykłe relikty Sithów – jakby mogło być coś „zwykłego”

w posepnych narzędziach zagłady. Większość tutejszych eksponatów jednak wydawała się pospolita, choć z pewnością wszystkie pochodziły z bardzo dawnych czasów.

Znajdował się tu na przykład translator, z którego korzystał adiutant kanclerza Filloreana w czasie negocjacji z Duinuogwuinami. Było też diamentowe wiertło używane przez bezmiennego niewolnika do wydobywania kryształów w Wielkiej Wojnie Nadprzestrzennej; był holorejestrator, na którym rejestrowano wywiad z filozofem Laconio – ale już bez słynnych nagrań. Dalej wisiała piła plazmowa, dzięki której sithański żołnierz dostał się na Iglicę Endara. Wszystkie te przedmioty były przełomowe dla historii – a jednak wydawały się pospolite, równie anonimowe, jak ci, którzy ich używali.

Spoglądając w górę, na oprawy świetlne, odkryła nagle wspólny element. Wszystkie te przedmioty były po prostu sprzętami. Arkadia miała więcej wspólnego z Daimanem, niż tylko upodobanie do siódemki w dekoracji wnętrza. W jej królestwie nie było sztuki. Wszystko było funkcjonalne, nawet dekoracje na placu, gdzie rozstała się z Rusherem. Błękitne rury po prostu prowadziły synedeańskie algi z pomp do miejsca przeznaczenia. Część architektury Calimondretty była naprawdę piękna, ale – tak jak u Daimana – służyła raczej chwale Arkadii, niż pokrzepieniu obywateli.

A oni potrzebowali pokrzepienia. Byli nerwowi i rozgorączkowani. Kerra wróciła myślą do rodziny Gotalów, której rozstania była świadkiem w holu akademii. Pomyślała wówczas, że czegoś tej scenie brakowało, ale nie umiała określić, co to było – do teraz.

Radość.

Arkadiani nie cierpieli takiego ucisku, jak zniewoleni robotnicy Daimana, ale i tak żyli pod ciemną chmurą. Nie trzeba widzieć fizycznego zagrożenia, żeby się bać. A system Arkadii utrzymywał ich w strachu. Strachu przed utratą statusu, jeśli się nie sprawdzą. Strachu przed przesunięciem do zajęć, o których nic nie wiedzieli, jeśli sprawdzą się zbyt dobrze. Arkadia utrzymywała ich w ciągłym ruchu. Może i byli szczęśliwsi niż smętni rezydenci Darkknell, no i z pewnością nie byli w tak złej sytuacji, jak drony w Diarchii. Ale na swój sposób ci ludzie też cierpieli.

Oczy Kerry poczęły na podłużnym przedmiocie. Było to kolejne narzędzie, ale różniło się od reszty. Przyrząd do cechowania, wykonany z kości jakiegoś dużego stworzenia, miał metalową końcówkę, o starannie wyrytych, ręcznie polerowanych rowkach. Rzeźby na zakrzywionej powierzchni opisywały historię rodziny właściciela.

– Piękne, prawda? – zapytała Arkadia. Kerra się obejrzała. Lord Sithów stała tuż za nią. Znów miała na sobie królewski strój wojenny, jak wcześniej, na okręcie flagowym.

– Bardzo piękna robota – zgodziła się Kerra.

– Nawet ja to widzę – odparła Arkadia, podchodząc bliżej do gabloty. – Rzemieśniczka, która je wykonywała, robiła to przez trzydzieści długich lat. Takie przedmioty były oznaką statusu, cenioną przez głowy rodów. – Podniosła narzędzie ze stojaka. – To pochodzi z okresu, kiedy jej umiejętności były w rozkwicie. Na samym końcu.

– Na końcu?

– Z jednej z waszych republikańskich korporacji przybyły na Odryn statki, aby wejść na rynek z prefabrykowanymi towarami. Potrafili kopiować istniejące narzędzia za jedną setną ceny. Rzemieśniczka, która nie umiała nic innego, rzuciła się do oceanu i utonęła.

Arkadia nacisnęła mocno i przełamała narzędzie na pół.

– Piękno jest niczym w zetknięciu z falą. – Rzuciła kawałki na ziemię. Kerra, oniemiała, przyglądała się zniszczonemu przedmiotowi.

– U nas nigdy by nie dopuszczono do takiej sytuacji – powiedziała Arkadia. – Rzemieśniczka miałaby inne umiejętności, które mogłaby wykorzystać. Pomysł spędzenia całego życia na jednym zajęciu to recepta na stagnację, na zesterzenie się.

– Ale ceną jest dzieło sztuki.

– Więc warto ją zapłacić.

Kerra uklękła i zebrała szczątki.

– Są inne koszty – odparła, delikatnie odkładając kawałki na stojak. – Ponoszą je twoi obywatele. Zmuszasz ich do biegu, aż zagonisz ich na śmierć.

– A jak jest w Republice? – zapytała Arkadia. – Twoje społeczeństwo, nawet twój ukochany Senat, napędzane są handlem. Tworzycie miejsca pracy, ale ich nie gwarantujecie. Pozwalacie, aby konkurencja i nowe technologie je niszczyły, nie poświęcając nawet myśli tym, o których życie chodzi.

– Postanowiliśmy stawić czoło tym wyzwaniom – odparła Kerra.

– Doprawdy? – Arkadia podeszła do słupa na środku sali. – Przy mnie wszyscy wiedzą, że zmiana musi nadejść. Ale ta zmiana ma znaczenie. Służy sprawie. Tylko przypadkiem jest to moja sprawa.

Kerra zapatrzyła się na nią w zadumie. Ta kobieta była całkiem inna, niż się spodziewała. Może i Arkadia błędziła, ale... to miało jakąś logikę.

Sithanka zauważyła jej wyraz twarzy i roześmiała się.

– Myślisz, że wszyscy Lordowie Sithów to mordercy, okrutnicy i bandyci? Tak się nie da

rządzić galaktyką.

– Więc pozwól odejść moim uczniom.

– Nie mogę tego zrobić – odparła Arkadia. – Zrozum, Kerro. Jeśli wydaję ci się rozsądna, to dlatego, że cenię rozsądek. Ale jestem też Sithem... i nie zamierzam uwolnić istnień, które kontroluję, tylko po to, aby zyskać zaufanie Jedi. – Okrążyła słup i dotknęła ukrytego przycisku. – Za to ofiaruję im schronienie... i coś jeszcze, co, jak sądzę, będzie miało dla ciebie jeszcze większą wartość.

Wokół nich światło nagle przygasło, a świetlik nad ich głowami zmatowiał. Boki siedmiobocznego słupa opadły, odsłaniając projektory, które rzuciły obraz gwiazd i mgławic na ciemną rotundę. Kerra podniosła wzrok, próbując znaleźć punkt odniesienia. Nie wiedziała, o co chodzi.

– Przybyłaś tutaj, aby zadać Sithom cios – odezwała się Arkadia – i może przy okazji pomóc kilku osobom. Czuję jednak, że pragniesz także czegoś innego. Czegoś, czego nie udało ci się dostać od nikogo, na żadnym z tych światów.

Patrząc na morze gwiazd objętych dominacją Sithów, Kerra przymknęła oczy. Tak, było coś, czego pragnęła.

Wyjaśnienie.

Powiedziała to na głos.

– Wyjaśnienie? – powtórzyła Arkadia. – Wyjaśnienie wszystkich wojen, całego zniszczenia, jakie widziałaś, kiedy bracia zwrócili się przeciwko sobie?

Dziwnego końca wydarzeń na Gazzari? Chcesz wiedzieć, jak ten chaos wpasowuje się w szerszy obraz rzeczywistości?

Arkadia stała przed podwójnymi światłami projektorów, u jej stóp zalegały cienie.

– Potrzebuję czegoś od ciebie, ale żebyś mogła mi pomóc, musisz dowiedzieć się czegoś, czego nie wie nikt poza przestrzenią Sithów.

ROZDZIAŁ 21

Kerra siedziała jak uczennica kartografii gwiazdnej, tak samo jak kiedyś w Akademii Jedi. Tylko że to była lekcja, jakiej nigdy nie otrzymał Rycerz Jedi – i od nauczyciela, któremu żaden Jedi nie pozwoliłby żyć.

A tymczasem była oczarowana. Gwiazdy nad jej głową zyskały teraz znaczenie, oznaczone barwami i konturami. Była tu Chelloa, gdzie dotarła najpierw. Kręta ścieżka do Darkknell. A oto i droga ucieczki uchodźców, prowadząca z Byllury na Syned. W powietrzu zawisły symbole, oznaczające domysły Arkadii, kto co kontroluje.

Jedi z niedowierzaniem przetarła oczy. Chciała szybko zapamiętać, możliwie jak najwięcej. Ale było tego za wiele. Sithowie kontrolowali o wiele więcej systemów, niż wyobrażał to sobie ktokolwiek w Republice. A ze skomplikowanego labiryntu terytoriów i kakofonii kolorów i symboli widać było, że graczy też jest więcej.

– Słyszałaś o lordzie Sithów Chagrasie? – odezwała się Arkadia. Kerra skinęła głową. Chagras kontrolował Darkknell przed Daimanem.

– Chagras i Xelian byli bratem i siostrą dwojgiem z siedmiorga dzieci Vili Calimondry.

Kerra nie słyszała tego drugiego imienia, ale wiedziała, że Xelian była matką Daimana i Odiona. Chagras byłby więc wujem tych dwóch? O tym sitholodzy z Republiki nie wiedzieli. Badacze, którzy ją uczyli, nie byli pewni, kto był ojcem Odiona i Daimana – tyle wiedzieli, że na wiele lat znikł z widoku. Żaden z braci jednak ani działaniami, ani wyglądem nie przypominał popularnego wizerunku Chagrasa. Jego imperium było nieźle uporządkowane.

– Chyba będziesz musiała zacząć od początku – mruknęła Jedi.

– Źródłem tego wszystkiego – zaczęła Arkadia, błyskając zębami w drżącym świetle – jest Vilia, moja babka. Przez lata babcia dorobiła się wielu martwych małżonków i całkiem przyzwoitego imperium.

Nad jej głową fragmenty przestrzeni zabłysły lodowatym błękitem.

– Sukcesorka – szepnęła Kerra.

– Hm, mam nadzieję, że nie mnie masz na myśli. – Arkadia uśmiechnęła się krzywo. – Vilia miała jednak problem. Każde z jej małżeństw zaowocowało potomstwem. Dzieci, a było ich siedmioro, kiedy dorosły, zaczęły rościć sobie prawo, aby każde zostało jedynym spadkobiercą. – Kilka światów nad głową Arkadii poczerwieniało. – Zaproponowała więc im rywalizację. Sprawdzian Władzy. Które z jej dzieci najbardziej przyczyni się do rozrostu jej włości, kiedy nadejdzie czas, dostanie całą schedę.

Kerra wstała, zafascynowana.

– Kiedy... kiedy to było?

– Trzydzieści cztery lata temu. Zanim ty czy ja, czy ten tak zwany stwórca wszechświata się narodził – odrzekła. – Tak się zaczęło wyzwanie.

Błękitne obszary nad głową Sithanki rozpełzały się poza granice sektora, wypełniając puste miejsca. Kerra pojęła, że każdy taki świat był jednym z wielu, które straciły wolność – jedną z planet, o których uratowanie walczył Vannar Treece.

– Przez chwilę to nawet działało – mówiła dalej Arkadia. – Ale Sithowie nigdy nie grają czysto. Kiedy jej oferta okazała się za niska, Xelian – matka Odiona i Daimana – wypowiedziała wojnę Chagrasowi. Mojemu ojcu. – Arkadia splótła dłonie i spuściła na nie wzrok.

Kerra spojrzała na nią oszołomiona. A więc to jest córka Chagrasa.

– I to był koniec – ciągnęła Arkadia. – Wszystkie dzieci Vili zwróciły się przeciwko sobie. Babka wydawała się dziwnie niechętna, aby interweniować. Nasza wspólna sprawa ucierpiała. – Na holograficznym ekranie wokół nich błękitne obszary przestały rosnać i zaczęły się dzielić, rozpadając na wielobarwne strefy. – Na całe lata podboje Sithów w tym rejonie ustały z powodu wewnętrznych walk. Aż wreszcie z całego pokolenia został tylko Chagras...

i pokój powrócił.

– Wiem – odparła Kerra. Urodziła się w tej porze względnego spokoju. Nikt nie wiedział, dlaczego mordercza wojna ucichła. Jej rodzice byli z tego po prostu zadowoleni, bo mogli przestać uciekać. – Czy twój ojciec przejął spuściznę po Vili?

Arkadia zeszywniała.

– Tak. I nie. – Zaczęła krążyć wokół migoczącego słupa. – Był jedynym spadkobiercą, ale Vilia jeszcze żyła i zachowała większość swojego majątku. Mojemu ojcu zagwarantowano jedynie współpracę licznych dzieci jego rodzeństwa przy odtwarzaniu tego, co zostało zniszczone. Dziesięć lat temu Chagras znów był gotów stawić czoło Republice.

– Aquilaris – mruknęła Kerra. – Chagras wysłał Odiona na podbój Aquilaris. Mojej rodzinnej planety, pomyślała.

Gniewnie spojrzała na Arkadię, lecz ta wytrzymała jej spojrzenie.

– Straciłaś rodzinę, przyznaję. Cóż, łączy nas smutek, bo zanim upadły kolejne światy, Chagras zmarł nagle osiem lat temu. I osiem lat temu...

– Zaczął się drugi Sprawdzian Władzy – szepnęła Kerra. – Pomiędzy wnukami?

– Pomiędzy wnukami.

Arkadia pozwoliła, by te słowa dotarły do celu. Mapa gwiazdna nad ich głowami przybrała dziwny wygląd. Hegemonia Chagrasa rozpadła się na pięć części. Potem na dziesięć. Potem na więcej.

– Daiman i Odion pierwsi zaczęli wojnę – ciągnęła Arkadia. – Właściwie nie potrzebowali pretekstu. Na Byllurze, gdzie mój ojciec umieścił dla bezpieczeństwa mojego niespokojnego

brata i siostrę, kontrolę przejął Calician i zaczął budować państwo wokół Quillana i Dromiki. Są też inni – dodała posepnie.

– Nawet wszystkich nie potrafię spamiętać. Kerra pokręciła energicznie głową.

– Zaczekaj chwilę. Chcesz mi powiedzieć, że wszyscy Lordowie Sithów, którzy teraz walczą, są ze sobą spokrewnieni? – Wydawało się to nieprawdopodobne. O czymś takim nawet Vannar nigdy chyba nie słyszał. – Wszyscy jesteście kuzynami?

– No, nie do końca – sprostowała Arkadia. – Nawet nie wszyscy ludzcy Lordowie Sithów pochodzą od Vili. Ale to wielka rodzina. Są jeszcze różni półkwi kuzyni i parę osób z zewnątrz, jak Calician, którzy próbują się wkręcić. Wszystkim chodzi o to, aby zaimponować babce.

– Żeby o nich pamiętała na łożu śmierci?

– Teraz też ich faworyzuje – wyjaśniła Arkadia. – Vilia czasem nawet dzieli swoje posiadłości, traktując je jako nagrodę.

Zbita z tropu Kerra oparła się o ścianę i patrzyła w górę, na mozaikę kolorów zawieszoną w powietrzu. Wszystko wydawało jej się zbyt niewiarygodne.

– Kto ma w to uwierzyć?

– Ty – odparła Arkadia. – Już czas.

Przycisnęła guzik na słupie i obserwowała, jak gwiazdy znikają. Podeszła w ciemności do Kerry, zatrzymując się przy półokręgu na podłodze.

– Pozostań w cieniu – rzekła. – Patrz i nic nie mów. Jeśli zostaniesz zauważona, będę musiała cię zabić. – Obejrzała się przez ramię. – i twoich uczniów też. Przerazona Kerra spojrzała w kierunku słupa. Tam, gdzie unosiły się w powietrzu układy gwiazdne, z ciemności wyłonił się zbiór barwnych obrazów. Odion, wielki i zniechęcony, zupełnie jak żywy. Daiman w swoich najbardziej jaskrawych strojach. I wielu innych. Mężczyźni. Kobiety. Dużo nastolatków, ubranych w galowe szaty lub stroje bojowe. W większości byli to ludzie, ale zdarzały się obce twarze. Paru cyborgów, jak Odion. Postać w fotelu. Dziwna, widmowa istota w kapturze. Oczy Kerry przeskakiwały od jednej sylwetki do drugiej. Nie wiedziała, gdzie patrzeć.

Każde z nich pozowało, usiłując wyglądać tak groźnie – albo dostojnie, albo mądrze, albo wyniośle – jak to tylko możliwe. Było to dość trudne w takim tłumie. Kerra zauważyła siedem znaków na podłodze – miejsca, na których należało stanąć. Domyśliła się, że podobne pomieszczenia muszą być też gdzie indziej. W kręgu było znacznie więcej postaci niż siedem. Wyglądało to trochę jak Rada Jedi.

Albo Rada Nienawiści.

– Witajcie, moje dzieci – rozległ się łagodny głos.

Kerra spojrzała za plecy Arkadii. Nad słupem unosił się obraz siwowłosej kobiety w żółtej kaszmirowej sukni. Sukcesorka. Vilia.

Miała około siedemdziesiątki i była pomarszczona, ale nie zgrzybiała. Kerra zauważyła, że

kobieta trzymała w dłoni dziwny, obcy kwiat. Wydawało się, że siedzi w ogrodzie.

Najwyraźniej świetnie się czuje na emeryturze, pomyślała Kerra. A systemy gwiazdne niech się toczą jak chcą.

– Gratuluję wam wszystkim likwidacji Lorda Bactry – powiedziała Vilia.

– Nam wszystkim? – zdenerwował się Odion.

– Tak, Odionie – odparła kobieta. – Quermianin był kimś z zewnątrz. Był przyjacielem naszej rodziny przez wiele lat... ale nie mógł zmienić swojej osobowości. – Odwróciła się, chcąc objąć wzrokiem ponad tuzin wirtualnie obecnych Lordów Sithów. – Poczułam, że Bactra przestał być potrzebny... a on sam dał nam doskonały pretekst.

Kerra przycisnęła dłoń do ust, aby stłumić westchnienie. Oczywiście. Daiman i Odion naprawdę walczyli ze sobą na Gazzari – dopóki nagle obaj nie wbili Bactrze noża w plecy. Po prostu nie sądziła, że zrobili to na czyjś rozkaz.

A już na pewno nie na rozkaz kogoś, kto wygląda tak miło. Vilia z wdziękiem uniosła rękę.

– Wszyscy spisaliście się doskonale od czasu, kiedy rozmawialiśmy ostatni raz – oznajmiła. – Nadszedł więc czas podziału Legatu.

Pośród holograficznego tłumu Lordów Sithów rozległ się lekki szmerek, częściowo z aprobatą ale także z urazą.

– Terytoria Bactry dostały się najbliższym: Daimanowi, Odionowi, Lioko i Malakite – powiedziała, gestem wskazując Lordów Sithów, których Kerra wcześniej nie zauważyła. – i tak być powinno. Ale jego największym bogactwem były holdingi korporacyjne, które znajdują się na wielu światach. – Sięgnęła za siebie i wzięła do ręki zwitek pergaminu. – Teraz je rozdzielę. Industrial Heuristics i wszystkie spółki afiliowane przekazuję Daimanowi.

Z tyłu za Arkadią rozległ się śmiech. Z miejsca, gdzie klęczała, Kerra mogła dojrzeć jedynie plecy Daimana, który słuchał bardzo uważnie. Siedzący z lewej Odion zeszywniał, słysząc ten śmiech swoich wirtualnych kuzynów.

– Ten Legat niczego nie zmienia – warknął Odion, a jego pokryta bliznami twarz skrzywiła się w gniewnym grymasie. – To ja wezmę kapitał Bactry. Jeśli ten smarkacz chce tych... tych kupców, może sobie ich zabrać!

– Dokonałam już podziału – odparła Vilia, zwracając się ku swojemu potężnemu wnukowi. – Planeta jest twoja, mój Odionie, ale musisz dać kierownictwu holdingu czas na przeniesienie się do Daimana.

– Wyślę mu trupy!

– Dość tego – ucięła Vilia.

W sali natychmiast zapanowała cisza. Po raz pierwszy Kerra zobaczyła wyraźnie oczy tej łagodnej kobiety: przenikliwe i czerwone. Nagle poczuła się obnażona i mocniej przylgnęła do ściany.

– Daleka jestem od wygłaszania filozoficznych kazań, Odionie – dodała stara kobieta łagodniejszym tonem. – Każdy z was ma własne poglądy... i szanuję to, a nawet pochwalam.

Ale korporacji nie można lekkomyślnie niszczyć.

– To narzędzie Republiki – warknął Odion.

– A Republika jest narzędziem korporacji – wtrąciła Arkadia. Vilia uśmiechnęła się, po raz pierwszy dając znak, że zauważyła gospodynię Kerry.

– Bardzo dobrze, Arkadio. Wiem, czego was nauczono. Rozpoznajecie potęgę zawsze, kiedy ją ujrzyecie.

Sukcesorka na moment przymknęła oczy.

– Może coś z moich osobistych zasobów wyrówna twoje rachunki, Odionie – oznajmiła, unosząc notatnik. – Mam dla ciebie dwa legiony thrandoshańskich wojowników z mojej armii. Przybędą na twoje terytoria najdalej za trzy dni, jak tylko sztab korporacji opuści twoje tereny na rzecz Daimana. Zrozumiałeś?

Odion zjeżył się, wreszcie jednak skinął głową na znak zgody.

Kerra znów stłumiła dłonią okrzyk zaskoczenia. Niszczyciel wszechświata przywołany do porządku przez własną babkę!



– Słuchaj, Bothaninie, jeśli nie chcesz się zaciągnąć, to zostaw mnie w spokoju! Podążając wąskim korytarzem za przewodnikiem Arkadii, Narsk przyspieszył kroku, aby dołączyć do Rushera. Najemnicy są tacy irytujący. Nigdy nie pozwolą się odciągnąć od kursu, który sami sobie wyznaczyli. Nawet jeśli tak naprawdę to inni wyznaczali go dla nich.

– To ważne – wysapał Narsk, biegnąc za brygadierem po nierównej podłodze. – Na statku jest torba, która należy do mnie.

– To ty tak twierdzisz. Mówisz, że Jedi ukradła twój kombinezon maskujący – burknął Rusher. – A może przywiozła też z bitwy o Mizrę chodzący czołg? Pewnie chowa go pod swoją pryczą.

Narsk dogonił wreszcie wojownika i chwycił go za rękaw.

– Zapytałem ją o to w Atrium, kiedy przyjechaliście. Powiedziała, że kombinezon wzięła mała dziewczynka – upierał się. – Może ta Sullustanka, którą tu przywieźliście?

– Może. – Rusher wyrwał mu rękaw. – Ale nie zamierzam biec na statek, żeby ci to przynieść. Lord Arkadia kazała mi tu czekać, tak samo jak tobie.

– A co, nie masz komunikatora?

Rusher przyspieszył kroku, nie nadążając za przewodnikiem.

– Słuchaj, Snark...

– Narsk.

– Nieważne. Nie zamierzam zdenerwować sithańskiego lorda, domagając się zboczenia z trasy. Uchodźcy przyjadą tu niedługo pełzakiem lodowym. Jeśli ten twój gadżet istnieje, wyślemy go z powrotem wraz z Tan. – Pokręcił głową. – A potem wynoszę się stąd.

– Wtedy może być za późno – odparł Narsk, wchodząc do westybulu przed muzeum Arkadii. Nie było tu nikogo, poza dwoma gwardzistami Wookiee stojącymi po obu stronach złotego portalu. Sprawdził czas, kiedy przewodnik się oddalał. Przekazanie Legatu właśnie trwało, dokładnie teraz.

A Jedi była tego świadkiem. Musiała być. Przewodnik, który eskortował Kerę z groty poprowadził ją przez ten sam korytarz, z którego nie było innych wyjść. Przez dużą część wieku żaden Jedi nie mógł być świadkiem Legatu. Istniała jedynie możliwość, że Arkadia zapragnie pochwalić się swoją zdobyczą – ale Rycerz Jedi, gdyby go odkryto, musiałby zostać natychmiast stracony, na oczach wszystkich pozostałych Lordów Sithów. Tak nakazywała przyzwoitość... lub jej sithański odpowiednik.

Co Arkadia próbuje udowodnić?

Futro Bothanina zafalowało, nastawił uszu. Ktoś nadchodził korytarzem – to kolejny adiutant Arkadii. Popychał Quillana, siedzącego nadal w fotelu repulsorowym ze statku najemnika.

To oczywiste, że i on będzie zaproszony, ocknął się Narsk. Chłopak miał prawo uczestniczyć w Legacie, nawet w obecnym stanie. Co prawda zdawał się obojętny na wszystko. Głowa opadła mu ciężko na ramię.

Obserwując, jak ogromne drzwi otwierają się, aby wpuścić Quillana, Narsk zatęsknił znowu za swoim kombinezonem kamuflującym. W tej sali znajdowały się wszystkie odpowiedzi... a także Arkadia. A Quillana to nie obchodzi!



Gdzie może być holorejstrator, kiedy jest potrzebny?

W pogrążonej w ciemności rotundzie Kerra wodziła wzrokiem od jednej obcej twarzy do drugiej. W tym czasie Vilia recytowała listę korporacji Bactry, rozdzielając je kolejno. Kerra zacisnęła zęby.

Nie była w stanie nawet zapamiętać imion. Facet-obok-Odiona wyglądał jak wybryk ewolucji. W jego świecie zdaje się nie było fryzjerów. Kobieta-po-prawej-Arkadii ukrywała się pod szkarłatną maską, ledwie widoczną pod ozdobnym kapturem. A jedna postać co chwila zniknęła i pojawiała się z powrotem.

Kerra wyciągnęła szyję, aby lepiej widzieć, i nagle ześliznęła się z lodowej ściany. Przenosząc ciężar na zranioną nogę, usiłowała stłumić hałas, kiedy siedzeniem klapnęła na podłogę. Nad jej głową połówki narzędzia do cechowania spadły ze stojaka; Kerra ledwie zdążyła sięgnąć Mocą, aby je złapać o milimetry nad podłogą.

– Co to było? – zapytała Vilia.

– Nic – zapewniła Arkadia, rzucając Kerrze mordercze spojrzenie. Lodowa królowa wyprostowała się. – Rozumiem, że sprawa Bactry jest zakończona, ale mamy jeszcze jedną

rzecz do załatwienia. Pod moją opieką znajdują się bliźnięta, Quillan i Dromika.

Z kręgu znów rozległ się okrzyk zaskoczenia, tym razem głośniejszy. Zza pleców Kerry wyłonił się jeden ze służących Arkadii, pchając repulsorowy fotel Quillana. Arkadia przyciągnęła fotel i jego niereagującego na nic pasażera w zasięg holokamery, tuż obok niej.

– Czy on... się dobrze czuje? – zapytała Vilia z troską w oczach. – A ona, jak się miewa?

– Przebywają osobno, ale mam ich oboje – odparła Arkadia. – Są bezpieczni.

– Dobrze to słyszeć. – Kerra odniosła wrażenie, że na głos starej kobiety Quillan drgnął. W pomieszczeniu było zbyt wiele do oglądania, żeby mógł się skoncentrować – Kerra sama nie była w stanie śledzić wszystkiego. Ale wydawało się, że rozpoznaje głos babki.

– Żądam ich świata i terytoriów dla siebie – odezwała się Arkadia. Stojący po jej lewej stronie Daiman uniósł brew.

– A sprawy korporacyjne?

– Oni nie mają nic takiego. Vilia westchnęła.

– Nie wnoszę sprzeciwu – odezwała się. W półmroku pomieszczenia lśniła bladym światłem. – To tylko nagroda, uczciwie zdobyta. – Zawahała się. – Ale chodzi mi o bliźniaki. Co się z nimi stanie?

– Myślę, że lepiej byłoby, gdyby wychowywano je oddzielnie – odrzekła Arkadia.

– Dromika zostanie na Byllurze, myślę, że będzie się tam świetnie czuła... sama. Ale Quillan wymaga większej uwagi. Myślałam... – zawahała się. – Myślałam, że może ty mu ją zapewnisz.

Vilia wyglądała na zaskoczoną, ale po chwili uśmiechnęła się szeroko.

– Naprawdę cudowny pomysł. Tak, to ma rzeczywiście sens – zgodziła się. – Dostarcz go do mnie natychmiast. Prześlę ci namiary mojego nowego domu bezpiecznym kanałem. Dobrze się spisałaś, Arkadio.

– Dziękuję, babciu.

Kerra wodziła wzrokiem od jednej do drugiej. Teraz widziała podobieństwo, zarówno w wyraźnym, precyzyjnym sposobie wyrażania się, jak i w wyglądzie. Miały te same badawcze, inteligentne oczy.

Vilia rozejrzała się znów, podziwiając kwiaty w ogrodzie.

– Dziękuję już wam wszystkim. Miło was znowu widzieć. Obserwacja waszych postępów, czuwanie nad dorastaniem – to wszystko dodaje mi sił. Mam nadzieję, że wkrótce będzie okazja do kolejnego podziału Legatu. – Starsza kobieta skinęła głową swojej gromadce i znikła.

Oni też.

Kiedy światła zapłonęły znowu, Kerra wytrzeszczyła oczy na Arkadię.

– A więc wszyscy jesteście rodziną – szepnęła. – Walczycie ze sobą... i tylko ona potrafi was powstrzymać. – Pokręciła głową w zadumie. – Więc czemu was nie powstrzyma na zawsze? Możecie przecież ze sobą rozmawiać... i współpracować, kiedy wam każe. Czemu

nie współpracujecie przez cały czas?

– Spotkanie trwało dziesięć minut – przypomniała Arkadia. – Czas rzeczywistej współpracy wszystkich przeciwko Bactrze prawdopodobnie trwał jeszcze krócej. Ale Vilia rzeczywiście ma kontrolę nad całością... dzięki własnym podbojom i dzięki małżeństwu.

Vilia władała ogromną ilością materialnych bogactw, wielką potęgą militarną i mnóstwem holdingów korporacyjnych. Przekazywanie tego w prezencie trzymało rodzinę na wodzy; każdy chciał grać w tę grę. Najsilniejsi Lordowie mieli wszelkie powody, żeby tego pilnować.

– Nikt nie chce przegapić Sprawdzianu Władzy. Nikt nie chce zawieść babki. – Arkadia spojrzała w dół, na brata, który znów wydawał się całkowicie wyłączony z rzeczywistości. – Powiedziałam ci, że potrzebuję czegoś od ciebie, Kerro. Cóż, właśnie o to chodzi. Chcę, żebyś zawiozła Quillana do mojej babki.

Kerra zdumiona spojrzała na rodzeństwo.

– A kiedy babka cię przyjmie – dodała Arkadia ze śmiertelną powagą – chcę, abyś ją zabiła.

ROZDZIAŁ 22

– Mam ją zabić? – Kerra nie mogła uwierzyć własnym uszom. – Jest twoją babką! Arkadia nawet nie zbladła.

– Tak. Ale jest też babką biologicznie lub poprzez adopcję, wszystkich osób, które przed chwilą widziałaś. I właśnie przez nich i przez jej szaleństwo te sektory aż kipią od konfliktów.

Kerra pokręciła głową. To nie miało sensu. W końcu przez kilka krótkich chwil ta kobieta na holograficznym obrazie wydawała jej się... miła. Jedi spojrzała na Quillana, śpiącego w swoim fotelu. Vilia wydawała się naprawdę zatroskana o tego chłopca. O pozostałych też. Wyglądało na to, że jest bardzo zainteresowana, aby przedłużyć życie swoich wnuków.

– Babce chodzi tylko o jedno: o opóźnienie dnia, w którym pojawi się jedyny spadkobierca – wyjaśniła Arkadia. – Dlatego właśnie przygotowała pierwszy Sprawdzian Władzy w poprzednim pokoleniu. A teraz ten.

Vilia Calimondra zgromadziła w młodości tyle dóbr, że nigdy nie zdołałaby sama tego ochronić, gdyby nawet tylko kilkoro z jej potomstwa się zbuntowało. A to wydawało się pewne, jak mówiła Arkadia, bo zazdrość i nienawiść panowały powszechnie wśród dzieci Vili z jej trzech zmarłych mężów.

– Bez tej rywalizacji wcześniej czy później zmuszona byłaby zająć stanowisko – wyjaśniła Arkadia. – A ją obchodzi tylko własne dobro. Gdyby dzieci Vili powiększały jej stan posiadania, atakując obcych, których im wskaże, jak było z Bactrą, nie miałabym argumentów. Ale ona pozwalała... nie, wręcz zachęcała nas, abyśmy walczyli pomiędzy sobą. Te małe sesje arbitrażu są tylko na pokaz; rzuca nam krwawe ochłapy na podłogę, a my mamy o nie walczyć.

Oszołomiona Kerra przesuwiała wzrok od jednego artefaktu na ścianie do drugiego. Wszystko, co Arkadia mówiła, zgadzało się z historią, jaką znała, ale i tak wydawało się całkiem niewiarygodne. No i jedna rzecz wydawała się bez sensu. Był przecież zwycięzca pierwszej rywalizacji.

– Twój ojciec, Chagras, prawda?

– Ale mój ojciec zginął – odrzekła Arkadia. – Pamiętasz ten okres stabilności, kiedy Chagras miał być jedynym spadkobiercą? Vilia żyła wtedy w nieustannym strachu, że zginie z jego ręki.

– Czy dał jej powód do obaw?

– Chodzi ci o to, czy czuł się tak, jak ja teraz? Nie wiem. Wiem tylko – ciągnęła Arkadia –

że umarł otruty. Bronią była silna neurotoksyna, tak potężna, że pokonała wszystkie możliwości, jakie miał, aby uzdrowić się poprzez Moc.

Przez rok szukałam jego mordercy, ale miał zbyt wielu wrogów. – Złociste oczy znów skupiły się na Kerrze. – A to było bardzo wygodne.

Kerra ożywiła się.

– Myślisz, że ona kazała zabić własnego syna?

– Cóż, z pewnością kazała własnemu synowi zabijać – powiedziała Arkadia. – Nie wiem, jaka to różnica w twoim świecie, ale pośród Sithów...

Kerra, kręcąc głową, odsunęła się od ściany i spojrzała na słupek. Nie widziała dotąd w przestrzeni Sithów takiego systemu komunikacji. Bez przekaźników Republiki nie dałoby się utrzymać sieci pozwalającej na rozmowę tak wielu osób jednocześnie i tak od siebie oddalonych.

Wyczuwając jej zainteresowanie, Arkadia wyjaśniła, że jest to część spuścizny jej rodziny, dostarczona przez Vilię, aby umożliwić jej kontakt z wnukami. I tylko babka mogła uruchamiać ten system.

– Między innymi dzięki temu Vilia utrzymywała kontrolę. Nie mogłabym skontaktować się z innymi, nawet gdybym chciała. Moi najlepsi technicy już się tym zajmowali, ale nie mogli tego rozgryźć.

Twoi najlepsi technicy w zeszłym tygodniu byli pewnie kucharzami, pomyślała Kerra.

– Czemu chcesz mnie w to angażować? Jeśli masz taką potrzebę, dlaczego sama tego nie zrobisz?

– Nie mogę wyjechać razem z Quillanem – wyjaśniła Arkadia. – Babka jest paranoiczką. Ma dziesiątki różnych kryjówek. Po raz pierwszy dowiedziałam się, gdzie jest i wierz mi, w przyszłym tygodniu już jej tam nie będzie. Strażnicy Vili nieustannie szukają wokół niej znajomych osób. Nie byłabym w stanie nawet wysiąść ze statku bez zaproszenia. Mam inne możliwości, ale to jest nic w porównaniu z tobą.

– Czy się uda, czy nie, morderca Jedi udowodni, że twoje ręce są czyste. Arkadia zawahała się.

– Coś w tym rodzaju. Ale nie chodzi tylko o mnie. Chodzi też o ciebie i o powody, które cię tu przywiodły. Powinnaś to zrobić, naprawdę. – Spojrzała na niebo, widoczne za przejrzystym teraz oknem. Ponad nimi przesunęło się słońce Syneda. – Mówiłaś, że Odion zniszczył twój dom. To było na Aquilaris, prawda?

Kerra skinęła głową.

– To wolna planeta poza naszą przestrzenią jeśli dobrze pamiętam. Na obrzeżach. To Chagras wysłał Odiona, aby podbić Aquilaris – powiedziała Arkadia, powtarzając niedawne słowa Kerry. – To prawda. W tym czasie jego siostrzeniec wciąż pracował dla niego, ale Chagras też słuchał rozkazów. – Obrzuciła Kerrę twardym spojrzeniem. – Bo to Vilia zarządziła inwazję na twoją rodzinną planetę.

Kerra nie zamierzała ustąpić. Arkadia próbowała ją urobić, to więcej niż pewne, wykorzystując fakty i słowa, aby ją zmotywować... tak samo, jak służba bliźniaków używała Mocy. Nie miała zamiaru dać się nabrać.

– Nawet jeśli sprawisz, że stanie się to dla mnie sprawą osobistą nie zabiję twojej babki – postanowiła. Pożegnała się z myślą o zemście na Odionie już wiele tygodni temu, na Chelloa.

– Myślę, że się nie doceniasz – odparła Arkadia, krążąc wokół słupa jak dzika bestia. – Wejrzałam w twoje myśli i widziałam twoje czyny. Wiem, co zrobiłaś. Całkiem niezła z ciebie bojowniczką dla własnej sprawy. – Wskazała na śpiącego Quillana. – Czy nie byłaś gotowa zabić Daimana i zaatakować bliźniaki, aby ulżyć cierpieniom zwykłych ludzi?

– Daiman to wojownik – odparła Kerra. – A zabicie jednej staruszki niczego nie rozwiąże. Wy wszyscy wciąż będziecie Lordami Sithów.

– I wciąż będziemy się wadzić. Ale to nie będzie rywalizacja ani wyścig. Kerra spojrzała na drzemiącego nastolatka i z powrotem na świetlik. Szukała jakiegoś sposobu, aby spowodować prawdziwy wstrząs, który pomógłby wszystkim pod panowaniem Sithów. Były jednak pewne granice tego, co mogła zrobić jedna osoba.

A może i nie. Villa pokazała jej coś innego. Pamiętała ten moment, ten przebłysk gniewu w czasie Legatu. Vilia była Sithem, a Sith zawsze jest zdolny do tego, o czym mówiła Arkadia.

Ale Arkadia też była Sithem – podobnie jak wszyscy od Legatu. Jak wielki chaos mogłaby wywołać niespodziewana zmiana? Kerra obawiała się bezkrólewia w Daimanacie. A jeśli zabicie Vili spowoduje coś jeszcze gorszego?

Decyzja była prosta.

– Nie zrobię tego – oznajmiła. – Nie wiem, co mogłoby się stać. Jestem Jedi i nie pracuję dla Sithów... więc tobie też nie pomogę. – Wskazała eksponaty na ścianach. – Znajdź sobie inne narzędzie.

Arkadia dygotała, najwyraźniej z gniewu. Metrowej długości pręt, który nosiła na plecach, niemal niedostrzegalnie prześliznął się do jej prawej dłoni. Dotknęła kryształu na środku – i dwa jaskrawe promienie szkarłatnego światła wytrysnęły z obu końców pręta.

– Byłaś najlepszą z moich opcji – stwierdziła, unosząc podwójny miecz świetlny przed nieuzbrojonym gościem. – I właśnie mi to zabrałaś.

Kerra cofnęła się w stronę drzwi, przez które weszła, wzrokiem szukając po ścianach narzędzia, które mogłoby się nadać na broń. W tym samym momencie otworzyło się sześć pozostałych portali, odsłaniając gwardzistów Gwardii Obywatelskiej, uzbrojonych w ręczne miotacze. A więc jej opcje też się skończyły.



Gdzie jest koło tortur, kiedy akurat jest potrzebne? Rusher oparł się o lodową ścianę, próbując odciąć się myślami od Bothanina. Ten kosmaty pysk w ogóle się nie zamykał; cały czas żądał,

żeby mu oddać ten głupi kombinezon maskujący.

Jeszcze bardziej irytujące były wielkie drzwi po jego lewej ręce, prowokacyjnie zamknięte. Powiedziano mu, że za nimi znajduje się muzeum Arkadii. Rusher mógł sobie tylko wyobrazić, jakie historyczne skarby mogą się tam kryć. Prawdziwe muzeum? W przestrzeni Sithów? Wiedział, że Arkadia wezwała go tutaj tylko po to, aby porozmawiać o uchodźcach. Ale i tak chciał, by te drzwi się otworzyły. Arkadia mogłaby mu dać choć minutę na rozejrzenie się...

I nagle drzwi stanęły otworem. Wyszła z nich Arkadia, błyskając mieczem świetlnym, a za nią mały oddział żołnierzy. Pośrodku nich maszerowała Kerra, ledwie widoczna zza okrytych zbrojami postaci. Rusher zauważył, że ręce ma skute za plecami pojedynczą czarną obręczą.

Pochwycił przelotne spojrzenie Kerry, kiedy oddział go mijał.

– Hej, czekajcie! – zawołał.

Arkadia odsunęła się, pozwalając, aby strażnicy i uwięziona przeszli obok.

– Brygadierze, sprowadź swoich pasażerów, i to zaraz. Czy już szykują transport?

– Tak, ale...

– Zgłoś się zatem do głównego atrium – poleciała Lord Sithów. – Sprowadzą pełzak lodowy z południowej części hangaru, kiedy będzie gotów. Załaduj uchodźców i przywieź ich do mnie.

– A potem możemy odlecieć?

– Tylko wtedy – odparła surowo. – Nadal nie potrzebuję specjalistów w mojej organizacji.

Dostrzegła Bothanina, czającego się za plecami Rushera.

– Narsk, chyba jednak ubijemy interes. Gotów jesteś na trochę zajęć w terenie? Narsk skinął głową.

– Tak jest, Lordzie Arkadio.

Arkadia wyłączyła podwójny miecz świetlny i gestem wskazała otwarte drzwi. Wyszedł z nich człowiek, pchając przed sobą fotel z Quillanem. Arkadia wzięła notatnik od asystenta i szybko przebiegła po nim palcami.

– Narsk, dołącz do Quillana i Enbo. Wkrótce wszystko ci wyjaśnię. Odwróciła się i wcisnęła notatnik Rusherowi.

– Co to jest? – Rusher nie spuszczał oczu ze strażników, znikających w głębi korytarza.

– Te współrzędne wyniosą cię poza moją przestrzeń. Użyj ich. Może Szczątki Chagrasi skorzystają z twoich usług. – Arkadia odwróciła się, aby podążyć za swoim oddziałem.

– Co... co się stanie z Kerrą?

– Zostanie potraktowana tak samo, jak każdy Jedi w przestrzeni Sithów – odparła Arkadia, nie oglądając się i nie zatrzymując.

Rusher przełknął ślinę. Widząc, że uwaga Botanina skupiona jest na przykutym do fotela chłopcu, odetchnął głęboko i ruszył w dół korytarza za oddziałem. Kerra była stąd niewidoczna, zasłaniali ją strażnicy. Dziewczyna była kłopotliwa, to prawda, ale nie

zasługiwała na karę Lorda Sithów. Niewielu na to zasługiwało.

– Słuchaj, nie musisz sobie nią zawracać głowy – zawołał, przywołując na twarz swój najpiękniejszy handlowy uśmiech. – Mogę ją wziąć ze sobą.

Arkadia odwróciła się gwałtownie.

– I pozwolić, żeby zdemolowała wszystko tutaj, tak jak przedtem w Daimanacie? Mimo wszystko dziękuję, brygadierze – mówiła głosem pełnym jadu. – Wyciągniemy z niej wszystkie informacje o Republice i o innych Lordach Sithów, tych, których widziała. A potem wykończę ją osobiście.

Rusher zgarbił się.

Z tyłu dobiegł głos Bothanina:

– Lordzie Arkadio – odezwał się Narsk – żebym mógł ci służyć, żądam zwrotu mojej własności z okrętu Rushera. Chcę odzyskać coś, co mi ukradła Jedi.

– Zajmij się tym, brygadierze – poleciała Arkadia. – Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.



Wszystko poszło źle i Narsk dobrze o tym wiedział.

Patrzył, jak Arkadia i jej dwór znikają w głębi długiego korytarza. Brygadier stał przed nim z rozdziawionymi ustami. Wydawało się, że ten człowiek nie ma pojęcia, jak rozumieć zachowanie Arkadii. Cóż, on też nie rozumiał. Jedi została skazana na śmierć... ale przecież od początku nie miała prawa zostać przy życiu. Narsk spojrzął na Quillana, którego właśnie przepychał obok sługi Arkadii. Nie miał wątpliwości, co się stało w muzeum. Kerra Holt widziała Legat, w którym uczestniczyli wszyscy członkowie wielkiej rodziny. Na pewno wiedziała już o Sprawdzanie Władzy. Narsk znał zasady, choć na ogół były owiane tajemnicą: Kerra powinna zginąć niezwłocznie, żeby uchronić największy sekret rodziny.

Czyli to, że wszyscy są rodziną.

Przy takich odległościach dzielących ich światy potomkowie Vili na ogół zdołali zachować dyskrekcję co do swoich powiązań rodzinnych. Dezaktywacja przekaźników republikańskiej komunikacji podprzestrzennej wysuszyła międzygwiazdny ocean informacji, pozostawiając wiele niepołączonych ze sobą enklaw. Niewielu znało szczegółowo genealogię lokalnych Lordów Sithów – może z wyjątkiem poddanych Odiona i Daimana, którzy pokrewieństwo przywódców traktowali jak swoistą mitologię. Władcy, jak Narsk o nich myślał, w znacznym stopniu korzystali na tej poufności. Umożliwiało to skoordynowane zamachy przeciwko autsajderom, takim jak Bactra; chroniło ich też przed tym, by inni Lordowie Sithów nie uznali ich za wspólnego wroga.

Krew Jedi powinna spływać na podłogę muzeum. Implant Narska znów się odezwał.

Bothanin przypomniał sobie kody. Jeden długi sygnał oznaczał „Odezwij się”. Siedem oznaczało zbliżający się Legat. Ale co znaczyły na przemian krótkie i długie impulsy?

„Uważaj na swojego pracodawcę”.

Narsk zachwiał się i potknął, o mało nie padając na lodową podłogę. Jego zwierzchnik nakazał mu służyć Arkadii, a teraz Arkadia była zagrożeniem. Przewidzieli to ci, którzy mieli większe możliwości od niego. Cokolwiek chodziło po głowie Arkadii, mogło stanowić problem dla jego prawdziwego pracodawcy. A lodowata Lord Sithów oczekiwała, że Narsk weźmie w tym udział.

Było to jednocześnie zachwycające i przerażające miejsce. Tak, znał jej intencje doskonale. Ale co będzie, jeśli nie zdoła im zapobiec? Nawet gdyby uzyskał dostęp do systemów komunikacji Calimondretty – a nie miał tej możliwości.

– Arkadia mogła nie dać mu szansy na wysłanie ostrzeżenia. Co będzie, jeśli zostanie wciągnięty do spisku, zmuszony do odegrania jakiejś roli bez możliwości ucieczki?

Uważaj na swojego pracodawcę.

– Idzie pan, sir? – Sługa o nagiej czaszce spojrział na niego podejrzliwie.

– Prowadź.

Narsk ruszył przed siebie ze wzrokiem wbitym w buty służącego. Musi znaleźć jakąś strategię wyjścia.

– To nie w porządku – usłyszał.

Podniósł wzrok i zobaczył przed sobą dowódcę najemników, mamroczącego pod nosem i wyraźnie szukającego partnera do rozmowy.

– To nie w porządku – powtórzył Rusher. Narsk w duchu zgodził się z nim.

– Powinieneś coś zrobić, brygadierze.

– Ale co? – zapytał Rusher, kiedy sługa go wyminął, pchając przed sobą fotel. – Nie mogę zaryzykować wszystkiego dla jednej osoby.

Spojrział w głąb pustego korytarza.

– Nawet jeśli ona dla nas wszystkich ryzykowała życiem na Byllurze, nie mam prawa angażować w to innych osób. – Spojrział na Narska i wyprostował się, dodając sobie animuszu. – Zresztą to nie moje zadanie.

Narsk spojrział na tego człowieka. Kolejny specjalista, który mówi rzeczy, jakich on sam nie mógłby powiedzieć. Zwolnił kroku, aby sługa Arkadii znalazł się niby przypadkiem poza zasięgiem głosu.

– Rozumiem to, brygadierze – powiedział, ostrożnie dobierając słowa – ale sądzę, że cokolwiek stało się w tym muzeum, mogło zmienić wiele spraw. Twoja załoga może być w niebezpieczeństwie, jeśli wypełnisz rozkazy Arkadii.

– Taak? Ale jeśli ich nie wypełnię, z całą pewnością będą zagrożeni. – Rusher pokręcił głową. – Potrzebuję czegoś więcej – mruknął pod nosem. – Zresztą i tak to nie ma znaczenia. Widziałeś te emitery wiązek ściągających? Nie dotrzemy do orbity, póki tam są... a wątpię, żeby pozwolili nam je po prostu wyłączyć.

Narsk przytaknął. Zapasowe stanowiska były rozstawione co kilometr i podłączone. Atak i

wyłączenie jednej nic nie dawało.

– Jest tu pewien problem – przyznał. – Ale może znajdę na to sposób. Pracujemy w końcu w tym samym fachu.

– To znaczy?

– W wyburzeniach.

Idąc obok Rushera, Narsk szybko przekazywał mu pomysł, który przyszedł mu do głowy, kiedy po raz pierwszy zobaczył „Gorliwość” z mostka „Nowego Tygla”. Początkowo rudowłosy generał słuchał go z rezerwą, ale w miarę jak Narsk kontynuował, z jego twarzy odpłynęła cała krew.

– Jesteś chory, człowieku? – zapytał Bothanin.

– Nie, ale ty chyba tak – odparł Rusher. – To najbardziej szalone pomysły, o jakich kiedykolwiek słyszałem. Co ty w ogóle wiesz o statkach i amunicji?

– Pracowałem przez wiele tygodni w najlepszych ośrodkach testowych Daimana.

– Chyba spędziłeś je w szybie wentylacyjnym – mruknął Rusher. – Nie zostałyby mi ani jeden statek, gdybym zrobił to, co proponujesz.

Narsk wzruszył ramionami.

– Jeśli tego nie zrobisz, też możesz zostać bez statków. I jest jeszcze jedna rzecz – dodał – która nie może czekać. Potrzebny będzie ktoś z twojej załogi... ktoś, kogo Arkadia zupełnie nie podejrzewa.

Rusher popatrzył na niego, wyraźnie coś kalkulując.

– Wiesz co? Chyba mam kogoś takiego.

– Masz komunikator?

Rusher wyciągnął aparacik z kieszeni i uśmiechnął się.

– Ma nowoczesne szyfrowanie i wszystko, co trzeba.

– Wiem, rozebrałem go na Byllurze – powiedział Narsk, wziął komunikator i pomanipulował kontrolkami. – Użyj tego kanału i żadnego innego. Arkadia nie ma prawa podsłuchać twojej transmisji. – Widząc, że sługa z wózką zbliża się do rozwidlenia korytarza, Narsk wcisnął aparat w dłoń Rushera. – Muszę teraz iść. Decyzja należy tylko do ciebie.

Rusher pokręcił głową.

– Nie ma co się zastanawiać, Bothaninie. To, co proponujesz, jest szaleństwem. Nie zrobię tego i już.

Narsk go rozumiał. Najemnik działał na tej samej zasadzie, co on. Był na to tylko jeden sposób.

– Dobra – rzekł. – Chciałbym cię wynająć. Rusher znieruchomiał – i zaśmiał się głośno.

– Chcesz nas wynająć?

– A to takie dziwne?

– Nasza brygada zwykle przyjmowała zadania od Lordów Sithów.

– Teraz też tak będzie – zapewnił Narsk. – No, w pewnym sensie. I pozwól, że podam warunki finansowe...



Mieszkanie Guba Tenga tylko przypominało trumnę. Za to teraz Kerra znajdowała się w prawdziwej trumnie – lub jej sithańskim odpowiedniku. Arkadia nie marnowała przestrzeni na więźniów.

Schodząc ze strażnikami w lodowate głębie Calimondretty, Kerra spodziewała się zobaczyć coś w rodzaju normalnego bloku więziennego. Tymczasem areszt Arkadii przypominał raczej centrum przetwarzania danych; był zastawiony rzędami wysokich metalowych szaf, spiętrzonych w stosy wznoszące się w lodowaty mrok. Szybko się zorientowała, że zawartość tych szaf była żywa: więźniom dostarczano powietrze i żywność przez rurki. Kerra zauważyła roboty do przesłuchań; unosiły się na platformach repulsorowych, pobierając dane od biednych istot zamkniętych w skrzynkach. Był to system przechowywania dokumentacji organicznej.

Wepchnięta przez strażników do jednej z szaf, zaczęła się zastanawiać, kto może znajdować się w sąsiednich. Z pewnością nie mogli to być ci, których Arkadia wzięła do niewoli na terytorium sąsiadów. Czy mieli tu także strefę prania mózgu dla dysydentów? A może w tym miejscu przebywali ci, którzy nie poradzili sobie ze zbyt często zmieniającymi się zadaniami? Arkadia nigdy nie sprecyzowała, co się działo z tymi, którzy nie dorównywali reszcie.

Nałożono jej na twarz maskę respiratora i zamknięto ją w skrzyni. Wewnątrz było ciemno tylko przez chwilę. W ciągu następnej sekundy ciasne pomieszczenie rozbłysło oślepiającymi impulsami światła, a ciszę rozdarły przeraźliwe, wysokie dźwięki. Zarówno światło, jak i dźwięki zanikały w regularnych odstępach czasu, ale niejednocześnie; zawsze ten drugi bodziec zyskiwał na intensywności. Było to nieprzewidywalne zjawisko i właśnie takie miało być. Nie było mowy o medytacji ani o sięgnięciu w Moc.

Chwile względnego spokoju następowały jedynie wtedy, kiedy jeden z robotów podpływał do zewnętrznych głośników, żądając zeznań na temat Republiki. Niektórych pytań nawet się spodziewała. „Gdzie były ostatnio granice Republiki? Jaki jest dzisiaj stan techniczny okrętów wojennych Republiki?” Inne ją zaskoczyły. „Jakiego gatunku istoty żyją najbliżej granicy? Ile Republika inwestowała w studia toksykologiczne?”

Oczywiście, nie odpowiedziała na żadne z tych pytań, co ściągnęło na jej słuch i wzrok kolejne kary. Na szczęście mogła zamknąć oczy, dzięki czemu widziała jedynie podświetlone żyłki na powiekach – i rozpamiętywać swój los. Myliła się, wierząc choć przez sekundę w „gościnność” Arkadii, tak samo jak myliła się przedtem, sądząc, że Byllura będzie dla nich przystanią. W obu przypadkach musiała sobie powiedzieć, że tak naprawdę chciała tylko

jednego: żeby uczniowie opuścili przestrzeń Sithów. W istocie jednak przyjęłaby dla Tan i uchodźców przyzwoitą alternatywę nawet w przestrzeni Sithów, gdyby takowa istniała. Gub i inni opiekunowie, którzy umieścili swoje dzieci w Industrial Heuristics i u Brygady Rushera, mieli nadzieję, że ich dzieci trafią w choć trochę bezpieczniejsze miejsce. Wpadła w pułapkę myślenia, że można dopuścić pewne poprawki, aby tylko mogła wrócić do swojej walki przeciwko Lordom Sithów.

– Rozwalanie wszystkiego jest proste – powiedziała kiedyś Ruserowi. – Dobroć jest trudna.

Zdała sobie teraz sprawę, jaka była dla niego niesprawiedliwa. Częściowo dlatego, że nie chciała, aby to ona zgodziła się na mniejsze zło dla uczniów. Jak na najemników służących Sithom, brygadier nie był nawet taki zły. W każdym razie troszczył się o swoją załogę. Zazdrościła mu, że miał zawężone zadania.

Ona musiała pomagać tak wielu ludziom, że z trudem ogarniała skalę tych prac. Na „Gorliwości” znajdowało się tysiąc siedmiuset uchodźców, którzy na nią liczyli. Ale nie była to nawet jedna siedemnastomilionowa z liczby istot, które pozostaną w stanie zagrożenia. Czy miała prawo koncentrować swoje wysiłki na zapewnieniu lepszego losu wybranej grupie, kiedy było tak wiele do zrobienia?

Kerra przywołała obraz Lureii, małej dziewczynki noszącej opaskę swojej zaginionej siostry. Ona – i tak wielu innych, jej podobnych – zbyt długo cierpiała, żeby zasługiwać jedynie na półśrodki. Tak, ale skoro Kerra była jedynym Rycerzem Jedi w sektorze, miała też inne zadania. Nie zwalniało jej to jednak z obowiązku wobec tych, którzy jej zawierzyli. Liczyli na nią. W przestrzeni Sithów nie było czegoś takiego jak „bezpieczniejsze miejsce”. Tak czy owak, musiała ich stąd wydostać!

Przesłuchiwalcy zaczęli znowu, dopytując się o liczbę Jedi i o miejsca, gdzie stacjonują. Dzięki tym pytaniom Kerra pojęła, że dowiaduje się więcej o tym, co wie Arkadia – albo czego nie wie – niż oni dowiadują się od niej. Wielki atut Jedi – ich reputacja – trwała jeszcze długo po ich odejściu, tymczasem wiele istot, które spotkała w przestrzeni Sithów, wydawało się w ogóle nie wiedzieć o ich istnieniu. Ruser też przyznał, że jego wiedza pochodzi głównie ze studiów historycznych. Nawet niektórzy Lordowie Sithów, których spotkała, nie mieli praktycznie żadnej wiedzy, jak postępować z Jedi. Arkadia sobie wyobrażała, że z Kerrą można się targować. Odion myślał, że Kerrę da się przekonać, aby uznała samobójstwo za racjonalny wybór. Bliźniaki chyba w ogóle nie miały pojęcia, kim naprawdę była.

Z wszystkich sług Lordów Sithów, których spotkała, jedynie Narsk sprawiał wrażenie, że wie, o co chodzi w sprawie Jedi.

Czy Jedi nie powinni grać fair i zachowywać się przyzwoicie? Kerra otworzyła oczy. Bothanin naturalnie miał rację.

Ale skąd to wiedział? I kim był?

ROZDZIAŁ 23

Narsk czekał cierpliwie w małym, okrągłym hangarze. Miejsce to nie nosiło żadnej górnolotnej nazwy, które tak chętnie nadawała Arkadia. Stacja Zaokrętowania numer siedem była skupiskiem kopuł na powierzchni Syneda, połączonym z Salą Patriotów i resztą miasta szeregiem podziemnych korytarzy, prowadzących na południe. Ale ta mała budowla była na swój sposób Czarnym Kłębem Arkadii. Niezwykły srebrzysty statek, który przygotowywano w hangarze, obchodził ją bardziej, niż wszystkie skomplikowane jednostki dla Daimana.

Narsk został tu po prostu zaproszony... czy raczej rozkazano mu się stawić. A to dlatego, że ten statek miał być dla niego... na razie.

Lśniący na tle ciemności statek był niewiele większy od myśliwca z wydłużoną kabiną dla załogi. W kabinie siedział robot-pilot, przyspawany do konstrukcji statku. Część pasażerska sprawiała wrażenie dość wygodnej: wystarczająco szeroka dla nowego fotela repulsorowego, którym technicy Arkadii zastąpili starego brązowego grata z „Gorliwości”. Wspaniały fotel w królewskim kolorze burgunda czekał na skraju przejścia.

– Chłopiec wkrótce tu będzie – powiedziała Arkadia.

Narsk obejrzał się. Sithanka stała w wejściu do kopuły. Nie miała już na sobie paradnego stroju z Legatu; otuliła się powiewną turkusową tuniką. Znikły futrzane akcesoria i paradne nakrycie głowy; jej srebrzyste włosy zwisały na piersi w długich warkoczach. Przez te kilka godzin złość jej przeszła, ustępując miejsca całkowitej swobodzie. Zdumiewające, biorąc pod uwagę to, co właśnie kazała zrobić Bothaninowi.

– Twoi technicy pokazali mi statek – rzekł Narsk. – Wiem, gdzie będzie siedział Lord Quillan. A ja?

Arkadia poszła na rufę, ku trzem cylindrycznym silnikom. Kiedy przekreśliła ukrytą kontrolkę ponad środkowym z nich, ukazało się puste miejsce wewnątrz, wystarczające dla niedużego człowieka. Albo dużego Bothanina.

Narsk przeszedł na rufę i zajrzał do środka. Znalazł maskę tlenową i zapas wody; ani jeden centymetr sześcienny przestrzeni nie został zmarnowany. Uznał, że pasażer może tam lecieć całkiem wygodnie.

– Nikt nie zauważy, że ten silnik nie działa?

Arkadia zamknęła pokrywę i skinęła na technika. Nagle z fałszywej rury wydechowej buchnął płomień, osmalając wąsy Narska.

Kiedy hałas ucichł, Narsk poklepał korpus statku. Spora różnica w porównaniu z tym, co

zastał w Czarnym Kle. Ludzie Arkadii znali się na projektowaniu.

– Obliczyliśmy, że skok do świata docelowego zajmie siedem godzin. W przedziale masz zapas tlenu na osiem.

– To niezbyt wiele – zauważył Narsk.

– Jeśli będziesz potrzebował więcej, to znaczy, że poniosłeś klęskę – stwierdziła Arkadia. – Tak jak ci mówiłam, cel jest Lordem Sithów, kobietą, niemłoda, ale lepiej jej nie lekceważyć. – Przyjrzała się szpiegowi. – Widziałeś obrazy, więc domyślam się, że masz pewne pojęcie, kim jest Vilia, Bothaninie.

Narsk próbował udąć obojętność.

– Słyszysz się to i owo.

– Więc wiesz, że powierzam ci ważne zadanie.

– A ty znasz moją reputację – odparł. – Dlatego to mnie wynajęłaś, aby wejść do Diarchii. Nawet gdyby Jedi się tu nie przyplątała, dostałabyś swoją szansę.

Lord Sithów spojrziała podejrzliwie.

– A jeśli cię złapią?

– Spytaj Daimana, ile zdradzam, jeśli zostaję złapany – odparł Narsk. – Nigdy nie mówię więcej, niż chcę. Poza tym – dodał – wszyscy poza tą planetą wiedzą że ostatnio pracowałem dla Odiona.

Arkadia uśmiechnęła się.

– To mi nawet pasuje.

Narsk skinął głową. Nie wiedział, jaki był wynik Legatu, ale podejrzewał, że Odion ma teraz żal do Sukcesorki. I nic dziwnego.

Arkadia przeszła po ubitym śniegu do dziobu wahadłowca. Wyjaśniła, że statek dowiezie Quillana i ukrytego Narska prosto do ustronia Vili. Opisywała akurat tajne kody, które bezpiecznie przeprowadzą statek przez linię obrony planetarnej, kiedy Narsk zauważył ruch na skraju tundry, poza granicą pola magnetycznego.

– O co chodzi? – zapytała Arkadia, widząc wyraz twarzy Narska. Obejrzała się i dostrzegła postać w kombinezonie kosmicznym, błądzącą bez celu po lodzie. – Co do...

Widząc, że Lord Sithów sięga po broń, Narsk zrobił krok naprzód.

– Zdaje się, że to dostawa, którą zamawiałaś – powiedział i gestem wezwał przybysza. Ten dostrzegł go i zamachał w odpowiedzi, kierując się przez pustkowia ku ich budowli.

– To ten głupiec Durosjanin! – Arkadia zdumiona wytrzeszczyła oczy. Beadle Lubboon zbliżał się do nich ubrany w kombinezon kosmiczny, uszyty najprawdopodobniej dla Wookiee. Przezroczysty hełm, kiepsko zamocowany, chwiało się na jego zielonej głowie. Lewe ramię zwisało bezwładnie z boku, kiedy żołnierz z trudem pokonywał śliską powierzchnię. Narsk spojrział na Arkadię pytająco i podszedł do kontrolek, pozwalając młodemu Durosjaninowi wejść do środka.

Beadle wtoczył się pod kopułę, klapiąc za dużymi butami o płytę pokładu. Niezgrabnie

grzebał wolną ręką w torbie przewieszanej przez prawe ramię. Ciężko mu to szło, więc zaczął mamrotać przeprosiny, a może tylko tak się Narskowi zdawało. Hełm w środku pokrył się mgłą.

– Włącz głośnik albo zdejmij hełm, Durosjaninie – polecił Narsk.

Beadle zdołał w końcu zdjąć hełm przy pomocy Bothanina i upuścił go z brzękiem na zamrożone podłoże.

– Dziękuję, sir. Jeśli pan jest Narsk, to mam coś dla pana. Narsk zdjął torbę z ramienia rekruta, otworzył ją i zajrzał do środka. Nareszcie! Po wielu dniach i wielu planetach Mark VI znów należał do niego.

Arkadia przyglądała się kurierowi podejrzliwie.

– Dlaczego szedłeś na piechotę? Rusher mógł wysłać cię na przyczepie jednej z ciężarówek.

– Zrobił tak, proszę pani. Ale spadłem.

– Ciężarówki jadą cztery kilometry na godzinę!

– Naprawdę? Ten, który mnie potrącił, wyglądał, jakby jechał szybciej – odparł.

– Chyba złamałem ramię. Arkadia uniosła oczy w górę.

– Ech, ty dumo najemników! – Wskazała mu wyjście. – Wasz dowódca wkrótce powinien przybyć razem z uchodźcami, Durosjaninie. Czekaj na niego w Sali Patriotów. – A widząc, że Durosjanin niepewnie przestępuje z nogi na nogę, warknęła: – To ten wielki pokój z drzwiami prowadzącymi na zewnątrz!

Beadle uśmiechnął się pokornie.

– Czy macie tu gdzieś ambulatorium? Chciałbym dostać coś przeciwbólowego, jeśli można.

Arkadia skinęła głową gestem wzywając adiutanta, aby wskazał rekrutowi drogę. Narsk patrzył, jak drzwi zamykają się za nimi.

– Beznadziejny przypadek – rzekł, kręcąc głową. – No cóż, wkrótce go tu nie będzie. – Zawahał się. – Naprawdę pozwolisz najemnikom odjechać?

– Ależ oczywiście – odparła Arkadia. – Po prostu wyślę ich na śmierć. Te współrzędne nadprzestrzenne, które dałam brygadierowi, wyślą ich głęboko w Osobliwość Nakrikal.

– Czemu na przykład nie zabrać im statku?

– A po co sobie zawracać głowę? Rusher sam powiedział, że zostało mu już tylko kilka sztuk artylerii. A jeśli będę potrzebowała kanonierki, moi ludzie potrafią zbudować lepszą. – Zajrzała do torby. – Czy to jest ta wielka przewaga Narska Ka'hane'a?

Narsk wyjął kombinezon maskujący i pokazał jej, starając się ukryć przerażoną minę. Jedi porządnie sponiewierała jego własność.

Kombinezon wyglądał naprawdę tak, jakby bawiło się nim dziecko. Będzie miał szczęście, jeśli uda mu się usunąć plamy, zanim go włoży.

Arkadia jednak była wyraźnie pod wrażeniem, nawet mimo stanu kombinezonu. Z

zachwytem przesunęła dłonią po wewnętrznym szwie.

– Jak ci się udało go zdobyć?

– Gdybym ujawnił wszystkie moje źródła i metody, nie potrzebowałabyś mnie już, prawda?
– odparł. – Ale wiesz, że zdołam w tym bez trudu dotrzeć odpowiednio blisko Vili.

– Przecież ona jest Sithem. Wyczuje, że przybywasz.

– Nikt nie stawia Lordom Sithów takich wyzwań jak ja. Na pewno nie dam się wyczuć.

Arkadia przyglądała się przez chwilę, jak Narsk starannie chowa kombinezon do torby, po czym spojrzała znów na wahadłowiec, gdzie robotnicy zdejmowali dopasowany już fotel repulsorowy. Misja Bothanina będzie prosta. Kiedy statek doleci na świat Vili, Narsk wydobędzie się niepostrzeżenie i pójdzie za Quillanem. Kiedy upewni się, że chłopiec dotarł do Vili, zabije starą Lord Sithów.

Narsk rozejrzył się niepewnie.

– Masz dla mnie broń?

– Jest tutaj – odparła Arkadia, podchodząc do fotela repulsorowego. Przesunęła go na bok, ukazując ukryty panel, pod którym tkwiło pięć kul z błękitnawym gazem. Kule były zamocowane do detonatora.

– Bomba?

Arkadia zachichotała.

– Nie na wszystkim się znamy, co, agencie? – Pokazała na lampy z alg. – Nie przesadzałam, mówiąc, że używamy wszystkich gatunków synediańskich alg. Jeden z mało znanych produktów ubocznych tych organizmów przypadkiem jest potężnym gazem neuroparalizującym. – Wycelowała palec w torbę Narska. – Na twoim miejscu pod to ubranko włożyłabym maskę tlenową.

Narsk wytrzeszczył oczy.

– Ale będzie przy tym twój brat. Arkadia zimno spojrzała na fotel.

– Na każdej wojnie są straty. – Odwróciła się do Narska i skrzyżowała ramiona. – Gdyby zamiast ciebie pojechała Jedi, potrzebowałabym tego tylko jako zabezpieczenia. Ale ty, choć masz wiele talentów, Jedi nie jesteś. I to ty będziesz zabezpieczeniem. – Podała mu małego pilota. – Tym uwolnisz gaz.

Narsk spojrzał na urządzenie i skinął głową. A więc Arkadia próbowała skaptować Jedi, ale jej się nie udało. Najwyraźniej sprytem nie ustępowała swojemu kuzynowi Daimanowi.

– Kiedy uruchomisz pułapkę i upewnisz się, że babka jest martwa, znajdziesz w tym fotelu wskazówki co do odbioru wynagrodzenia. – Wyjęła z fałd sukni niewielki tablet i pokazała mu, zanim ukryła go pod środkowym pojemnikiem z gazem. – Czip z danymi zawiera wszystkie informacje, jakie zebrałam o moich sąsiadach... dość, żebyś stał się bardzo popularny u swoich przyszłych pracodawców na wiele lat. Ale ty i ja już nigdy się nie spotkamy.

Narsk uśmiechnął się blado i ruszył w stronę wyjścia. Ona pewnie oczekuje, że wyleci za

godzinę.

Przekraczając próg, przystanął, bo Arkadia go zawołała.

– Bothaninie! Jeśli ten kombinezon pozwala ci zrobić tyle rzeczy, to dlaczego nie zabiłeś Daimana? I dlaczego nie zrobiła tego Jedi, kiedy jeszcze go miała? Chyba miałeś dobrą okazję.

– Nie mogę mówić za Jedi – odparł, odwracając się do niej. – Nie wiem, czy ktokolwiek by mógł. Ona jest najwyraźniej szalona. A o rozkazach, jakie dostałem od Odiona, opowiadać nie będę. Wiedz tylko, że gdyby rozkazano mi zabić Daimana, Odion byłby dzisiaj jedynakiem. – Czując na sobie uważny wzrok Arkadii, kontynuował: – Mam z Daimanem porachunki za to, jak mnie potraktował. Ale choć bardzo chciałbym go za to ukarać, nie robię takich rzeczy dla przyjemności.

To przynajmniej jest prawdą, pomyślał.

– Przykro mi, ale muszę skorzystać przed wylotem z waszego ambulatorium. Te algi nie służą bothańskiemu organizmowi.

– Idź za tym bezużytecznym Durosjaninem – poleciała i odwróciła się znów, by przyjrzeć się statkowi.

– Właśnie to mam zamiar zrobić.



Ktokolwiek twierdzi, że lód jest gładki, musiał nigdy nie być na Synedzie. Gąsienice pełzaka lodowego wzmacniały każdy wstrząs, przenosząc drgania przez kabinę wzdłuż linii, która kończyła się na zębach trzonowych Rushera.

Warczący potwór był ogromny, wielkości mniej więcej połowy „Gorliwości”. Rusher spojrzął w dół, w przepaścistą czeluszczyk ładowni. Ludzie Arkadii zawiesili na stalowych rusztowaniach biegnących od rufy statku wystarczająco dużo siedzeń, aby zmieścili się wszyscy uchodźcy. Lord Sithów zamierzała się ich pozbyć w czasie jednej wyprawy.

– Jesteśmy tu, najemniku – powiedział kierowca o lśniących oczach. Rusher widział już wcześniej kudłatego Nazzara.

– Czy to nie ty prowadziłeś pojazd, który nas tu przywiózł? – zapytał.

– Awansowałem.

Rusher wyjrzał przez iluminator. Pełzak lodowy górował nad prawą burtą „Gorliwości”, podjeżdżając do jej potężnego, szponiastego podwozia. Załoga statku zdjęła już wystające lufy dział, żeby pełzak mógł podejść jak najbliżej.

Brygadier przechylił się przez poręcz do kabiny kierowcy i zawołał do członków z Gwardii Obywatelskiej, czekających przy szerokiej bramie jakieś czterdzieści metrów niżej:

– Wyciągamy przepust! Potrzebujemy was przy bramie, na wypadek, gdyby zrobił się wyłom! – Gwardziści w kombinezonach kosmicznych posłusznie odłożyli broń i znikli w

krótkim tunelu. Widząc na ekranie obraz kabiny, Rusher podniósł komunikator do ust. – Jesteśmy już, Dackett. Znasz procedurę.

Mocniej zatrzęsło konstrukcją pełzaka, kiedy brama z blachy falistej zaczęła się otwierać. Widząc, że kierowca o długiej twarzy zwolnił stery, Rusher odezwał się do niego:

– Hej, myślę, że przyda im się tam twoja pomoc.

– Nie moja sprawa. A jeśli ty zrobiłeś swoje, nie powinno być żadnych problemów. – Kierowca leniwie spojrział na monitor ochrony. Widząc jakieś zamieszanie, zaczął wstawać...

...ale nagle głowa poleciała mu w tył. Rusher wczepił się obiema garściami w czuprynę Nazzara, szarpnął głowę kierowcy w tył, a potem ze zdwojoną siłą łupnął nią o konsolę. Z gardła ogłuszonej istoty wyrwał się bolesny jęk. Brygadier wyszarpnął go z siedzenia i przerzucił przez poręcz, w ziejącą pustkę ładowni za kabiną.

Odwracając się z powrotem do monitora ochrony, zdążył wyłączyć zasilanie, zanim ciało nieszczęsnego kierowcy uderzyło w kratownicę.

– Przepraszam, stary – rzekł, słysząc na dole strzały z miotaczy. – Nie każdy awans prowadzi w górę!

Zajrzał do ładowni. Ciało Nazzara było tylko jednym z kilku. Zeller i uzbrojeni żołnierze z Grupy Rozpruwacza byli już w tunelu i się ostrzeliwali. Arkadiańska załoga pełzaka lodowego była martwa, zanim jeszcze ciśnienie między obu statkami się wyrównało.

Widząc nad sobą zwierzchnika, Zeller zawołała:

– Mistrz Dackett przesyła pozdrowienia. No i, z przeproszeniem pana brygadiera, mówi, że panu odbiło!

– Nie mnie jednemu! – Zsuwając się z drabinki wiodącej na niższe poziomy, Rusher zapytał głośno: – Czy nasz goniec doniósł przesyłkę?

– Tak jest, sir!

– Sprowadźcie jakieś narzędzia, żeby rozwalić ten pokład! – Rusher rozejrzał się po ładowni. Będą potrzebowali całego miejsca, jakie zdołają wygospodarować. – Musimy to zrobić w rekordowym czasie!



Kerra wiedziała, że opuszcza ją energia. Światło i dźwięk nie przestawały jej atakować, a ona czuła, że koniec się zbliża. Przez całe tygodnie na przemian kierowała się współczuciem i oburzeniem. Teraz była samotna jak quadractyl, którego widziała jako dziecko, walczącego o życie w lodowatych falach.

W ciasnym pomieszczeniu ledwie mogła się ruszać. Niewygodna pozycja utrudniała krążenie w rękach i nogach; czuła, że mięśnie jej wiotczeją. Jeśli nie ucieknie szybko, nie zdoła tego zrobić w ogóle.

Powinnam była bardziej opierać się strażnikom, pomyślała. Wszystko byłoby lepsze od

tego tutaj. Dźwięk znów ucichł, widocznie w oczekiwaniu na kolejne pytania robota. Kerra skrzywiła się. Tego już za wiele. Ile dni, ile tygodni będą ją tu trzymać? Czy tak wygląda egzekucja, o której mówiła Arkadia? Po prostu już mnie zabijcie, pomyślała.

Tym razem jednak głos, który usłyszała, brzmiał inaczej. To mówiła żywa istota.

– Trzymaj się!

Otworzyła oczy na oślepiające światło. Bothanin!

Mijały długie minuty. Kerra zaczęła się już zastanawiać, czy to nie żart, kolejna metoda tortur. Bothanin pracował przecież dla Arkadii. Wreszcie jednak poczuła, że razem z kabiną wysuwa się na zewnątrz. Otoczyło ją zimne powietrze.

Jedi zmusiła się, żeby usiąść. Kręciło jej się w głowie, z trudem usiłowała zorientować się w świecie wirującym wokół niej. Było ciemno, a przestrzeń nad jej metalową skorupą kipiała energią.

Wyciągnęła rękę, usiłując czegoś się chwycić. Udało jej się.

– Cześć, Narsk – wykrztusiła.

Bothanin wyłączył Mark VI i zdjął maskę.

– Przepraszam – rzekł. – Chwilę mi zajęło odkrycie, w której jesteś szufladzie. No i miałem towarzystwo, którego musiałem się pozbyć.

Unosząc się na platformie repulsorowej, wskazał na szczątki robotów przesłuchujących, zaścielające podłogę kilka metrów poniżej.

– Widocznie roboty też nie mogły cię zobaczyć w tym kombinezonie. Chyba że zostały na Gazzari – jęknęła Kerra, przetaczając się ze skrzynki na platformę Bothanina. Zakasłała. – Jeśli jesteś tu dla zemsty, pamiętaj, że już byłam zamknięta w zbiorniku.

– Cieszę się, że to słyszę. – Narsk zamknął drzwi jej szafki i opuścił platformę. – Teraz trochę łatwiej mi będzie cię wypuścić.

Przewieszona przez poręcz Kerra spojrzała podejrzliwie.

– Dlaczego chcesz mi pomóc?

– Wcale nie chcę – odparł Narsk, zdejmując plecak. – Powiedzmy, że reprezentuję kogoś, komu nie podobałby się plan Arkadii. Abym wykonał moją misję, ktoś musi odwrócić ode mnie uwagę... a tego mi nie zapewni najemnik.

Najemnik? Kerra zawahała się.

– Rusher?

Platforma wylądowała. Narsk odsunął zamek torby i zaczął szukać w jej wnętrzu. Znalazł wreszcie pewien przedmiot i podał go Kerrze.

– Zaraz, zaraz! To mój miecz świetlny!

– Spostrzegawcza jesteś.

– Ale przecież on był na statku Rushera – wyszeptwała, wpatrując się w broń. Podniosła wzrok. – Byłeś tam?

– Nie, ale miecz wrócił razem z osobą, która przyniosła mi moją własność – Narsk wyjął z

plecaka notes, zanim zarzucił go sobie na ramię. – Masz szczęście, że w ogóle ci go dostarczyłem. Posłaniec ukrył miecz pod zbroją, w rękawie, ale ugrzązł mu pomiędzy łokciem a przegubem. Nie mógł ruszać ramieniem przez całą drogę.

Wytrzeszczyła oczy.

– Beadle? Wysłał Beadle'a?

– Poradziłem, żeby przysłał kogoś, kogo Arkadia nigdy by nie podejrzewała – wyjaśnił Narsk. – Myślę, że w ten sposób wyrównał siły żołnierzy. – Szpieg otworzył boczne drzwiczki platformy repulsorowej. – Musimy się ruszać.

Pełnąc za nim, Kerra odkryła, że nie może ustać prosto. Na szczęście Narsk nie wybierał się daleko. Zaprowadził ją do osłoniętej wnęki pomiędzy rzędami szafek więziennych. Arkadia zajmowała się chyba czymś, co wymagało jej niepodzielnej uwagi, wyjaśnił.

– Ona knuje zabójstwo – zgadła Kerra.

– Zabójstwo to tylko pierwszy rozdział – odparł Narsk. – Miałem mało czasu, żeby się rozejrzeć po mieście w tym kombinezonie, ale widziałem z pół tuzina oddziałów wojskowych w pełnym rynsztunku, szykujących się do wyruszenia na różne granice Arkadii. Jeśli jej spisek się uda, spowoduje chaos w całym tym sektorze i dalej. Wiedząc, co nadchodzi, wie, jakie ma szanse.

Arkadia miała jeszcze coś: preparat destylowany z alg synediańskich. Nazywano go Krwią Chagrasa. Parował błyskawicznie, zabijając szybciej niż atmosfera celegiańska. Narsk wskazał na szafy spiętrzone po obu stronach wnęki.

– Z tego, co widzę, nie jest to więzienie, lecz jakiś ośrodek doświadczalny. Kiedy kończą zadawać pytania, sprawdzają, co ich gaz robi z różnymi gatunkami. Dodał jeszcze, że ta neurotoksyna jest ładowana w pojemniki i dostarczana na okręty wojenne Arkadii, zacumowane po drugiej stronie tundry.

Nic dziwnego, że nie potrzebowała artylerii Rushera, pomyślała Kerra.

– Czy Rusher ci pomaga? – zapytała.

– Pomaga nam – odparł Narsk. – Tobie i uchodźcom.

– Czemu miałyby się przejmować tym, co stanie się z dziećmi? I ze mną?

– Nie wiem, czy się przejmuje – odparł. – Ale wie, że znajdzie u ciebie to. Chwycił ją za nadgarstek, odsunął rękaw i nakreślił na jej ramieniu kilkanaście cyfr.

– To... to są współrzędne nadprzestrzenne – wyszeptała. – Ale to tylko połowa lokalizacji.

Narsk opuścił jej rękaw.

– Rusher ma drugą połowę. To zaliczka za to, co kazałem mu zrobić. Jeśli twój generał artylerii chce zdobyć całość, musicie się spotkać. Miał tylko odwrócić ode mnie uwagę w ten czy inny sposób.

Kerra pokręciła głową.

– On i tak potrafi się wydostać z przestrzeni Arkadii – mruknęła. – Nigdy po to nie przyjdzie!

– Możliwe. Ale te zamiary prowadzą do punktu skoku w niekontrolowanej przestrzeni, na początku kolejnego szlaku wiodącego do Republiki. – Rzucił rysik na ziemię i zaczął się odwracać.

Kerra, oszołomiona tym, co usłyszała, chwyciła go za ramię.

– Szlak do Republiki? – Rusher nigdy go nie znalazł w czasie swoich podróży. – Skąd to wzięłeś? Kim ty jesteś?

Narsk zmierzył ją wzrokiem.

– Powiedziałem ci, kiedy się poznaliśmy. Nie jestem Sithem, tylko dla nich pracuję.

– Jak widać, chyba dla kilku naraz!

– Eee, nie – odparł. – Właściwie nie. Tylko dla jednego. Podszedł do monitora ochrony i ustawił go na widok tundry na zewnątrz. Pełzak lodowy już wracał, zgodnie z planem.

– Mamy najwyżej dziesięć minut. Ruszaj do Sali Patriotów... a ja poszukam kombinezonu próżniowego.

Kerra rozglądała się gorączkowo po metalowych więzieniach, ciągnących się przez całą salę.

– Muszę uwolnić tych więźniów! – zawołała.

– Tracisz cenny czas – warknął. – Większość z nich już nie żyje. Wprawdzie toksyna neutralizowała się po kilku minutach, ale Kerra musiałaby otworzyć wiele szafek, żeby znaleźć kogokolwiek żywego, a i tak każdy z nieszczęśników byłby w gorszym stanie niż ona.

Skoro już przypomniano jej o toksynie, Kerra pomyślała o fabrykach, które zwiedzała, produkujących łuski do pocisków. Tak zwana Krew Chagrasa mogła wyrządzić ogromne szkody niewinnym istotom sąsiadującym z królestwem Arkadii. Cóż, było tak wiele fabryk, a tak mało czasu. Desperacko rzuciła się do monitora, poszukując mapy.

– Nie zrobisz wszystkiego, Jedi. Nie ma czasu – zauważył Narsk, obserwując jej działania.

– Oni na mnie liczą.

– Jacy oni? – warknął. – Słuchaj, nie obchodzi mnie, co teraz zrobisz. Uwolnij więźniów! Napadnij na fabryki! Wysadź się w powietrze! Chcę tylko, żebyś odwróciła ich uwagę. Obojętne jak. – Wyszedł z wnęki. – Ale zdecyduj, czy chcesz umrzeć, pomagając wszystkim, czy żyć, pomagając niektórym.

Daleko w korytarzu rozległy się kroki. Kerra ze zgrozą obejrzała się na stosy szafek.

– Wylądowałaś tutaj z jakąś misją Jedi. Chcesz zrobić coś więcej? Rób to we właściwym czasie. – Bothanin nałożył maskę i dodał słumionym głosem: – Jeśli chcesz w ogóle przeżyć, skoncentruj się na robocie.

Kerra odwróciła się od monitora i spojrzała na miecz świetlny. Nareszcie znów miała go w dłoni. Skoncentruj się? To przynajmniej umiała zrobić. To i parę innych rzeczy, pomyślała, zaciskając palce.

Skreśliła za róg i nagle ją olśniło. A więc Narsk przez cały czas miał tego samego pracodawcę. Mogła nim być tylko jedna osoba.

- Narsk! – zawołała. – Jeśli chronisz Vilię, dlaczego pozwalasz żyć Jedi, która o niej wie? Niewyraźna sylwetka na końcu sali odwróciła się do niej na chwilę.
- Bo nie miałem rozkazu, żeby cię zabić – wyjaśnił Bothanin, przycisnął kontrolkę i znikł.

ROZDZIAŁ 24

– Życzymy szczęścia, sir!

Mijając Gwardię Obywatelską po drodze do turbowindy Stacji Zaokrętownia, Narsk niedbale kiwał głową i machał ręką czując się jak zdobywca wyruszający na wyprawę. Wszyscy sądzą, że właśnie tak jest. Po zdjęciu maski jego strój przypominał kombinezony, jakie nosili arkadiańscy piloci doświadczalni. Wiedzieli, że nie jest jednym z nich, ale najwyraźniej był specjalistą walczącym dla sprawy.

Gdyby wiedzieli, jak przed chwilą biegł, nie uśmiechaliby się tak. Narsk dyszał ciężko, kiedy drzwi windy się zamykały. Zbyt wiele czasu zajęło mu odszukanie Jedi. Wierzył tylko w Mark VI i miał nadzieję, że wszystko będzie dobrze, kiedy tak gnał jak oszalały przez Calimondrettę. Nie przebywał tu dość długo, aby rozpoznawać reakcje mieszkańców, ale z pewnością nie zachowywali się tak, jakby ujrzeli ducha. Przynajmniej nikt nie podniósł alarmu. Nie potrzebował tego.

Jeszcze nie.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując kopułę hangaru na końcu długiego korytarza. Narsk słyszał odgłosy zwiastujące przygotowywanie wahadłowca do drogi. Miał coraz mniej czasu. Szedł szybko, zastanawiając się, czy dobrze zrobił. Uwolnienie Jedi było wkalkulowanym ryzykiem. Dostał rozkaz, żeby jej pilnować, a zrobił o wiele więcej. Zanim jeszcze usłyszał o planach Arkadii wobec Vilii, wiedział, że będzie musiał jakoś odwrócić uwagę. Nie mógł liczyć wyłącznie na Rushera. Najemników można kupić. Jedi nie.

Jeśli nawet Narsk korzystał z planów zapasowych, Lord Sithów robiła to także.

Bothanin przypomniał sobie, jak Arkadia wsuwała czip z danymi pod komplet pojemników z gazem w fotelu. Było tam drugie urządzenie obok odbiornika jego zdalnego detonatora – timer. Widział dość takich w swojej pracy, żeby go natychmiast rozpoznać. Arkadia dodała jeszcze zabezpieczenie. Gdyby Narsk nie uruchomił pułapki gazowej w obecności Vilii, sama by się uruchomiła w jakiś czas po wylądowaniu wahadłowca w miejscu przeznaczenia. Ile będzie miał czasu – nie wiedział. Wiedział tylko, że nie da rady uciec z Quillanem, nie odpalając bomby.

Quillan? No właśnie, gdzie on jest? Narsk rozejrzał się po hangarze, szukając krzesła repulsorowego. Chłopak miał tu być przywieziony przed transportem. Jeśli go nie było, cały plan mógł się...

– Co cię zatrzymało?

Narsk obejrzał się i zobaczył Arkadię. Stała w drzwiach, znów ubrana w zbroję bojową. Włosy miała schowane pod metalowym kaskiem. Stała obok Quillana, który siedział skulony w brązowym fotelu repulsorowym. Po prawej widać było elegancki, nowy fotel, niewinny, ale złowróżbny, taki, jakim go zapamiętał.

– Musiałem przeprowadzić diagnostykę kombinezonu – odrzekł, kłaniając się nisko Arkadii. – Jedi niespecjalnie się o niego troszczyła.

– Hm... – Arkadia zmierzyła go spojrzeniem od góry do dołu, po czym zwróciła się do brata. Ostrożnie użyła Mocy, aby przenieść ciało Quillana z wytartego, zniszczonego fotela. Chłopiec zawisł w powietrzu, po czym łagodnie spoczął w nowym, aksamitnym modelu.

– Tylko się pożegnam – powiedziała, rzucając Narskowi zirytowane spojrzenie, zanim powróciła do swoich prywatnych spraw. Uklękła przy Quillanie i pogłaskała jego miękką dłoń.

– Przykro mi, braciszku. Nigdy nie miałeś szczęścia w życiu. – Skłoniła głowę i dodała stłumionym głosem: – Ale przez swoją śmierć może pomścisz naszego ojca.

Narsk obserwował Quillana. W oczach chłopca nie było ani śladu zrozumienia. Bez Dromiki u boku był po prostu nikim – ale wciąż pozostawał żywą istotą. Tragiczna postać, pomyślał.

W oczach Arkadii znów zabłysła stal. Wskazała palcem na część rufową wahadłowca; tajny schowek był jeszcze otwarty. Technik przebiegł przez pokój i ustawiał dla Bothanina niewielką drabinę. Arkadia spojrzała na Narska.

– Co teraz?

– M... myślałem, że będziesz miała teraz inne, ważniejsze zadania – wyjąkał Narsk i szarpnął za kołnierz.

– Wszystko jest pod kontrolą – zapewniła. – To ważny dzień. Nie mam zamiaru przegapić takiej chwili.

– Słusznie – odparł, z lękiem patrząc na statek. Podszedł bliżej i znów wyjrzał poza pole magnetyczne, daleko na powierzchnię Syneda, po której snuły się długie popołudniowe cienie. Nic się tam nie działo – i chyba także nigdzie indziej w Calimondretcie. Zacisnął zęby i wszedł na drabinę.

Najemnicy! Zajrzał do ciasnego przedziału, zastanawiając się, czy ktokolwiek w ogóle przejmuje się swoją pracą. Zapłaciłem za dywersję, i co? I nic.



– Tu Kontrola Calimondretty. Pole ochronne jest otwarte. Pełzak Jeden, witajcie w domu.

Magnetyczna bariera ustawiona w poprzek gigantycznych wrót zamigotała i znikła, wpuszczając pełzak kodowy do zadaszzonego atrium. Potężny pojazd ruszył przed siebie, jego wysoki dziób o włos minął sklepienie w wejściu do Sali Patriotów.

– Dzięki, Kontrolo Cali – rzucił operator przez system komunikacji. – To była fajna jazda. Jeszcze tylko chwilę.

Ejże, pomyślał Rusher, wyłączając nadajnik. Dobrze, że Arkadia zaangażowała go do przewozu uchodźców; dzięki temu miał dostęp do pokładu kapitańskiego i nikt w mieście nie uważał, że to dziwne, iż to on przemawia do kontrolera.

Sięgnął do środka i wyjął hełm kombinezonu próżniowego. Co ja robię? – pomyślał. Samotne rzucenie wyzwania Lordowi Sithów było bardziej szalone niż wszystko, co kiedykolwiek zlecił mu Beld Yulan – a przecież i tak stracił połowę ludzi. A przecież, kiedy Rusher opisywał przez bezpieczny kanał swój szalony pomysł, dostał natychmiastową zgodę od Dacketta i wszystkich szefów sekcji.

Nawet technik Novallo niechętnie, ale się zgodziła.

Może sprawiła to wieść o wynagrodzeniu Bothanina. Kiedy Narsk zaoferował mu współrzędne serii skoków prowadzących bezpiecznie do Światów Jądra, Rusher może śmiać się głośno. Potem jednak szpieg powiedział, że źródło jego wiedzy znajduje się na pokładzie „Gorliwości”, w domniemanym kombinezonie maskującym. Rusher poprosił, aby Dackett przez komunikator opisał mu ten zdumiewający wytwór technologii, znajdujący się w posiadaniu Tan – produkt, jak twierdziła mikronaszywka wewnątrz, wykonany na Coruscant cztery miesiące wcześniej.

Być może to Tan, pokazując im ten kombinezon, sprawiła, że wszyscy się zgodzili. Wyprawa do Republiki byłaby dla jednych pożegnaniem z rodzinnymi okolicami na całe życie, dla innych ucieczką. Szansą na prawdziwe życie, zamiast niekończących się prowizorek.

A może wreszcie Rusher zastosuje się do tego, co powiedział Dackett, dawniej, w czasach solarium:

„Nie możesz tylko pokazywać im, że wykonujesz właściwe ruchy. Zrób coś. Pociągnij za spust”.

Rusher widział komitet powitalny zbierający się w magazynie, pod nawisającym kokpitem pełzaka. Gwardia Obywatelska Arkadii wystąpiła w pełnej sile, gotowa przyjąć pojazd i jego pasażerów. Sądząc z uzbrojenia, chyba nie oczekiwano, żeby wszyscy uczniowie poszli z własnej woli.

No i bardzo dobrze, pomyślał Rusher. Czuję się lepiej, skoro mam zamiar coś zrobić.

Wspiał się na drabinkę i krzyknął do towarzyszy:

– Szykować się, brygada! Czas przyłożyć rękę do historii!



Strażnik Obywatelski Houk na skrzyżowaniu zamrożonych korytarzy machał miotaczem na robotników zawracających mu głowę.

– Nie obchodzi mnie, ilu z was widziało tego... tego ducha – krzyczał, wydymając brązowe policzki. – Nie macie nic do roboty? Bo ja mam!

Kerra przemknęła od jednej wnęki drzwiowej do drugiej, wdzięczna gwardziście za odwrócenie uwagi. Zakład przesłuchań nie był chroniony jak więzienie, ale opuszczenie go przez Narska musiało zwrócić uwagę. Kombinezon kamuflujący niewiele pomógł, kiedy trzeba się było przeciskać przez tłumy przechodniów.

Kerra marzyła jednak, żeby mieć na sobie teraz ten znienawidzony strój. Mięśnie ją bolały, huczało w głowie i tylko z wielkim trudem zmuszała się, żeby iść naprzód. Robotnicy Arkadii nie nosili mundurów, co dało jej szansę na przemykanie się anonimowo poprzez korytarze, ale szło to powoli. Zbyt powoli.

„Dziesięć minut” – powiedział szpieg. Nie wiedziała nawet, po co ma się udać do Sali Patriotów, albo o co mu chodziło z dywersją. Jak, do wszystkich piorunów, miała wiedzieć, kiedy minie dziesięć minut?

– Blokada! Blokada! – Para potężnych strażników w niebieskich szarfach przebiegła obok jej wnęki. – Wszyscy stać! W areszcie zdarzył się incydent!

Więc tak nazywali to miejsce!

– Chyba właśnie to robimy – mruknęła Kerra, wchodząc w lodowy tunel i zapalając miecz.

– Hej, chłopaki! – zawołała. – To ja jestem waszym incydentem!



W hangarze Arkadia szykowała się do zamknięcia drzwi przedziału za Narskiem.

– Masz mój szyfrowany kanał zaprogramowany w notatniku – powiedziała. – Skontaktuj się ze mną, kiedy skończysz zadanie.

Zanim skończyła zamykać, kopuła zatrzęsała się od wycia syren. Narsk czuł, jak dźwięki rezonują przez cały długi korytarz od windy.

Arkadia gniewnie spojrzała na głośnik na ścianie.

– Co się dzieje?

– Jedi uciekła z aresztu – rozległ się metaliczny głos. Narsk wygramolił się z ciasnej klatki.

– Areszt? Czy to jakieś więzienie?

– Raczej kostnica – warknęła Arkadia. – A przynajmniej powinna tym być dla niej. Nie mogła wyjść sama! Ktoś ją musiał wypuścić!

Narsk odruchowo sięgnął do fałszywego silnika. Skierował wzrok na Quillana i jego fotel repulsorowy, prowadzony w kierunku rampy załadunkowej do przedziału pasażerskiego.

– Eee... myślę, że powinnaś się zająć tym problemem, Lordzie Arkadio. – zauważył. – Dziękuję za odprowadzenie, ale teraz sprawy są już opanowane.

– Tak – warknęła. – Dlatego, że to jest mój plan.

Arkadia pobiegła w stronę wyjścia, wzywając jedną ze swoich gwardzistek, Wookiee, która

stała pod ścianą.

– Hej ty! – wskazała jej rufową część wahadłowca. – Dopilnuj, żeby Bothanin dokładnie zamknął komorę. Nie chcę, żeby się udusił w przestrzeni!

Serce Narskowi zamarło, kiedy opasana szarfą sterta futra zajęła stanowisko za sterami. Za plecami Wookiee Arkadii nie było widać.

Narsk uśmiechnął się blado do strażniczki.

– Ładny dzień na lot, prawda?



Krępy kierownik magazynu załomotał pięściami w wejście pełzaka.

– Hej, nie mamy całego dnia! Kiedy wreszcie otworzycie?

Na pewno jeszcze nie teraz, pomyślał Rusher, obserwując go przez mały iluminator. Daleko za kierownikiem o ciastowatej twarzy zobaczył Arkadię i kilkoro z jej sług, przebiegających w wielkim pośpiechu przez atrium. Widząc, jak znikają w jednej z bocznych ramp lodowca, Rusher obejrzał się na swój zespół, ustawiony za jego plecami w głębi pojazdu.

– Miło byłoby obejrzeć to muzeum – zauważył i podniósł dłoń. – Opuścić wrota! Na zewnątrz kierownik odskoczył do tyłu i potknął się, cudem unikając zmiżdżenia przez opadające drzwi. Wymachując pięścią ryknął:

– Co ty sobie...

Ale zaraz szczęka mu opadła. Zamiast oczekiwanych uchodźców wewnątrz ogromnego ciągnika zobaczył długą lufę starożytnego działka laserowego, a wokół grupę wyglądających na zdeterminowanych artylerzystów, ubranych w kombinezony próżniowe.

– Chcieliśmy przedstawić ci Bitsy – rzekł Rusher, nonszalancko upozowany z lewej. Patrząc w wytrzeszczone oczy członków Gwardii Obywatelskiej, opuścił dłoń. Ciężki dzień dla was, przyjaciele, pomyślał.

– Ognia!

Grunt pod Stacją Zaokrętownia numer siedem zadrżał, z kopulastego sufitu posypały się płatki lodu. Wklinowany w swoją kryjówkę na wahadłowcu Narsk spojrział tępo na strażniczkę Wookiee.

– Nie uważasz, że powinnaś coś z tym zrobić?

Wookiee warknęła, kopniakiem odrzuciła drabinkę, chwyciła Narska za ryjek i boleśnie wcisnęła go do przedziału.

Narsk prychnął, wykastując własne wąsy.

– Nie o to mi chodziło, ty idiotko!



Przerażeni robotnicy pędzili przez wykute w lodzie korytarze, prowadzące do Prospektu Zadumy. Atak Kerry początkowo zaskoczył strażników, którzy podnieśli alarm. Ale zaraz potężny Houk, który miał za nic bezpieczeństwo obywateli, puścił się galopem przez tłum, strzelając na oślep. Zastrzelił obu nieszczęsnych gwardzistów, zanim Kerra zdążyła ich ściąć.

Przerzuciła miecz świetlny do lewej ręki i w prawą chwyciła przez Moc broń jednego z zabitych, odpowiadając ogniem. Uklękła i wycelowała w krystaliczną ścianę po prawej ręce Houka, zwalając go z nóg rykoszetem.

Z bocznych korytarzy wylegli kolejni gwardziści, którzy zareagowali na wycie syren. Kerra wepchnęła miotacz za pas i rzuciła się przed siebie, wymachując mieczem na wszystkie strony.

Tym razem nie było odpoczynku. Nie jak na Byllurze, wśród oszalałych mesmerystów. Gwardia Obywatelska z Syneda nie była nadzieją Sithów, lecz jednostkami poświęconymi przez militarno-przemysłowy system Arkadii. Powalając kolejnego strażnika, Kerra ucieszyła się, że wśród funkcjonariuszy nie zobaczyła Seese. Zawsze trudniej jest zabić kogoś, kogo znasz.

Widząc szczelinę w szeregach wroga, Kerra skoczyła w to miejsce. Przed sobą miała olbrzymią grotę z galerią i ruchomymi schodami, otoczoną bulgocącymi rurami alg synediańskich. Ale nikt tu dzisiaj nie dumał. Z tuzin strażników ustawilo się przy wyjściach, a na gzymisie, koło galerii wiodącej do Sali Patriotów, zainstalowało się kilku snajperów.

Zaniepokojona ich liczbą Kerra wyciągnęła miotacz i wycelowała w rurę, pod którą wiele godzin temu pokłóciła się z Rusherem.

– Zobaczymy, co myślicie o tym! – krzyknęła, strzelając. Nic się nie stało.

Przeturlała się, unikając ostrzału. Miała nadzieję, że grotę zaleje niebieska maź – Narsk mówił, że tylko produkt uboczny jest toksyczny. Ale wielkie cylindry były wykonane z czegoś mocniejszego niż transpastał. Kerra odrzuciła miotacz i zaczęła mieczem odbijać strzały gwardzistów, usiłując posuwać się naprzód. Ale pod ogniem snajperów z góry mogła tylko cofać się do tego wyjścia, przez które się tu dostała. Dużo bym dała za porządny granat, pomyślała. To była jedyna droga do Sali Patriotów, jaką znała.

Nagle ogień z galerii ustał. Kerrze wydawało się, że słyszy grzmot, rozbrzmiewający głucho na tle syren. Snajperzy rozstąpili się, przepuszczając nowo przybyłą osobę.

Lord Arkadia spojrzała w dół.

– Zbłąkana Jedi – zauważyła, pozornie nieporuszona hałasami dochodzącymi z tyłu. – Jesteś otoczona, to już koniec.



Rusher rzucił wszystko na jedną szalę. Wprowadził Bitsy do atrium, wyrывая kolejną dziurę w zmrożonej ścianie. Po pierwszym, śmiertelnośnym strzale potrzebował dziesięciu artylerzystów i dwudziestu sekund, aby wydostać działo z pełzaka i włączyć do walki. Teraz oddział Zhaboka rozbiegł się na wszystkie strony, ustawiając miotacze pocisków i wstrzeliwując kotwy w podłogę. Za nimi Zeller i jej towarzysze z oddziału Rozpruwaczy wytaczali ostatnią dobrą armatę brygady – Kelligdyd 5000. Potężny ciężar z hałasem przetoczył się przez wrota.

Łatwo było rozstawiać to wszystko, kiedy nie zamierzałeś zbierać broni z powrotem.

Rusher znów otworzył ogień z Bitsy. Nie trzeba się było koncentrować na celowaniu. Każdy strzał w coś trafiał. Komitet powitalny Arkadii dawno znikł, a strzały powodowały w Sali Patriotów jakby fale sejsmiczne. Wydawało się, że cała Calimondretta drży.

Aż do etapu drugiego.

– Zhaboki naprzód! – krzyknął Rusher w komunikator swojego hełmu do żołnierzy znajdujących się niecałe dziesięć metrów od niego.

– Szybki ogień! Już!

Ze zsynchronizowaną precyzją przemówiło sześć wyrzutni moździerzowych, celując w transpasterowe pokrycie atrium. Odłamki pocisków aktywizowały się przy kontakcie, zmieniając w pył ekran chroniący Salę Patriotów przed lodowatym powietrzem Syneda. Atmosfera z atrium natychmiast jak balon wypłynęła na zewnątrz, wypychając metaliczny pył, który niedawno był przezroczystym dachem.

Automatyczne durastalowe drzwi natychmiast zamknęły wyjście do miasta, chroniąc to miejsce przed utratą ciepła i powietrza. Dziesiątki nieszczęsnych żołnierzy Arkadii, odsłoniętych na ogień laserów i na synediański lód, dobijały się do barier, domagając się wejścia.

– Pomóż im otworzyć te drzwi – polecił Rusher, niekoniecznie z życzliwości. Bitsy przemówiła znowu, rozbijając zachodnią barierę z taką siłą że dosłownie wyskoczyła z zamocowań. Jaskinia była teraz otwartą wypełnioną dymem paszczą wiodącą do podziemnego miasta. Brygadier klepnął jednego z żołnierzy w ramię, wskazując mu gestem, aby obrócił broń na północ. Kerra już wcześniej została zabrana na południe, a dalej na zachód leżało Promisorium i młodziki Arkadii. Rusher nigdy dotąd nie prowadził ataku z wnętrza fortecy. To wymagało precyzji, takiej, na jaką tylko można sobie było pozwolić z ciężką artylerią!

Zaczęli już odnosić pewne sukcesy. Spojrzał w górę na obraz zniszczenia, na miejsce, które do niedawna było sufitem. Same piękne, czyste strzały, nie ma co. Potężne krokwie lodowe wciąż wisiały, nie podtrzymując już niczego, niczym rama widoku na zewnątrz.

Na zewnątrz. Etap trzeci. Rusher znów postukał w kask. – „Gorliwość”, tu Rusher. Dackett, ruszaj się!!



Wookiee się skrzywiła. Zmarznięta płachta chrupnęła, a luźne przedmioty w hangarze zadrżały. Jednak strażniczka wyznaczona przez Arkadię tylko warknęła, patrząc koso na Bothanina wciśniętego w otwór na rufie wahadłowca.

– Och, niech cię szlag! – Wijąc się w ciasnej przestrzeni, Narsk ściągnął maskę na głowę, uruchomił Mark VI i zniknął.

– Wurf?

Samica Wookiee podeszła do komory, przechylając głowę to w lewo, to w prawo. Gapiła się zdezorientowana w pustkę.

Aż podeszła za blisko.

– Przepraszam panienkę. – Ręce Narska w rękawicach wystrzeliły, chwytając po garści kudłów z obu stron jej twarzy. Szarpnął i mocno uderzył głową strażniczki w metalową ramę.

Od razu wystrzelił przed siebie, potykając się o grzbiet oszołomionej ofiary. Potem skoczył za podwozie, poza zasięg wzroku techników.

Od południa przetaczały się kolejne grzmoty. Żeby nie zdradził go szron spadający z sufitu, Narsk skulił się pod kadłubem, usiłując znaleźć Quillana. Chłopiec siedział grzecznie na dole rampy, otoczony przez trzech techników, którzy wydawali się znacznie mniej spokojni.

Witajcie w klubie, pomyślał Narsk. Ona za mało mi płaci za taką robotę!



Kerra wyciągała miecz świetlny z jednego ciała, aby natychmiast pogrążyć go w następnym. Arkadia pozwoliła swoim strażnikom spróbować z nią szczęścia.

Prospekt Zadumy z oazy spokoju w jednej chwili przeistoczył się w strefę działań wojennych.

Kerra usiłowała znaleźć miejsce dla nóg. Każdego zabitego przeciwnika zastępował kolejny. Odbijanie strzałów z miotacza było mało skuteczne, jak się o tym przekonała. Arkadia wydawała swojej Gwardii Obywatelskiej nie tylko błękitne szarfy, ale także koszulki z elektrosiatki, które rozpraszały strumienie z miotaczy.

Jedi podskoczyła, atakując kolejnego napastnika. Przekłete koszulki nie wytrzymały kontaktu z jej mieczem świetlnym, ale utrudniały jego wyjmowanie. Nie mogła poradzić sobie samymi strzałami, ta robota i tak z każdą chwilą była coraz brudniejsza.

Ziemia znów się zatrzęsała. Teraz nie było już wątpliwości: eksplozje nadchodziły z północy, z kierunku Sali Patriotów. Kerra zerknęła na górne piętro i stwierdziła, że Arkadia też to zauważyła.

– Dosyć tego! – warknęła Lord Sithów, kierując swoich snajperów z powrotem na galerię.

- Koniec z miotaczami. Detonatory termiczne!
- Jeden z gwardzistów spojrział na nią.
- Ale na dole są nasi ludzie...
- Niech robią co do nich należy. Teraz wasza kolej!



Ze swojej pozycji na gąsienicy zaparkowanego pełzaka Rusher widział, jak „Gorliwość” płynie przez rzadkie synedańskie powietrze w stronę Sali Patriotów. Na stożkowej wieży od północy migają czerwone światła – jeden z dwóch emiterów wiązki ściąągającej, które widział przy lądowaniu.

– O, właśnie – szepnął Rusher. – Niech myślą że przychodzisz po nas.

Okręt wojenny zakrył dużą powierzchnię lodu na zewnątrz, kiedy światła na północnej wieży nagle pozieleniały. „Gorliwość” wydawała się walczyć z jakąś niewidzialną siłą ciągnąc transportowiec i zamocowane przy nim skupiska kapsułek ładunkowych w kierunku parkingu, już zastawionego statkami. Okręt zadrgał, usiłując wznieść się wyżej ponad emiter wiązki ściąągającej.

Rusher postukał w hełm, aby uruchomić komunikator.

– O to chodzi! Odetnij go! – wrzasnął.

„Gorliwość” opadła i zakołysała się – i nagle cały ładunek z prawej burty oderwał się, by jak wielka bomba spaść na emiter i zaparkowaną flotę Arkadii.

ROZDZIAŁ 25

Syned dygotał, jak podczas trzęsienia gruntu.

Narsk chwycił się podwozia i trzymał mocno. Wyjrzał na piekło za polem magnetycznym. Najemnik dobrze się spisał. Zemścił się.

Północny emiter wiązki ściągnącej był już wspomnieniem. A kiedy śmiercionośna chmura eksplodującego sprzętu wzniosła się i rozprzestrzeniła, wieża zapadła się, tworząc kolejny krater w lodzie, w miejscu, gdzie było lądowisko.

Powierzchnia lodu pod Narskiem przenosiła energię kinetyczną. Stacja Zaokrętowania numer siedem skakała jak na sprężynie. Potężne kawały lodu spadały z góry, o włos rozmijając się z oszołomioną Wookiee. Pod rozkołysanym wahadłowcem technicy próbowali dotrzeć do ścian, byle dalej od Quillana w jego śmiercionośnym fotelu barwy burgunda.

Narsk wyskoczył zza podwozia i rzucił się do dzieciaka. Ledwie widoczny w kaskadach lodu Bothanin podłożył ramię pod plecy nieprzytomnego chłopca i pociągnął go do siebie.

– Trzymaj się, mały! To dla twojego własnego dobra!



Kilka tuneli dalej na południe Prospekt Zadumy zatrzęsł się od eksplozji, ciskając na ziemię Arkadię i jej snajperów. Ukryta pod galerią Kerra wszystko widziała: objijająca się o lodowaty szkielet Calimondretty fala uderzeniowa rozdarła na kawałki lodowe filary, na których podwieszona była galeria.

Zanurkowała w jedyne bezpieczne miejsce, jakie wypatrzyła – przejście do korytarza, przez które weszła. Było zasłane trupami. Przed nią całe drugie piętro groty zakołysało się i zapadło, po drodze wstrząsane kolejnymi strzałami.

Ośloniła twarz przed chmurą lodowatych igieł. To były detonatory termiczne, pomyślała. Ale przecież żaden detonator termiczny nie mógł zatrzęść całym miastem!



– Chłopcy, ale było fajnie – radośnie zawołał Rusher.

– Bo ja wiem? – odpowiedział przez komunikator Dackett. – Novallo wyrwie mi za to drugie ramię.

Rusher powiedział Bothaninowi prawdę: pomysł był szalony. Całe uzbrojenie „Gorliwości” rozstawiono wokół niego w Sali Patriotów – a i tak nie dali rady użyć wszystkiej amunicji, spakowanej w czterokomorowych ładowniach okrętu. Ani siły naziemne Rushera, ani okręt nie mieli na to szansy.

„Vichary Telk” był jednak kiedyś osobnym okrętem, zanim przyspawano go do kapsułek ładunkowych. Odcięcie jednego z dwóch przedziałów towarowych, służących „Gorliwości” za podpory, było proste – wystarczyło zaplombować dojścia i uruchomić śruby utrzymujące system hydrauliczny. Inżynier, prawdę mówiąc, puścił kilka wiązańek, kiedy zapoznał się z planem Rushera przez bezpieczny kanał. Ale plan zadziałał i efekt był porażający.

– Jesteś wspaniały, Bothaninie... kimkolwiek jesteś!

„Gorliwość” z amputowaną połową podwozia wyglądała na okaleczoną. Okręt w tym stanie nigdy nie wylądował.

– Tracimy kontrolę, brygadierze! – zawołał Dackett przez komunikator.

– Trzymaj się! – odpowiedział Rusher. Otworzył paczuszkę przy pasie i spojrzał na czujnik naprowadzający. Nic.

– Dack, masz coś na naszych wędrowniczkach?

– Nie. Znaczniki nie są dość mocne, żeby przebić się przez lód. I tu się zaczyna zabawa, pomyślał Rusher. Beadle dostarczył coś więcej, nie tylko kombinezon kamuflujący i miecz świetlny. Do rękojeści miecza Jedi przyspawali znacznik częstotliwości komunikacyjnej. Ale ani Beadle, ani miecz świetlny nie uwidocznili się na jego rejestratorze.

– Musimy zrobić to brutalnie. Poczekaj, muszę pogadać! Przełączył się z bezpiecznego kanału na ten, którego używał do kontaktów z wieżą kontrolną Calimondretty, zsunął się z pełzaka lodowego i przemówił:

– Lordzie Arkadio, mówi twój dostawca. Oddaj mi Jedi albo otworzę twoje miasto jak skorupę i pozwolę wam wszystkim zginąć!



W szybko rozpadającym się hangarze technicy Arkadii słuchali, jak brygadier powtarza swój komunikat. A raczej próbowali słuchać – bo z południa wciąż słychać było strzały. Intruzi w Sali Patriotów znów strzelali, jakby naśladując górników, którzy jako pierwsi wydrążyli tunele Calimondretty.

Muskularny mechanik obejrzał się i zobaczył w lodowatej mgle przedziwny widok – dwunożnego bałwana, popychającego Quillana i jego fotel w górę rampy.

– Hej! – zawołał.

No, i to by było na tyle, pomyślał Narsk, uderzył w kontrolkę na nadgarstku i wyłączył kombinezon. Pojawiając się nagle w kaskadzie kryształków lodu, wrzasnął zza maski do mechanika:

– Sabotaż! – Popchnął fotel wyżej. – Szybko, musimy zakończyć misję.
– Nie wiem, czy powinniśmy cokolwiek robić nie pytając... Narsk spojrzął na mechanika; dzięki masce i kombinezonowi udało mu się wyglądać tajemniczo i groźnie.
– Rozejrzyj się! Nie wiesz, jakie masz zadanie? – Palcem w rękawicy pokazał na wahadłowiec. – Chodź, pomożesz mi go załadować!

Otumaniony mechanik rzucił się do rampy, pchając Quillana i jego pojazd do wjazdu. Narsk stwierdził, że robotnik dobrze zabezpiecza sekcję pasażerską więc sam rzucił się w dół i skierował do ukrytego przedziału, z którego jeszcze niedawno próbował uciec.

Drabinki nie było, więc chwycił za rufę i podciągnął się, by zaraz wcisnąć się jak wąż do komory. Sięgnął po zapas tlenu zostawiony w przedziale i przymocował go do swojej maski. Pojazd zadrżał i zaczął się toczyć w kierunku wyjścia. Pilot dostał pewnie sygnał do odlotu.

Sięgając do kontrolki zamykającej przedział, Narsk pożegnał wzrokiem chaos na szybko oddalającej się Stacji Zaokrętownia numer siedem. Strażniczka Wookiee i dwóch techników wrzeszczało na prawie sparaliżowanego strachem mechanika. Po chwili mężczyzna zorientował się w swojej pomyłce i zawołał do Narska.

– Hej, ty tam! Wzięłeś niewłaściwy fotel! – Mechanik przebiegł koło naszpikowanego pułapkami fotela, którego głęboki kolor przytłumiał teraz szron.

– Szybko! Skasuj pole magnetyczne! Każ robotowi zatrzymać statek!

Czując, jak leniwy wahadłowiec unosi się w górę, Narsk odnalazł pilota, którego Arkadia dała mu wcześniej, i nacisnął przycisk.

Ostatnią rzeczą jaką zobaczył przed zatrzaśnięciem się ukrytego przedziału, był fotel koloru burgunda, unoszący się na poduszce z niebieskiego gazu. Mrożące krew w żyłach wrzaski były zaś ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał, zanim ryk przyspieszających silników po obu jego stronach wypełnił mu uszy.



Zdyszana Kerra, przebiegała ostatnie metry w górę korytarza. Przewodnik Arkadii prowadził ją tędy, kiedy szli do muzeum. Była to teraz jedyna droga z groty; zawalenie się górnego piętra zrujnowało przejście do Sali Patriotów. Choć przedtem widziała Arkadię na galerii, nie zauważyła jej upadku, więc nie chciała ryzykować. W każdym razie nie bardziej, niż to musiała.

Wprawdzie pompy już nie działały, ale algi nadal oświetlały drogę w swoich fluoryzujących rurach. Nawet w ruinach Prospektu Zadumy gigantyczne tuby wytrzymały, choć wiele z nich przechylało się pod niebezpiecznym kątem. Społeczność Arkadii naprawdę mogła się poszczycić wspaniałymi dokonaniem. Mogła być zagrożeniem dla wszystkich innych światów – a Jedi i Republika nawet nie wiedzieli o jej istnieniu. Kerra musiała to zmienić. Musiała powstrzymać Arkadię.

Cóż, na razie miała konkretne zadanie. Musiała wyprowadzić uchodźców.

Dotarła do holu i rzuciła się w kierunku monumentalnych drzwi. Uchyliła je i znalazła to, czego się spodziewała: muzeum Arkadii w całym swoim majestacie. Wiele drogocennych artefaktów spadło na podłogę pod wpływem drgań lodu.

Kerra rozglądała się za wyjściem. Przez świetlik świeciły gwiazdy – ale sufit był dwadzieścia metrów nad jej głową, o wiele za wysoko, aby sięgnąć, nawet skacząc ze słupa pośrodku. Ale przecież było tu sześć innych wejść. Jedno z nich musi...

O, nie... znowu Arkadia.

Lord Sithów stała w drzwiach po lewej, z ozdobną laską w obu dłoniach, z twarzą pokrytą smugami sadzy i niegdyś wspaniałą zbroją porysowaną i nadpaloną.

– Nie wiem, co zrobiłaś ani jak to zrobiłaś – odezwała się, wciskając włącznik, który zmieniał jej pałkę w miecz świetlny z podwójnym ostrzem – Ale tutaj skończysz.



Rusher zaklął. Mijały minuty bez żadnej reakcji. Ostrzeliwał miasto, ale miasto nie miało mu nic do powiedzenia. Jedynie oddział Zhaboka ciągle strzelał – to Rusher wysłał ich z lżejszą bronią do tundry, aby wystrzelali pojazdy lądowe zbliżające się po resztkach pokrywy lodowej.

Z pewnością ktoś go usłyszał. Docierał do jego uszu spanikowany trajkot na kanale komunikatora, ale nie był chyba skierowany do niego. Jeśli Arkadia tam była, pewnie miała sporo roboty.

A jeśli Kerra tam była, to pewnie Arkadia także.

– Nie strzelać! Nie strzelać!

Rusher spojrzał na północ, tam, gdzie tunel wiodący do lodowca zapadł się od ognia i zaimprovizowanej bomby. Ubrana w kombinezon próżniowy postać gramoliła się niezgrabnie przez ciasną szczelinę pomiędzy strzaskaną bramą i kupą lodowych głazów.

– Lubboon! – Rusher rzucił się ku chłopakowi po chrząszczącym od gruzu podłożu. Dwóch żołnierzy odciągało już kawały lodu, pomagając przedostać się rekrutowi.

– Dałem Bothaninowi miecz świetlny, tak jak pan kazał, sir – wydyszał Beadle.

– Co z Jedi, żołnierzu! Widziałeś ją?

– Nie, sir. Ale pan Bothanin po nią poszedł – odparł Beadle, pokazując przed siebie. – Na północ.

– To jest południe.

Rusher przeszedł się po zasypanej gruzem podłodze, usiłując sobie przypomnieć. Wielka grota była na wprost, przy zbiegu korytarzy wiodących na południe, do muzeum Arkadii, i dalej także na południe, przez serię schodów ruchomych.

Gwardia Obywatelska właśnie tam zabrała Kerrę, głęboko w czeluście lodowca. Uszkodzili

wszystko tak bardzo, że nie było szansy dotrzeć do groty, a tym bardziej do wyjścia z niej.

Jeśli Narsk uwolnił Kerrę, Jedi próbowałyby z pewnością dostać się na górę. Czyli albo do Sali Patriotów – albo do tego długiego, stromego korytarza, wiodącego do muzeum Arkadii. Czy z tamtego końca jest jakieś wyjście? A co ważniejsze, czy uda im się je znaleźć? Nie było czasu, by przedzierać się przez gruz. Jeśli Arkadia miała w systemie jakiegokolwiek inne statki, już pewnie są w drodze.

Przerwała mu informacja na bezpiecznym kanale.

– Złapał nas drugi promień ściągający, brygadierze!

– Dajcie im drugą beczkę – rozkazał Rusher, dając znak, by jego załoga przestała strzelać. Spojrzał na południe i znów włączył komunikator. – i tak nie możesz wcześniej lądować. Zbiórka na zewnątrz.

– Nie wydajesz się wesoły. Nie ma Jedi?

– Nie – odparł Rusher. – i nie ma drogi do Republiki.

– Spróbujmy tych współrzędnych, które dała nam ta Sithanka – zaproponował Dackett. – Mamy je już wprowadzone i możemy być gotowi do drogi, jak tylko wszystkich pozbieramy. Nie będziemy tu bardzo popularni po tym wszystkim.

Pierwszy oficer mówił z sensem. Jak zwykle. Rusher westchnął. Próbował. Naprawdę próbował.



Kerra odbijała raz po raz ciosy mieczem świetlnym, cofając się w stronę kolejnych drzwi w okrągłej sali. Wszystkie wyjścia były zamknięte od zewnątrz, włącznie z tym, przez które się tu dostała. Arkadia zatrzaskała ją w pułapce.

– Nie jesteś dużo silniejsza od padawana – dogadywała jej przeciwniczka, machając bronią. – Nie wiesz, z czym masz do czynienia, nigdy nie wiedziałaś!

Rubinowe ostrze spadło, tnąc lodową podłogę. Kerra skoczyła i wylądowała za słupem z holoprojektorem, który stanowił teraz jedyną osłonę w tym pomieszczeniu.

– Nie jesteś pierwszym Sithem, z którym mam do czynienia – odparła, grając na czas. – Jesteś tylko drobnym dyktatorem, jak cała reszta. Nic specjalnego.

– Nie porównuj mnie z nimi – warknęła Arkadia. – Mój reżim jest oświecony! Kerra zaśmiała się.

– Mówisz poważnie? „Oświecony” Sith zabija swoją babkę! Ignorując drwinę, Arkadia podniosła broń wysoko nad głowę i zaatakowała. Kerra uskoczyła z drogi, a czubek miecza Sithanki zaiskrzył w zetknięciu ze słupem.

– Biorę tylko to, co moje. Co powinno być moje! – Naciskając kolejny przycisk, Arkadia odłączyła oba końce długiej na metr pałki, rzucając ozdobny pręt na podłogę. Jeden miecz stał się dwoma.

Kerra skoczyła, ale dała się odepchnąć przez świetlistą osłonę Arkadii. Niezwykłe, ale kobieta walczyła z równą wprawą dwoma mieczami, jak jednym. Pierwszym parowała ciosy, a jednocześnie przygotowywała kontratak drugim. Spychana w tył Kerra upadła, potykając się o cegły wtopione w lodowe podłoże. Korzystając ze swojej przewagi, Arkadia opuściła z wielką siłą oba miecze na zielone ostrze Kerry.

Kerra, z trudem odpierając siłę iskrzącego ataku, z napięciem spojrzała w oczy przeciwniczki. Wyrachowana inteligencja nadal w nich była, ale pojawił się też gniew.

– Byłam szalona, oczekując od ciebie pomocy – dowodziła Arkadia, miażdżąc mieczami świetlnymi broń Kerry. – Tak, byłam głupia, ale to nieważne. Zabójca jest już w drodze. – Świetlne refleksy tańczyły jej po twarzy. – Już ich nie ma. Obojga.

Wpatrując się w Arkadię, Kerra poczuła coś poprzez Moc. Nie ma obojga?

– Wysłałaś... wysłałaś Quillana na śmierć, prawda?

Arkadia zamarła na chwilę – bo świat wokół niej zaczął się walić. Lord Sithów spojrzeła w górę, gdzie rozbłysło ostre światło. „Gorliwość” z hukiem przewaliła się nad nimi, zrzucając coś spod kadłuba. Kerra poznała, co to takiego: lewoburtowy klaster ładowniczy, jedna czwarta masy okrętu, leciał spiralą w ich kierunku.

Syned znów zadrżał, mocniej niż przedtem. Południowa ściana muzeum eksplodowała, wbita do wewnątrz przez kataklizm, spowodowany spotkaniem megaton ładunków wybuchowych i lodu. Arkadia zachwiała się od wstrząsu. Kerra kopniakiem zbiła ją z nóg.

Nagle podłoga zaczęła się rozpadać, lód kawałkami wychodził na powierzchnię. Przyparta do północnej ściany Kerra wyłączyła miecz i wspięła się na lodowy gruz, szukając otwartego korytarza za rozwalonymi drzwiami. Kopuła nadal dygotała od wstrząsów wtórnych i dalszych eksplozji. Z góry posypały się chmury lodowych igieł.

A w tej lawinie znów dostrzegła Arkadię. Była posiniaczona, ale ciągle szła.

– Jak mogłaś? – krzyknęła Kerra, daremnie szukając uchwytu, żeby wspiąć się na ścianę. – Wysłałaś brata na śmierć... w pułapce przeciwko własnej babce? Jak mogłaś!

Lord Sithów przekroczyła szczelinę w podłodze i wyciągnęła ręce. Oba miecze świetlne wróciły do jej dłoni. Zapaliła je.

– Może być tylko jeden Lord Sithów – powiedziała. – i żadnych Jedi. Arkadia skoczyła...
...a jednocześnie nad jej głową niebo rozdarło się osłepiającym błyskiem.



Kerra z trudem otwierała zasypane lodem oczy. Górna część kopuły znikła zupełnie. Muzeum Arkadii, strzaskane u góry i na dole, było otwarte na gwiazdy i zabójcze zimno Syneda.

Spróbowała się poruszyć i usłyszała trzaski – nie wiedziała, czy pochodzą z otaczającego ją rumowiska, czy to jej własne kości. Macając po lodzie, znalazła pręt metalowy i wbiła go w śnieżną ścianę, żeby pomóc sobie wstać. Musi zdobyć jakieś narzędzie, przecież kiedyś było

tu muzeum narzędzi. Wbiła w ścianę zaimprovizowany hak i wspięła się na kolejne bryły w desperackiej próbie ucieczki. Coś ruszało się w gruzach za nią.

Jednym ruchem Kerra rzuciła się na dół i zaczerpnęła tchu. Zimne powietrze, prawie pozbawione tlenu, zakłuło ją w płucach. Wokół siebie widziała same zniszczenia. Większość budynków na powierzchni znikła, a majestatyczna Sala Patriotów stanowiła jedynie rozchwiane zbiorowisko filarów. Pole na zewnątrz, niegdyś pełne statków, kołysało się i drgało.

Usłyszała za plecami kroki na lodzie. Spróbowała uciekać, ale potknęła się i upadła; nie mogła oddychać z zimna.

„Gorliwość” znikła. Ale widziała ją przecież w powietrzu. Czy udało jej się uciec? Uznała, że tak właśnie było.

To była dobra walka. A ona odrobiła swoją część. Przymknęła oczy.

ROZDZIAŁ 26

Światła w przedziale medycznym były ciepłe i krzepiące, dokładnie takie, jakie powinny być na wytwornym liniowcu. Na widok tego wnętrza Kerra zamrugała pod maską tlenową.

– Chyba już trochę odtajała – rozległ się znajomy głos. Wyciągnięta na poduszce obserwowwała, jak robot medyczny zdejmuje jej maskę. Srebrzysty droid odstąpił, odsłaniając stojącego w wejściu Rushera. Był bez płaszcza, miał na sobie czarną koszulę pod sfatygowanym, rdzawym kubrakiem.

– Co się stało? – zapytała głosem ochrypłym z przemarznięcia.

– Wyszłaś na spacer bez kombinezonu – odparł, szczerząc zęby. Z trudem próbowała usiąść.

– Nie, chodzi mi o kopułę. Walczyłam z Arkadią, a potem połowa kopuły znikła.

– Ach, tak? – powiedział, wchodząc do środka. – Podziękuj za to Bitsy. Wyjaśnił, że kiedy czekał, aż zabierze go to, co pozostało z „Gorliwości”, zauważył podejrzany, samotny pagórek na lodzie po wschodniej stronie. Uchwycił cień sygnału z nadajnika na mieczu świetlnym Kerry i wysłał statek, żeby sprawdził i potwierdził, że to szczyt dużej kopuły. Wówczas brygadier wraz z Lubboonem i Rozpruwaczami załadował potężną armatę na sanie towarowe za jedną z ciężarówek Arkadii. Jeden porządny strzał przez tundrę zniszczył kopułę.

– Myślałeś, że pod nią jestem, i strzelałeś? Mogłeś mnie zabić!

– Jesteśmy bardzo precyzyjni – odparł Rusher – Zgoliliśmy dach jak włos z banthy.

Nalewając sobie kubek czegoś orzeźwiającego, opowiadał, jak podstępem przekradł się do Calimondretty z pozostałą artylerią. Miał szczęście, że Arkadia wysłała pełzak lodowy, aby zabrał wszystkich uchodźców za jednym razem, bo pozwoliło mu to uruchomić wszystkie swoje zasoby.

– Nigdy wcześniej nie rozkładaliśmy stanowisk wewnątrz budynku, ale mieliśmy nadzieję, że jeśli tam wejdziemy i powystrzelamy to i owo, oddadzą nam ciebie... albo sama skądś wyskoczysz. – Napił się znowu. – Tak to wyglądało.

– Jak wróciłam na statek?

– Hm... załatwiłem ci transport.

– Zaniósłeś mnie?

– Z trudem – odparł. – Jesteś cięższa niż sądziłem – uśmiechnął się. – Tak, wiem, same mięśnie.

Kerra wzniosła oczy w górę.

– A co z twoją chorą nogą?

– Cóż, w tej misji musiałem po prostu nauczyć się porządnego kuśtykania. I tak wszyscy mówią że laska to wyłącznie dekoracja.

– Przepraszam, że ci zламаłam tę starą.

– Och, nie szkodzi. Nawet wolę tę, którą mi przyniosłaś. – Rusher sięgnął do półki za jej plecami.

Kerra rozpoznała ze zdumieniem to, co trzymał w ręku.

– Miecz świetlny Arkadii?

Spojrzała jeszcze raz i stwierdziła, że to tylko ozdobna środkowa część. A więc to ten pręt pozwolił mi wydostać się z muzeum, pomyślała.

– Ale on jest za krótki na laskę.

– Za to elegancko wygląda jako szpicruta – odparł. Przetarła oczy.

– A uchodźcy?

– Wszyscy bezpieczni na pokładzie „Gorliwości”. Dwa tysiące dwieście sztuk. Ciemne brwi Jedi zmarszczyły się.

– Ale mieliśmy...

– Tysiąc siedmuset siedemnastu – odparł. – Nie wierzę sam sobie, że ci to mówię, ale wzięliśmy jeszcze paru pasażerów po drodze. Grupa robotników znalazła kombinezony próżniowe i przybiegła do nas przez lód, błagając o zabranie. Zdaje się, że nie byli aż takimi patriotami, jakby chciała Arkadia. Pamiętasz tego Twi'leka? Zaopatrzeniowca przerobionego na hutnika? Chyba nie był to dla niego awans.

Rusher opowiedział jej, co mówili nowo przybyli, łącznie ze szczegółami dotyczącymi programu broni chemicznej Arkadii.

– Chyba w czasie naszego małego zamieszania częściowo go zniszczyliśmy – prychnął.

– Przez przypadek – odparła. – Nawet nie wiedzieliście, że tam jest!

– Jestem artylerzystą. Jeśli w coś trafiam, trafiam umyślnie... nawet jeśli nie wiem, co to jest! – Poklepał ścianę kajuty. – Na „Gorliwości” znalazło się dla nich mnóstwo miejsca, choć właściwie znów jesteśmy jak dawny „Vichary Telk”. Tylko brzydki. Po usunięciu skupisk kapsułek towarowych liniowiec znów stał się mniej więcej liniowcem. Równie dobrze mógłby wrócić do służby – dodał.

Kerra pokręciła głową.

– Zniszczyłeś swój okręt, żeby mnie ratować?

– Mój inżynier nie kocha mnie za to przesadnie, ale to nic nowego. Poza tym – sięgnął do ramienia Kerry i podciągnął jej rękaw – to ty miałaś na ręce wypisany nasz los.

Spojrzała na liczby na skórze, zapisane tam przez Bothanina. Zastanawiała się, co się z nim stało. Ostatnią rzeczą jakiej teraz potrzebowała galaktyka, był Narsk biegający luzem i rozrabiający w swoim kombinezonie maskującym. A jednak z jakiegoś powodu jej pomógł – i pomógł też Rusherowi. Zastanawiała się, czy sam Narsk zna przyczynę.

Nagle tknęła ją nowa myśl.

– A twoje działa? Zostawiłeś je na Synedzie!

– Nie bardzo mogliśmy zabrać je ze sobą bez kapsuł towarowych. Wiesz, jak to z tym jest. Szybko się je rozstawia, ale składanie trwa wieczność. A trochę byliśmy zajęci.

– Ale to była twoja cała praca.

– Lecimy do Republiki, Kerro. Zakupy to tam podobno oficjalna dziedzina sportu, jak słyszałem. Jestem pewien, że znajdziemy producenta, który zechce ubić interes. – Spojrzała na ściany. – Dobrze będzie sprawić sobie nowe holowizjery.

– Republika! – Kerra przypomniała sobie nagle i entuzjastycznie klepnęła się po kolanie, by zaraz skrzywić się z bólu. – Nie powinnam tego robić – mruknęła.

– Ale chyba się ucieszysz.

Szybko opowiedziała mu, czego dowiedziała się od Arkadii na temat rodziny Sithów i Legatu. Kiedy próbowała przypomnieć sobie każdą twarz i każde nazwisko z transmisji, Rusher przerywał jej, uzupełniając szczegóły i brakujące informacje. W miarę jak układanka nabierała sensu, wydawało się, że brygadier odzyskuje humor.

– To zdumiewające – rzekł. Wiedział o pewnych powiązaniach, ale nie o wszystkich – a choć wielu było niedoszłych Lordów Sithów, którzy nie należeli do rodziny, Kerra doszła do wniosku, że wiele z tego, o czym opowiadał, rzeczywiście miało sens.

– Mam tu rejestrator, więc wszystko udokumentuję – powiedziała. – Chcesz się spotkać z prawdziwym kanclerzem Republiki? Myślę, że wkrótce będziesz miał taką możliwość.

Młodej Jedi zrobiło się ciepło na sercu. Kiedy po raz pierwszy wysłała kogoś do Republiki, to po to, by przekazać smutne wieści o tym, co się stało z Vannarem Treece i jego drużyną. Republika bardzo tego potrzebowała: jak światła w ciemnościach.

Rusher podrapał się po głowie.

– To wydaje się interesujące. Wiesz, od dawna miałem ochotę na nowo wyposażyc tę starą balię – rzekł. – Jeśli ta informacja jest coś warta, może zapłacą żeby wyposażyc „Gorliwość” w cztery ładownie, zamiast dwóch. – Obserwował jej twarz.

– No co? Czy oni tam nie stosują systemu barterowego?

Uśmiechnęła się krzywo.

– Nie każ mi iść tam ze sobą.

Zaśmiał się. W korytarzach też słyhać było śmiechy. Statek, tak posępny po Gazzari, napełnił się radością, jak tylko rozniosła się wieść o ich nowym celu. Powiedział Kerrze, że Tan w ogóle nie może zasnąć.

– I tak już mało spała – westchnęła Jedi. Misja wykonana, Gub, pomyślała. – Jestem prawie pewna, że Beadle też będzie szczęśliwszy w Republice.

– On raczej wolałby przyłączyć się do nas – odparł Rusher. – Kilkoro twoich dzieciaków też chce zostać jako część nowej brygady, którą sformuję, kiedy wrócę. Nie wiń mnie... nie ja ich zwerbowałem. Ale ich rodziny wciąż tam cierpią więc nie dziwię się, że chcą zostać tutaj i

coś zrobić.

Pewnie zmieniają zdanie, kiedy zobaczą Republikę, pomyślała Kerra. Ale z drugiej strony, może i nie zmieniają.

– Sześćdziesiąt trzy tysiące – wymamrotała.

– Co takiego?

– Hm? – podniosła wzrok, odgarniając z oczu kosmyk włosów. – Nic, nic... obliczałam sobie tylko, ile osób już wysłałam z powrotem. Pomiędzy Chelloą i tym, co było później, sprowadziłam do granicy sześćdziesiąt trzy tysiące uchodźców. Mniej więcej.

– Duży ruch – zgodził się.

– Zwłaszcza, jeśli naprawdę nie planujesz zorganizowania jakiegoś exodusu – odparła. – To się po prostu dzieje. Sześćdziesiąt trzy tysiące ubyło, zostało parę bilionów.

Rusher skinął głową wziął swoją nową szpicrutę i wstał.

– Teraz masz już własne kuśtykanie, którym musisz się martwić. Właśnie przyszedłem, żeby ci to powiedzieć. Mamy za kilka godzin przystanek... zdaje się, że na Tramanos. Jestem pewien, że znajdzie się tam ktoś, kto da ci zajęcie. Spoglądała w ślad za nim, kiedy szedł do wyjścia. Jak na faceta, którego uważała za narzędzie Sithów, zaskakiwał ją. Ale właśnie tak ma się sprawa z narzędziami. Można ich zawsze użyć do innych celów. Lepszych.

– Rusher! – zawołała. – Kiedy dotrzesz do Republiki... cóż, na twoim miejscu bym tam została.

– Wcale byś nie została – odparł, szczerząc zęby. – Robiłabyś dalej to, po co tu przyjechałaś... system za systemem.

Zaśmiała się.

– Ja i twoja armia?

– Nigdy nie wiadomo, mała. Może dam ci niezłą stawkę.



Ogród znajdował się na trawiastym szczycie wzgórza, nad zielonym morzem, rozciągającym się pod różowymi chmurami. Po porannym deszczu został tylko chłodny wietrzyk, szumiący w pierzastych liściach roślin okalających ścieżkę.

Wchodząc na kamienne stopnie wiodące na plac, Narsk przystanął, aby napić się wody ze studni. Nawet woda smakowała tu słodko. Pomimo okrucieństwa właścicieli przestrzeń Sithów odznaczała się niezwykłą urodą. Trudno było uwierzyć, że to tylko jedno z wielu miejsc, przygotowanych i pielęgnowanych przez zaufane służby Sukcesorki.

Miejsce tętniło naturalnymi odgłosami. Narsk słyszał je dobrze dzięki implantom, wszczepionym mu w uszy dziś rano. Arkadia zabezpieczyła kryjówkę na wahadłowcu przed niebezpieczeństwami kosmosu, ale nie przed dźwiękiem silników. Nawet uruchomienie Mark VI nie pomogło na to soniczne bombardowanie: przeładowane receptory na zawsze

uszkodziły kombinezon. Kolejny plus w jego fachu – Narsk uznał, że nowe uszy uczynią z niego jeszcze lepszego szpiega.

Usiadł mu na nosie kolorowy motyl i zaraz odfrunął, wirując jak szalony, ku egzotycznym kwiatom na klombie.

Przywiędła dłoń zerwała kwiat.

– Witaj w moim żłobku – powiedziała ogrodniczka do owada. – I pan też, panie Ka'hane.

Narsk ukląkł na szczycie schodów.

– Dziękuję, Vilio Calimondro.

Czekał cierpliwie, aż białowłosa kobieta skończy pielęgnować swój ogród. Zawsze go zdumiewała. Vilia Calimondra, Wieczorna Gwiazda, Zdobywczyni Phaegona i głowa trzech rodów. Teraz już zgięta przez czas, ale kiedyś wysoka i dumna.

Cóż z niej musiała być za wojowniczką, pomyślał. Dłonie, które niegdyś dzierżyły miecze świetlne, były dziś pełne plam i pomarszczone, choć o wiele za wcześniej – ale złociste oczy wciąż błyszczały życiem. Czasem tak bywa z Sithami. Umysł pożera ciało.

Narsk spodziewał się, że Vilia stąd wyjedzie, kiedy tylko dowie się o spisku Arkadii. Ale ona przyjęła wieści o zdradzie wnuczki ze spokojem i bez zaskoczenia. Jej jasnowidzący czegoś się spodziewali, dlatego otrzymał przez implant to krótkie ostrzeżenie.

A jeśli nawet choć odrobinę ją to zakłopotало, nie dała po sobie niczego poznać. Stała przed nim w prostej, bursztynowej sukni, na pozór zajęta wyłącznie roślinami, a teraz także swoim wnukiem. Quillan, którego tu sprowadzono po ostatniej wizycie Narska na wzgórzu, siedział w zwykłym fotelu, pod przenośnym baldachimem. Nie było fotela na repulsorach – służący sami go tu przynieśli.

Nad oceanem przelatywały skrzydlate stworzenia. Quillan ożywił się, spoglądając jeszcze dalej, na nieznane galaktyki. Odchylił głowę do tyłu i szeptał w powietrze jakieś sylaby.

– Tak, Quillanie – rzekła Vilia, siadając na ławce obok chłopca. Złożyła dłonie. – Babcia rozumie.

Narsk też rozumiał. Nastolatek był ośrodkiem wszystkiego – wszystkiego, co zdarzyło się od czasu Gazzari. Kiedy Narsk był na polu bitwy, pilnując, aby Odion i Daiman otrzymali polecenie zaatakowania Bactry, Vilia zaczęła się martwić o kogoś innego: o Arkadię. W jakiś sposób dowiedziała się, że jej wnuczka dąży do przejęcia nie tylko terytorium Diarchii – tego się należało spodziewać – ale także samych bliźniaków. Czy dowiedziała się o tym poprzez Moc? A może przez inne źródła, takie jak on? Narsk nie pytał. Ale szczególnie zainteresowanie Arkadii dziećmi na tyle zastanowiło Vilię, że wysłała go, aby się temu przyjrzał.

Jego reputacja zapewniła mu kluczową pozycję w planach Arkadii na Byllurze. Tylko przez czysty przypadek Jedi także wybrała się na Byllurę, co naprawdę go zaskoczyło. Ale Vilia wiedziała o tym, jak tylko „Gorliwość” zbliżyła się do zamieszkanego świata Diarchii. Vilia mogła śledzić położenie Kerry od czasu, kiedy udało jej się ukraść kombinezon

maskujący – ponieważ to Vilia dała go Narskowi. Jej technicy przejęli system Cyricept i zmodyfikowali go tak, aby mogła śledzić Narska – i, jak przypuszczał, również inne służby, którym go dała. Mark VT wyglądał jak puste miejsce w widmie tuż po włączeniu, ale od chwili wyłączenia kontaktował się z tajną siecią komunikacyjną której Vilia używała do kontaktów z rodziną.

A zatem Vilia od początku wiedziała, że Jedi odegra rolę w jej przyszłości. Nie wiedziała tylko, jaką. Kerra Holt właściwie ocaliła życie Vili, odmawiając Arkadii podjęcia się zabójstwa. Kiedy Narsk dowiedział się dokładnie, co planowała Arkadia, skorzystał z okazji, by uwolnić Jedi. Vilia zawsze lubiła spłacać długi.

– Przynosisz jakieś nowiny?

– Powinny ci się spodobać – odparł. – Dwóch agentów wykorzystano zamieszanie w Arkadianacie, aby wykraść Dromikę z Byllury. Dziewczynka będzie w przyszłości trzymana z dala od bliźniaka – zorientowali się, że tak będzie najlepiej – ale także od oportunistów, którzy mogliby ich wykorzystać tak, jak Calician. A właściwie także Arkadia.

Od Arkadii natomiast nie było żadnych wieści. Ktoś inny z rodu Vili mógłby pewnie przesłać pokorną wiadomość, udając niewiniątko i badając, co wie, a czego nie wie. Arkadia jednak nie odzywała się do babki. Przemówiła tylko do Narska, kiedy skontaktował się z nią udając, że ukrywa się na neutralnej planecie. To od niej dowiedział się, że jego zaimprovizowany plan podziałał lepiej, niż miał prawo oczekiwać.

Szkody wyrządzone przez „Gorliwość” spowodowały zapadnięcie się całego hangaru wkrótce po odlocie Narska. Arkadia odnalazła w lodowych gruzach jedynie fragmenty fotela-pułapki i ciała kilku techników. Zorientowała się, że zabił ich gaz neurotoksyczny, a nie kataklizm, i wyciągnęła wniosek, że jej słudzy w całym tym zamieszaniu załadowali na pokład niewłaściwy fotel, a zbiorniki w tym właściwym uległy zniszczeniu podczas bombardowania. Wszyscy widzieli, jak Narsk wchodzi do swojej kryjówki, więc mógł udawać, że nic nie wie, kiedy rozmawiał z Arkadią. Twierdził, że też stał się ofiarą skoro przybył na świat Vili z niewłaściwym fotelem repulsorowym.

Odpowiedziała na to zwięźle, że powinien wiedzieć, iż ona ma na głowie inne sprawy. Różne źródła donosiły o ogromnych zniszczeniach w stolicy Arkadii i o wycofaniu znacznych sił z Diarchii. Minie sporo czasu, zanim Arkadia znów zdoła objąć władzę nad jakimkolwiek nowym terytorium.

Vilia lubi spłacać długi, ale chyba postanowiła pozostawić wnuczkę przy życiu razem z jej hańbą. Nikt nie chce być wyrzutkiem tego rodzaju.

– Chagras tak bardzo dbał o bliźniaki – powiedziała Vilia, poklepując Quillana po dłoni. – Ciężko mu było, kiedy je zabrano.

Narsk spuścił oczy.

Wstała i spojrzała na niego badawczo.

– Czuję, że chcesz o coś zapytać. Zastanawiasz się, czy miałam coś wspólnego ze śmiercią

mojego syna Chagrasa, jak twierdzi Arkadia? – zapytała.

– Pani, nie miałem...

– Równie dobrze mógłbyś zapytać, czy Arkadia miała z tym coś wspólnego – odparła. – Ambitna córka, obawiająca się, że spadek po jej ojcu przypadnie młodszemu, bardziej faworyzowanemu rodzeństwu... A przy okazji ekspert od neurotoksyn, tej samej broni, która zabiła Chagrasa w kwiecie wieku... Mógłbyś oskarżyć ją o to równie dobrze jak mnie, i byłoby to dokładnie tak samo odrażające. – Vilia spojrzała na żywoplot. – Po co miałbyś to robić? Rodzinę łączą tak samo wspólne iluzje, jak wspólna krew.

Narsk wzruszył ramionami. Zebrał się w końcu na odwagę i zaczął:

– Mam tylko jeden powód, żeby w siebie zwątpić – powiedział. – Uwolniłem Jedi. Nie ruszy się poza przestrzeń Sithów, jeśli ją dobrze znam. Ale teraz wie także o twojej rodzinie i Sprawdzanie Władzy. Może przekazać tę informację twoim wrogom, nawet Republice.

Vilia postanowiła zlekceważyć jego obawy. Nie było sieci informacyjnej, aby rozgłosić tę sensację w przestrzeni Sithów, ani władz, którym można by uwierzyć. Republika co prawda miała władze, ale okazały się nieskuteczne nawet wówczas, gdy otrzymywały wszelkie wiadomości o Sithach.

– Na razie – oznajmiła staruszka – młoda Kerra pozostaje jedynym Jedi w okolicy.

– Ale wciąż może być zagrożeniem dla ciebie i twojej rodziny przypomniał Narsk.

– Oceniam ją całkiem inaczej – odparła. – Jest dokładnie taka jak ty, Narsk. To pouczające doświadczenie dla nich wszystkich. Pewnego dnia Sithowie znów zwrócą się przeciwko Republice, a my będziemy musieli stawić czoło sile Rycerzy Jedi. Moje wnuki powinny przynajmniej dowiedzieć się, co zrobić z jednym egzemplarzem.

Narsk przez lata grał podwójną rolę. Służąc jej wnukom, stwarzał jednocześnie dla nich wyzwania. Dla Vili Kerra była po prostu kolejną agentką testującą dzieci jej dzieci.

– Przepraszam, Sukcesorko – odezwał się Bothanin, spuszczać wzrok. – Wiem, że te sprawy nie należą do mnie. Dlaczego sianie niezgody ma umacniać twój ród?

– Nie masz dzieci, co, panie Ka'hane?

Speszony Narsk z trudem pokręcił głową.

– Cóż, ja miałam ich wiele... a one miały następne dzieci. Należało się spodziewać, że będą ze sobą walczyły – wyjaśniła. – A ja liczę na to, że będą to robić skutecznie.

Odwróciła się do fotela, gdzie Quillan wciąż nieobecny wzrokiem wpatrywał się w morze.

– Zawsze się pragnie, żeby im się udało wszystko, co sobie zaplanują. I żeby walczyły – szepnęła, głaszcząc chłopca po głowie. – i rozkwitały.

Uśmiechnęła się do niego łagodnie.

– Ale kiedy widzisz, że niektóre tego nie potrafią odsuwasz je na bok.

– Więc taka... taka jest filozofia Sithów? Vilia zaśmiała się.

– Sithowie to starożytna rasa, Narsk, ale przedtem też były babcie. Mamy własne zadania.

Możesz to nazwać filozofią... ale to część tego, czym jesteśmy.

Stara kobieta wróciła do swoich roślin. Narsk uklonił się i odwrócił, żeby odejść.

– Aha, Narsk... jeszcze jedno. – Vilia obejrzała się i uśmiechnęła. – Jeśli znów zobaczysz Arkadię, powiedz, że serdecznie ją pozdrawiam. Jak zawsze.

PODZIĘKOWANIA

Pomysł na Błędnego Rycerza narodził się, kiedy redaktor Dark Horse Comics, Ranelly Stradley, zaproponował mi napisanie scenariusza do serii komiksowej o przygodach samotnej Rycerz Jedi w przestrzeni Sithów w okresie Mrocznych Czasów Republiki, tysiąc lat przed wydarzeniami z Mrocznego widma. Kiedy pracowałem nad postacią Kerry Holt i jej przygodami, redaktor Lucasfilmu Sue Rostoni podsunęła redaktor Shelly Shapiro z Del Rey pomysł stworzenia powieści z wykorzystaniem tej samej bohaterki i jej przygód. Tak oto powstały komiks i książka, rozgrywające się w tych samych okolicznościach. Chociaż akcja powieści rozgrywa się po historii ukazanej w pierwszym komiksie, to każda z nich stanowi oddzielną opowieść.

Poza Randym i Shelly, chciałbym także wyrazić swoją wdzięczność mojemu redaktorowi komiksowemu, Davidowi Marshallowi, który pomagał mi doszlifować pierwotny pomysł, a także rysownikom Federicowi Dallocchiowi i Michaelowi Atiyehowi, którzy w znacznym stopniu wpłynęli na ostateczny kształt wielu postaci. Niniejsza książka nie powstałaby, gdyby nie bezcenna pomoc Sue Rostoni, Lelanda Chee i Pabla Hidalga z Lucasfilmu, jak również Jasona Fry'a i Daniela Wallace'a, którzy udzielili mi wielu cennych wskazówek. Chciałbym też podziękować mojej żonie, Meredith Miller, a także asystentowi, T.M. Haleyowi – za czytanie moich wycieczek (oraz za cierpliwość).